

LEIGH BARDUGO

RWINA I REWOLTA

РУИНА И РЕВОЛТА

Ekscytująca, romantyczna, pełna przygód opowieść fantasy.

Rick Riordan, autor bestsellerów

PAPIER  WYKSIEŻYC

Leigh Bardugo

Ruina i Rewolta

TRYLOGIA GRISZA Tom 3

Przełożyła: Anna Pochłódka-Wątorrek

Tytuł oryginalny: Siege and Storm

Mapa Keith Thompson

Wydanie oryginalne 2014

Wydanie polskie 2015



GRISZOWIE
Żołnierze Drugiej Armii
Mistrzowie Nauki Małej
KORPORALNICY
(Zakon Żywych i Umarłych)
ETEREALNICY
(Zakon Przyzywaczy)
MATERIALNICY
(Zakon Fabrykatorów)



WYSPA
WĘDROWNA
LEFLIN

JELKA
(WIDELEC)

KOSTNY SZLAK
VILKI (POZ)

WEDDLE
ΠΩΟΖΙΕΜΣΚ

ZATOKA CZERWONA

MORZE
PRAWDZIWE

ZATOKA EAMESA

SZRIFTPORT
BRÓDKA
EAMESA
ΚΟΓΤΟΠ

KEFTERDAM

KERCZ

POMOST

ΚΟΛΟΠΙΕ ΡΟΕΥΒΡΙΟΥΤ



KENST HJERTE
(ARCHIPELAG ZLAMATEGO SERCA)

ISLEŃVEE

ELLING

OVERUT

FJERDA

AVFALLE

ELBJET
(ŁOKCIE)

DJERHOLM

HALMHEŃD

ZMARZLIŃA

ARKESK

ULEŃSK

CZERŃAST

PIEMORZE

PETRAZOJ

CYBEJA

RAVKA

НОВО-
КРИБИРСК

RIEVOST

OS
KERVG

KRIBIRSK

BALAKIREV

OS ALTA

КЕРАМЗИП

POLICŃAJA

SIKURSK

KARJEVA

SIKURZOJ

BHEZ JU

KOBA

SZU HAN

AHM RAT JET

Mojemu ojcu Harve'owi

Niekiedy nasi bohaterowie nie docierają do końca

PRZEDTEM.

Potwór nazywał się Izumrud, co znaczy wielki robak. Niektórzy opowiadali, że to on wydrążył tunele biegnące pod powierzchnią Ravki. Doskwierał mu chorobliwy apetyt, zjadał więc szlam i żwir, rył się coraz głębiej pod ziemię, szukał czegoś, co zaspokoiłoby jego głód, aż w końcu zapuścił się za daleko i zagubił się w ciemności.

Było to zwykle bajanie, lecz w Białym Soborze ludzie przezornie nie oddalali się zbyt od korytarzy otaczających główne jaskinie. W mrocznym labiryncie tuneli słychać było echo dziwnych odgłosów, jęków, niewyjaśnionego dudnienia. Zimne zakamarki ciszy przeszywały ciche syki - być może nic takiego, a być może dźwięk, jaki wydaje sunące, długie cielsko, które zakrada się pobliskim korytarzem w poszukiwaniu ofiary. W takich chwilach łatwo było uwierzyć, że Izumrud wciąż gdzieś tu żyje, czeka, aż przebudzi go wołanie bohaterów, śni o sutym posiłku, jaki by mu się trafił, gdyby jakieś bezradne dziecię weszło mu do paszczy. Taki stwór spoczywa, lecz nie zdycha.

Tę opowieść - i różne inne, wszelkie nowe historie, jakie udało mu się zgromadzić - przyniósł dziewczynie z sobą chłopak, na początku, kiedy jeszcze wolno mu było się do niej zbliżać. Siadywał przy jej łóżku, starał się nakłonić ją, by jadła, nasłuchiwał zboląłego świstu w jej płucach, i snuł opowieść o rzece poskromionej przez potężnego Pływowladnego, który ukształtował ją tak, by przedarła się przez grube warstwy skał w poszukiwaniu złotej monety. Szeptał o biednym, przeklętym

Peliekinie, który przez tysiąc lat znośnie machał czarodziejskim kilofem, pozostawiając po sobie wyrąbane jaskinie i tunele - był to samotnik, co szukał jedynie jakiegoś zajęcia i gromadził złoto oraz klejnoty, których nie zamierzał wcale wydawać.

Niespodziewanie pewnego poranka drogę do izby dziewczyny zastąpili chłopakowi zbrojni ludzie. A kiedy nie chciał odejść, odciągnęli go od drzwi zakutego w łańcuchy. Kapłan ostrzegł chłopaka, że wiara da mu spokój, a posłuszeństwo - przedłuży życie.

Zamknięta w celi, do towarzystwa mając jedynie kapanie wody oraz powolne bicie własnego serca, dziewczyna wiedziała, że opowieści o Izumrudzie są prawdziwe. Została pochłonięta w całości, pożarta, a dźwięczących, alabastrowych trzewiach Białego Soboru ostała się jedynie Święta.

* * *

Świątą codziennie budziło skandowanie jej imienia, codziennie też rosła jej armia, której szeregi pęczniały od głodnych i pozbawionych nadziei, od rannych żołnierzy i dzieci ledwie zdolnych nosić strzelby. Kapłan powiedział wyznawcom, że będzie ona pewnego dnia królową, a oni mu uwierzyli. Dziwowali się jednak jej poturbowanemu i tajemniczemu dworowi: kruczowłosej Szkwalnicze o ciętym języku, Zrujnowanej, owiniętej czarnym orarionem, co zakrywał ohydne blizny, blademu uczonemu, który przemykał korytarzami, ściskając książki oraz dziwne przyrządy. Były to nędzne niedobitki Drugiej Armii - nieodpowiednie towarzystwo dla Świętej.

Niewielu wiedziało, że była bezsilna. Wyróżniająca ją moc - boska czy nie - przepadła, a przynajmniej znalazła się poza zasięgiem. Jej wyznawców trzymano na dystans, by nie widzieli,

że jej oczy są zapadłe i ciemne, że oddycha urywanie i z przestraczem. Chodziła pomału, niepewnie, kości jej ciała były kruche jak naniesione przez morze drewno - słabowita dziewczyna, na której spoczywały nadzieje ich wszystkich.

Na powierzchni nowy król władał za sprawą swojej armii cienia i żądał, by zwrócić mu jego Przyzywaczkę Słońca. Groził i oferował nagrody, lecz w odpowiedzi otrzymał jedynie wyzwanie rzucone przez banitę, którego lud przezwał Powietrznym Księciem. Atakował on wzdłuż granicy od północy, zrzucił bomby na linie zaopatrzeniowe, czym zmuszał Króla Cieni do wznowienia handlu oraz przepraw przez Fałdę, choć przed potworami chronili podróżnych tylko Infernicy i łut szczęścia. Niektórzy mówili, że wyzwanie to rzucił książę Lancov. Inni opowiadali, że był to fjerdański buntownik, który nie chciał walczyć u boku wiedźm. Wszyscy jednak się zgadzali, że musi mieć własne sztuczki w zanadrzu.

Święta potrzęsała kratami podziemnej klatki. To była jej wojna i domagała się wolności, by móc w niej walczyć. Kapłan odmówił.

Ale zapomniał, że zanim została Griszą i Świętą, była duchem Keramzina. Razem z chłopakiem gromadzili sekrety jak Peliekin skarby. Potrafili być złodziejami i zjawami, ukrywać siłę oraz psoty. Podobnie jak nauczyciele w majątku księcia kapłan sądził, że zna dziewczynę i wie, do czego jest zdolna.

Mylił się.

Nie słyszał ich tajemnego języka, nie rozumiał niezłomnego postanowienia chłopaka. Nie spostrzegł, kiedy słabość przestała dziewczynie ciążyć, a zaczęła jej służyć jako przebranie.

1.

Stałam na rzeźbionym, kamiennym balkonie z rozłożonymi rękoma. Dygotałam w tanich ubraniach i starałam się urządzić porządne przedstawienie. Moja kefta składała się ze strzępów szaty, którą miałam na sobie tej nocy, kiedy zbiegliśmy z pałacu, oraz z krzykliwych zasłon pochodzących ponoć ze zlikwidowanego teatru gdzieś w okolicy Sali. Brzegi materiału wykończone były koralikami z żyrandoli w foyer. Haft na mankietach już się pruł. David i Genia zrobili, co mogli, ale pod ziemią mieliśmy ograniczone zasoby.

Z daleka spełniało to swoją funkcję - iskrzyło się złociście w świetle, które zdawało się promieniować z moich dłoni, i rzucało jasny blask na zastygłe w zachwycie twarze moich wyznawców, zgromadzonych poniżej. Z bliska widać było, że to tylko zetlałe nici i blichtr. Dokładnie tak jak ja. Wyświechtana Święta.

W Białym Soborze dudnił głos Apparata i tłum chwiał się z zamkniętymi oczyma, z uniesionymi rękoma, jak pole maków - blade łodygi ramion wprawiał w drzenie wiatr, którego ja nie czułam. Wykonywałam wyreżyserowane gesty, z rozmysłem poruszając się tak, by David i jedno z Inferników, które mu akurat pomagało tego ranka, mogli nadażyć za moimi ruchami, siedząc w ukrytym pomieszczeniu tuż nad balkonem. Poranne modły napawały mnie trwogą, ale według kapłana te fałszywe pokazy były konieczne.

- Dajesz swojemu ludowi dar, Sankta Alina - mówił. - Nadzieję.

Tak naprawdę było to złudzenie - blada imitacja światła, jakim niegdyś władałam. Złoty blask rzucały infernickie płomienie, odbite od obtłuczonego naczynia z luster, które David zbudował z odzyskanego szkła. Przypominało to naczynia, jakich użyliśmy podczas nieudanej próby odparcia hordy Darklinga w bitwie o Os Altę. Zaskoczono nas. W rezultacie moja moc, nasze plany, cała

pomysłowość Davida i zaradność Mikołaja nie powstrzymały rzezi. Od tamtej pory nie potrafiłam przyzwać choćby promyka słońca. Lecz większość trzódki Apparata nigdy nie widzialna, na co stać ich Świętą, na razie więc podstęp wystarczał.

Apparat skończył kazanie. Był to sygnał dla nas, byśmy również kończyli. Infernicy rozjarzyli otaczającą mnie poświatę. Zamigotała i zamrugła chaotycznie, po czym zgasła, gdy opuściłam ramiona. Cóż, teraz już wiedziałam, kto wraz z Davidem obsługuje ogień. Spojrzałam spode łba na pieczarę u góry. Harshaw. Tego to zawsze ponosiło. Z bitwy w Małym Pałacu uszło z życiem troje Inferników, lecz jedno z nich zmarło zaledwie kilka dni później w wyniku odniesionych ran. Z dwóch pozostałych Harshaw był potężniejszy i bardziej nieprzewidywalny.

Zeszłam z platformy, bo nie mogłam się doczekać, aż opuszczę Apparata, lecz źle stąpnęłam i się potknęłam. Kapłan złapał mnie za ramię i podtrzymał.

- Ostrożnie, Alino Starkov. Nie baczysz na swoje bezpieczeństwo.

- Dzięki - powiedziałam. Chciałam się odsunąć od niego, od odoru przeoranej ziemi i kadzidła, który wszędzie mu towarzyszył.

- Kiepsko się dzisiaj czujesz.

- Po prostu jestem niezdarna. - Oboje wiedzieliśmy, że to nieprawda. Od przybycia do Białego Soboru nabrałam sił - kości mi się zrosły, nie wymiotowałam już posiłków - lecz wciąż byłam słabowita. Doskwierały mi rozmaite bóle i nieustanne znużenie.

- Może zatem powinnaś poświęcić dzień na odpoczynek.

Zazgrzytałam zębami. Spędzę kolejny dzień zamknięta w swojej izbie. Przełknęłam frustrację i uśmiechnęłam się słabo. Wiedziałam, co chce zobaczyć.

- Jest mi bardzo zimno - powiedziałam. - Trochę czasu w Czajniku dobrze by mi zrobiło. - Zasadniczo była to prawda. W Białym Soborze jedynie w kuchniach udawało się poskromić wilgoć. O tej porze rozpalono już przynajmniej w jednym z palenisk, by przygotować śniadanie. Wielką, okrągłą jaskinię wypełniać będą zapachy pieczonego chleba i słodkiej owsianki, które kucharki przygotowywały z zapasów suszonego grochu oraz mleka w proszku, dostarczanych przez sprzymierzeńców na powierzchni i składowanych przez pielgrzymów.

Dla wzmocnienia efektu zadygotałam, lecz kapłan tylko niezobowiązująco mruknął.

Moją uwagę zwróciło poruszenie na dole jaskini: nowo przybyli pątnicy. Odruchowo zmierzyłam ich wzrokiem badawczo. Niektórzy mieli na sobie mundury, które zdradzały, że są dezertkami z Pierwszej Armii. Wszyscy byli młodzi i gibcy.

- Nie ma weteranów? - spytałam. - Wdów?

- Wyprawa pod ziemię jest trudna - odparł Apparat. - Wielu jest takich, którzy są za starzy albo za słabi, by się poruszać. Wolą wygody własnego domu.

Mało prawdopodobne. Pielgrzymi przybywali, podpierając się kulami i laskami, niezależnie od wieku czy stanu zdrowia. Choćby konali, schodzili się, by w ostatnich dniach życia popatrzeć na Świętą Słońca. Spojrzałam nieufnie przez ramię. Kątem oka widziałam brodatych, ciężko uzbrojonych członków Straży Kapłańskiej, którzy stali w łukowatym wejściu. Byli to mnisi, uczeni kapłani jak Apparat. Pod ziemią tylko im wolno było nosić broń. Na powierzchni pełnili rolę odźwiernych - wyszukiwali szpiegów i niewiernych, udzielali schronienia tym, których uznali za godnych. Ostatnio liczba pielgrzymów malała, a ci, którzy w końcu do nas dołączali, zdawali się raczej krzepcy niż pobożni.

Apparat chciał zdobyć potencjalnych żołnierzy, a nie tylko gęby do wykarmienia.

- Mogę pójść do chorych i sędziwych - odezwałam się. Wiedziałam, że mój argument na nic się nie zda, ale i tak go poruszyłam - tak niemal należało: - Święta powinna chodzić wśród swojego ludu, a nie chować się jak szczur w labiryncie.

Apparat się uśmiechnął - dobrodusznym, pobłażliwym uśmiechem uwielbianym przez pątników, który sprawiał, że mnie chciało się wyć.

- W trudnych czasach wiele zwierząt ukrywa się pod ziemią. Tak udaje im się przetrwać - odparł. - Kiedy głupcy stoczą już swoje bitwy, to szczury rządzą polami i miastami.

„I pożerają poległych” - pomyślałam z drżeniem. Jak gdyby czytał mi w myślach, schwycił mnie za bark mocno. Jego długie, białe palce oplatały moją rękę jak woskowaty pająk. Jeśli tym gestem chciał podnieść mnie na duchu - nie udało się.

- Cierpliwości, Alino Starkov. Powstaniemy, kiedy nastanie odpowiednia chwila... nie wcześniej.

„Cierpliwości”. Zawsze zalecał to samo. Powstrzymałam impuls, by dotknąć nagiego nadgarstka - miejsca, gdzie znajdować się miały kości ognistego ptaka. Posiadłam łuski węża morskiego oraz poroże jelenia, lecz wciąż brakowało ostatniego kawałka układanki Morozova. Możliwe, że już byśmy mieli trzeci wzmacniacz, gdyby Apparat wsparł łowy, albo chociaż pozwolił nam wrócić na powierzchnię. Lecz to pozwolenie miało swoją cenę.

- Zimno mi - powtórzyłam, maskując irytację. - Chcę iść do Czajnika.

Zmarszczył brew.

- Nie podoba mi się, jak tam siedzisz z tą dziewczyną...

Strażnicy za nami zaszemrali niespokojnie i dopłynęło do mnie słowo. Razrusza'ja. Odtrąciłam dłoń Apparata i pomaszerowałam do przejścia. Straż Kapłańska stanęła na baczność. Jak wszyscy ich pobratymcy byli ubrani w brązowe szary i nosili złotą glorię - ten sam symbol, który widniał na odzieniu Apparata. To był mój symbol. Nigdy jednak nie spoglądali prosto na mnie, nigdy się nie odzywali ani do mnie, ani do innych uchodźców-Griszów. Stali tylko milcząc na krańcach pomieszczeń i wszędzie za mną chodzili, niczym brodate, zbrojne w strzelby widma.

- Ten przydomek jest zakazany - powiedziałam. Patrzyli wprost przez siebie, jakbym była niewidzialna. - Ona się nazywa Genia Safin, a gdyby nie ona, ja nadal byłabym więźniem Darklinga. - Zero reakcji. Widziałam jednak, jak znieruchomieli na sam dźwięk jej imienia. Dorośli, uzbrojeni mężczyźni, a boją się poharatanej dziewczyny. Przesądni idioci.

- Spokojnie, Sankta Alina - odezwał się Apparat. Chwycił mnie za łokieć i zaprowadził korytarzem do swojej izby posłuchań. Kamienny strop, poprzesywany srebrnymi żyłkami, wyrzeźbiono w kształt róży, a na ścianach wymalowano Świętych ze złotymi nimbami. Znać tu było kunszt Fabrykatorów, bo zwykle pigmenty nie wytrzymałyby zimna i wilgoci Białego Soboru. Kapłan rozsiedl się na niskim, drewnianym krześle i gestem wskazał mi drugie. Usiadłam, starając się ukryć ulgę. Nawet długie stanie mnie męczyło.

Przyjrzał mi się, widząc ziemistą cerę, ciemne cienie pod oczami.

- Z pewnością Genia mogłaby więcej dla ciebie zrobić.

Od mojej bitwy z Darklingiem minęły ponad dwa miesiące. Nie doszłam w pełni do siebie. Kości policzkowe wrzynały się w zapadłą twarz jak gniewne okrzyki, a moje siwe włosy były tak delikatne, że unosiły się jak pajęczyny. Udało mi się w końcu

namówić Apparata, żeby pozwolił Genii zająć się mną w kuchni - przekonałam go obietnicą, że Genia wykorzysta swoje umiejętności, bym była bardziej reprezentacyjna. Od wielu tygodni był to mój jedyny kontakt z innymi Griszami. Delektowałam się każdą chwilą - każdą maleńką informacją.

- Robi, co może - odpowiedziałam.

Kapłan westchnął.

- Zapewne wszyscy musimy zdobyć się na cierpliwość. Z biegiem czasu wrócisz do zdrowia. Dzięki wierze. Dzięki modlitwie.

Owładnął mną gniew. Doskonale zdawał sobie sprawę, że uzdrowi mnie jedynie używanie mojej mocy, ale w tym celu musiałabym wrócić na powierzchnię.

- Jeśli tylko pozwolisz mi wyjść na zewnątrz...

- Jesteś dla nas zbyt cenna, Sankta Alina, a ryzyko jest zbyt wielkie. - Wzruszył ramionami przeprasząc. - Skoro ty nie dbasz o swoje bezpieczeństwo, muszę to robić ja.

Zachowałam milczenie. W taką grę graliśmy, odkąd mnie tu sprowadzono. Aparat wiele dla mnie zrobił. Tylko dzięki niemu choć kilkoro moich Griszów przetrwało bitwę z potworami Darklinga. Udzielił nam schronienia pod ziemią. Jednak z każdym dniem Biały Sobór coraz bardziej przypominał więzienie, a nie azyl.

Złożył dłonie.

- Minęły miesiące, a ty mi nadal nie ufasz.

- Ufam - skłamałam. - Oczywiście, że ufam.

- A mimo to nie pozwolisz mi sobie pomóc. Jeśli zdobędziemy ognistego ptaka, to wszystko może ulec zmianie.

- David przedziera się przez dzienniki Morozova. Jestem pewna, że tam kryje się odpowiedź.

Apparat wbił we mnie spojrzenie płytkich, czarnych oczu. Podejrzewał, że wiem, gdzie jest ognisty ptak - trzeci wzmacniacz Morozova, a zarazem klucz do jedynej potęgi zdolnej pokonać Darklinga i zniszczyć Fałdę. I miał rację. Przynajmniej taką miałam nadzieję. Nasza jedyna wskazówka na temat miejsca pobytu ptaka była pogrzebana wśród moich skąpych wspomnień z dzieciństwa oraz nadziei, że zakurzone ruiny Dva Stołba kryją coś więcej, niż się wydaje. Ale słusznie czy niesłusznie - to, gdzie ognisty ptak może się znajdować, zamierzałam zachować w tajemnicy. Byłam pod ziemią, w izolacji, niemal bez sił, i szpiegowala mnie Straż Kapłańska. Nie zamierzałam rezygnować ze swojej jedynej karty przetargowej.

- Chcę dla ciebie tylko tego, co najlepsze, Alino Starkov. Dla ciebie i dla twoich przyjaciół. Tak niewielu ich zostało. Gdyby coś im się przytrafiło...

- Zostaw ich w spokoju - warknęłam, zapomniawszy, że mam być słodka, że mam być łagodna.

Nie podobało mi się przenikliwe spojrzenie Apparata.

- Chciałem tylko powiedzieć, że pod ziemią zdarzają się wypadki. Wiem, że każdą stratę boleśnie byś odczuła, a jesteś przecież taka słaba. - Kiedy wypowiadał ostatnie słowo, odsłonił dziąsła. Były czarne jak u wilka.

Znów poczułam gniew. Od pierwszego dnia w Białym Soborze panowała atmosfera zagrożenia, która przygniatała mnie stale brzmieniem strachu. Apparat nie przepuścił okazji, by mi przypomnieć, jaka jestem bezradna. Niemal bezwiednie poruszyłam lekko palcami w rękawach. Cienie wezbrały gwałtownie na ścianach pieczary.

Apparat odchylił się na krześle. Popatrzyłam na niego ze zmarszczonym czołem, udając konsternację.

- Co się stało? - spytałam.

Odkasznął, wodząc wzrokiem szybko z prawa na lewo.

- Nic... nic takiego - wyjąkał.

Zgodnie z moją wolą cienie opadły. Jego reakcja warta była zawrotów głowy, które mnie nękały, kiedy stosowałam tę sztuczkę. Bo była to tylko sztuczka. Potrafiłam wprowadzić cienie w ruch i tan, ale nic więcej. Było to nikłe, żalosne echo mocy Darklinga, resztką pozostała po konfrontacji, którą oboje niemal przypłaciliśmy życiem. Odkryłam to, kiedy próbowałam przyzwać światło, i starałam się wyćwiczyć umiejętność, by zmieniła się w coś większego - coś, czym można by walczyć. Bez powodzenia. Miałam poczucie, że cienie to kara, duchy większej potęgi, które tylko ze mnie szydziły - ze Świętej podróbek i luster.

Apparat wstał i spróbował nad sobą zapanować.

- Udasz się do archiwum - rzekł zdecydowanie. - Czas spędzony w ciszy na studiach i kontemplacji pomoże ci ukoić myśli.

Stłumiłam jęk. To dopiero była kara - długie godziny trawione na bezowocnym przeczesywaniu starych tekstów religijnych w poszukiwaniu informacji o Morozovie. W dodatku archiwum było wilgotne, smętne i roilo się tam od Straży Kapłańskiej.

- Odprowadzę cię - dodał.

Jeszcze lepiej.

- A Czajnik? - zapytałam, próbując zamaskować desperacki ton głosu.

- Później. Razru... Genia zaczeka - odparł, kiedy szłam za nim korytarzem. - Wiesz, nie musisz czmychać do Czajnika. Możesz się z nią spotkać tutaj. Na osobności.

Zerknęłam na strażników, którzy kroczyli za nami. Na osobności. Śmiechu warte. Ale myśl o tym, że mieliby mi odciąć dostęp do kuchni, śmieszna nie była. Być może dzisiaj główny

kanal wentylacyjny będzie otwarty nieco dłużej niż parę sekund. Szansa była nikła, ale innej nadziei nie miałam.

- Wolę Czajnik - powiedziałam. - Jest tam ciepło. - Obdarzyłam go najpotulniejszym uśmiechem, jaki miałam w repertuarze, usta zdrząły mi lekko, po czym dodałam: - Przypomina mi to dom.

Uwielbiał ten obraz - skromna dziewczuszka skulona przy piecu, ciągnąca w popiele rąbek sukienki. Kolejne złudzenie, nowy rozdział w jego księdze Świętych.

- No dobrze - rzekł w końcu.

Droga w dół z balkonu była długa. Biały Sobór zawdzięczał nazwę swym alabastrowym ścianom oraz olbrzymiej głównej jaskini, gdzie co rano i co wieczór odprawialiśmy nabożeństwa. Jednak Biały Sobór obejmował znacznie więcej - rozległą sieć tuneli i jaskiń, podziemne miasto. Nienawidziłam tutaj wszystkiego. Wilgoci, która ściekała ze ścian, skapywała z sufitów, skraplała się na mojej skórze. Chłodu, którego nie dało się rozproszyć. Muchomorów i nocnych kwiatów, które rosły w różnych zakamarkach. Nienawidziłam tego, jak mierzymy czas: poranne nabożeństwo, modlitwa popołudniowa, wieczernia, dni pod wezwaniem Świętych, dni postu całkowitego albo częściowego. Przede wszystkim jednak nienawidziłam czuć, że naprawdę jestem małym szurkiem, bladym, z czerwonymi oczami, który skrobie w ścianki labiryntu wątlymi, różowawymi szponkami.

Apparat wiódł mnie przez jaskinie na północ od głównej niecki, gdzie trenowali Sol Sołdaci. Kiedy przechodziliśmy, ludzie przywierali do ścian albo wyciągali dłonie, by dotknąć mojego złotego rękawa. Szliśmy nieśpiesznie, dostojnie - z konieczności. Nie mogłam się szybciej przemieszczać bez wysiłku. Trzoda Apparata wiedziała, że jestem chora, i modliła się o moje zdrowie,

lecz kapłan obawiał się, że gdyby odkryli, jak krucha - jak bardzo ludzka - w istocie jestem, wybuchłaby panika.

Kiedy przybyliśmy, Sol Sołdaci rozpoczęli już trening. Byli to święci bojownicy Apparata - żołnierze słońca, którzy mieli mój emblemat wytatuowany na ramionach albo twarzach. W większości byli to dezercerzy z Pierwszej Armii, choć niektórzy byli po prostu młodzi, zażarci i skłonni ponieść śmierć. Pomogli mnie uratować z Małego Pałacu. Ofiar było mnóstwo. Święci czy nie, nie mogli się mierzyć z nisztrojami Darklinga. Niemniej w armii Darklinga służyli również zwykli żołnierze oraz Griszowie, więc Sol Sołdaci ćwiczyli.

Teraz jednak odbywało się to bez prawdziwej broni - posługiwali się atrapami mieczy oraz strzelbami naładowanymi kulami z wosku. Sol Sołdaci stanowili odrębną grupę pielgrzymów. Do sekty ściągnęła ich obietnica zmiany. Wielu z nich było młodych, a wobec Apparata oraz starych cerkiewnych zwyczajów miało mieszane uczucia. Od mojego przybycia do podziemia Apparat dużo mocniej trzymał ich w ryzach. Byli mu potrzebni, lecz w pełni im nie ufał. Wiedziałam, jak to jest.

Straż Kapłańska stała wzdłuż ścian, bacznie obserwując ich poczynania. Pociski strażników były prawdziwe, podobnie jak ostrza ich szabli.

Kiedy weszliśmy do pomieszczenia treningowego, zobaczyłam grupkę gapiów, która zebrała się, by popatrzeć, jak Mal sparuje ze Stiggem - jednym z dwóch ocalałych Inferników. Stigg miał gruby kark, blond włosy i zero poczucia humoru - typowy Fjerdanin.

Mal odchylił się i łuk ognia go ominął, lecz druga dawka płomieni podpaliła mu koszulę. Gapie wstrzymali dech. Sądziłam, że się wycofa, ale on zamiast tego ruszył do ataku. Przekoziółkował, gasząc w ten sposób płomienie i zbijając Stigga

z nóg. W okamgnieniu przycisnął Infernika do ziemi. Schwycił Stigga za nadgarstki, aby zapobiec kolejnym atakom.

Obserwujący to żołnierze słońca zaczęli bić brawo i gwizdać.

Zoja przerzuciła lśniące czarne włosy przez ramię.

- Brawo, Stigg. Jesteś związany i gotowy, by cię omaścić.

Mal uciszył ją spojrzeniem.

- Rozproszyć, rozbroić, obezwładnić - rzekł. - Rzecz w tym, by nie panikować. - Podniósł się i pomógł Stiggowi wstać. - Nic ci nie jest?

Stigg skrzywił się z irytacją, ale skinął głową i zaczął sparing z młodą, ładną wojaczką.

- Dawaj, Stigg - dziewczyna powiedziała z szerokim uśmiechem. - Obejdę się z tobą łagodnie.

Twarz dziewczyny wyglądała znajomo, lecz dłuższą chwilę trwało, nim skojarzyłam, kim była. Ruby, Mal i ja trenowaliśmy z nią w Policnai. Była w naszym pułku. Pamiętałam ją jako rozchichotaną, radosną, pogodną, skłoną do flirtu dziewczynę, jedną z takich, które sprawiały, że ja sama czułam się niezręczna i beznadziejna. Wciąż uśmiechała się łatwo, wciąż miała długi blond warkocz. Jednak nawet ze sporej odległości widziałam jej czujność, nieufność, którą zrodziła wojna. Po prawej stronie twarzy miała wytatuowane czarne słońce. Dziwnie było pomyśleć, że dziewczyna, która kiedyś siedziała naprzeciw mnie w kantine, teraz widziała we mnie coś boskiego.

Apparat i jego strażę rzadko wiedli mnie do archiwum właśnie wtedy. Co dzisiaj było inaczej? Przyprowadził mnie tu, żebym mogła sobie obejrzeć resztki mojej armii i przypomnieć, ile kosztowały moje błędy? Pokazać mi, jak niewielu sprzymierzeńców mi zostało?

Patrzyłam, jak Mał dobiera w pary żołnierzy słońca i Griszów. Byli Szkwalnicy: Zoja, Nadia i jej brat Adrik. Wraz ze Stiggiem oraz Harshawem wyczerpywali oni zastęp moich Eterealników. Ale Harshawa nigdzie nie było widać. Po tym, jak przyzwał dla mnie płomienie podczas porannych modłów, pewnie z powrotem rzucił się do wyrka.

Jeśli chodzi o Korporalników, na piętrze treningowym byli tylko Tamar i jej olbrzymi bliźniak - Tolia. Zawdzięczałam im życie, ale dług ten mi ciążył. Byli blisko związani z Apparatem, mieli za zadanie szkolić Sol Sōłdatów i długie miesiące w Małym Pałacu mnie okłamywali. Nie byłam pewna, co o nich sądzić. Nie stać mnie było na luksus zaufania.

Pozostali żołnierze musieli czekać na swoją kolej. Griszów było po prostu za mało. Genia i David trzymali się na uboczu, a i tak kiepscy z nich byli wojacy. Maxim był Uzdrowicielem i wołał doskonalić swój kunszt w lazarecie, choć niewielu spośród trzódki Apparata ufało Griszom na tyle, by skorzystać z jego usług. Siergiej był potężnym Sercodarcą, ale mówiono mi, że jest zbyt rozchwiany, by bezpiecznie ćwiczyć z uczniami. Kiedy Darkling rozpoczął atak z zaskoczenia, Siergiej był w sercu walki, widział, jak jego ukochaną dziewczynę rozdarły potwory. Jedyne poza nim Sercodarcę zabiły nisztroje gdzieś między Małym Pałacem a kaplicą.

„Przez ciebie” - rozbrzmiało w mojej głowie. „Bo ich zawiodłaś”.

Głos Apparata wyrwał mnie z ponurych myśli:

- Chłopak pozwala sobie na zbyt wiele.

Powiodłam wzrokiem w stronę Mała, który przemieszczał się między żołnierzami. Do jednego się odezwał, drugiego poprawił.

- Pomaga im w szkoleniu - powiedziałam.

- Wydaje rozkazy. Orecev - zawołał kapłan i wezwał go gestem. Zastygłam w napięciu, patrząc, jak Mal się zbliża. Odkąd zakazano mu wstępu do mojej izby, prawie go nie widywałam. Poza ostrożnie dozowanymi spotkaniami z Genią Apparat separował mnie od potencjalnych sojuszników.

Mal wyglądał inaczej. Miał na sobie zgrzebne ubranie, które w Małym Pałacu pełniło funkcję jego munduru, ale był szczuplejszy, bledszy przez czas spędzony pod ziemią. Wąska blizna na brodzie odznaczała się ostro.

Zatrzymał się przed nami i się skłonił. Od dawna nie znajdowaliśmy się tak blisko siebie.

- Nie ty jesteś tu kapitanem - rzekł Apparat. - Tolia i Tamar przewyższają cię stopniem.

Mal skinął głową.

- Owszem.

- Więc dlaczego prowadzisz ćwiczenia?

- Niczego nie prowadzę - odparł. - Mogę ich czegoś nauczyć. Oni mogą zdobyć umiejętność.

„Prawda” - pomyślałam z goryczą. Mal zyskał wielką sprawność w walce z Griszami. Pamiętałam, jak posiniaczony i zakrwawiony, stał nad Szkwalnikiem w stajni Małego Pałacu z wyzywającym wyrazem pogardy w oczach. Kolejne wspomnienie, bez którego bym się obeszła.

- Dlaczego tych rekrutów nie oznaczono? - zapytał Apparat, wskazując grupkę walczącą na drewniane miecze przy przeciwległej ścianie. Żadne z rekrutów nie mogło mieć więcej niż dwanaście lat.

- Bo to dzieci - odparł Mal lodowato.

- To ich wybór. Chciałbyś odmówić im szansy, by okazali wierność naszej sprawie?

- Chciałbym oszczędzić im żalu.

- Nikt tego nie potrafi.

Mięsień drgnął Malowi w policzku.

- Jeśli przegramy, te tatuaże napiętnują ich jako żołnierzy słońca. Równie dobrze mogliby się od razu zapisać na pluton egzekucyjny.

- Czy to dlatego ty sam nie nosisz na twarzy symbolu? Bo brakuje ci wiary w nasze zwycięstwo?

Mal zerknął na mnie, potem znów na Apparata.

- Wiarę zachowam dla Świętych - powiedział beznamiętnie. - Nie dla ludzi, którzy ślą dzieci na śmierć.

Kapłan zmrużył oczy.

- Mal ma rację - wtrąciłam. - Niech się nie tatuują. - Aparat wpatrywał się we mnie tymi płytkimi, czarnymi oczyma. - Proszę - powiedziałam delikatnie. - Przez wzgląd na mnie.

Wiedziałam, jak lubi ten głos - łagodny, ciepły głos niczym z kołysanki.

- Takie miękkie serduszko - powiedział i cmoknął. Widziałam jednak, że jest zadowolony. Choć opowiedziałam się przeciwko jego życzeniom, takiej chciał Świętej - kochającej matki, pociechy dla ludu. Wpiłam paznokcie w dłoń.

- To Ruby, prawda? - zapytałam, chcąc zmienić temat i odwrócić uwagę Apparata.

- Trafiła tu parę tygodni temu - powiedział Mal. - Dobra jest... pochodzi z piechoty. - Wbrew sobie poczułam leciutkie ukłucie zazdrości.

- Stigg nie wygląda za wesoło - zauważyłam, kiwając głową w jego stronę. Infernik zdawał się wyładowywać frustrację z odniesionej porażki na Ruby. Dziewczyna starała się dotrzymać mu pola, ale nie miała szans na zwycięstwo.

- Nie lubi przegrywać.
- Ty chyba nawet się nie zmachałeś.
- Nie - przyznał. - To pewien problem.
- Dlaczego? - zapytał Apparat.

Mał zerknął na mnie przelotnie.

- Kiedy się przegrywa, więcej się można nauczyć. - Wzruszył ramionami. - Przynajmniej Tolia potrafi nakopać mi do dupy.

- Wyrażaj się - syknął Apparat.

Mał nie zwracał na niego uwagi. Nagle włożył do ust dwa palce i zagwizdał przeszywająco.

- Ruby, odsłaniasz się!

Za późno. Jej warkocz płonął. Inni młody żołnierz podbiegł ku niej z wiadrem wody i chlusnął jej na głowę. Skrzywiłam się.

- Postaraj się za bardzo ich nie przypiec.

Mał się uklonił.

- Soverena maja. - Odbiegł z powrotem do żołnierzy. Ten tytuł. Wypowiedział go bez tej animozji, jaką nosił w Os Alcie, ale i tak jego słowa były jak cios w brzuch.

- Nie powinien się tak do ciebie zwracać - powiedział Apparat zrzędliwie.

- Czemu nie?

- To był tytuł Darklinga i nie przystoi on Świętej.

- Jak więc powinien mnie nazywać?

- W ogóle nie powinien się do ciebie zwracać wprost.

Westchnęłam.

- Kiedy następnym razem będzie miał coś do powiedzenia, każe mu napisać do siebie list.

Apparat zacisnął wargi.

- Jesteś dzisiaj niespokojna. Uważam, że dodatkowa godzina w kojącej atmosferze archiwum dobrze ci zrobi. Mówił tonem karcącym, jakbym była marudnym dzieckiem, które za późno idzie spać. Zmusiłam się, by pomyśleć o obiecującym Czajniku i się uśmiechnąć.

- Na pewno masz rację. - „Rozproszyc, rozbroic, obezwladnic”.

Kiedy skręciliśmy w korytarz wiodący do archiwum, obejrzałam się przez ramię. Zoja obróciła żołnierza na plecy i kręciła nim jak żółwiem, wykonując dłonią leniwe gesty w powietrzu. Ruby rozmawiała z Małem, uśmiechając się szeroko z gorliwą miną. Ale Mał przyglądał się mnie. W widmowym świetle jaskini jego oczy były spokojne i ciemnoniebieskie - miały ten kolor, który jarzy się w sercu płomienia.

Odwróciłam się i poszłam za Apparatem szybkim krokiem, próbując ujarzmić świst w płucach. Pomyślałam o uśmiechu Ruby, o jej nadpalonym warkoczu. Miła dziewczyna. Normalna dziewczyna. Tego było Malowi trzeba. Jeśli jeszcze nie związał się z kimś innym, prędzej czy później to zrobi. A ja pewnego dnia będę na tyle dobrą osobą, by życzyć jak najlepiej. Ale nie dzisiaj.

* * *

Wpadliśmy na Davida, który szedł do archiwum. Jak zwykle wyglądał nieporządnie - włosy sterczały mu na wszystkie strony, rękawy miał poplamione atramentem. W ręce trzymał szklanę gorącej herbaty, a do kieszeni wsadził grzanekę. Przebiegł wzrokiem od Apparata do Straży Kapłańskiej.

- Więcej maści? - spytał.

Słyszac to, Apparat wykrzywił usta lekko. Maść tę David opracował dla Genii. Wraz z jej własnymi wysiłkami pomagała

zniwelować najgorsze z jej blizn, lecz rany zadane przez nisztroje nigdy się w pełni nie goiły.

- Sankta Alina przyszła spędzić poranek na studiach - oznajmił Apparat z wielkim namaszczeniem.

David drgnął, co można było uznać za wzruszenie ramion, i przemknął przez wejście.

- Ale potem idziesz do Czajnika?

- Każę strażom przyjść po ciebie za dwie godziny - rzekł Apparat. - Genia Safin będzie na ciebie czekać. - Zmierzył wzrokiem moja wynędzniałą twarz. - Dopilnuj, by lepiej się przyłożyła do roboty.

Skłonił się nisko i rozpląnął w tunelu. Rozejrzałam się po pomieszczeniu, wzdychając głęboko i z przygnębieniem. Powinnam była uwielbiać archiwa - unosił się w nich zapach atramentu, na papierze słychać było cichy szelest gęsich piór. Ale to był matecznik Straży Kapłańskiej - słabo oświetlony labirynt łuków oraz kolumn wyrzeźbionych w białych skałach. Raz jeden widziałam, jak David niemal traci cierpliwość - kiedy pierwszy raz zobaczył te maleńkie nisze pod kopułkami, niektóre z nich zapadłe, wszystkie wyłożone prastarymi księgami i manuskryptami o kartkach czarnych od zgnilizny, o grzbietach nabrzmiałych wilgocią. Jaskinie były tak zawilgocone, że na podłogach zbierały się kałuże.

- Niemożliwe... niemożliwe, że tutaj trzymaliście dzienniki Morozova - prawie ryknął. - To istne bagno.

Teraz David całe dnie i większość nocy spędzał w archiwach, studiował pisma Morozova, notował teorie i kreślił szkice we własnym notesie. Jak większość Griszów sądził wcześniej, że dzienniki Morozova uległy zniszczeniu po powstaniu Fałdy. Darkling jednak nigdy nie wyrzekłby się takiej wiedzy. Ukrył dzienniki, a chociaż nigdy nie udało mi się uzyskać od Apparata

jednoznacznej odpowiedzi, podejrzewałam, że kapłan trafił na nie w Małym Pałacu i wykradł je, kiedy Darkling musiał uciekać z Ravki.

Osunęłam się na zydel naprzeciw Davida. Zaciągnął stół i krzesło w najsuchsze miejsce jaskiń, a na jednej z półek poukładał zapas oleju do latarni oraz zioła i mazidla, z których robił maść dla Genii. Na ogół godzinami ślęczał nad jakąś recepturą czy majsterkował, ale dziś jakoś nie mógł się skupić i cały czas bawił się swoim kieszonkowym zegarkiem, który położył na stole.

Kartkowałam jeden z dzienników Morozova niespokojnie. Z biegiem czasu zniechęciłam się do ich widoku - były bezużyteczne, mylące, a przede wszystkim - niekompletne. Morozov przedstawiał swoje hipotezy dotyczące wzmacniaczy, opisywał, jak tropił jelenia, jak przebiegała jego dwuletnia podróż na pokładzie wielorybnika w poszukiwaniu węża morskiego, jakie ma teorie na temat ognistego ptaka, a potem... nic. Albo brakowało kilku tomów, albo Morozov nie dokończył dzieła.

Sama wizja znalezienia i wykorzystania ognistego ptaka onieśmiała. Ale myśl, że mógłby nie istnieć, że miałabym stawić czoło Darklingowi bez niego? Było to tak przerażające, że aż nie do pomyślenia, więc po prostu wypierałam to z głowy.

Zmuszałam się, by przewracać kartki. Do mierzenia upływu czasu służył mi wyłącznie zegarek Davida. Nie wiedziałam, gdzie go znalazł ani jak to zrobił, że zegarek chodził, ani czy czas, jaki nastawił, w ogóle miał się jakoś do czasu na powierzchni, ale patrzyłam wilkiem na jego tarczę i siłą woli próbowałam skłonić wskazówkę minut, by szybciej się ruszała.

Strażnicy Kapłańscy zjawiali się i znikali, nieustannie obserwując albo pochylając się nad swoimi tekstami. Rzekomo były to pouczające manuskrypty analizujące święte pisma, lecz wątpiłam, aby to stanowiło większość ich pracy. Sieć szpiegów

Apparata rozciągała się na całą Ravkę, a ci ludzie uważali za swoje powołanie, by ją podtrzymywać, rozszyfrowywać wiadomości, zbierać informacje, budować kult nowej Świętej. Trudno było nie porównywać ich do moich Sol Sołdatów - w większości młodych, niepiśmiennych, pozbawionych dostępu do starych tajemnic, których strzegli ci ludzie.

Kiedy nie mogłam już znieść więcej mętnych wywodów Morozova, pokręciłam się na krześle, aby rozluźnić sztywny kark. Potem zdjęłam z półki stary zbiór złożony w większości z roztrząsań modlitw, który jednak - jak się okazało - zawierał jeden z wariantów męczeństwa Świętego Ilii.

Tutaj Iliia był murarzem, a chłopaka z sąsiedztwa przygniótł koń - stanowiło to nowy wątek. Zazwyczaj chłopiec ginął, pokaleczony ostrzem pługu. Ale historia kończyła się tak, jak wszystkie opowieści: Iliia uzdrowił dziecko znajdujące się na skraju śmierci, a w nagrodę wieśniacy wrzucili go do rzeki, spletanego żelaznymi łańcuchami. Według niektórych podań nie utonął, lecz unosił się na wodzie, aż dopłynął do morza. Inni zarzekali się, że jego ciało kilka dni później wynurzyło się z wody na odległej piaszczystej lasze w idealnym stanie i pachnące różami. Znałam je wszystkie i żadne z nich słowem się nie zająknęło o ognistym ptaku ani nie sugerowało, że trzeba zacząć go szukać w Dva Stołba.

Całą nadzieję na znalezienie ognistego ptaka pokładaliśmy w starej ilustracji: Sankt Iliia w Kajdanach w otoczeniu jelenia, węża morskiego i ognistego ptaka. Za postacią można było dojrzeć góry, drogę oraz łuk. Łuk runął dawno temu, ale sadiłam, że ruiny znaleźć można w Dva Stołba, nieopodal osad, gdzie Mał i ja się urodziłyśmy. Przynajmniej tak uważałam w lepsze dni. Dziś nie byłam taka pewna, że Iliia Morozov i Święty Iliia byli jedną i tą samą osobą. Nie mogłam się już zmusić, by patrzeć na egzemplarze *Istorii Sanktja*. Leżały na zapleśniałej stercie w

zapomnianym kącie i wyglądały nie jak nośniki jakiegoś wielkiego przeznaczenia, lecz książeczki dla dzieci, które zrobiły się niemodne.

David podniósł zegarek, odłożył go, znów wziął go do ręki, przewrócił butelkę atramentu, po czym poprawił ją drżącymi palcami.

- Co ci się dziś dzieje? - spytałam.

- Nic - odparł ostro.

Zamrugałam oczami.

- Krew ci leci z wargi.

Otarł usta dłonią, a krew ponownie wezbrała. Musiał mocno przygryźć.

- Davidzie...

Zapukał w biurko, a ja prawie podskoczyłam. Za mną stało dwóch strażników. Jak zawsze punktualnych i przerażających.

- Proszę-powiedział David, podając mi niewielką puszkę. Zanim zdążyłam wziąć ją do ręki, strażnik ją wyrwał.

- Co ty wyprawiasz? - zapytałam gniewnie. Ale wiedziałam. Nic nie mogło przejść z rąk Griszów do moich i odwrotnie bez dokładnej inspekcji. Dla mojego bezpieczeństwa, rzecz jasna.

Członek Straży Kapłańskiej nie zwrócił na mnie uwagi. Przesunął palcami po dnie i szczycie puszek, otworzył ją, obwąchał, przyjrzał się pokrywce, wreszcie zamknął i zwrócił ją bez słowa. Wyjęłam mu ją z ręki.

- Dzięki - powiedziałam kwaśno. - Dziękuję też tobie, Davidzie.

David już pochylał się nad notesem, jak gdyby zatopiony w lekturze. Ale ścisnął pióro tak mocno, że myślałam, że je złamię.

Genia czekała na mnie w Czajniku - obszernej, niemal idealnie okrągłej kawernie, w której przygotowywano jedzenie dla wszystkich mieszkańców Białego Soboru. Jej zakrzywione ściany były nabite kamiennymi paleniskami - pamiątkami po dawnej przeszłości Ravki, które, jeśli wierzyć narzekaniom kucharek, nie umywały się do pieców kaflowych i kuchenek na powierzchni. Ogromne rożna były przeznaczone na wielką zwierzynę, ale kucharki rzadko miały świeże mięso. Zamiast tego więc serwowały soloną wieprzowinę, potrawy z warzyw okopowych i dziwny chleb z grubej, szarej mąki, który miał lekki posmak wiśni.

Kucharki niemal już przywykły do Genii, a przynajmniej na jej widok już się nie wzdrygały i nie zaczynały modlić. Zastałam ją przy palenisku przy przeciwległej ścianie Czajnika, gdzie się wygrzewała. To było nasze miejsce, a kucharki codziennie zostawiały tam dla nas małą miseczkę owsianki albo zupy. Kiedy zbliżyłam się ze swoją zbrojną obstawą, Genia opuściła szal, a otaczający mnie strażnicy stanęli jak wryci. Przewróciła ocalałym okiem i syknęła jak kot. Odsunęli się i wycofali do wejścia.

- Za bardzo? - zapytała.

- W sam raz - odpowiedziałam. Nie mogłam się nadziwić, jakie zaszły w niej zmiany. Skoro potrafiła się śmiać z tego, jak te osły na nią reagują, był to dobry znak. Chociaż maść na blizny, jaką David dla niej stworzył, pomagała, byłam pewna, że największa w tym była zasługa Tamar.

Przez kilka tygodni po tym, jak przybyliśmy do Białego Soboru, Genia nie wychodziła ze swojej pieczary. Leżała tam po prostu w ciemności i bez ruchu. Pod nadzorem straży mówiłam do niej, zachęcałam ją, próbowałam ją rozśmieszyć. Nic nie działało. W końcu to Tamar wywabiła ją na zewnątrz, bo zażądała, że Genia powinna przynajmniej nauczyć się bronić.

- A co cię to w ogóle obchodzi? - wymamrotała do niej Genia, podciągając koce.

- Nic mnie to nie obchodzi. Ale jeśli nie umiesz walczyć, stanowisz słaby punkt.

- Nie dbam o to, czy stanie mi się krzywda.

- Ale ja dbam - zaoponowałam.

- Alina musi zatroszczyć się o siebie - rzekła Tamar. - Nie może zajmować się tobą.

- Nie prosiłam jej o to.

- Byłoby miło, gdybyśmy dostawali tylko to, o co prosiliśmy, prawda? - powiedziała Tamar. Potem zaczęła szczypać, szturchać i ogólnie się naprzykrzać, aż w końcu Genia odrzuciła koce i zgodziła się na jedną lekcję walki - na osobności, z dala od innych, pod okiem wyłącznie Straży Kapłańskiej.

- Zmiażdżę ją - sarknęła.

Musiałam wyglądać bardzo sceptycznie, bo zdmuchnęła rudy pukiel z pokrytego bliznami czoła i powiedziała:

- Dobra, no to poczekam, aż zaśnie, i zrobię jej z nosa świński ryjek.

Ale poszła na tę lekcję, i na następną, a z tego, co wiedziałam, Tamar nie obudziła się ze świńskim ryjem ani zasklepiionymi powiekami.

Genia nadal zakrywała twarz, a większość czasu spędzała w swojej izbie, ale już się nie garbiła i nie schodziła ludziom z drogi w tunelach. Zrobiła sobie czarną, jedwabną przepaskę na oko z podszewki starego płaszcza, a włosy zdecydowanie jej zrudziały. Skoro Genia używała swojej mocy, by zmienić kolor włosów, być może jej próżność częściowo wróciła, a to mogło jedynie znamionować dalszy postęp.

- Zaczynamy - powiedziała.

Genia odwróciła się twarzą do ognia, a plecami do pomieszczenia, po czym naciągnęła swój szal nad głowę. Wykończone frędzlami krawędzie rozłożyła szeroko, tworząc zasłonę chroniącą nas przed wścibskimi oczyma. Kiedy zrobiliśmy tak pierwszy raz, strażnicy pojawili się przy nas w okamgnieniu. Oddalili się jednak, jak tylko zobaczyli, że smaruję blizny Genii maścią. Uważali rany zadane Genii przez nisztroje Darklinga za coś w rodzaju boskiej kary. Nie byłam pewna za co. Jeśli Genia zawiniła tym, że stała po stronie Darklinga, większość z nas w którymś momencie dopuściła się podobnego przewinienia. A co by mieli do powiedzenia o śladach po ukąszeniach na moim barku? Albo o tym, jak potrafię kłębić cienie?

Wyjęłam z kieszeni puszkę i zaczęłam smarować jej rany. Mazidło miało przeszywający, świeży zapach, od którego łzawiły mi oczy.

- Nie zdawałam sobie wcześniej sprawy, jakie to uciążliwe... siedzieć bez ruchu tak długo - poskarżyła się.

- Wcale nie siedzisz bez ruchu, tylko się wiercisz.

- To swędzi.

- Może ukłuję cię pinezką? Czy to odwróci twoją uwagę od swędzenia?

- Powiedz mi po prostu, kiedy skończysz, ty paskudna dziewucho. - Przyglądała się bacznie moim dłoniom. - Dziś się nie udało? - szepnęła.

- Na razie nie. Pali się tylko w dwóch paleniskach, i to słabo. - Wytarłam dłoń w usmoloną ścierkę. - Już. Gotowe - oznajmiłam.

- Twoja kolej. Wyglądasz...

- Okropnie. Wiem.

- To pojęcie względne - odparła z wyraźnym smutkiem, a ja miałam ochotę palnąć się w głowę.

Dotknęłam dłonią jej policzka. Skóra między bliznami była gładka i biała jak alabastrowe ściany.

- Jestem durna.

Kącik jej ust drgnął. Prawie uśmiech.

- Niekiedy - orzekła. - Ale to ja poruszyłam ten temat. A teraz siedź cicho i daj mi pracować.

- Tylko trochę, żeby Aparat pozwolił nam tu nadal przychodzić. Nie chcę mu podarować ślicznej Świętej, z którą mógłby się obnosić.

Westchnęła teatralnie.

- To narusza moje najświętsze przekonania i gwarantuję ci, że mi to kiedyś wynagrodzisz.

- Jak?

Przekrzywiła głowę.

- Myślę, że pozwolisz mi zrobić z siebie rudzielca.

Przewróciłam oczami.

- W życiu, Geniu.

Kiedy powoli modyfikowała moją twarz, ja bawiłam się puszką. Próbowałam z powrotem nałożyć pokrywkę, ale jakiś fragment się poluzował pod maścią. Podniosłam go opuszkami palców - było to cieniutkie, nawoskowane papierowe kółeczko. Genia zobaczyła je w tej samej chwili co ja. Na odwrocie David nabazgrał swoim niemal nieczytelnym pismem jedno słowo: „Dziś”.

Genia wyrwała mi kółko z rąk.

- Święci, Alina...

Wtedy usłyszałam tupot ciężkich butów i szamotaninę na zewnątrz. Garnek walnął o podłogę z głośnym brzękiem, jedna z

kucharek krzyknęła przesywająco, a pomieszczenie wypełniło się Strażą Kapłańską ze strzelbami w gotowości i oczyma gorejącymi świętym ogniem. Za nimi w wirze brązowych szat do środka wkroczył Aparat.

- Wyprowadzić wszystkich! - ryknął.

Genia i ja skoczyłyśmy na równe nogi. Straż Kapłańska brutalnie wyprowadziła z kuchni skonsternowane, przestraszone, protestujące głośno kucharki.

- Co się dzieje? - zapytałam zdecydowanie.

- Alino Starkov - rzekł Aparat. - Grozi ci niebezpieczeństwo.

Serce mi waliło, ale odezwałam się spokojnie:

- Jakie? - zapytałam, zerkając na bulgoczące na paleniskach garnki. - Obiad?

- Spisek - zadeklarował, wskazując na Genię. - Ci, którzy mienią się twoimi przyjaciółmi, pragną cię zniszczyć.

Za plecami Aparata widziałam, jak więcej jego brodatych stronników wmaszerowuje do środka. Rozstąpili się i zobaczyłam przestraszonego Davida.

Genia jęknęła i położyłam jej rękę na ramieniu, żeby nie wyrwała się do przodu.

Potem weszły Nadia i Zoja. Obie miały związane nadgarstki, żeby nie mogły przyzywać. Z kącika ust Nadii ściekała strużka krwi, a piegi odznaczały się od bladziutkiej twarzy. Był z nimi Mal - miał zakrwawioną twarz. Trzymał się za bok, jak gdyby miał złamane zebro, i garbił się z bólu. Co gorsza jednak, straż przy nim trzymali Tolia i Tamar. Tamar odzyskała toporki. Właściwie to oboje byli uzbrojeni po zęby jak Straż Kapłańska. Nie chcieli popatrzeć mi w oczy.

- Zaryglować drzwi - rozkazał Aparat. - Załatwimy te smutną sprawę na osobności.

2.

Masywne wrota Czajnika zamknęły się z hukiem; usłyszałam, że ryglują zamek. Próbowałam nie koncentrować się na tym, jak mnie ściska w żołądku, lecz zrozumieć, co się dookoła mnie dzieje. Nadia i Zoja - dwie Szkwalniczki - Mal i David, nieszkodliwy Fabrykator. Na liściku napisane było „Dziś”. Co to oznaczało?

- Zapytam ponownie, kapłanie. O co chodzi? Dlaczego moi przyjaciele są pod strażą? Dlaczego broczą krwią?

- To nie są twoi przyjaciele. Odkryto intrygę, mającą na celu doprowadzenie do tego, by Biały Sobór runął nam na głowy.

- O czym ty opowiadasz?

- Widziałas dziś, jak bezczelny był ten chłopak...

- Więc o to chodzi? Że nie drży w twojej obecności należycie?

- Chodzi o zdradę! - Wyjął z płaszcza niewielką, płócienną sakiewkę i wysunął ją do przodu. Zmarszczyłam czoło. Widywałam takie sakiewki w warsztatach Fabrykatorów. Używało się ich do...

- Proch - oznajmił Aparat. - Ta fabrykatorska gnida zrobiła go z materiałów dostarczonych przez twoich rzekomych przyjaciół.

- Czyli David zrobił proch. Powodów mogą być setki.

- W Białym Soborze broń jest zakazana.

Uniosłam brew, patrząc znacząco na strzelby, wymierzone obecnie w Mala i moich Griszów.

- A to co? Chochle? Jeśli zamierzasz rzucać oskarżenia...

- Podsluchano ich plany. Wystąp, Tamar Kir-Bataar. Powiedz prawdę, którą odkryłaś.

Tamar skłoniła się głęboko.

- Griszowie i tropiciel planowali cię uśpić narkotykiem i zabrać cię na powierzchnię.

- Ja chcę wrócić na powierzchnię.

- Prochu zamierzano użyć, by nikt za wami nie szedł - ciągnęła.

- By zwalić jaskinie na Apparata i twoją trzode.

- Na setki niewinnych ludzi? Mal nigdy by tego nie zrobił. Żadne z nich by tego nie zrobiło. - Nawet ta jędza Zoja. - Poza tym to nie ma sensu. Niby jak mieli mnie uśpić?

Tamar skinęła głową w stronę Genii i stojącej przy nas herbaty.

- Sama piję tę herbatę - warknęła Genia. - Nic takiego w niej nie ma.

- To zdolna trucicielka i kłamczucha - odparła Tamar zimno. - Zdradziła cię już raz Darklingowi.

Genia zacisnęła palce na szalu. Obie wiedziałyśmy, że w tym zarzucie kryje się prawda. Poczulałam niechciane ukłucie podejrzliwości.

- Ufasz jej - powiedziała Tamar. W jej głosie brzmiała dziwna nuta. Jak gdyby nie oskarżała, lecz wydawała rozkaz.

- Czekali tylko, aż zbiorą dość prochu - powiedział Apparat. - Potem zamierzali uderzyć... wziąć cię na powierzchnię i zaprowadzić do Darklinga.

Pokręciłam głową.

- Naprawdę mam uwierzyć, że Mal oddałby mnie Darklingowi?

- Dał się zwieść - rzekł Tolia cicho. - Tak desperacko chciał cię uwolnić, że stał się ich pionkiem.

Zerknęłam na Mala. Nie mogłam odczytać wyrazu jego twarzy. Po raz pierwszy zaczęłam wątpić. Zoi nie ufałam nigdy, a jak dobrze znałam Nadię? Genia - Genia tyle wycierpiała z rąk Darklinga, lecz łączyły ich głębokie więzi. Zimny pot zrosił mi kark, poczułam, jak popłoch nadwątlą mój umysł.

- Spiski w spiskach - syknął Apparat. - Masz miękkie serce, które cię zdradziło.

- Nie - odparłam. - To wszystko nie ma sensu.

- To szpiedzy i obłudnicy!

Przycisnęłam palce do skroni.

- Gdzie moi pozostali Griszowie?

- Są zamknięci i czekają, aż będzie można ich porządnie przesłuchać.

- Powiedz mi, że nic im się nie stało.

- Widzicie tę troskę o tych, którzy chcą wyrzucić jej krzywdę?

- Apparat zapytał Straż Kapłańską. „Jemu to sprawia przyjemność” - zdałam sobie sprawę. „On na to czekał”. - To oznaka jej dobroci i wspaniałomyślności. - Spojrzał mi w oczy. - Doznali pewnych obrażeń, ale zapewnimy zdrajcom najlepszą opiekę. Powiedz tylko słowo.

Ostrzeżenie było jednoznaczne - i w końcu pojęłam. Niezależnie od tego, czy zagrożenie rzeczywiście istniało, czy też był to jakiś podstęp Apparata, nastąpiła wreszcie chwila, na którą liczył - okazja, by doszczętnie mnie odizolować. Koniec odwiedzania Genii w Czajniku, koniec ukradkowych rozmów z Davidem. Kapłan wykorzysta tę szansę, by odseparować mnie od wszystkich, którzy są bardziej lojalni wobec mnie niż wobec jego sprawy. A ja jestem za słaba, by go powstrzymać.

Lecz czy Tamar nie kłamie? Czy sojusznicy to w istocie wrogowie? Nadia opuściła głowę. Zoja miała podbródek zadarty do góry, a oczy lśniły jej prowokacyjnie. Łatwo było uwierzyć, że jedna z nich albo obie mogły zwrócić się przeciwko mnie - nawiązać kontakt z Darklingiem i podarować mu mnie z jakąś nadzieją na pobłażanie. A David pomógł założyć mi obrozę.

Czy Mal mógłby dać się wmanewrować w to, by mnie zdradzić? Nie wydawał się przestraszony ani zmartwiony - wyglądał tak jak w Keramzinie, kiedy przymierzał się do czegoś, przez co oboje mieliśmy potem kłopoty. Twarz miał posiniaczoną, ale zauważyłam, że stroi bardziej prosto. A potem zerknął w górę - prawie jak gdyby kierował wzrok ku niebu, jak gdyby się modlił. Nie dałam się zwieść. Mal nigdy nie był specjalnie religijny. On patrzył na główny przewód kominowy.

„Spiski w spiskach”. Zdenerwowany David. Słowa Tamar.
„Ufasz jej”.

- Wypuścić ich - rozkazałam.

Apparat pokręcił głową ze smutną miną:

- Siły naszej Świętej nadwerężają ci, którzy twierdzą, że ją miłują. Spójrzcie, jaka jest wątła, słabowita. To ich wpływ jej szkodzi. - Kilku spośród Strażników Kapłańskich pokiwało głowami, a w ich oczach widziałam ten dziwny, fanatyczny blask.
- Jest Świętą, lecz to także młode dziewczę owładnięte emocjami. Nie rozumie, jakie tu działają siły.

- Rozumiem, że pobłądziłeś, kapłanie.

Apparat obdarzył mnie pobłażliwym, pełnym politowania uśmiechem.

- Jesteś chora, Święta Alino. Nie w pełni władz umysłowych. Nie odróżniasz przyjaciół od wrogów.

„Taka praca” - pomyślałam ponuro. Nabrałam powietrza głęboko. Nastąpiła chwila wyboru. W kogoś musiałam wierzyć, i na pewno nie w Apparata - człowieka, który zdradził swojego króla, a potem zdradził Darklinga, i który na pewno z radością wyreżyserowałby moje męczeństwo, gdyby miało mu się to przysłużyć.

- Uwolnisz ich - powtórzyłam. - Więcej ostrzegać nie będę.

Przez twarz przemknął mu uśmiezek. Za litością kryła się arogancja. Doskonale zdawał sobie sprawę, jaka jestem słaba. Musiałam wierzyć, że pozostali wiedzą, co robią.

- Straż odprowadzi cię do twojej komnaty, byś mogła spędzić dzień w odosobnieniu - rzekł. - Poddasz refleksji to, co zaszło, i wróci ci zdrowy rozum. Dziś wieczorem razem się pomodlimy o wskazanie drogi.

Czemu podejrzewałam, że „wskazanie drogi” oznacza miejsce przebywania ognistego ptaka oraz zapewne wszelkie informacje o Mikołaju Lancovie, jakie mam?

- A jeśli odmówię? - zapytałam, mierząc wzrokiem Straż Kapłańską. - Czy twoi żołnierze podniosą rękę na swoją Świętą?

- Będziesz nadal nietknięta i objęta opieką, Święta Alino - powiedział Aparat. - Nie mogę tak samo łaskawie potraktować tych, których mienisz przyjaciółmi.

Kolejne groźby. Popatrzyłam na twarze strażników, na ich zapamiętałe oczy. Zamordowaliby Mała, zabili Genię, zamknęli mnie na klucz w pokoju i czuliby przy tym, że mają świętą rację.

Zrobiłam niewielki krok do tyłu. Wiedziałam, że Aparat odczyta to jako znak słabości.

- Czy wiesz, dlaczego tu przychodzę, kapłanie?

Machnął dłonią lekceważąco z wyraźnym zniecierpliwieniem.

- To miejsce przypomina ci dom.

Spojrzałam Malowi w oczy przelotnie.

- Powinieneś już wiedzieć - powiedziałam - że sierota nie ma domu.

Poruszyłam lekko palcami w rękawach. Po ścianach Czajnika wzbłyły się cienie. Słaba to była dywersja, ale podziałała. Strażnicy drgnęli zaskoczeni, zaczęli gwałtownie machać strzelbami, a

pojmani przez nich Griszowie wzdrygnęli się z szoku. Mal się nie zawałał.

- Teraz! - krzyknął. Rzucił się do przodu i wyrwał Apparatowi z rąk proch.

Tolia zacisnął pięści. Dwóch strażników padło na ziemię, kurczowo trzymając się za pierś. Nadia oraz Zoja nadstawiły ręce, a Tamar zawirowała i toporkami przecięła im więzy. Obie Szkwalniczki uniosły ramiona, a w pomieszczeniu pognał wiatr, unosząc trociny z podłoża.

- Pojmać ich! - zawył Apparat. Strażnicy ruszyli do akcji.

Mal cisnął sakiewkę z prochem w górę. Nadia i Zoja podbiły ją wyżej, prosto w główny komin.

Mal walnął w jednego ze strażników. Widocznie wcześniej udawał, że ma połamane żebra, bo teraz poruszał się zupełnie bez wahania. Pięść, cios łokciem. Strażnik padł. Mal schwycił jego pistolet i wymierzył w górę - w komin, w ciemność.

To ma być plan? Nikt nie mógłby trafić.

Kolejny strażnik rzucił się na Mala. Mal wykręcił się z jego rąk i wystrzelił.

Na chwilę wszystko zastygło i zapanowała cisza. Potem wysoko nad nami usłyszałam przytłumiony huk. Pognał ku nam przeraźliwy hałas. Z komina nad nami wzbija się chmura sadzy i gruzu.

- Nadia! - krzyknęła Zoja, zmagając się ze strażnikiem. Nadia wygięła ramiona, a chmura zawisła, wydeła się, ukształtowała w wirującą kolumnę. Skłębiony walec odsunął się i runął na ziemię w postaci nieszkodliwych kamyków i pyłu.

To wszystko - walka, gniewne okrzyki Apparata, tłuszcz palący się przy przeciwległej ścianie - słabo do mnie docierało.

Genia i ja przychodzyliśmy do kuchni z jednego, jedyne go powodu. Były nim paleniska. Nie chodziło nam o ciepło czy przyjemność, lecz o to, że każde z tych prastarych palenisk miało przewód wiodący do głównego komina. A w całym Białym Soborze tylko ten komin miał bezpośrednią łączność z powierzchnią. Ze słońcem.

- Pokonać ich! - krzyczał Apparat na swoją Straż Kapłańską. - Próbuja zabić naszą Świętą! Próbuja nas wszystkich pozabijać!

Przychodziłam tu codziennie, licząc na to, że kucharki rozpalą więcej ogni, a komin otworzy się całkowicie. Próbowałam przyzywać, skryta przed oczyma strażników przez gruby szal Genii oraz ich własny, zabobonny lęk przed nią. Próbowałam bez skutku. A teraz Mał wysadził komin w powietrze. Mogłam tylko wzywać i się modlić, by światło odpowiedziało.

Poczułam je kilometry nad sobą - niepewne jak szept. Wpadłam w popłoch. Odległość była zbyt duża. Głupia byłam, że miałam nadzieję.

Potem jak gdyby coś we mnie wezbrało i przeciągnęło się, jak stwór, który nazbyt długo leżał beczynn timer. Nieużywane mięśnie mu zwiotczały, ale stwór wciąż istniał, czał się. Zawołałam, a światło odpowiedziało z siłą poroża na mojej szyi, łusek na przegubie. Napłynęło ku mnie gwałtownie, ochocze i triumfalne.

Uśmiechnęłam się do Apparata, czując, jak wypełnia mnie euforia.

- Człowiek, który jest owładnięty tak silną obsesją świętego ognia, powinien baczniej obserwować dym. Jasność buchnęła ze mnie i zalała pieczarę oślepiającą kaskadą, która oświetliła niemal komiczny wyraz szoku na twarzy Apparata. Strażnicy unieśli ręce, zaciskając oczy, by ochronić je przed blaskiem.

Wraz ze światłem przyszła ulga. Po raz pierwszy od długich miesięcy poczułam się dobrze, poczułam się sobą. W głębi duszy

naprawdę się obawiałam, że nigdy w pełni nie dojdę do siebie - że przez to, iż podczas walki z Darklingiem użyłam mierzosty, iż ośmieliłam się tworzyć żołnierzy cieni oraz wtargnąć w tworzenie w sercu świata - że przez to wszystko wyrzekłam się tego daru. Teraz jednak miałam poczucie, jak gdyby moje ciało wracało do życia, moje komórki się regenerowały. Moc rozprzestrzeniała się w mojej krwi, odbijała echem w kościach.

Apparat szybko oprzytomniał.

- Ratować ją! - huknął. - Ratować ją od zdrajców!

Niektórzy strażnicy wydawali się skonsternowani, inni przestraszeni, lecz dwóch rzuciło się spełniać rozkaz i z uniesionymi szablami przymierzyli się do ataku na Nadię i Zoję.

Wyczelowałam moc, by stworzyła jaśniejącą kosę, poczułam w dłoniach siłę Cięcia.

Wtem Mal rzucił się przede mnie. Ledwie zdążyłam się wycofać. Niewykorzystana moc szarpnęła mną, aż serce mi zadrżało.

Mal zdobył miecz. Ostrze błysnęło i powalił jednego, potem drugiego strażnika. Padli jak ścięte drzewa. Ruszyło na nas dwóch następnych, lecz Tolia i Tamar ich powstrzymali. David pognał do Genii. Nadia i Zoja wyrzuciły kolejnego strażnika w powietrze. Zobaczyłam, jak stojący z boku strażnicy unoszą strzelby do strzału.

Poczułam gniew i z wysiłkiem starałam się go opanować. „Dość” - powiedziałam sobie. „Dość zgonów na dziś”. Cisnęłam Cięcie ognistym łukiem. Rozłupało długi stół i wryło się w ziemię przed strażnikami, tworząc w klepisku kuchni ciemny, przepastny rów. Niepodobna było stwierdzić, jak głęboki.

Na twarzy Apparata odmalowało się przerażenie - i coś w rodzaju podziwu. Strażnicy padli na kolana, a chwilę później kapłan poszedł w ich ślady. Niektórzy łkali, odmawiając pacierze.

Zza drzwi kuchni dobiegało dudnienie pięści i zawodzenie:
„Sankta! Sankta!”

Byłam zadowolona, że wzywają mnie, a nie Apparata. Opuściłam ręce i wycofałam światło. Nie chciałam go tracić. Spojrzałam na ciała poległych strażników. Jeden z nich miał w brodzie trociny. Niewiele brakowało, a to ja pozbawiłabym go życia.

Ściągnęłam ku sobie trochę światła i otoczyłam się nim niczym płonącym, ciepłym nimbem. Musiałam zachować ostrożność. Moc mnie odżywiała, lecz zbyt długo funkcjonowałam bez niej. Osłabione ciało z trudem dotrzymywało kroku i nie byłam pewna, na co mnie stać. Niemniej Apparat kontrolował mnie przez długie miesiące, a druga taka okazja mi się nie nadarzy.

Na ziemi leżeli ranni i nieżyjący, a za drzwiami Czajnika czekał tłum. Słyszałam w pamięci głos Mikołaja: „Lud kocha spektakle”. Przedstawienie jeszcze się nie skończyło.

Podeszłam do jednego z klęczących strażników, uważnie wymijając rów, który wykopałam.

Był młodszy od pozostałych - ledwie sypnął mu się zarost. Wbijał wzrok w ziemię i mamrotał modlitwy. Usłyszałam nie tylko własne imię, lecz także imiona prawdziwych Świętych. Spłatały się jak gdyby w jedno słowo. Dotknęłam dłonią jego ramienia, a on zacisnął oczy. Po policzkach polały mu się łzy.

- Przebacz mi - odezwał się. - Przebacz mi.

- Popatrz na mnie - powiedziałam łagodnie.

Zmusił się, by podnieść wzrok. Przyłożyłam mu dłoń do policzka delikatnie, jak matka, choć był ode mnie nieznacznie tylko starszy.

- Jak się nazywasz?

- Vladim... Vladim Ozual.

- Dobrze jest wątpić w Świętych, Vladimir. I w ludzi.

Skinął głową niepewnie, a z oczu pociekła mu kolejna łza.

- Moi żołnierze noszą mój znak - nawiązałam do tatuaży, jakie nosili Sol Soldaci. - Do dziś oddzielałeś się od nich, zagrzebałeś się w książkach i w modlitwie, zamiast słuchać ludu. Czy teraz będziesz nosił mój znak?

- Tak - odparł gorączkowo.

- Przysięgniesz wierność mnie i tylko mnie?

- Z ochotą! - zakrzyknął. - Sol Koroleva! - Królowa Skońca.

W żołądku mi się zakotłowało. Jakaś częśćka mnie nie mogła znieść tego, co zamierzałam zrobić. „Nie mogę go po prostu zmusić, żeby coś podpisał? Złożył przysięgę krwi? Obiecał coś na serio?” Musiałam jednak być silniejsza. Ten chłopiec i jego towarzysze podnieśli na mnie rękę. Nie mogłam pozwolić, by się to powtórzyło, a to był język Świętych oraz cierpienia - taki język rozumieli.

- Rozepnij koszulę - rozkazałam. Nie byłam już czułą matką, lecz Świętą innego rodzaju - wojowniczką władającą świętym ogniem.

Odpinał guziki niezdarnie, ale się nie wahał. Rozsunął materiał, obnażając klatkę piersiową. Byłam zmęczona, wciąż słaba. Musiałam się skupić. Chciałam dać coś do zrozumienia, a nie zabić.

Poczułam światło w dłoni. Przycisnęłam ją go gładkiej skóry nad jego sercem, a moc zatętniła. Vladimir się wzdrygnął, kiedy poczuł, jak pali mu ciało, ale nie wydal z siebie głosu. Oczy miał szeroko otwarte, nawet nie mrugnął, a twarz urzeczoną. Kiedy odsunęłam rękę, na jego piersi pozostał odcisk mojej dłoni - pulsujący, agresywny, czerwony.

„Nieźle" - pomyślałam ponuro - „jak na moje pierwsze okaleczenie".

Wypuściłam moc, wdzięczna, że już było po wszystkim.

- Stało się.

Vladim spojrzał na swoją klatkę piersiową, a po jego twarzy rozlał się błogi uśmiech. „On ma dołeczki" - uświadomiłam sobie z bolesnym wstrząsem. „Dołeczki i ohydną bliznę, którą będzie nosił do końca życia".

- Dziękuję, Sol Koroleva.

- Powstań - rozkazałam.

Podniósł się i patrzył na mnie z promiennym uśmiechem, a po policzkach nadal spływały mu łzy.

Apparat poruszył się, jak gdyby chciał wstać.

- Nie ruszaj się z miejsca - warknęłam, znowu czując gniew. To przez niego musiałam właśnie naznaczyć młodego człowieka. To przez niego dwóch mężczyzn nie żyło, a ich krew zbieraka się wokół porzuconych obierzyn z cebuli i marchewki.

Popatrzyłam na niego z góry. Czułam pokusę, by odebrać mu życie, pozbyć się go raz na zawsze. Byłoby to bardzo głupie. Zdziwiłam paru żołnierzy, ale gdybym zamordowała Apparata, kto wie, jaki rozpętałabym chaos? „Ale byś tego chciała" - odezwał się wewnętrzny głos. Za te miesiące pod ziemią, za lęk i zastraszanie, za każdy dzień poświęcony życiu pod powierzchnią, kiedy mogłam była polować na ognistego ptaka i szukać odwetu na Darklingu. Musiał wyczytać ten zamysł w moich oczach.

- Sankta Alina, chciałem jedynie, byś była bezpieczna, byś była na powrót cała i zdrowa - powiedział trzęsącym się głosem.

- Możesz więc uznać, że twoje modlitwy się spełniły. - To dopiero było łgarstwo pierwszej wody. W życiu nie nazwałabym siebie „całą i zdrową". - Kapłanie, zapewnisz schronienie

wszystkim, którzy go szukają, nie tylko tym, co wielbią Świętą Słońca.

Pokręcił głową:

- Bezpieczeństwo Białego Soboru...

- Jeśli nie tutaj, to gdzie indziej. Zorganizuj to.

Zrobił wdech.

- Oczywiście.

- I koniec z dziećmi-żołnierzami.

- Jeśli wierni pragną walczyć...

- Jesteś na kolanach - odparłam. -To nie są negocjacje.

Zacisnął usta, ale po chwili opuścił brodę na znak zgody. Rozejrzałam się dookoła.

- Wszyscy jesteście świadkami tych dekretów. - Potem zwróciłam się do jednego ze strażników: - Daj mi swoją broń.

Podał mi ją bez chwili wahania. Z pewną satysfakcją zauważyłam, jak Apparatowi ze strachu rozbłysły oczy, ale ja tylko podałam broń Genii, po czym zażądałam szabli dla Davida - chociaż wiedziałam, że dużego pożytku z niej mieć nie będzie. Zoja i Nadia stały w gotowości do przyzywania, a Mal i bliźnięta już byli solidnie uzbrojeni.

- Wstań - powiedziałam do Apparata. - Niech zapanuje pokój. Zazналиśmy dziś cudów.

Powstał, a kiedy go objęłam, wyszeptałam mu do ucha: - Pobłogosławisz naszą misję i wypełnisz rozkazy, które ci dałam. Jeśli nie, to przekroję cię na połówki i wrzucę je do Fałdy. Zrozumiano?

Przełknął ślinę i skinął głową potakująco.

Musiałam się zastanowić, a nie miałam na to czasu. Trzeba było otworzyć te drzwi i wyjaśnić ludziom, dlaczego strażnicy polegli i co to była za eksplozja.

- Zajmijcie się swoimi zmarłymi - powiedziałam jednemu ze strażników. - Poniesiemy ich ze sobą. Czy oni... mają rodzinę?

- My jesteśmy ich rodziną- odrzekł Vladim.

Zwróciłam się do innych:

- Zbierzcie wiernych z całego Białego Soboru w głównej jaskini. Przemówię do nich za godzinę. Vladimie, kiedy opuścisz Czajnik, uwolnij pozostałych Griszów i zaprowadź ich do mojej kwatery.

Musnął piętno na swojej piersi w swoistym salucie.

- Sankta Alina.

Zerknęłam na posiniaczoną twarz Mała.

- Geniu, opatrz go. Nadiu...

- Zajmę się tym - wtrąciła Tamar i zaczęła ścierać Nadii krew z warg szmatką, którą zanurzyła w garnku z wrzątkiem. - Przepraszam - usłyszałam.

Nadia się uśmiechnęła.

- Musiało przekonująco wyglądać. Poza tym odegram się na tobie.

- Zobaczymy - odparła Tamar.

Powiodłam wzrokiem po reszcie Griszów w ich podartych keftach. Nie wyglądaliśmy specjalnie galowo.

- Tolia, Tamar, Mal - będziecie eskortować mnie i Apparata. - Dokończyłam ciszej: - Starajcie się wyglądać pewnie i... po królewsku.

- Mam pytanie... - powiedziała Zoja.

- Ja mam ich ze sto, ale muszą poczekać. Nie chcę, żeby tłum za drzwiami zaczął się burzyć. - Popatrzyłam na Apparata. Czułam mroczny impuls, by go poniżyć, zmusić, by się przede mną, płaszczył za te długie tygodnie podziemnego poddaństwa. Brzydkie, niemądre myśli. Zyskam małą satysfakcję, ale za jaką cenę? Nabrałam powietrza głęboko i powiedziałam: - Wszyscy inni mają się wmieszać w Straż Kapłańską. Ma to być oznaka sojuszu.

Ustawiliśmy się przed drzwiami. Aparat i ja kroczyliśmy na przedzie, za nami Griszowie i Straż Kapłańska, ciała poległych na barkach braci.

- Vladim - nakazałam - otwórz drzwi.

Kiedy Vladim otwierał zamki, Mal zajął miejsce przy mnie.

- Skąd wiedziałeś, że uda mi się przyzwać? - zapytałam pod nosem.

Zerknął na mnie i uśmiechnął się leciutko.

- Wierzyłem.

3.

Drzwi otwarły się z impetem. Cisnęłam ręce do przodu i pchnęłam strumień światła w korytarz. Wśród ludzi zgromadzonych w tunelu rozległ się okrzyk. Ci, którzy jeszcze nie klęczeli, padli na kolana, i napłynęła ku mnie fala modłów.

- Mów - mruknęłam do Apparata, zalewając błagalników promiennym blaskiem słońca. - I przyłóż się.

- Stawiliśmy dziś czoło wielkiej próbie - oznajmił pośpiesznie. - Nasza Święta wyszła z niej silniejsza niż wcześniej. Ciemność zawitała w tym uświęconym miejscu...

- Widziałem to! - zawołał jeden ze strażników. - Cienie wspiwały się po ścianach...

- Swoją drogą... - zaszemrał Mal.

- Później

- Lecz pokonała je - ciągnął Apparat - i zawsze będzie je pokonywać... wiara!

Zrobiłam krok do przodu.

- I potęga.

Znów posłałam światło w przejście oślepiającą kaskadą. Większość ludzi nigdy nie widziała na własne oczy, na co stać moją moc. Ktoś szlochał, słyszałam też swoje imię zagłuszone okrzykami:

- Sankta! Sankta!

Kiedy wiodłam Apparata oraz Straż Kapłańską przez Biały Sobór, myślałam intensywnie, rozważając dostępne opcje. Władim nas wyprzedził, aby dopilnować, by spełniono moje rozkazy.

Nareszcie mieliśmy szansę się stąd uwolnić. Z czym jednak wiązałoby się opuszczenie Białego Soboru? Porzucałabym armię i zostawiała ją pod pieczęcią Apparata. Mimo to niewiele możliwości stało przed nami otworem. Musiałam znaleźć się na powierzchni. Musiałam odszukać ognistego ptaka.

Mal wysłał Tamar, by zebrała pozostałych Sol Słдатów i wyszukała więcej sprawnej broni palnej. Moja kontrola nad Strażą Kapłańską była w najlepszym przypadku chwiejna. W razie kłopotów chcieliśmy mieć broń w gotowości, miałam też nadzieję, że mogę liczyć na lojalność żołnierzy słońca.

Osobiście odstawiłam Apparata do jego kwatery. Mal oraz Tolia szli za nami.

W drzwiach powiedziałam:

- Za godzinę poprowadzimy razem nabożeństwo. W nocy odejdę wraz z moimi Griszami, a ty poprzesez nasz wyjazd.
- Sol Korolewa - szepnął Apparat - zaklinam cię, byś nie wracała tak wcześnie na powierzchnię. Pozycja Darklinga nie jest silna. Chłopakowi Lancovów nie zbywa na sprzymierzeńcach...
- Ja jestem jego sprzymierzeńcem.
- On cię porzucił w Małym Pałacu.
- On przeżył, kapłanie. Powinieneś to rozumieć. - Mikołaj zamierzał odstawić swoją rodzinę oraz Baghrę w bezpieczne miejsce, a następnie wrócić, by walczyć. Żywiłam nadzieję, że się mu powiodło i że pogłoski o tym, jak sieje zamęt na północnych rubieżach, są prawdziwe.
- Niech się nawzajem osłabiają, przekonajmy się, co w trawie piszczy...
- Mikołaj Lancov zasługuje ode mnie na więcej.
- Kieruje tobą lojalność czy chciwość? - naciskał Apparat. - Wzmacniacze czekają, aż ktoś je połączy, od niezliczonych lat, a ty nie możesz odczekać jeszcze paru miesięcy?
- Zacisnęłam zęby na myśl o tym. Nie byłam pewna, co mną kieruje - żądza zemsty czy coś wznioślejszego, pragnienie zdobycia ognistego ptaka czy przyjaźń z Mikołajem. Nie miało to jednak wielkiego znaczenia.
- To również moja wojna - powiedziałam. - Nie będę się kryła jak jaszczurka pod skałą.
- Błagam, byś mnie posłuchała. Wiernie ci służyłem... nic więcej.
- Tak jak służyłeś królowi? Darklingowi?
- Jestem głosem ludu. Nie obrali królów z linii Lancovów ani Darklinga. Wybrali ciebie na swoją Świętą i będą cię kochać jako królową.

Na sam dźwięk tych słów odczułam zmęczenie. Obejrzałam się szybko przez ramię na Mala i Tolię, którzy stali w odległości dyktowanej przez szacunek.

- Czy ty w to wierzysz? - spytałam kapłana. Pytanie to nurtowało mnie, odkąd pierwszy raz dotarły do mnie pogłoski o tym, że gromadzi sektę. - Naprawdę uważasz mnie za Świętą?

- Moje zdanie jest bez znaczenia - odparł. - Tego właśnie nie umiesz zrozumieć. Wiesz, że zaczęli stawiać ci ołtarze we Fjerdzie? We Fjerdzie, gdzie Griszów palą na stosie. Lęk od uwielbienia dzieli cienka granica, Alino Starkov. Mogę tę granicę przesunąć. Właśnie to ci oferuję.

- Nie chcę tego.

- Ale przyjmiesz. Ludzie walczą za Ravkę z rozkazu króla, bo z żołądu mogą wykarmić rodziny, bo nie mają wyboru. Dla ciebie będą walczyć, bo jesteś dla nich wybawieniem. Dla ciebie będą głodować, oddawać życie własne i swoich dzieci. Będą wojować bez lęku i ginąć z radością. Nie ma potęgi większej niż wiara i nie będzie armii większej niż ta wiarą wiedziona.

- Wiara nie obroniła twoich żołnierzy przez nisztojami. Żadna ilość fanatyzmu ich przez nimi nie uchroni.

- Ty dostrzegasz wyłącznie wojnę, lecz ja widzę, że nastanie pokój. Wiara nie zna granic państwowych ani narodowości. Miłość do ciebie zagnieździła się we Fjerdzie. Przyjdzie czas na Szu Han, potem na Kercz. Nasz lud rozproszy się i poniesie nowinę nie tylko przez Ravkę, lecz także przez świat. Oto droga do pokoju, Sankta Alina. Ty nią jesteś.

- Za wiele to kosztuje.

- Wojna jest ceną zmiany.

- A płacą ją zwykli ludzie... wieśniacy tacy jak ja. Nigdy ludzie tacy jak ty.

- My...

Uciszyłam go gestem dłoni. Pomyślałam o tym, jak Darkling unicestwił calutkie miasto, jak brat Mikołaja Vasyl rozkazał, by obniżono wiek poborowy. Apparat twierdził, że przemawia w imieniu ludu, lecz był taki sam jak inni.

- Zapewnij im bezpieczeństwo, kapłanie... tej trzodzie, tej armii. Wykarm ich. Nie znaczą dzieciom twarzy i nie dawaj im do ręki broni. Resztę zostaw mnie.

- Sankta Alina...

Uchyliłam drzwi do jego pieczary:

- Wkrótce się razem pomodlimy - powiedziałam. - Ale myślę, że ty powinienes zacząć wcześniej.

Mal i ja zostawiliśmy Apparata w jego izbie pod okiem Tologii, który miał surowy nakaz pilnować, by drzwi nie otwierano i by nikt nie zakłócał modłów kapłana.

Podejrzewałam, że Apparat wkrótce odzyska kontrolę nad Strażą Kapłańską, może nawet nad Vladimem. Nam jednak wystarczą kilkugodzinne fory. Apparat miał szczęście, że nie wypchnęłam go do zawilgłego kąta w archiwach.

Kiedy w końcu dotarliśmy do mojej pieczary, w wąskim, białym pomieszczeniu tłoczyli się Griszowie, a Vladim czekał w drzwiach. Miałam jedną z największych kwater w Białym Soborze, ale i tak trudno było pomieścić dwunastoosobową grupkę. Nikt nie wyglądał fatalnie. Nadia miała spuchniętą wargę, a Maxim opatrywał ranę nad okiem Stigga. Pierwszy raz wolno nam było zebrać się pod ziemią, a widok ciżby Griszów rozsiadających się razem na mizernych meblach był kojący. Mal był odmiennego zdania.

- Równie dobrze możemy wyruszyć w drogę z orkiestrą - mruknął pod nosem.

- Co tu się u diabła dzieje? - zapytał Siergiej, jak tylko odprawiłam Vladima. - Siedzę sobie w lazarecie z Maximem, a tu nagle wtrącają mnie do celi. - Chodził tam i z powrotem. Skóra lśniła mu od potu, a oczy miał podkrążone.

- Uspokój się - powiedziała Tamar. - Teraz nie jesteś za kratkami.

- Równie dobrze mógłbym być. Wszyscy jesteśmy tu w potrzasku. A ten gnój tylko szuka okazji, by się nas pozbyć.

- Jeżeli chcesz się wydostać z jaskiń, nadarza się okazja - powiedziałam. - Wychodzimy stąd. Dziś w nocy.

- Jak? - spytał Stigg.

Zamiast odpowiadać, na moment rozpałam w dłoni jasne, promienne światło - na dowód, że moja moc na powrót we mnie rozgorzała. Mimo że ten mały gest kosztował mnie więcej wysiłku, niż powinien był.

W pomieszczeniu wybuchły gwizdy i wiwaty.

- Tak, tak - powiedziała Zoja. - Przyzywaczka Słońca może przyzywać. Wystarczyło parę zgonów i niewielka eksplozja.

- Wyszadziliście coś w powietrze? - zapytał Harshaw płacząco.
- Beze mnie?

Stał wciśnięty w ścianę obok Stigga. Nasi dwaj Infernicy byli z wyglądu do siebie zupełnie niepodobni. Stigg był niski, krępy i miał blond, niemal białe włosy. Przypominał solidną, przysadzistą świecę wotywną. Harshaw był wysoki i smukły, a włosy miał bardziej rude niż Genia - niemal tak czerwone jak krew. Wychudzona, ruda, pręgowana kocica zawędrowała jakoś w otchłanie Białego Soboru i zapalała do Harshawa sympatią.

Chodziła za nim wszędzie, prześlizgiwała się między jego nogami albo leżała mu na ramionach.

- Skąd właściwie wziął się ten proch? - zapytałam, przysiadłszy na skraju łóżka przy Nadii i jej bracie.

- Zrobiłem go, kiedy miałem robić maść - wyjaśnił David. - Dokładnie jak Apparat mówił.

- Tuż pod nosem Straży Kapłańskiej?

- Nie znają się przecież na Nauce Małej.

- Cóż, ktoś się musi znać. W końcu cię złapali.

- Nie całkiem - rzekł Mal. Ustawił się w drzwiach wraz z Tamar i oboje pilnowali korytarza.

- David wiedział, że spotykamy się w Czajniku - odezwała się Genia - i zgadł, że będzie tam główny komin.

David zmarszczył czoło:

- Ja nie zgaduję.

- Nie dało się jednak wynieść prochu z archiwów, bo strażnicy wszystko przeszukiwali.

Tamar uśmiechnęła się szeroko:

- Więc tak to zaaranżowaliśmy, żeby Apparat go dostarczył.

Popatrzyłam na nich z niedowierzaniem:

- Specjalnie daliście się złapać?

- Okazuje się, że najłatwiej jest zorganizować spotkanie, jeśli dasz się aresztować - rzuciła Zoja.

- Wiecie, jakie to było ryzykowne?

- Miej pretensje do Oreceva - odparła Zoja, pociągając nosem. - To on wymyślił taki genialny plan.

- Ale podziątało - zauważyła Genia.

Mal wzruszył ramieniem:

- Jak Siergiej mówił, Aparat czekał na sposobność, by nas unieszkodliwić. Pomyślałem sobie, że mu ją damy. - Tylko że nigdy nie byliśmy pewni, kiedy będziesz w Czajniku - powiedziała Nadia. - Kiedy dzisiaj wyszłaś z archiwów, David udawał, że zostawił coś w swojej kwaterze, i przeszedł koło sali treningowej, żeby dać nam sygnał. Wiedzieliśmy, że Aparat prędzej zaufa Tołii i Tamar, więc nas trochę poobijali...

- Bardzo was poobijali - wtrącił Mal.

- A potem oznajmili, że odkryli przebiegłą intrygę z udziałem kilkorga niecnych Griszów oraz jednego bardzo łatwowiernego tropiciela.

Mal zasalutował kpiąco.

- Obawiałam się, że się uprze, by wszystkich pozamykać w celach - rzekła Tamar. - Więc powiedzieliśmy, że grozi ci bezpośrednie niebezpieczeństwo i że musimy natychmiast udać się do Czajnika.

Nadia się uśmiechnęła.

- A potem tylko mieliśmy nadzieję, że cała kuchnia się na nas nie zawali.

David zmarszczył czoło jeszcze bardziej.

- To był kontrolowany wybuch. Prawdopodobieństwo, że ściany jaskini go wytrzymają, było wysokie.

- Ach, wysokie - powiedziała Genia. - Dlaczego nic nie mówiłeś?

- Przecież właśnie powiedziałem.

- A te cienie na ścianie? - zapytała Zoja. - Kto wyciął ten numer?

Znieruchomiałam w napięciu, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Ja - rzekł Mal. - Ustawiliśmy to w charakterze dywersji.

Siergiej dalej chodził tam i z powrotem, strzelając z kłykci.

- Powinniście byli nam powiedzieć, jaki jest plan. Zasłużyliśmy na ostrzeżenie.

- Mogliście chociaż dać mi coś wysadzić - dodał Harshaw.

Zoja wzruszyła ramionami ostentacyjnie.

- Jakże mi przykro, że czuliście się pominięci. Mniejsza z tym, jak bacznie nas obserwowano, oraz że to cud, iż nas nie nakryto. Zdecydowanie powinniśmy byli narazić całe przedsięwzięcie na ryzyko, żeby tylko was nie urazić.

Odkasznęłam.

- Za niespełna godzinę poprowadzę z Apparatem nabożeństwo. Zaraz potem wyjeżdżamy, a ja muszę wiedzieć, kto rusza ze mną.

- Są jakieś szanse, że nam powiesz, gdzie jest trzeci wzmacniacz? - zapytała Zoja.

Jak dotąd tylko bliźnięta, Mal i ja wiedzieliśmy, gdzie może znajdować się ognisty ptak. „No i Mikołaj” - przypomniałam sobie w duchu. Mikołaj też wiedział - o ile jeszcze żył.

Mal pokręcił głową.

- Im mniej wiecie, tym będziemy bezpieczniejsi.

- Więc nie powiecie nam nawet, dokąd jedziemy? - zapytał Siergiej z nadąsaną miną.

- Nie całkiem. Będziemy się starać nawiązać kontakt w Mikołajem Lancovem.

- Myślę, że powinniśmy spróbować w Rievosti - powiedziała Tamar.

- Udać się do rzecznych miast? - spytałam. - Dlaczego?

- Sturmhond miał w całej Ravce szlaki przemytnicze. Możliwe, że Mikołaj je wykorzystuje, by ściągnąć broń do kraju. - Tamar wiedziała takie rzeczy. Ona sama i Tolia byli zaufanymi członkami załogi Sturmhonda. - Jeśli pogłoski są prawdziwe i

grasuje gdzieś na północy, punkt dostaw koło Rievosti prawdopodobnie działa.

- To dużo gdybania i niewiele więcej - zauważył Harshaw.

Mal skinął głową.

- Fakt. Ale to nasz najlepszy trop.

- A jeśli to ślepy zaułek? - spytał Siergiej.

- Rozdzielimy się - rzekł Mal. - Znajdziemy bezpieczne miejsce, gdzie będziecie mogli się przycziąć, a ja zabiorę drużynę na poszukiwanie ognistego ptaka.

- Możecie tu pozostać - zwróciłam się do pozostałych. - Wiem, że pielgrzymi nie odnoszą się do Griszów przyjaźnie, a po dzisiejszych wydarzeniach nie wiem, jak się zmieni atmosfera. Ale jeśli pojną nas na powierzchni...

- Darkling nie odnosi się do zdrajców łaskawie - dokończyła Genia cicho.

Wszyscy poruszyli się nieswojo, ale ja zmusiłam się, by spojrzeć jej w oczy:

- To prawda.

- Za mnie już raz się zabrał - powiedziała. - Jadę.

Zoja wygładziła mankiet płaszcza.

- Bez ciebie przemieszczałibyśmy się szybciej.

- Dotrzymam wam kroku - odparowała Genia.

- Musisz - rzekł Mal. - Udajemy się na teren, na którym roi się od pospolitaków, by tylko wspomnieć o oprycznikach Darklinga. Łatwo cię rozpoznać - powiedział do Genii. - Swoją drogą Tolię też.

Tamar drgnęły usta.

- Czy to ty chcesz mu powiedzieć, że nie może jechać?

Mal się zastanowił:

- Może przebierzemy go za bardzo duże drzewo.

Adrik skoczył na równe nogi tak szybko, że prawie zrzucił mnie z łóżka:

- Do zobaczenia za godzinę - zadeklarował, jak gdyby tylko czekał, aż ktoś ośmieli się nie zgodzić. Wymaszerował z pomieszczenia, a Nadia popatrzyła na mnie i wzruszyła ramionami. Adrik nie był od nas dużo młodszy, ale - może dlatego że był młodszym bratem Nadii - zawsze sprawiał wrażenie, jakby chciał się wykazać.

- Cóż, ja jadę - oznajmiła Zoja. - Panująca tu wilgoć okropnie szkodzi mi na włosy.

Harshaw się wyprostował i odepchnął od ściany:

- Wolałbym zostać - ziewnął. - Ale Oncat mówi, że jedziemy. - Podniósł kocicę na ramię jedną ręką.

- Nazwiesz ją kiedyś? - spytała Zoja.

- Ona ma już imię.

- „Oncat” to nie imię, tylko kot po kaelicku.

- Pasuje do niej, prawda?

Zoja przewróciła oczami i wyparadowała za drzwi. Za nią poszli Harshaw oraz Stigg, który skłonił się uprzejmie i rzekł:

- Będę gotów.

Pozostali stopniowo wyszli za nimi. Przypuszczałam, że David wołałby zostać w Białym Soborze sam na sam z dziennikami Morozova, był jednak naszym jedynym Fabrykatorem, a jeśli znajdziemy ognistego ptaka, będzie nam potrzebny, by wykuć drugą manelę. Nadia wydawała się zadowolona, że wyrusza razem z bratem, chociaż to do Tamar uśmiechała się, wychodząc. Domyślałam się, że Maxim zdecyduje się pozostać na miejscu w lecznicy, i miałam rację. Może uda mi się nakłonić Vladima i

innych ze Straży Kapłańskiej, by dali pielgrzymom przykład i skorzystali z umiejętności Maxima jako Uzdrowiciela.

Zaskoczył mnie tylko Siergiej. W Białym Soborze było smętnie, wilgotno i nudno, lecz także stosunkowo bezpiecznie. Choć widać było, że Siergiej pragnie wyrwać się z rąk Apparata, nie byłam pewna, czy zechce kusić los wyprawą na powierzchnię. Lecz on tylko skinął głową zwięźle i stwierdził po prostu:

- Będę na miejscu.

Może wszyscy desperacko już pragnęliśmy zobaczyć błękitne niebo i poczuć się wolni, mniejsza o ryzyko. Kiedy już poszli, Mal westchnął i powiedział:

- No cóż, warto było spróbować.

- To gadanie o pospolitym ruszeniu - uświadomiłam sobie. - Staraleś się ich odstraszyć.

- Dwanaścioro to zbyt wiele osób. Tak duża grupa spowolni naszą marszrutę przez tunele, a kiedy wyjdziemy na powierzchnię, narazi nas na większe ryzyko. Musimy się rozdzielić, jak tylko nadarzy się okazja. Nie ma mowy, żebym prowadził dwanaścioro Griszów w góry na południu.

- Dobrze - powiedziałam. - O ile znajdziemy dla nich bezpieczne miejsce.

- Nie będzie to łatwe, ale sobie poradzimy. - Skierował się do drzwi. - Wrócę za pół godziny, żeby cię zaprowadzić do głównej jaskini.

- Mal, dlaczego stanąłeś między mną a strażnikami?

Wzruszył ramionami.

- Nie oni pierwsi zginęli z mojej ręki, nie ostatni.

- Nie pozwoliłeś mi użyć przeciwko nim Cięcia.

Nie patrząc na mnie, odpowiedział:

- Alino, pewnego dnia będziesz królową. Im mniej krwi masz na rękach, tym lepiej.

Słowo „królowa” tak łatwo padło z jego ust.

- Wydajesz się pewny, że znajdziemy Mikołaja.

- Jestem pewny, że znajdziemy ognistego ptaka.

- Potrzebuję wojska. Ognisty ptak może nie wystarczyć. - Potarłam dłonią oczy. - Mikołaja może nawet nie być w Ravce.

- Doniesienia z północy...

- To mogą być kłamstwa rozpowszechniane przez Darklinga. „Powietrzny Książę” może stanowić legendę, zmyśloną po to, by wywabić nas z ukrycia. Możliwe, że Mikołaj nie wydostał się nawet z Wielkiego Pałacu. - Słowa bolały, ale zmusiłam się, by je wypowiedzieć: - Możliwe, że nie żyje.

- Wierzysz w to?

- Nie wiem.

- Jeśli komuś ta ucieczka mogła się powieść, to Mikołajowi.

Nazbyt szczwany lis. Nawet kiedy przestał już odgrywać rolę Sturmhonda, w moich oczach taki właśnie był Mikołaj - wiecznie główkował, wiecznie knuł. Nie przewidział jednak zdrady brata. Nie spodziewał się Darklinga.

- Dobrze - powiedziałam, zażenowana tym, że trzęsie mi się głos. - Nie spytałeś o cienie.

- A powinienem?

Nie mogłam się oprzeć. Może chciałam zobaczyć jego reakcję. Zwinęłam palce, a z kątów wypełzły cienie.

Mał śledził je wzrokiem. Czego oczekiwałam? Strachu? Gniewu?

- Możesz nimi więcej działać? - zapytał.

- Nie. To resztki tego, co zrobiłam w kaplicy.

- Znaczy tego, jak uratowałaś nam wszystkim życie?

Opuściłam cienie i ścisnęłam palcami grzbiet nosa, by pohamować zawrót głowy.

- Znaczy użycia mierzosty. To nie jest prawdziwa potęga. Jedynie jarmarczna sztuczka.

- To jest coś, co mu zabrałaś - odparł. Nie uroiłam sobie chyba satysfakcji w jego głosie. - Nie powiem ani słowa, ale nie powinnaś tego ukrywać przed innymi.

Pomartwię się o to później.

- A jeśli w Rievosti nie ma ludzi Mikołaja?

- Sądzisz, że wytropię ogromnego ptaka z legendy, ale nie znajdę jednego wyszczekanego księcia?

- Księcia, który od miesięcy wymyka się Darklingowi.

Mal przyjrzał mi się uważnie.

- Alino, wiesz, jak udało mi się trafić? W Czajniku?

- Jeśli mi powiesz, że aż taki jesteś dobry, zdejmę but i cię nim stłukę.

- No cóż, jestem aż taki dobry - powiedział z lekkim uśmiechem. - Ale kazałem Davidowi włożyć żuka do sakiewki.

- Po co?

- Żeby łatwiej było wymierzyć. Musiałem tylko wytropić żuka.

Uniosłam brwi.

- To dopiero imponująca sztuczka.

Wzruszył ramionami.

- Innej nie znam. Jeśli Mikołaj żyje, to go znajdziemy - Zamilkł na chwilę, po czym dodał: - Więcej nie sprawię ci zawodu. -

Odwrócił się do drzwi, lecz zanim je za sobą zamknął, powiedział:

- Postaraj się odpocząć. Jeśli będziesz mnie potrzebować, będę za drzwiami.

Stałam tak dłuższą chwilę. Chciałam mu powiedzieć, że nie sprawił mi zawodu, lecz nie była to cała prawda. Okłamywałam go wcześniej na temat dręczących mnie wizji. On mnie odepchnął, kiedy najbardziej go potrzebowałam. Może oboje żądaliśmy od siebie nawzajem zbyt wiele wyrzeczeń. Słusznie czy niesłusznie, miałam poczucie, że Mat się ode mnie odwrócił, i w głębi serca miałam do niego żal.

Rozejrzałam się po pustym pomieszczeniu. Dziwnie było widzieć tyle osób upchanych w środku. Jak dobrze ich znałam? Harshaw i Stigg byli o parę lat starsi od pozostałych - byli to Griszowie, którzy przybyli do Małego Pałacu, kiedy zasłyszeli, że Przyzywaczka Słońca powróciła. Byli mi praktycznie obcy. Bliźnięta wierzyły, że błogosławi mi boska moc. Zoja podążała za mną z oporami. Siergiej rozpadał się na części i pewnie obwiniął mnie o śmierć Marie. Może Nadia też. Jej żałoba przebiegała ciszej, ale przyjaźniły się z Marie serdecznie.

I Mal. W pewnym sensie zawarliśmy pokój, ale łatwo nam on nie przychodził. A może po prostu pogodziliśmy się z tym, czym się stanę - z tym, że nasze ścieżki prędzej czy później się rozejdą. „Pewnego dnia będziesz królową, Alino”.

Wiedziałam, że powinnam przynajmniej spróbować się chwilę przespać, ale nie pozwalała mi gonitwa myśli. Moje ciało pulsowało od mocy, której użyłam, i chciało więcej.

Popatrzyłam na drzwi, żalując, że nie ma w nich zamka. Chciałam coś sprawdzić. Podjęłam już wcześniej kilka prób i osiągnęłam jedynie ból głowy. Było to niebezpieczne, zapewne głupie, ale skoro moja moc wróciła, chciałam spróbować ponownie.

Zrzuciłam buty i położyłam się na wąskim łóżku. Zamknęłam oczy, poczułam obrożę na szyi, łuski na nadgarstku, obecność mojej potęgi we mnie jak bicie serca. Poczułam ranę na barku -

ciemny węzeł blizn zadanych przez nisztroje Darklinga. Rana wzmocniła więź między nami, dała mu dostęp do moich myśli, tak jak obroża dała mu dostęp do mojej mocy. W kaplicy użyłam tej łączności między nami przeciwko niemu i niewiele brakowało, a zniszczyłabym przy tym nas oboje. Ale mnie to kusiło. Skoro Darkling może używać tej mocy, dlaczego nie ja? Miałam szansę zdobyć informacje, zrozumieć, jak działa nasz związek.

„Nie uda się” - uspokajałam się. „Spróbujesz, nie powiesz się, a potem się zdrzemniesz”.

Zaczęłam oddychać powoli, czując, jak krąży we mnie moc. Pomyślałam o Darklingu, o cieniach, które były posłuszne gestom moich palców, o obroży, którą umieścił na mojej szyi, o bransolecie na przegubie, która nieodwracalnie oddzieliła mnie od wszystkich innych Griszów i naprawdę skierowała na tę ścieżkę.

Nic się nie działo. Leżałam na plecach na swoim łóżku w Białym Soborze. Donikąd się nie udałam. Byłam sama w pustym pokoju. Zamrugałam oczami, patrząc na wilgotny sufit. Tak będzie lepiej. W Małym Pałacu izolacja niemal mnie zniszczyła, ale to dlatego że łaknęłam czegoś innego - poczucia przynależności, za którym uganiałam się całe życie. Pogrzebałam tę potrzebę w gruzach kaplicy. Teraz będę myśleć w kategoriach sojuszy, a nie przywiązania - będę myśleć o tym, kto albo co da mi dość siły, by toczyć tę walkę.

Namyślałam się dzisiaj nad zabiciem Apparata, wypaliłam swoje piętno na ciele Vladima. Mówiłam sobie, że musiałam to zrobić, ale dziewczyna, którą kiedyś byłam, nigdy nie rozważałaby takich rzeczy. Nienawidziłam Darklinga za to, co zrobił Baghrze i Genii, ale czy ja sama bardzo się od niego różniłam? A kiedy na moim nadgarstku znajdzie się trzeci wzmacniacz, czy w ogóle będę się od niego różniła?

„Może nie” - przyznałam, a w tym samym momencie poczułam leciutkie drżenie - łączność między nami zawibrowała, na drugim końcu niewidzialnego łańcucha odpowiedziało echo.

Wołało do mnie przez obrozę na szyi i ukąszenie na ramieniu, wzmocnione przez bransoletę na ręce - więź wykuta przez mierzost i mroczną truciznę w mojej krwi. „Wzywałaś mnie, a ja odpowiedziałem”. Poczułam, jak się wznoszę, opuszczam swoje ciało, pędzę w jego stronę. Może to Mal czuł, kiedy tropił - odległy zew innego, obecność domagająca się uwagi, nawet jeśli nie można jej zobaczyć ani dotknąć.

W jednej chwili unosiłam się w ciemności za zamkniętymi powiekami, a w drugiej stałam w rześścicie oświetlonym pomieszczeniu. Wszystko wokół mnie było rozmazane, ale i tak rozpoznałam miejsce, gdzie się znajdowałam: była to sala tronowa Wielkiego Pałacu. Ludzie rozmawiali. Wrażenie było takie, jak gdyby znajdowali się pod wodą. Dobiegał mnie hałas, lecz nie słowa.

Wiedziałam, jak tylko Darkling mnie zobaczył. Ujrzałam go wyraźnie, choć jego otoczenie nadal było nieostre i rozmyte.

Panował nad sobą tak doskonale, że nikt stojący w pobliżu nie zauważyłby przelotnego wyrazu szoku, jaki przemknął po jego idealnej twarzy. Lecz ja widziałam, jak jego szare oczy otwierają się szerzej, jak jego pierś zastyga w bezruchu, gdy zaparło mu dech. Jego palce zacisnęły się na podłokietniku fotela - nie, jego tronu. Potem się rozluźnił, kiwając głową potakująco w odpowiedzi na słowa kogoś, kto stał przed nim.

Czekałam i obserwowałam. Walczył o ten tron, wytrwał setki lat w ferworze bitew oraz w służbie, by go zdobyć. Musiałam przyznać, że pasował do niego. Jakaś mała, czarna cząstka mnie żywiła nadzieję, że okaże się osłabiony - że jego czarne włosy

staną się siwe, jak moje. Jeśli jednak w starciu ze mną tamtej nocy w kaplicy doznał szwanku, doszedł do siebie lepiej niż ja.

Kiedy szmer głosu osoby zabiegającej o coś u Darklinga się urwał, ten powstał. Tron rozmył się na drugim planie i zorientowałam się, że to, co znajduje się najbliżej Darklinga, widzę najostrzej, jak gdyby stanowił soczewkę, przez którą postrzegam świat.

- Wezmę to pod rozwagę - powiedział chłodnym jak rżnięte szkło, tak dobrze mi znanym głosem. - Teraz wyjdźcie. - Machnął rękę obcesowo. - Wszyscy.

Nie potrafiłam stwierdzić, czy jego pacholkiwie popatrzyli po sobie z zaskoczeniem, czy po prostu skłonili się i wyszli. Darkling schodził już po schodach, nie spuszczać ze mnie wzroku. Serce mi się ścisnęło, a w myślach rozbrzmiało jedno, wyraźne słowo - „uciekaj”. Musiałam oszaleć, że się na to porwałam, że go szukałam. Ale się nie poruszyłam. Nie puściłam nici.

Ktoś podszedł do niego. Zobaczyłam tego kogoś wyraźniej, kiedy od Darklinga dzieliła go już bardzo niewielka odległość - czerwone szaty Griszy, nieznamoma twarz. Dobiegly do mnie nawet słowa:

-... kwestia podpisów...

- Później - Darkling przerwał mu ostro, a Korporalnik pierzchnął.

Pomieszczenie opustoszało, zapanowały w nim cisza i bezruch. Darkling cały czas patrzył na mnie. Przeszedł po parkiecie. Gdy stawiał kroki, wyfroterowane drewno pod jego stopami wyostrzało się. Potem na powrót się rozmywało.

Miałam dziwne poczucie, że leżę w łóżku w Białym Soborze, a jednocześnie przebywam tu - w sali tronowej - i stoję w ciepłym świetle słońca.

Zatrzymał się przede mną i wpatrywał się w moją twarz. Co w niej widział? W moich wizjach nawiedzał mnie w postaci wolnej od blizn. Widział mnie całą i zdrową, z brązowymi włosami i skrzącymi się oczami? Czy widział małą pieczareczkę, bladą i szarą, która ucierpiała w walce w kaplicy i osłabła od życia pod ziemią?

- Gdybym tylko wiedział, że okażesz się tak pojętną uczennicą.
- Mówił z autentycznym podziwem, niemal z zaskoczeniem. Ku własnemu przerażeniu odkryłam, że ta żałosna, osierocona cząstka mnie czerpie przyjemność z jego pochwały. - Dlaczego teraz do mnie przychodzisz? - zapytał. - Tak długo dochodziłaś do siebie po naszej utarczce?

Jeżeli to była zaledwie utarczka, to naprawdę już po nas. „Nie” - powiedziałam sobie. Celowo wybrałam to słowo, by mnie onieśmielić.

Zignorowałam pytanie i odezwałam się:

- Nie spodziewałam się komplementów.

- Nie?

- Pogrzebałam cię pod stosem gruzu.

- A gdybym powiedział, że szanuję twoją bezwzględność?

- Raczej bym ci nie uwierzyła.

Uśmiechnął się leciutko.

- Pojętna uczennica - powtórzył. - Po cóż trwonić gniew na ciebie, skoro wina leży po mojej stronie? Powinienem był przewidzieć, że kolejny raz mnie zdradzisz, jeszcze raz porwiesz się szaleńczo na jakiś dziecinny ideał. Lecz w stosunku do ciebie padam najwyraźniej ofiarą własnych życzeń. - Jego twarz przybrała surowszy wyraz. - Po co tu przysłałaś, Alino?

Odpowiedziałam mu szczerze:

- Chciałam cię zobaczyć.

Spostrzegłam przelotny wyraz zaskoczenia, potem jego twarz znów zmieniła się w nieprzeniknioną maskę.

- Na tym podwyższeniu stoją dwa trony. Mogłabyś mnie widywać, kiedy by tylko przyszła ci na to ochota.

- Oferujesz mi koronę? Po tym, jak próbowałam cię zabić?

Wzruszył ramionami.

- Możliwe, że postąpiłbym tak samo.

- Wątpię.

- Nie po to, by ratować tę zgraję zdrajców i fanatyków... nie. Rozumiem jednak pragnienie zachowania wolności.

- Mimo to próbowałeś zrobić ze mnie niewolnicę. - Szukałem wzmocniaczy Morozova dla ciebie, Alino, żebyśmy mogli panować jako równi sobie.

- Próbowałeś sobie przywłaszczyć moją moc.

- Po tym, jak ode mnie uciekłaś. Po tym, jak wybrałaś... - Przerwał, wzruszył ramionami. - Z biegiem czasu panowalibyśmy jako równi sobie.

Czułam ten zew - tęsknotę przestraszonej dziewczyny. Nawet teraz, po tym wszystkim, co zrobił, chciałam wierzyć Darklingowi, znaleźć sposób, by mu wybaczyć. Chciałam, żeby Mikołaj żył. Chciałam ufać innym Griszom. Chciałam wierzyć w cokolwiek, żebym nie musiała mierzyć się z przyszłością w samotności. „Problem z pragnieniem polega na tym, że przez nie jesteśmy słabi”. Nim zdążyłam go powstrzymać, wyrwał mi się śmiech.

- Bylibyśmy sobie równi, póki nie ośmieliłabym się z tobą nie zgodzić, do chwili, aż podałabym w wątpliwość twój osąd albo nie zrobiła tego, co mi kazano. Wtedy postąpiłbyś ze mną tak, jak z Genią i twoją matką... tak, jak próbowałeś postąpić z Malem.

Oparł się o okno, a złocona rama zarysowała się wyraziście.

- Myślisz, że z tropicielem przy twoim boku byłoby inaczej? Z tym szczeniakiem Lancovem?

- Tak - odparłam po prostu.

- Bo to ty byłabyś w tej relacji silna?

- Bo to lepsi ludzie od ciebie.

- Mogłabyś zrobić ze mnie lepszego człowieka.

- A ty ze mnie mógłbyś zrobić potwora.

- Nigdy nie rozumiałem tego zamiłowania do otkazacji. Czy wynika ono stąd, że tak długo uważałaś się za jedną z nich?

- Kiedyś miałam zamiłowanie do ciebie. - Podniósł głowę gwałtownie. Tego się nie spodziewał. Święci, jakie to było satysfakcjonujące. - Dlaczego mnie nie odwiedziłeś? - zapytałam.

- Tyle długich miesięcy?

Zachował milczenie.

- W Małym Pałacu prawie nie było dnia, żebyś do mnie nie przyszedł - ciągnęłam. - Żebyś nie widziała cię w jakimś zacienionym kącie. Myślałam, że wariuję.

- Dobrze.

- Moim zdaniem się boisz.

- Jakie to musi być dla ciebie krzepiące.

- Moim zdaniem obawiasz się tego czegoś, co nas łączy. - Mnie to nie przerażało. Już nie. Zrobiłam krok naprzód. Napiął mięśnie, lecz się nie odsunął.

- Jestem prastary, Alino. Wiem o potędze takie rzeczy, jakich ty możesz się ledwie domyślać.

- Nie chodzi jednak wyłącznie o potęgę, prawda? - powiedziała cicho, wracając pamięcią do tego, jak ze mną igrał tuż po tym, jak przybyłam do pałacu - a nawet wcześniej, od pierwszej chwili, kiedy się spotkaliśmy. Byłam samotną

dziewczyną, desperacko łaknącą czyjejs uwagi. Na pewno nie dostarczyłam mu wiele rozrywki.

Zrobiłam kolejny krok. Zamarł. Nasze ciała niemal się już stykały. Podniosłam rękę i ujęłam w dłoń jego policzek. Tym razem nie dało się przeoczyć przebłysku konsternacji na jego twarzy. Trwał bez ruchu jak bryła lodu, jedynie jego klatka piersiowa poruszała się miarowo. Potem jak gdyby ustąpił - przymknął oczy. Między jego brwiami pojawiła się linia.

- To prawda - powiedziałam łagodnie. - Jesteś silniejszy, mądrzejszy, nieskończenie doświadczony. - Pochyliłam się do przodu i szepnęłam, muskając ustami jego ucho: - Ale ja jestem pojętną uczennicą.

Natychmiast otworzył oczy. Nim zerwałam połączenie, w szarym spojrzeniu mignął mi gniew. Czmychnęłam, pędząc z powrotem do Białego Soboru, nie zostawiając mu nic poza wspomnieniem światła.

4.

Usiadłam, głośno i łapczywie wdychając wilgotne powietrze alabastrowej komory. Rozejrzałam się dookoła z poczuciem winy. Niepotrzebnie to zrobiłam. Czego się dowiedziałam? Że przebywa w Wielkim Pałacu i dopisuje mu ohydnie doskonałe zdrowie? Liche informacje.

Nie żałowałam jednak. Teraz wiedziałam, co widział, kiedy mnie nawiedzał - jakie informacje mógł, a jakich nie mógł zaczerpnąć podczas kontaktu. Teraz doświadczyłam kolejnej mocy, która niegdyś należała wyłącznie do niego. I było to przyjemne. W Małym Pałacu drżałam z obawy przed tymi wizjami, sądziłam, że tracę zmysły, a co gorsza - zastanawiałam

się, jak one o mnie świadczą. Koniec z tym. Dość już miałam wstydu. Niech poczuje, jak to jest być szczutym.

W prawej skroni wzbierał ból głowy. „Szukałem wzmacniaczy Morozova dla ciebie, Alino”. Kłamstwa pod płaszczykiem prawdy. Dążył do tego, bym stała się potężniejsza, lecz tylko ze względu na to, że wierzył, iż uda mu się mnie kontrolować. Wierzył w to nadal, a to mnie przerażało. Darkling nie mógł wiedzieć, że Mal i ja wiemy, gdzie zacząć szukać trzeciego wzmacniacza, ale nie wydawał się zmartwiony. Nawet nie wspomniał o ognistym ptaku. Wydawał się pewny siebie, silny, jak gdyby w tym pałacu i na tym tronie było jego miejsce. „Wiem o potędze takie rzeczy, jakich ty się możesz ledwie domyślać”. Powściągnęłam myśli. Nawet jeśli teraz nie stanowią zagrożenia, to mogę stać się groźna. Nie dam mu się pokonać, dopóki nie nadarzy mi się okazja, by powalczyć z nim, jak na to zasługuje.

Ktoś zastukał szybko do drzwi. Nastął czas. Wepchnęłam stopy w buty i poprawiłam złotą, gryzącą keftę. Po tym wszystkim może zrobić sobie przyjemność i wsadzę ją do garnka.

Nabożeństwu towarzyszył imponujący spektakl. Przyzywanie światła pod ziemią nadal przychodziło mi z trudem, ale zalałam ściany Białego Soboru gorejącą iluminacją, wyzyskując wszelkie rezerwy sił, by wprawić jęczący, słaniający się tłum w zachwyty. Vladim stał po mojej lewej z rozpiętą koszulą, by zaprezentować piętno mojej dłoni na piersi. Po mojej prawej Aparat przeprowadził ceremonii - nie wiem, czy kierował nim strach, czy autentyczna wiara, ale był bardzo przekonujący. Jego głos dudnił w głównej jaskini, ogłaszając, że naszą misją kieruje boska opatrność, a ja po ciężkich próbach wyłonię się mocniejsza niż kiedykolwiek.

Przyglądałam mu się, kiedy przemawiał. Wyglądał bladziej, był nieco bardziej spocony, lecz raczej nie utemperowany. Zastanawiałam się, czy darowanie mu życia nie stanowiło błędu,

ale kiedy nie kierowały mną furia oraz potęga, nie byłam gotowa na poważnie rozważać egzekucji.

Zapadła cisza. Popatrzyłam w dół na ochocze twarze ludzi. W ich uniesieniu było coś nowego, może dlatego że ujrzeli moją prawdziwą moc. A może dlatego że Apparat spisał się tak dobrze. Czekali, aż zabiorę głos. Miewałam takie sny. Grałam w sztuce, lecz nie nauczyłam się swoich kwestii.

- Będę... - Głos mi się załamał. Odkasznęłam i zaczęłam od początku. - Powrócę potężniejsza niż wcześniej - powiedziałam najlepszym tonem Świętej, na jaki było mnie stać. - Jesteście moimi oczami. - Musieli nimi być - obserwować Apparata, dbać o wzajemne bezpieczeństwo. - Jesteście moimi pięściami. Jesteście moimi mieczami.

Tłum zaczął wiwatować. Jednym głosem odkrzyknęli do mnie:

- Sankta Alina! Sankta Alina! Sankta Alina!

- Nieźle - ocenił Mał, kiedy zeszłam z balkonu.

- Od prawie trzech miesięcy słucham, jak Apparat nawija. Coś musiało wbić mi się do głowy.

Na mój rozkaz Apparat ogłosił, że spędzi trzy dni w odosobnieniu, poszcząc i modląc się o powodzenie naszej misji. Straż Kapłańska postąpi tak samo, zamknięta w archiwach i strzeżona przez Sol Słódatów.

- Dbajcie, by byli mocni w wierze - powiedziałam Ruby oraz pozostałym żołnierzom. Miałam nadzieję, że w trzy dni oddalimy się dostatecznie od Białego Soboru. Znając jednak Apparata, przypuszczałam, że wykręci się z odosobnienia gadaniem jeszcze przed obiadem.

- Znałam cię - powiedziała Ruby, ściskając moje palce, kiedy się odwróciłam do wyjścia. - Byłam w twoim pułku. Pamiętasz?

Miała mokre oczy, a tatuaż na policzku wydawał się tak czarny, jakby unosił się na jej skórze.

- Oczywiście, że tak - powiedziałam życzliwie. Nie kolegowaliśmy się. Ruby wówczas bardziej interesowała się Malem niż religią. Ja byłam dla niej niemal niewidzialna. Teraz wyrwał jej się szloch i przycisnęła usta do wierzchu mojej dłoni.

- Sankta - szepnęła żarliwie. Ilekroć sądziłam, że dziwniej już w moim życiu nie będzie, przytrafiało się coś cudacznego.

Wyplątałam się z uścisku Ruby i poszłam zamienić z Apparatem ostatnie słówko na osobności.

- Wiesz, po co jadę, kapłanie, i znasz moc, jaką będę władać, kiedy powrócę. Maximowi ani Sol Sołdatom nic się nie może stać.

- Nie chciałam tu zostawiać Uzdrowiciela samego, ale nie zamierzałam mu rozkazywać, by do nas dołączył, zwłaszcza że na powierzchni mogły nas czekać niewiadome zagrożenia.

- Nie jesteśmy wrogami, Sankta Alina - odparł Apparat łagodnie. - Musisz wiedzieć, że zawsze pragnąłem jedynie zobaczyć cię na tronie Ravki.

Niewiele brakowało, bym słysząc to, uśmiechnęła się.

- Wiem o tym, kapłanie. Na tronie i na twoje rozkazy.

Przekrzywił głowę i przyglądał mi się chwilę. Z jego oczu znikł fanatyczny błysk. Wyglądał po prostu przebiegle.

- Nie jesteś taka, jak sądziłem - przyznał.

- Nie o taką Świętą ci chodziło?

- Mniejsza Święta - powiedział - lecz być może lepsza królowa. Będę się za ciebie modlił, Alino Starkov.

Co dziwne - wierzyłam mu.

Mal i ja spotkaliśmy się przy Studni Czetii - naturalnym źródle na przecięciu czterech spośród głównych tuneli. Jeżeli Apparat zdecyduje się jednak posłać za nami pogoń, stąd będzie nas trudniej tropić. Tak przynajmniej sądziliśmy, okazało się jednak, że nie wzięliśmy pod uwagę, ilu pielgrzymów zbierze się, by nas pożegnać. Przyszli za Griszami wychodzącymi ze swoich kwater i tłoczyli się wokół źródła.

Wszyscy mieliśmy na sobie zwykłą odzież podróżną - kefty powkładaliśmy do toreb. Wymieniłam złote szaty na ciężki płaszcz, futrzaną czapkę oraz krzepiący ciężar pasa na broń na biodrze. Gdyby nie moje siwe włosy, pewnie żaden z pątników by mnie nie rozpoznał.

Wyciągali teraz ręce, by dotknąć mojego rękawa czy dłoni. Niektórzy wciskali nam drobne podarunki, jedyne, co mogli zaoferować - skrupulatnie zbierane okruchy chleba, twarde, że zęby można by na nich połamać, wygładzone kamyki, kawałki koronki, garść zebranej soli. Ze łzami w oczach mamrotali modlitwy za nasze zdrowie.

Widziałam, jaka Genia była zaskoczona, kiedy pewna kobieta owinęła jej ramiona ciemnozielonym szalem.

- Nie czarny - powiedziała. - Dla ciebie nie czarny.

W gardle ścisnęło mnie boleśnie. Nie tylko Apparat oddzielił mnie od tych ludzi - ja sama rozmyślnie się od nich odsunęłam. Nie ufałam ich wierze, lecz przede wszystkim obawiałam się ich nadziei. Miłość i troska, których wyrazem były te drobne gesty, stanowiły brzemię, jakiego nie chciałam.

Całowałam policzki, podawałam ręce, składałam obietnice, których dotrzymania nie byłam pewna. Potem wyruszyliśmy. Wnieśli mnie do Białego Soboru na noszach. Przynajmniej wychodzę stąd na własnych nogach. Mal szedł na przedzie. Tolia i Tamar zamykali orszak, pilnując, czy nikt za nami nie idzie.

Dzięki temu, że David miał dostęp do archiwów, a Mal - naturalne wyczucie kierunku, udało im się stworzyć orientacyjną mapę sieci tuneli. Zaczęli planować trasę na Rievost, lecz nie dysponowali pełnymi informacjami. Niezależnie od tego, jak dokładnie planowali, nie mogliśmy być pewni, na co się natkniemy.

Po mojej ucieczce z Os Alty ludzie Darklinga próbowali zbadać sieć tuneli pod cerkwiami oraz sanktuariami Ravki. Kiedy ich poszukiwania spęłły na niczym, zaczęli wysadzać w powietrze - zamykali korytarze prowadzące na zewnątrz, aby zmusić ludzi szukających schronienia do wyjścia na powierzchnię. Alkemicy Darklinga stworzyli nowe materiały wybuchowe, które burzyły budynki i wtłaczały pod ziemię łatwopalne gazy. Wystarczyła jedna, jedyna infernicka iskra, by cała sekcja pradawnej sieci się zawaliła. Był to jeden z powodów, dla których Apparat nalegał, bym pozostała w Białym Soborze.

Krażyły pogłoski, że na zachód od nas są zawałiska, więc Mal powiodł nas na północ. Nie była to bezpośrednia trasa, lecz mieliśmy nadzieję, iż okaże się stabilna.

Czułam ulgę, mogąc się poruszać po tunelach, wreszcie coś robiąc po tylu tygodniach zamknięcia. Moje ciało nadal było słabe, lecz czułam się silniejsza niż w ciągu ostatnich miesięcy i parlałam do przodu bez skarg.

Staralam się nie zastanawiać zbyt, co to będzie znaczyć, jeśli komórka przemytników w Rievosti nie działa. Jak mamy znaleźć księcia, który nie chce dać się znaleźć, a jednocześnie sami pozostać w ukryciu? Jeśli Mikołaj żyje, możliwe, że mnie szuka, a możliwe, że zabiega o inny sojusz. Z tego, co wie, poległam w bitwie w Małym Pałacu.

Im bardziej oddalaliśmy się od Białego Soboru z jego osobliwym, alabastrowym lśnieniem, tym ciemniej stawało się w

tunelach. Niebawem drogę oświetlały nam jedynie chwiejne światła naszych latarni. Gdzieniegdzie kawerny były tak wąskie, że musieliśmy zdejmować plecaki i przeciskać się pomiędzy napierającymi ścianami. Potem zniecka rozpościerały się przed nami ogromne jaskinie, tak szerokie, że można by wypasać w nich konie.

Mał miał słuszość: kiedy tyle osób podróżowało naraz, odbywało się to głośno i niesprawnie. Przemieszczaliśmy się frustrująco ospale. Zoja, Nadia oraz Adrik byli rozmieszczeni wzdłuż kawalkady - gdyby doszło do obwału, nasi Szkwalnicy mogli przywołać powietrze, co mogło zapewnić chwilę wytchnienia ewentualnym uwięzionym.

David i Genia stale zostawali w tyle, lecz to raczej on był odpowiedzialny za zwłokę. W końcu Tolia zdjął wielgachny plecak z wąskich ramion Davida. Stęknął.

- Co ty w tym masz?

- Trzy pary skarpet, jedną parę spodni, zapasową koszulę. Manierkę. Cynowy kubek i talerz. Cylindryczny suwak rachunkowy, wagę, słoik żywicy świerkowej, moją kolekcję substancji antykorozyjnych...

- Miałeś spakować tylko niezbędne rzeczy.

- Otóż to. - David pokiwał głową z przekonaniem.

- Tylko mi nie mów, że wzięłeś wszystkie dzienniki Morozova - wtrąciłam.

- Oczywiście, że je wzięłam.

Przewróciłam oczami. Dzienniki obejmowały przynajmniej piętnaście oprawnych w skórę tomów.

- Może nadadzą się na podpałkę.

- Czy ona żartuje? - zapytał David ze zmartwioną miną. - Nigdy nie wiem, czy ona żartuje.

Żartowałam. Zasadniczo. Liczyłam na to, że z dzienników dowiem się czegoś na temat ognistego ptaka, a może nawet tego, w jaki sposób wzmacniacze mogą mi pomóc zniszczyć Fałdę. Stanowiły jednak ślepy zaułek, a gwoli prawdy trochę mnie też przerażały. Baghra ostrzegała mnie przed oblędem Morozova, a ja mimo to spodziewałam się znaleźć w jego dziele mądrość. Zamiast tego odkryło się przed moimi oczami studium obsesji, udokumentowanej bazgrołami niemalże niemożliwymi do odczytania. Widocznie geniusz nie wymaga zdolności kaligraficznych.

Wczesne dzienniki rejestrowały jego eksperymenty: zamazana formuła na płynny ogień, sposób na zapobieżenie organicznemu rozkładowi, próby, które doprowadziły do wytworzenia grisaickiej stali, metoda przywracania odpowiedniego poziomu tlenu w krwi, niekończący się rok spędzony na wysiłkach mających na celu stworzenie nierozbijającego się szkła. Jego umiejętności przewyższały zdolności zwykłego Fabrykatora, o czym dobrze wiedział. Jedną z najważniejszych doktryn grisaickiej teorii stanowiło przekonanie, że „podobne wzywa podobne”, ale Morozov zdawał się sądzić, że skoro świat da się podzielić na te same drobne cząstki, to każdy Grisza powinien być w stanie nimi sterować. „Czyż nie jesteśmy wszystkim?” - domagał się, podkreślając te słowa w zapiskach. Był arogancki, śmiały - lecz w pełni władz umysłowych.

Potem zaczął pracować nad wzmacniaczami - i nawet ja dostrzegałam zmianę. Tekst stał się gęstszy, bardziej niedbały. Marginesy były pełne wykresów oraz szaleńczych strzałek odsyłających do wcześniejszych akapitów. Jeszcze gorsze były opisy jego eksperymentów na zwierzętach, ilustracje jego sekcji. Mdliło mnie na ich widok i myślałam sobie, że Morozov zasłużył na swoje męczeństwo - jakiegokolwiek ono było. Zabijał zwierzęta, a potem je wskrzeszał, niekiedy raz po razie, coraz mocniej

zagłębiając się w mierzost, stworzenie, władzę życia nad śmiercią, starając się znaleźć sposób, by stworzyć wzmacniacze, których można by używać łącznie. Była to moc zakazana, lecz wiedziałam, jak ona kusi, a na myśl o tym, że dążenie do niej przywiodło go do obłądu, przechodził mnie dreszcz.

Jeśli kierował nim szlachetny cel, nie dostrzegałam go na jego kartach. Wyczuwałam jednak coś więcej w gorączkowych zapiskach, w upartym twierdzeniu, że moc jest wszędzie na wyciągnięcie ręki. Żył na długo przed tym, nim powstała Druga Armia. Był najpotężniejszym Griszą, jakiego znał świat - i ta potęga odseparowała go od innych. Pamiętałam, co Darkling mi powiedział: „Nie ma nikogo takiego jak my. I nigdy nie będzie”. Być może Morozov chciał wierzyć, że nawet jeśli nie ma innych takich jak on, to mogą być - że uda mu się stworzyć silniejszych Griszów. A może sobie to uroiłam, widząc własną samotność i chciwość na kartach tekstów Morozova. Nie dało się już rozplątać gmatwaniny tego, co wiedziałam, i tego, co chciałam; mojej żądzy zdobycia ognistego ptaka, własnego poczucia różnicy.

Z zamyślenia wyrwał mnie odgłos płynącej wody. Zbliżyliśmy się do podziemnej rzeki. Mał zwolnił tempo marszu i kazał mi iść tuż za nim, oświetlając ścieżkę. Dobrze się złożyło, bo urwisko ukazało się nagle - było tak strome i pojawiło się tak niespodziewanie, że przywaliłam prosto w plecy Mała i niewiele brakowało, a straciłabym go z brzegu do wody. W tym miejscu huk wody był ogłuszający, rzeka gnała nad nieznaną głębią, a nad bystrzami unosiły się kłęby mgły.

Obwiązaliśmy Tolię w pasie liną. Przeszedł przez rzekę i umocował sznur po przeciwnej stronie, żebyśmy mogli przejść, jeden po drugim, uczepieni liny. Woda była lodowata i sięgała mi pod pachy, a jej nurt niemal zbił mnie z nóg, mimo że trzymałam się liny. Harshaw przechodził jako ostatni. Przeraziłam się, gdy stracił równowagę, a sznur prawie się zerwał. Harshaw podniósł

się jednak, łapczywie łapiąc oddech. Oncat była przemoczona i prychała ze złości. Zanim Harshaw dotarł do nas, całą twarz i szyję miał w cieniutkich zadrapaniach.

Po tej przeprawie wszyscy mieliśmy ochotę na postój, lecz Mal nalegał, byśmy szli dalej

- Przemokłam do suchej nitki - psioczyła Zoja. - Dlaczego nie możemy odpocząć w tej zawilgłej jaskini zamiast w następnej zawilgłej jaskini?

Mal nie zwolnił kroku, ale pokazał kciukiem rzekę.

- Przez to - odparł, przekrzykując ryk rwącej wody. - Jeśli ktoś za nami szedł, łatwo będzie się do nas zakraść pod osłoną takiego hałasu.

Zoja skrzywiła się, ale parliśmy do przodu, aż w końcu przestaliśmy słyszeć łoskot rzeki. Noc spędziliśmy w jamie z wilgotnego wapienia, gdzie nie słychać było nic poza szcękaniem naszych zębów, kiedy dygotaliśmy w mokrych ubraniach.

Szliśmy tak przez dwa dni. Przemieszczaliśmy się tunelami, cofając się czasem, kiedy szlak okazywał się nie do przejścia. Zupełnie straciłam orientację, ale kiedy Mal ogłosił, że skręcamy na zachód, zauważyłam, że przejścia wspinają się w górę i prowadzą nas na powierzchnię. Mal narzucił bezlitosne tempo. Aby zachować łączność, gwizdali na siebie z bliźniętami z przeciwległych końców kawalkady - upewniali się w ten sposób, czy nikt nie został za bardzo w tyle. Od czasu do czasu zwalniał, by zajrzeć do wszystkich.

- Widzę, co knujesz - powiedziałam mu kiedyś, gdy wrócił na czoło kolumny.

- Niby co?

- Zaglądasz na tyły, kiedy ktoś zaczyna się wlec, zagajasz rozmowę. Pytasz Davida o właściwości fosforu albo Nadię o jej piegi...

- W życiu nie pytałem Nadii o jej piegi.

- No to o coś tam. Potem stopniowo zwiększasz tempo, żeby ta osoba też szła szybciej.

- Wygląda na to, że działa to lepiej niż dźganie ich patykiem - odparł.

- Mniejsza frajda.

- Ręka do dźgania mi się zmachała.

Potem znikł na przedzie. Była to nasza najdłuższa rozmowa, odkąd opuściliśmy Biały Sobór.

Nikomu innemu rozmowy nie przychodziły z trudem. Tamar zabrała się za uczenie Nadii paru szuhańskich ballad. Niestety pamięć miała fatalną, w odróżnieniu od brata, który o choczko przejął pałeczkę. Małomówny zwykle Tolia potrafił recytować całe cykle poezji epickiej po raveczańsku oraz szuhańsku - nawet jeśli nikt nie miał ochoty ich słuchać.

Mimo że Mal nakazał nam zachowanie ścisłego szyku, Genia często wymykała się na czoło kawalkady, aby ponarzekać.

- Każdy wiersz opowiada o dzielnym bohaterze imieniem Kregi - powiedziała. - Co do jednego. Zawsze ma rumaka, a my musimy wysłuchiwać o tym rumaku i o trzech różnych rodzajach mieczy, jakie nosił, i o kolorze szala, jakim miał obwiązany nadgarstek, i o wszystkich tych biednych potworach, które zgładził, oraz o tym, jakim był dobrym i prawym człkiem. Jak na najemnika Tolia jest niepokojąco cikliwy.

Zaśmiałam się i zerknęłam za siebie, chociaż za dużo nie było widać.

- Jak to się podoba Davidowi?

- David nie wie, co się dzieje. Od godziny papla o związkach mineralnych.

- Może David z Tolią po prostu nawzajem się uśpią - burknęła Zoja.

Nie miała prawa gderać. Choć wszyscy byli przecież Eterealnikami, wydawało się, że Szkwalników oraz Inferników łączy jedynie zamięłowanie do kłótni. Stigg nie chciał, by Harshaw się do niego zbliżał, bo nie znosił kotów. Harshaw nieustannie się obrażał w imieniu Oncat. Adrik miał się trzymać środka grupy, ale chciał iść blisko Zoi. Zoja cały czas wymykała się z czoła kawalkady, żeby uciec przed Adrikiem. Zaczynałam żałować, że nie przecięłam liny i nie pozwoliłam im się potopić w rzece.

Poza tym Harshaw budził we mnie nie tylko irytację, lecz także niepokój. Lubił szurać krzemieniem po ścianach, wznecając drobne iskierki, i stale wyjmował z kieszeni kawałki twardego sera, żeby karmić Oncat. Potem śmiał się, jak gdyby pręgowana kocica powiedział coś wyjątkowo śmiesznego. Pewnego ranka po przebudzeniu zobaczyliśmy, że ogolił sobie boki głowy, tak że szkarłatne włosy tworzyły jeden gruby pas na środku.

- Coś ty zrobił? - wrzasnęła Zoja. - Wyglądasz jak pomyłony kogut!

Harshaw wzruszył tylko ramionami.

- Oncat się uparła.

Niemniej niekiedy natrafialiśmy w tunelach na cuda, które nawet Eterealnikom odbierały mowę. Przez wiele godzin wpatrywaliśmy się jedynie w szare skały i wymazany błotem wapień, po czym nagle przed naszymi oczyma rozpościerała się bładoniebieska jaskinia, tak idealnie okrągła i gładka, jak gdyby stało się we wnętrzu gigantycznego emaliowanego jaja. Natknęliśmy się na serię niewielkich jaskiń iskrzących się od kamieni, prawdopodobnie autentycznych rubinów. Genia nazwała

je Szkatułką, co zapoczątkowało zwyczaj nadawania nazw wszystkim mijanym jaskiniom. Był Sad - pieczara pełna stalaktytów i stalagmitów, które łączyły się z sobą, tworząc smukłe kolumny. A niespełna dzień później natrafiliśmy na Salę Balową - długą kawernę z różowego kwarcu, która podłoże miała tak śliskie, że musieliśmy się po nim czołgać, a niekiedy ślizgaliśmy się na brzuchach. Potem była niesamowita, częściowo zanurzona w wodzie, podnoszona żelazna brona, którą ochrzciliśmy mianem Anielskich Wrót. Po jej bokach stały dwie kamienne skrzydlate postaci z pochylonymi głowami i dłońmi spoczywającymi na marmurowych mieczach. Kołowrót działał i przeszliśmy przez bramę bez przygód, ale dlaczego ją tam umieszczono? I kto to zrobił?

Czwartego dnia natknęliśmy się na jaskinię, w której znajdowała się idealnie gładka sadzawka, tworząca złudzenie nocnego nieba. Jej głębiny rozjaśniały maleńkie, fluorescencyjne rybki.

Mał i ja nieco wyprzedziliśmy pozostałych. Zanurzył dłoń w wodzie, zawył i wyjął rękę.

- Gryzą.

- Dobrze ci tak - orzekłam. - „O, patrzcie, ciemne jezioro pełne czegoś, co się świeci. Wsadzę do środka rękę”.

- Nic nie poradzę na to, że jestem smakowity - odparł ze znajomym, aroganckim uśmiechem, który rozbłysł na jego twarzy jak światło nad wodą. Potem jakby się zreflektował. Założył plecak i wiedziałam, że zaraz się ode mnie odsunie.

Nie wiedziałam, skąd wzięły się moje słowa:

- Mał, nie zawiodłeś mnie.

Wytarł mokrą rękę o udo.

- Oboje wiemy, że było inaczej.

- Będziemy razem podróżować nie wiadomo jak długo. Prędzej czy później będziesz musiał ze mną porozmawiać.

- Rozmawiam z tobą w tej chwili.

- Widzisz? Takie to straszne?

- Nie byłoby to takie straszne - powiedział, patrząc mi w oczy - gdybym chciał tylko rozmawiać.

Policzki mnie zapiekły. „Nie chcesz tego” - powiedziałam sobie. Poczułam jednak, jak krańce mnie zwijają się jak kartka papieru, którą nazbyt zbliżono do ognia.

- Mal...

- Muszę zapewnić ci bezpieczeństwo, Alino, nie tracić z oczu tego, co istotne. Nie dam rady, jeżeli... - Wypuścił powietrze powoli. - Pisane ci coś więcej niż ja, i oddam życie, walcząc, by ci to dać. Ale proszę, nie każ mi udawać, że to łatwe.

Zanurkował w kolejną jaskinię.

Popatrzyłam pod nogi na migoczącą sadzawkę, na kręgi światła na wodzie, która po krótkim dotyku Mała jeszcze się nie uspokoiła. Słyszałam, jak pozostali hałaśliwie przedzierają się przez kawernę.

- Oncat ciągle mnie drapie - rzekł Harshaw, kiedy podszedł do mnie nieśpiesznie.

- Tak? - zapytałam drętwo.

- Ale co zabawne, nie lubi się oddalać.

- Silisz się na głębie, Harshaw?

- Właściwie to zastanawiałem się, czy gdybym zjadł dość tych ryb, to zacząłbym świecić?

Pokręciłam głową. Naturalnie jeden z nielicznych Inferników, którzy ostali się przy życiu, musiał być szalony. Wyrównałam krok z pozostałymi i skierowałam się w stronę kolejnego tunelu.

- Chodźże, Harshaw - zawołałam przez ramię.

Wtedy rozległ się pierwszy wybuch.

5.

Jaskinia zadrzała w posadach. Ze szmerem posypały się na nas cienkie strużki kamieni.

Mał w jednej chwili znalazł się przy moim boku. Wyrwał mnie spod spadających kamieni. Zoja obstawiła mnie z drugiej strony.

- Zgasić światła! - krzyknął Mał. - Zdejmować plecaki.

Przysunęliśmy plecaki do ścian w charakterze swoistych przypór, a potem zalaliśmy latarnie wodą, na wypadek gdyby iskry wzniciły kolejną eksplozję.

Bum. Nad nami? Na północ? Trudno było stwierdzić. Minęło kilka długich sekund. Bum. Ten wybuch był bliżej, słycać go było głośniej. Na nasze pochylone głowy poleciały kamienie oraz glina.

- Znalazł nas - jęknął Siergiej głosem ochrypłym ze strachu.

- To niemożliwe - zaoponowała Zoja. - Nawet Apparat nie wiedział, dokąd się udajemy.

Mał poruszył się nieznacznie. Usłyszałam chrobot kamyków.

- To przypadkowy atak - rzekł.

Genia szepnęła drżącym głosem:

- Ten kot przynosi pecha.

Bum. Tak głośno, że szczeka mi zadrgała.

- Mietan jez - oznajmił David. Gaz błotny.

Chwilę później poczułam jego woń, torfiastą i ohydną. Jeżeli nad nami znajdowali się Infernicy, zaraz pojawi się iskra i wszyscy wylecimy w powietrze. Ktoś zaczął płakać.

- Szkwalnicy - rozkazał Mal - wyślijcie go na wschód. - Jak to możliwe, że miał tak spokojny głos?

Poczułam, jak Zoja się porusza, a potem pęd powietrza, kiedy ona i pozostali odpychali od nas gaz.

Bum. Trudno było oddychać. Przestrzeń wydawała się zbyt mała.

- Och Święci - powiedział Siergiej drżącym głosem.

- Widzę płomień! - krzyknął Tolia.

- Poślijcie go na wschód - powtórzył Mal miarowym tonem. Zaraz potem rozbrzmiał szum szkwalniczego wiatru. Obok siebie wyczuwałam naprężone ciało Mała. Wyciągnęłam rękę w stronę jego dłoni. Spletliśmy palce. Z drugiej strony usłyszałam cichy szloch i chwyciłam Zoję za jej wolną rękę.

BUM. Tym razem cały tunel zadudnił odgłosem spadających skał. Usłyszałam w ciemności ludzkie krzyki. Pył wypełnił mi płuca.

Kiedy hałas ucichł, Mal się odezwał:

- Żadnych latarni. Alina, potrzebujemy światła. - Było ciężko, ale znalazłam pasmo światła słońca i rozjarzyłam je w tunelu. Wszyscy siedzieliśmy pokryci pyłem, z oczyma szeroko otwartymi ze strachu. Podliczyłam szybko: Mal, Genia, David, Zoja, Nadia i Harshaw - z Oncat zawiniętą w koszulę.

- Tolia? - krzyknął Mal.

Cisza. Potem:

- Nic nam nie jest.

Głos Tolii dobiegał zza barykady z gruzu, która blokowała tunel, lecz brzmiał mocno i wyraziście. Przycisnęłam głowę do kolan z ulgi.

- Gdzie mój brat? - zawołała Nadia.

- Jest tu ze mną i z Tamar - odparł Tolia.

- Siergiej i Stigg? - zapytałam.

- Nie wiem.

Święci.

Czekaliśmy na kolejny wybuch, na to, aż reszta tunelu zawali się nam na głowy. Kiedy nic takiego nie nastąpiło, zaczęliśmy z mozołem przedzierać się w kierunku głosu Tolii, podczas gdy on i Tamar kopali z drugiej strony. W kilka chwil zobaczyliśmy ich ręce, a potem ich brudne twarze. Przecisnęli się do naszej części tunelu. Jak tylko Adrik opuścił ręce, strop nad miejscem, gdzie stali on i bliźnięta, zawalił się, wzbijając chmurę pyłu i gruzu. Adrik dygotał mocno.

- Podtrzymałeś jaskinię? - zapytała Zoja.

Tolia skinął głową.

- Stworzył bańkę, jak tylko usłyszeliśmy ostatnią eksplozję.

- Huh - powiedziała Zoja do Adrika. - Jestem pod wrażeniem. - Jego twarz rozjaśniła się w zachwycie, a ona jęknęła: - Mniejsza z tym. Pomniejszam to do niechętnego uznania.

- Siergiej? - zawołałam. - Stigg?

Cisza, chrzęst gruzu.

- Wypróbuję coś - powiedziała Zoja. Uniosła ręce. W uszach mi zatrzeszczało, a powietrze nagle wydało się wilgotne. - Siergiej? - odezwała się dziwnie odległym głosem.

Potem dobiegł mnie głos Siergieja - słaby i drżący, ale wyraźny, jak gdyby Sercodarca stał tuż przy mnie.

- Tu jestem - wydyszał.

Zoja poruszyła palcami, poprawiając coś, i ponownie zawołała Siergieja. Kiedy tym razem odpowiedział, David zauważył:

- Brzmi, jak gdyby głos dochodził spod nas.

- Niekoniecznie - odparła Zoja. - Akustyka może być zwodnicza.

Mał poszedł głębiej w przejście.

- Nie, David ma rację. W ich segmencie tunelu podłoże musiało się zawalić.

Minęły niemal dwie godziny, nim ich znaleźliśmy i wygrzebaliśmy - Tolia wynosił ziemię, Mał dawał wytyczne, Szkwalnicy stabilizowali ściany tunelu powietrzem, a ja utrzymywałam słabe oświetlenie. Pozostali ustawili się w szereg i usuwali kamienie oraz piach.

Kiedy odszukaliśmy Stigga i Siergieja, byli pokryci błotem i prawie nieprzytomni.

- Obniżyłem nam tętna - wymamrotał Siergiej sennie. - Wolny oddech. Zużyć mniej powietrza.

Tolia i Tamar ich ocucili, podnosząc im puls oraz pompując powietrze do płuc.

- Nie sądziłem, że przyjdziecie - wybełkotał wciąż otumaniony Stigg.

- Dlaczego? - zakrzyknęła Genia, delikatnie strzepując mu pył ze skóry wokół oczu.

- Nie był pewien, czy was obchodzi - zza moich pleców odezwał się Harshaw

Wymruczano trochę protestów i rzucono parę spojrzeń pełnych poczucia winy. Rzeczywiście uważałam Stigga i Harshawa za outsiderów. A Siergiej... cóż, Siergiej zagubił się już dawno. Żadne z nas się nie spisało i nie wyciągnęło ku nim ręki.

Kiedy Siergiej i Stigg byli już w stanie iść, skierowaliśmy się w stronę tej mniej uszkodzonej części tunelu. Szkwalnicy jedno po drugim wygaszali działanie swojej mocy, a my czekaliśmy, by się przekonać, czy strop się utrzyma i będą mogli odpocząć. Najlepiej, jak się dało, otrzepaliśmy sobie nawzajem pył i brud z twarzy oraz ubrań, i posłaliśmy wkoło flaszkę kwasu. Stigg przyssał się do niej jak niemowlę do butelki.

- Wszyscy są cali? - zapytał Mal.

- Nigdy nie czułam się lepiej - odparła Genia drżącym głosem. David uniósł rękę.

- Ja się kiedyś lepiej czułem.

Wszyscy zaczęliśmy się śmiać.

- Co? - zapytał.

- Jak ty to w ogóle zrobiłaś? - zapytała Nadia Zoję. - Tę sztuczkę z dźwiękiem?

- To tylko metoda wywoływania akustycznej anomalii. W szkole się tak bawiliśmy i podsłuchiwaliliśmy ludzi w innych pomieszczeniach.

Genia parsknęła.

- No jasne.

- Pokażesz nam, jak to zrobić? - poprosił Adrik. - Jeśli kiedyś będzie mi się na tyle nudzić.

- Szkwalnicy - odezwał się Mal - jesteście gotowi do drogi?

Wszyscy potaknęli. Ich twarze rozjaśniał blask towarzyszący korzystaniu z griszaickiej mocy, wiedziałam jednak, że na pewno są na granicy wyczerpania. Utrzymywali tony kamieni nad naszymi głowami przez kilometr. Będzie im potrzeba więcej czasu niż parę minut, by doszli do siebie.

- No to bierzmy się stąd - rzekł Mal.

Oświetlałam drogę, niepewna, jakie jeszcze czekają nas niespodzianki. Szliśmy ostrożnie, Szkwalnicy byli w stałej gotowości. Krążyliśmy po tunelach i przejściach, aż straciłam orientację, w którą stronę idziemy. Mapa stworzona przez Davida i Mala nie obejmowała tego obszaru.

Każdy dźwięk wydawał się wzmocniony. Ilekroć sypały się kamyki, zastygaliśmy w bezruchu i czekaliśmy na najgorsze. Starłam się myśleć o czymkolwiek, byle nie o masie gliny nad nami. Jeśli ziemia runie, a potęga Szkwalników zawiedzie, zostaniemy zmiażdżeni i nikt nawet się o tym nie dowie. Jak polne kwiaty zgniecione pomiędzy kartkami książki i zapomniane.

Wreszcie uświadomiłam sobie, że moje nogi ciężiej pracują, i zorientowałam się, że podłoże zaczęło stromo się wznosić. Słyszałam westchnienia pełne ulgi, kilka cichych wiwatów, a niespełna godzinę później tłoczyliśmy się w jakiejś piwnicy i patrzyliśmy od dołu na klapę w podłodze.

Ziemia była tu mokra, naznaczona drobnymi kałużami - świadczyły one, że znajdujemy się nieopodal nadrzecznych miast. W świetle pochodzącym z moich dłoni widziałam, że kamienne ściany są popękane, ale nie umiałam stwierdzić, czy uszkodzenia są stare, czy też powstały wskutek niedawnych eksplozji.

- Jak to zrobiłeś? - zapytałam Mala.

Wzruszył ramionami.

- Tak samo jak zawsze. Na powierzchni jest zwierzyna. Podszedłem do tego po prostu jak do polowania. Tolia wyjął z kieszeni płaszcza stary zegarek Davida. Nie byłam pewna, kiedy wszedł w jego posiadanie.

- Jeśli to coś dobrze chodzi, jest grubo po zachodzie słońca.

- Trzeba go codziennie nakręcać - powiedział David.

- Wiem.

- A nakręciłeś?

- Tak.

- No to dobrze chodzi.

Przemknęło mi przez myśl, czy powinnam przypomnieć Davidowi, że pięść Tolii ma mniej więcej taki obwód jak głowa Davida.

Zoja pociągnęła nosem.

- Z naszym szczęściem ktoś tu będzie się przygotowywał do mszy o północy.

Wiele spośród wejść i wyjść z tuneli znajdowało się w miejscach świętych - lecz nie wszystkie. Mogliśmy wychynąć w apsydzie cerkwi albo na podwórzu monasteru. Mogliśmy też wystawić głowy z podłogi w burdelu. „Panu również życzę miłego dnia”. Stłumiłam histeryczny chichot. Z wyczerpania i strachu kręciło mi się w głowie.

A jeśli ktoś tam na nas czeka? A jeśli Aparat znowu zmienił obóz i napuścił na nas Darklinga? Nie myślałam trzeźwo. Mal uważał, że eksplozje stanowiły przypadkowy atak na tunele - tylko to wyjaśnienie miało sens. Aparat nie mógł wiedzieć, gdzie i kiedy będziemy. A nawet gdyby Darkling w jakiś sposób odkrył, że zmierzamy do Rievosti, po co tracić czas na bombardowanie, by wygonić nas na powierzchnię? Mógł na nas zwyczajnie poczekać.

- Chodźmy - odezwałam się. - Mam wrażenie, że się duszę.

Mal gestem ręki kazał Tolii i Tamar zająć miejsca przy moim boku.

- Bądźcie gotowi - powiedział im. - Jeśli cokolwiek będzie się działo, macie ją stąd zabrać. Idźcie tunelami na zachód tak długo, jak się da.

Dopiero kiedy zaczął się wspinać po drabinie, uświadomiłam sobie, że wszyscy czekaliśmy, aż on pójdzie pierwszy. Zarówno Tolia, jak i Tamar byli bardziej doświadczeni w walce, a Mal był wśród nas jedynym otkazacją. Dlaczego więc to na nim skrupia się większość ryzyka? Chciałam go zawołać, kazać mu być ostrożnym, lecz to by tylko zabrzmiało niedorzecznie. Nie bywaliśmy już „ostrożni”.

Skinął na mnie ze szczytu drabiny, a ja uwolniłam światło i pograżyłam nas w ciemności. Usłyszałam stuknięcie, pisk zawiasów, wreszcie ciche stęknięcie i skrzywienie otwieranej kłapy. Przez otwór nie wpadło światło, krzyki, strzały. Serce waliło mi w piersi. Nasłuchiwałam, jak Mal się podciąga, jak nad nami rozlegają się jego kroki. Wreszcie dobiegł mnie zgrzyt zapalki i przez kłapę wlała się poświata. Mal zagwizdał dwa razy - sygnał, że droga wolna. Po kolei wspinaliśmy się po drabinie. Kiedy wystawiłam głowę przez kłapę, przeszył mnie dreszcz. Pomieszczenie było sześciokątne. Ściany wyglądały, jak gdyby wyrzeźbiono je z lapis lazuli, i usiane były drewnianymi panelami, na których wymalowano różnych Świętych. Ich złote nimby błyszczały w blasku lampy. W kątach było gęsto od mlecznobiałych pajęczyn. Latarnia Mała stała na dużym, kamiennym sarkofagu. Znajdowaliśmy się w krypcie.

- Doskonale - powiedziała Zoja. - Z tunelu do grobowca. Co dalej? Wypad do rzeźni?

- Mezle - zauważył David, pokazując jedno z nazwisk wyrzeźbionych na ścianie. - To stara grisaicka rodzina. Jedno z nich uczyło się nawet w Małym Pałacu, zanim...

- Zanim wszyscy zginęli? - podsunęła Genia uczynnie.

- Ziva Mezle - powiedziała Nadia cicho. - Była Szkwalniczką.

- Może urządzić ten wieczorek w innym miejscu? - zapytała Zoja. - Chcę się stąd wydostać.

Potarłam ramiona. Miała trochę racji.

Drzwi wyglądały, jak gdyby były z ciężkiego żelaza. Tolia i Mal zaparli się o nie ramionami, my ustawiliśmy się za nimi w szereg z uniesionymi ramionami, a Infernicy mieli krzemienie w gotowości. Zająłam miejsce z tyłu, przygotowana użyć Cięcia w razie konieczności.

- Na trzy - rzekł Mal.

Wyrwał mi się urywany śmiech. Wszyscy odwrócili się w moją stronę. Zarumieniłam się.

- Cóż, jesteśmy prawdopodobnie na cmentarzu i zamierzamy wypaść z impetem z grobowca.

Genia zachichotała.

- Jeśli ktoś tam jest, skicha się ze strachu.

Z leciutkim uśmiechem Mal przyznał:

- Słusznie. Będziemy robić „buuuuuu”. - Uśmiech znikł. Mal skinął głową na Tolię. - Nie wychylaj się.

Odliczył i zaczęli pchać. Rygle zapiszczały i wrota grobowca otworzyły się gwałtownie. Czekaliśmy chwilę, lecz nie powitały nas żadne odgłosy alarmu.

Powoli wyszliśmy na opuszczony cmentarz. Tak blisko rzeki ludzie grzebali swoich bliskich nad powierzchnią ziemi na wypadek zalania. Grobowce, ułożone w schludne rzędy niczym kamienne domy, nadawały cmentarzowi charakter opustoszałego miasta. Wiatr dął, strącając liście z drzew i mierzwiąc trawy rosnące wokół mniejszych nagrobków. Wrażenie było niesamowite, ale nie przeszkadzało mi to. Po chłodzie jaskiń powietrze wydawało się wręcz ciepłe. Nareszcie byliśmy na zewnątrz.

Odchyliłam głowę do tyłu i oddychałam głęboko. Noc była bezchmurna i bezksiężycowa, a po tych długich miesiącach pod

ziemią widok przestworu nieba oszołamiał. I tyłu gwiazd - migotliwy, splątany bezlik, który wydawał się być na wyciągnięcie ręki. Pozwoliłam, by ich światło padało na mnie jak balsam, wdzięczna za powietrze w moich płucach i otaczającą mnie noc.

- Alino - powiedział Mal łagodnie.

Otworzyłam oczy. Griszowie wpatrywali się we mnie.

- Co?

Wziął mnie za ręce i uniósł je przede mnie, jakbyśmy mieli zacząć tańczyć.

- Jaśniejesz.

- Och - westchnęłam. Moja skóra była srebrna, spowita światłem gwiazd. Nie zdawałam sobie nawet sprawy, że przyzywam. - Ups.

Przesunął palcem po moim ramieniu, gdzie rękaw podjechał do góry, i obserwował błyski światła na mojej skórze z uśmiechem na ustach. Nagle zrobił krok wstecz. Puścił moje ręce, jak gdyby parzyły.

- Bądź bardziej ostrożna - powiedział ostro. Skinął na Adrika, żeby pomógł Tolii z powrotem zamknąć kryptę, i zwrócił się do grupy: - Nie oddalajcie się i siedźcie cicho. Musimy znaleźć schronienie, nim nastanie świt.

Pozostali zaczęli iść za nim, kolejny raz pozwalając mu prowadzić. Trzymałam się z tyłu i strzepywałam światło ze skóry. Przywierało do mnie, jak gdyby moje ciało było go spragnione.

Kiedy Zoja wyrównała do mnie, odezwała się:

- Wiesz co, Starkov, zaczynam podejrzewać, że z rozmysłem posiwiłaś.

Strząsnęłam iskrę światła gwiazd z nadgarstka, przyglądając się, jak gaśnie.

- Tak, Zoju, igranie ze śmiercią to integralny element mojej kuracji upiększającej.

Wzruszyła ramionami i zerknęła na Malę.

- Cóż, jak na mój gust trochę to nachalne, ale przyznam, że stylowa na księżycową dziewicę działa.

Zoja była ostatnią osobą, z którą miałabym ochotę dyskutować o Malu, ale jej słowa podejrzenie przypominały komplement. Przypomniało mi się, jak w czasie obwału mocno trzymała mnie za rękę i ile siły wykazała podczas całego doświadczenia.

- Dzięki - powiedziałam. - Za to, że nas tam na dole uratowałaś. Że pomogłaś ocalić Siergieja i Stigga.

Choćbym mówiła nieszczerze, byłoby warto to powiedzieć, by zobaczyć jej zaszokowaną minę.

- Nie ma za co - wydusiła. Potem zadarła idealny nos i dodała: - Ale nie zawsze będę mogła ratować ci tyłek, Przyzywaczko Słońca.

Uśmiechnęłam się i poszłam za nią alejką między grobami. Przynajmniej była przewidywalna.

Wydostanie się z cmentarza zajęło nam dużo za dużo czasu. Rzędy krypt ciągnęły się w nieskończoność niczym zimne świadectwo tego, jak długo Ravka pogrążona jest w wojnie. Ścieżki były schludnie zagrabione, na grobach leżały kwiaty, malowane ikony, słodczyce, niewielkie stosiki cennej amunicji - drobne przejawy serca, nawet wobec zmarłych. Pomyślałam o mężczyznach i kobietach, którzy zegnali nas w Białym Soborze i wciskali nam w ręce swoje dary. Byłam wdzięczna, kiedy nareszcie wyszliśmy za bramę.

Przerażające przeżycia podczas obwału i długie godziny na nogach dawały nam się we znaki, lecz Mal z determinacją pchał nas do przodu, byśmy przed świtem podeszli jak najbliżej do Rievosti. Powłóczyliśmy noga za nogą, idąc wzdłuż głównej drogi po oświetlonych blaskiem gwiazd polach. Od czasu do czasu widzieliśmy samotny dom, jakąś latarnię jaśniejącą w oknie. Czerpałam ulgę z tych znaków życia, z myśli o rolniku, który wstaje w środku nocy, by nalać sobie wody, i przelotnie patrzy w okno oraz w znajdującą się za nim ciemność.

Niebo zaczęło się właśnie przejaśniać, kiedy usłyszeliśmy, że ktoś nadciąga drogą. Ledwie zdążyliśmy uciec do lasu i skryć się w krzakach, nim zobaczyliśmy pierwszy wóz.

W konwoju było około piętnastu osób - głównie mężczyzn, kilka kobiet - wszyscy uzbrojeni po zęby. Zauważyłam elementy mundurów Pierwszej Armii - wojskowe spodnie wciśnięte w zdecydowanie niezgodne z przepisami skórzane buty, płaszcz żołnierza piechoty, od którego odcięto mosiężne guziki.

Niepodobna było stwierdzić, co transportują. Ładunek przykryto kocami i mocno przytwierdzono do wozu sznurami.

- Pospolite ruszenie? - szepnęła Tamar.

- Możliwe - odparł Mal. - Chociaż nie jestem pewien, skąd pospolitacy wzięliby broń automatyczną. - Jeśli to przemytnicy, nikogo z nich nie znam.

- Mogę śledzić - rzekł Tolia.

- To może ja sobie zatańczę walca na środku drogi? - zaproponowała Tamar prowokująco. Tolia raczej nie chadzał cicho.

- Coraz lepiej mi idzie - odparł Tolia defensywnie. - Poza tym...

Mal uciszył ich spojrzeniem.

- Nie śledzić, nie wdawać się w walkę.

Kiedy Mal prowadził nas głębiej między drzewa, Tolia mruknął:
- Nawet nie umiesz tańczyć walca.

* * *

Rozbiliśmy obóz na polanie nieopodal skromnego dopływu Sokoła - rzeki, którą zasilały lodowce pokrywające Petrazoj i która stanowiła serce handlu miast portowych. Mieliśmy nadzieję, że jesteśmy na tyle oddaleni od głównych dróg, iż nie musimy się martwić; że ktoś przypadkiem się na nas napatoczy.

Według bliźniąt przemytnicy spotykali się na ruchliwym placu wychodzącym na rzekę w Rievosti. Tamar już dzierżyła kompas oraz mapę. Chociaż na pewno była równie zmęczona jak my wszyscy, musiała wyruszyć od razu, by dotrzeć do miasta przed południem.

Bardzo nie chciałam jej puszczać - to mogła przecież być zasadzka - lecz uzgodniliśmy, że to ona musi pójść. Tolia był tak wielki, że nazbyt rzucał się w oczy, a żadne z pozostałych nie wiedziało, jak przemytnicy pracują ani jak ich rozpoznać. Niemniej denerwowałam się bardzo. Nigdy nie rozumiałam wiary bliźniąt ani tego, ile byli skłonni dla niej ryzykować. Kiedy jednak nadszedł czas wyboru między mną a Apparatem, niedwuznacznie okazali swoją lojalność.

Ścisnęłam Tamar za rękę.

- Nie rób nic nierozważnego.

Nadia czaiła się w pobliżu dłuższą chwilę. Teraz odkaszlnęła i pocałowała Tamar w oba policzki.

- Uważaj na siebie - powiedziała. Tamar błysnęła uśmiechem Sercodarczyni.

- Jeśli ktoś się będzie prosił o kłopoty - odrzuciła poły płaszcza, ukazując rękojeści toporków - mam świeżą porcję.

Zerknęłam na Nadię. Odnosiłam wyraźne wrażenie, że Tamar się popisuje. Podciągnęła kaptur i ruszyła truchtem przez las.

- Iuieh sezsz - zawołał za nią Tolia po szuhańsku.

- Ni ueh sezsz - odrzyknęła przez ramię. Potem zniknęła.

- Co to znaczy?

- Ojciec nas tego nauczył - odparł Tolia. - „Iuieh sezsz” znaczy „miej w pogardzie własne serce”. Ale to dosłowny przekład. Sens tego powiedzenia jest bardziej taki: „rób, co trzeba - bądź okrutna, jeśli musisz”.

- A ta druga część?

- „Ni ueh sezsz? „Nie mam serca”.

Mał uniósł brew.

- Rozrywkowy tata.

Tolia uśmiechnął się tym lekko szalonym uśmiechem, który sprawiał, że wyglądał zupełnie jak swoja siostra.

- Taki był.

Popatrzyłam w stronę, w którą odeszła Tamar. Gdzieś za tymi drzewami leżały pola, a za nimi Rievost. Ja też posłałam w stronę Tamar modlitwę: „Przynieś wieści o księciu, Tamar. Sama chyba nie dam rady”.

Rozłożyliśmy pośłania i rozdzieliliśmy jedzenie. Adrik oraz Nadia zaczęli wznosić namiot, a Tolia oraz Mał przeczesali okolicę i wyznaczyli posterunki, na których staną strażę. Widziałam, jak Stigg namawia Siergieja, by coś zjadł. Liczyłam, że pobyt na powierzchni ziemi pomoże Siergiejowi, ale choć

wydawał się mniej spanikowany, wciąż czułam emanujące od niego napięcie.

Gwoli prawdy wszyscy byliśmy nerwowi. Choć cudownie było leżeć pod drzewami i znów widzieć niebo, było to również przytłaczające. Życie w Białym Soborze płynęło smętnie, ale było znośne. Tutaj wszystko wydawało się dziksze, nie mogłam nad tym zapanować. Tereny te przemierzały oddziały pospolitaków oraz ludzie Darklinga. Niezależnie od tego, czy uda nam się znaleźć Mikołaja, wróciliśmy na wojnę - oznaczało to kolejne bitwy i stracone życia. Świat nagle znów wydawał się ogromny. Nie byłam pewna, czy mi to odpowiada.

Rozejrzałam się po naszym obozie. Harshaw zdążył się już zwinąć w kłębek i przysypiał z Oncat na piersi; Siergiej był blady i czujny; David siedział oparty plecami o drzewo z książką w ręku i głową śpiącej Genii na kolanach; Nadia i Adrik zmagali się ze śledziami oraz płótnem namiotu, podczas gdy Zoja się im przyglądała i ani jej się śniło pomagać.

„Miej w pogardzie własne serce”. Pragnęłam tego. Nie chciałam już dłużej żałoby, utraty, poczucia winy, zmartwień. Chciałam być twarda, wyrachowana. Chciałam być nieulekła. Pod ziemią wydawało się to możliwe. Tu - w tym lesie, z tymi ludźmi - nie byłam już taka pewna. Musiałam w końcu zasnąć, bo kiedy się przebudziłam, było późne popołudnie i słońce świeciło ukosem przez liście. Tolia był przy mnie.

- Tamar wróciła - powiedział.

Usiadłam, zupełnie rozbudzona. Tolia miał jednak ponurą minę.

- Nikt jej nie zagadnął?

Pokręcił głową. Wyprostowałam ramiona. Nie chciałam, by ktoś widział moje rozczarowanie. Powinnam być wdzięczna, że Tamar bez szwanku weszła do miasta i z powrotem wyszła.

- Mał wie?

- Nie - rzekł Tolia. - Napelnia manierki w potoku. Harshaw i Stigg trzymają wartę. Przyprowadzić ich?

- To może poczekać.

Tamar opierała się o drzewo i łapczywie piła wodę z cynowego kubka. Pozostali zebrali się wokół niej, by wysłuchać sprawozdania.

- Jakieś kłopoty? - zapytałam.

Pokręciła głową.

- Na pewno byłaś we właściwym miejscu? - spytał Tolia.

- Zachodnia pierzeja rynku. Przyszłam wcześniej, zostałam do późna, przywitałam się ze sklepikarzem, cztery razy obejrzałam to samo cholerne przedstawienie kukielkowe. Jeżeli punkt jest czynny, ktoś powinien był do mnie zagadać.

- Możemy spróbować jutro jeszcze raz - zasugerował Adrik.

- Ja powinienem iść - rzekł Tolia. - Długo tam byłaś. Jeśli znowu się pokażesz, ludzie mogą zauważyć.

Tamar otarła usta wierzchem dłoni.

- Czy to przyciągnie za dużą uwagę, jeżeli zadżgam lalkarza?

- Jeśli zrobisz to po cichu, to nie - odparła Nadia.

Policzki jej pokraśniały, kiedy wszyscy odwróciliśmy się w jej stronę. Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby Nadia żartowała. Wcześniej stanowiła przeważnie publiczność dla Marie.

Tamar wysunęła sztylet z za nadgarstka i zawirowała nim, stawiając go na opuszku palca.

- Umiem działać cicho - powiedziała - i miłosiernie. Lalkom może daruję życie. - Upiła łyk wody. - Słyszałam nowiny. Ważne. Ravka Zachodnia opowiedziała się po stronie Mikołaja.

To przykuło naszą uwagę.

- Blokują zachodni brzeg Fałdy - ciągnęła. - Więc jeśli Darkling chce zdobyć broń albo amunicję...

- Musi je ściągać przez Fjerdę - dopowiedziała Zoja. Chodziło jednak o coś więcej. Oznaczało to, że Darkling utracił wybrzeże Ravki Zachodniej, a wraz z nim - jej marynarkę oraz handel, który i bez tego był w pozostałej części Ravki wątył.

- Dziś Ravka Zachodnia - powiedział Tolia - jutro może Szu Han.

- Albo Kercz - wtrąciła Zoja.

- Albo jedni i drudzy! - zapiał Adrik.

Oczyma duszy widziałam pasmo nadziei wijące się w naszych szeregach.

- To co teraz? - zapytał Siergiej, szarpiąc nerwowo za rękaw.

- Poczekajmy jeszcze jeden dzień - zaproponowała Nadia.

- Bo ja wiem - powiedziała Tamar. - Mogę wrócić. Ale dziś na placu byli oprycznicy.

Zły znak. Oprycznicy byli osobistymi żołnierzami Darklinga. Skoro grasowali po okolicy, mieliśmy dobre powody, by jak najszybciej się stąd zabierać.

- Idę porozmawiać z Malem - oznajmiłam. - Nie rozgaszczajcie się za bardzo. Możliwe, że rano będziemy musieli wyruszać.

Pozostali się rozproszyli, podczas gdy Tamar i Nadia poszły przetrząsnąć racje żywnościowe. Tamar ciągle podbijała swój nóż i kręciła nim - zdecydowanie się popisывała. Nadii to jednak chyba nie przeszkadzało.

Kierowałam się w stronę, skąd dobiegał szum wody, starając się uporządkować myśli. Jeżeli Ravka Zachodnia opowiedziała się po stronie Mikołaja, była to silna przesłanka, że carewicz żyje, ma się dobrze i bruździ Darklingowi bardziej, niż komukolwiek w

Białym Soborze się wydawało. Czułam ulgę, ale nie byłam pewna, jaki powinien być nasz następny ruch.

Kiedy doszłam do strumienia, Mal kuczał na płyciźnie, bosy, z gołą piersią i spodniami podwiniętymi do kolan. Przyglądał się wodzie ze skupieniem, ale słysząc, że się zbliżam, wyprostował się gwałtownie i sięgnął od razu po strzelbę.

- To tylko ja - powiedziałam, wychodząc spomiędzy drzew.

Rozluźnił się i wrócił do poprzedniej pozycji. Znow zapatrzył się w strumień.

- Co tu robisz?

Przez chwilę tylko się mu przyglądałam. Tkwił w idealnym bezruchu, kiedy nagle błyskawicznie zanurzył rękę w potoku i wyjął miotającą się rybę. Cisnął ją z powrotem do wody. Nie było sensu jej zachowywać, skoro nie mogliśmy sobie pozwolić na ryzyko związane z rozpaleniem ognia.

W Keramzinie widywałam, jak w ten sposób łowił ryby, nawet zimą, kiedy staw Trivki zamarzał. Dokładnie wiedział, gdzie zrobić przerębłę, gdzie zarzucić linkę albo kiedy akurat łapać. Czekałam na niego na brzegu, dotrzymywałam mu towarzystwa, wypatrując wśród drzew, gdzie ptaki uwiły gniazda.

Teraz było inaczej. Woda rzucała przebliski odbitego światła na płaszczyzny jego twarzy, gładkie muskuły pod skórą. Zdałam sobie sprawę, że się gapię, więc wybiłam się z zapatrzenia. Widywałam go już wcześniej bez koszuli. Nie było powodu, żeby głupio na to reagować.

- Tamar wróciła - powiedziałam.

Wyprostował się, bez śladu wcześniejszego zainteresowania dla ryby.

- I co?

- Ani śladu ludzi Mikołaja.

Mal westchnął i zmierzwił dłonią włosy.

- Psiakrew.

- Możemy zaczekać jeszcze jeden dzień - zaproponowałam, mimo że z góry wiedziałam, co odpowie.

- Dość już czasu zmarnowaliśmy. Nie wiem, jak długo nam zajmie wyprawa na południe albo poszukiwanie ognistego ptaka. Tylko tego nam trzeba, żebyśmy utknęli w górach, kiedy zaczną padać śnieg. Musimy też znaleźć schronienie dla innych.

- Tamar mówi, że Ravka Zachodnia opowiedziała się po stronie Mikołaja. Może tam ich zaprowadzimy?

Zastanowił się.

- To długa podróż, Alino. Stracilibyśmy na tym mnóstwo czasu.

- Wiem, ale tam jest bezpieczniej niż gdziekolwiek indziej po tej stronie Fałdy. No i da nam to nową szansę na odszukanie Mikołaja.

- Marsz na południe po tamtej stronie także może się okazać mniej niebezpieczny. - Kiwnął głową. - Dobrze. Musimy przygotować pozostałych. Chcę wyruszyć jeszcze tej nocy.

- Tej nocy?

- Nie ma sensu tu marudzić. - Wyszedł z wody, zwijając na kamieniach gołe palce stóp.

Nie powiedział „rozejść się”, ale równie dobrze mógł był to zrobić. O czym tu jeszcze gadać? Ruszyłam w stronę obozu, ale przypomniało mi się, że nie powiedziałam mu o oprycznikach. Wróciłam nad potok.

- Mal... - odezwałam się, lecz słowa zamarły mi na wargach.

Pochylił się po manierki. Był odwrócony do mnie plecami.

- Co to jest? - zapytałam z gniewem.

Obrócił się szybko i wygiął, ale było już za późno. Otworzył usta. Zanim zdążył się odezwać, warknęłam: - Jeśli powiesz „nie”, tak cię walnę, że stracisz przytomność.

Zacisnął usta.

- Obróć się - rozkazałam.

Przez chwilę stał bez ruchu. Potem westchnął i się obrócił.

Jego szerokie plecy pokrywał tatuaż - coś na kształt róży wiatrów, lecz dużo bardziej przypominającego słońce. Kierunki rozciągały się od ramienia do ramienia i wzdłuż kręgosłupa.

- Dlaczego? - zapytałam. - Dlaczego to zrobiłeś?

Wzruszył ramionami, a pod kunsztownym wzorem napięły się mięśnie.

- Mal, dlaczego się w ten sposób oznaczyłeś?

- Mam wiele blizn - powiedział w końcu. - Tę sobie wybrałem.

Przyjrzałam się baczniej. We wzór wpisane były litery. „E’ja sta riezku”. Zmarszczyłam czoło. Wyglądało to na staroravczański.

- Co to znaczy?

Nie odpowiedział.

- Mal...

- To krępujące.

I owszem, widziałam, jak po jego karku rozpościera się rumieniec.

- Powiedz mi.

Zawahał się, potem odkaszlnął i mruknął:

- Jam się stał ostrzem.

„Jam się stał ostrzem”. Tym teraz był? Ten chłopak, za którym Griszowie szli bez mrugnięcia, który przemawiał pewnym głosem, kiedy ziemia się wokół nas zapadała, który mi oznajmił, że będę królową? Nie byłam pewna, czy jeszcze go poznaję.

Pogładziłam palcami litery. Zdrętwiał. Skórę miał wciąż wilgotną od rzeki.

- Mogło być gorzej - zauważyłam. - Bo wiesz, gdybyś miał napisane „Przytul mnie” albo „Jam się stał budyniem imbirowym”, to dopiero byłoby krępujące.

Parsknął śmiechem z zaskoczeniem, potem, kiedy przesunęłam palcami wzdłuż jego kręgosłupa, z sykiem nabrał powietrza. Zacisnął pięści po bokach. Wiedziałam, że powinnam się odsunąć, ale nie chciałam.

- Kto to zrobił?

- Tolia - odparł chrapliwie.

- Bolało?

- Mniej niż powinno.

Dotarłam do najbardziej oddalonego od środka promienia glorii, na samym dole jego kręgosłupa. Przystanąłam na chwilę, po czym przesunęłam palcami z powrotem w górę. Odwrócił się gwałtownie i mocno złapał mnie za rękę.

- Nie rób - rzucił surowo. - Ja...

- Nie dam rady. Nie dam rady, jeśli będziesz mnie rozśmieszać, jeśli będziesz mnie w ten sposób dotykać.

- Mal...

Nagle uniósł głowę gwałtownie i przyłożył palec do ust.

- Ręce do góry. - Głos dobiegł z cieni drzew. Mal rzucił się po strzelbę i w przeciągu kilku sekund przymierzył się do strzału, lecz z lasu już wylaniało się troje ludzi - dwóch mężczyzn i kobieta z włosami zwiniętymi na czubku głowy - z wycelowanymi w nas lufami strzelb. Wydawało mi się, że poznaję ich z konwoju, który widzieliśmy na drodze.

- Odłóż broń - powiedział mężczyzna z krótką kocią brodą. - O ile nie chcesz zobaczyć, jak faszerujemy twoją dziewczynę kulkami.

Mal odstawił strzelbę na skalę.

- Podejź tu - rozkazał mężczyzna. - Powolutku. - Miał na sobie mundur Pierwszej Armii, ale nie przypominał żadnego ze znanych mi żołnierzy. Włosy miał długie i zmierzwiłe. Zaplótł dwa niechlujne warkoczyki, żeby nie wpadały mu do oczu. Na piersi miał pasy z nabojami i ubrany był w poplamioną kamizelkę, która mogła kiedyś być czerwona, ale teraz przybrała spłowiały kolor między śliwkowym a brązem.

- Potrzebne mi buty - powiedział Mal.

- Bez nich są mniejsze szanse, że uciekniesz.

- Czego chcecie?

- Możecie zacząć od odpowiedzi - rzekł mężczyzna. - W pobliżu jest miasto, można się zaszyć w wielu znacznie wygodniejszych miejscach. Czemu więc dwanaście osób kryje się w lesie? - Widocznie zauważył moją reakcję, bo dodali: - Tak jest. Znalazłem wasz obóz. Zdezercerowaliście?

- Tak - odparł Mal gładko. - Z Kerskiego.

Mężczyzna podrapał się po policzku.

- Z Kerskiego? Może - powiedział. - Ale... - Zrobił krok do przodu. - Orecev?

Mal znieruchomiał, potem zapytał:

- Luczenko?

- Na wszystkich Świętych, nie widziałem cię, odkąd twoja jednostka szkolila się u mnie w Policnai. - Odwrócił się do pozostałych. - Ten mały zasraniec był najlepszym tropicielem na dziesięć pułków. W życiu nic takiego nie widziałem. - Szczerzył

zęby w uśmiechu, ale strzelby nie opuścił. - A teraz jesteś najślynniejszym dezerterem w całej Ravce.

- Próbuję tylko przeżyć.

- To tak jak ja, brachu. - Skinął w moją stronę. - Ta tu nie jest w twoim zwykłym stylu.

Gdyby nie mierzono mi w twarz ze strzelby, może by mnie to ubodło.

- Ciura z Pierwszej Armii jak my.

- Jak my, co? - Luchenko dziabnął mnie strzelbą. - Zdejmij szal.

- Trochę chłodno - odparłam.

Luchenko ponownie mnie szturchnął.

- No już, dziewczyno.

Zerknęłam na Mala. Widziałam, że waży opcje. Staliśmy w niewielkiej odległości. Za pomocą Cięcia mogłam narobić poważnych szkód, ale pospolitacy zdążyliby wystrzelić kilka razy. Mogłam ich oślepić, ale jeśli rozpoczniemy wymianę ognia, co się stanie z ludźmi w obozie?

Wzruszyłam ramionami i szorstkim gestem ściągnęłam szal z szyi. Luchenko zagwizdał cicho.

- Słyszałem, że obracasz się w uświęconym towarzystwie, Orecev. Wygląda na to, że złapaliśmy sobie Świętą. - Przekrzywił głowę. - Myślałem, że będzie wyższa. Zwiążcie ich oboje.

Mal i ja jeszcze raz spojrzeliśmy sobie w oczy. Czułam, że chce, bym zaczęła działać. Dopóki nie miałam związanych rąk, dopóty mogłam przyzywać i kontrolować światło. Ale co z innymi Griszami?

Wystawiłam ręce i pozwoliłam kobiecie spętać je sznurem. Mal westchnął i zrobił to samo.

- Czy mogę chociaż założyć koszulę? - zapytał.

- Nie - odparła kobieta, mierząc go lubieżnym wzrokiem. -
Podoba mi się widok.

Luchenko się zaśmiał.

- Śmieszne to życie, nie? - zauważył filozoficznie, kiedy prowadzili nas pod bronią do lasu. - Całe życie chciałem jedynie, żeby ciutka szczęścia osłodziła mi herbatę. A teraz wręcz się pławię w farcie. Darkling da mi całe złoto ze swoich szkatuł za to, że mu dostarczę was dwoje pod drzwi.

- Tak po prostu mnie przekażesz? - spytałam. - Niemądrze.

- Dużo gadasz jak na dziewczynę ze strzelbą przystawioną do pleców.

- To kwestia solidnych interesów. Myślisz, że Fjerda albo Szu Han nie zapłacą majątku - może nawet sporego majątku - żeby położyć łapę na Przyzywaczce Słońca? Ilu masz ludzi?

Luchenko obejrzał się przez ramię i pogroził mi palcem jak nauczyciel. Cóż, warto było popróbować.

- Chodzi mi tylko o to - ciągnęłam niewinnie - że mógłbyś mnie zlicytować temu, kto da więcej, a twoi ludzie byliby tłuści i szczęśliwi po kres swych dni.

- Podoba mi się jej sposób myślenia - oznajmiła kobieta z kokiem.

- Nie bądź chciwa, Ekaterino - odparł Luchenko. - Nie jesteśmy ambasadorami ani dyplomatami. Za okup za głowę tej dziewczyny wszyscy opłacimy sobie przeprawę przez granicę. Może wsiądę na statek w Djerholmie. A może po prostu zagrzebię się w blondynach na resztę życia.

Niesmaczna wizja tego, jak Luchenko baraszkuje z gromadką krągłych Fjerdanek, zniknęła, kiedy doszliśmy do naszego obozu. Griszowie znajdowali się na środku polany, otoczeni przez krąg niemal trzydziestu zbrojnych pospolitaków. Tolia obficie broczył

krwią z brzydkiej rany na głowie. Zobaczyłam, że Harshaw, który stał na straży, został postrzelony. Był blady, ślaniał się, ścisnął ranę w boku i dyszał, podczas gdy Oncat zawodziła.

- Widzisz? - powiedział Luchenko. - Trafiła mi się taka gratka, że nie muszę się przejmować, kto da więcej.

Stałam przed nim i odezwałam się najciszej, jak się dało.

- Wypuść ich - powiedziałam. - Jeżeli oddasz ich w ręce Darklinga, będą torturowani.

- I co z tego?

Przełknęłam gniew, który we mnie wezbrał. Groźbami nic nie wskóram.

- Żywy więzień jest więcej wart niż trup - powiedziałam lekliwie. - Rozwiąż mnie przynajmniej, żebym mogła zająć się raną przyjaciela. - „I żebym mogła powalić twój oddział jednym ruchem nadgarstka”.

Ekaterina przymrużyła oczy.

- Nie rób tego - powiedziała. - Niech się tym zajmie jeden z rzeźników. - Dziabnęła mnie w plecy i zaprowadziła nas do pozostałych.

- Widzieliście ten naszyjnik? - Luchenko zwrócił się do zgromadzonych. - Mamy Przyzywaczkę Słońca! - Inni pospolitacy krzyknęli na wiwat. - Zaczynjcie się więc zastanawiać, na co wydacie pieniądze Darklinga. Zakrzyknęli radośnie.

- Czemu nie oddać jej za okup Mikołajowi Lancowowi? - rzucił jeden z żołnierzy z tyłu. Ze środka polany wydawało mi się, że jest ich jeszcze więcej.

- Lancov? - powiedział Luchenko. - Jeśli ma rozum w głowie, siedzi sobie na jakiejś ciepłej wsi z ładną dziewczyną na kolanach. O ile w ogóle żyje.

- Żyje - ktoś potwierdził.

Luchenko splunął.

- Nie robi mi to różnicy.

- A twój kraj? - zapytałam.

- A co mój kraj dla mnie w ogóle zrobił, dziewczynko? Nie mam ziemi, nie mam życia, tylko mundur i strzelbę. Nieważne, czy na tronie siedzi Darkling, czy jakiś nic niewarty Lancov.

- Widziałam księcia, kiedy byłem w Os Alcie - powiedziała Ekaterina. - Niebrzydki.

- Niebrzydki? - odezwał się inny głos. - Jest diablo przystojny.

Luchenko skrzywił się.

- Odkąd to...

- Mężny w boju, bystry jak strzała. - Teraz głos zdawał się dobiegać z góry.

Luchenko podniósł głowę, patrząc w korony drzew.

- Znakomicie tańczy - ciągnął głos. - Aha, a strzela jeszcze lepiej.

- Kto... - Luchence nie było dane skończyć. Rozlegli się huk, a między jego oczyma pojawiła się mała czarna dziurka.

Straciłam oddech.

- Niemoż...

- Nie mów tego - mruknął Mal.

Wtedy rozpętał się chaos.

6.

Powietrze wokół nas rozdarł odgłos strzałów i Mal przewrócił mnie na ziemię. Wyładowałam z twarzą w leśnej ściółce i poczułam, jak zaślania mnie swoim ciałem.

- Nie podnoś się! - krzyknął.

Obróciłam głowę w bok i zobaczyłam, że Griszowie otaczają nas pierścieniem. Harshaw leżał na ziemi, lecz Stigg miał w ręku krzemień. W powietrzu wzbily się płomienie. Tamar i Tolia ruszyli do walki. Zoja, Nadia i Adrik trzymali ręce w górze, a z leśnego podłoża wzleciały kłęby liści, lecz w płątaninie zbrojnych trudno było rozróżnić, kto swój, a kto wróg.

Obok nas rozbrzmiał głuchy odgłos i ktoś spuścił się z korony drzewa.

- Co wy dwoje robicie boso i półnago w błocie? - zagadnął znajomy głos. - Żywię nadzieję, że szukacie trufli?

Mikołaj przeciął nam więzy na rękach i szarpnięciem postawił mnie na nogi.

- Następnym razem ja spróbuję dać się pojmać. Tak dla urozmaicenia. - Rzucił Malowi strzelbę. - Pozwolicie?

- Nie widzę, kto jest kim! - zaoponowałam.

- My to ci beznadziejnie słabsi liczebnie.

Niestety nie sadziłam, aby żartował. Kiedy szeregi walczących się przemieściły, a ja nieco zorientowałam się w sytuacji, łatwiej było rozróżnić ludzi Mikołaja po bladoniebieskich przepaskach na ramionach. Położyli trupem wielu pospolitaków Luchenki, lecz nawet bez przywódcy nieprzyjaciel zbierał siły.

Usłyszałam krzyk. Ludzie Mikołaja przesuwali się do przodu, napierając na Griszów. Byliśmy zaganiani.

- Co się dzieje? - zapytałam.

- To jest ten moment, kiedy uciekamy - odparł Mikołaj uprzejmym tonem, ale na jego umazanej błotem twarzy malowało się napięcie.

Popędziliśmy między drzewami, starając się dotrzymać kroku Mikołajowi, który gnał przez las. Nie umiałam poznać, dokąd się

kierujemy. W stronę potoku? Drogi? Zupełnie straciłam orientację.

Obejrzałam się za siebie, żeby policzyć pozostałych i upewnić się, że jesteśmy razem. Szkwalnicy przyzywali wspólnie, ciskając pospolitakom drzewa pod nogi. Stigg biegł za nimi, posyłając za siebie strugi ognia. David jakimś cudem wziął swój plecak i uginał się pod jego ciężarem, biegnąc przy boku Genii.

- Zostaw go! - zawołałam, ale jeśli mnie usłyszał, to zignorował moje słowa.

Tolia niósł Harshawa na ramieniu i ciężar potężnego Infernika go spowalniał. Żołnierz ich doganiał z dobytą szablą. Tamar wskoczyła na przewrócony pień, wymierzyła z pistoletu i wypaliła. Moment później pospolitak chwycił się za pierś i runął wpół kroku. Oncat śmignęła obok zwłok, depcząc Tolii po piętach.

- Gdzie Siergiej? - krzyknęłam, akurat kiedy mignął mi na tyłach - zwalniał z oszołomioną miną. Tamar cofnęła się, przeskakując między upadającymi drzewami oraz płomieniami, i przemocą go pociągnęła. Nie słyszałam, co do niego krzyczała, ale nie wydawało mi się, aby były to łagodne słowa otuchy.

Potknęłam się. Mał złapał mnie za łokieć i pchnął do przodu, po czym obrócił się i dwukrotnie wypalił ze strzelby. Potem wypadliśmy na pole jęczmienia.

Mimo że słońce późnego popołudnia mocno przygrzewało, pole spowijała mgła. Biegliśmy po bagnistej ziemi co sił, aż Mikołaj zakrzyknął:

- Tutaj!

Zatrzymaliśmy się gwałtownie, wzbijając strużki gliny. „Tutaj?” Staliśmy na środku pustego pola, osłaniała nas wyłącznie mgła, a na ogonach siedziała nam chmara pospolitaków spragnionych zemsty i fortuny.

Usłyszałam dwa przeszywające gwizdy. Ziemia zatrzęsała mi się pod stopami.

- Trzymać się mocno! - powiedział Mikołaj.

- Czego? - zaskowyczałam.

I wtedy zaczęliśmy się wznosić. Koło nas pojawiły się liny i wydawało się, że samo pole zaczęło się wzbijać w górę. Podniosłam oczy - mgła zaczęła się rozpraszać, a bezpośrednio nad naszymi głowami unosił się ogromny statek z otwartą ładownią. Było to coś w rodzaju płytkiej barki, która po jednej stronie była wyposażona w żagle i wisiała pod olbrzymim, podłużnym pęcherzem.

- Co to u diabła jest? - zapytał Mal.

- „Pelikan” - odparł Mikołaj. - Cóż, prototyp „Pelikana”. Sztuka w tym, by balon nie opadał.

- I udało ci się rozwiązać tę drobną trudność?

- Zasadniczo.

Pył posypał się spod naszych stóp i zobaczyłam, że stoimy na chwiejącej się platformie wykonanej z jakiejś metalowej siatki. Wzbiliśmy się wyżej - trzy metry, potem pięć metrów nad ziemią. Pocisk odbił się od metalu. Zajęliśmy miejsca na brzegach platformy, ściskając liny kurczowo, a jednocześnie starając się wymierzyć w strzelającą do nas ciżbę.

- Lećmy! - zawołałam. - Czemu się nie oddaliśmy poza zasięg kul?

Mikołaj i Mal wymienili spojrzenia.

- Wiedzą, że mamy Świętą Słońca - rzekł Mikołaj.

Mal kiwnął głową, złapał pistolet i szybko szturchnął Tolię oraz Tamar.

- Co ty robisz? - zapytałam w nagłym popłochu.

- Nikt nie może zostać przy życiu - powiedział Mal. Potem zeskoczył z krawędzi. Krzyknęłam, ale zwinął się w kłębek, a kiedy powstał - już strzelał.

Tolia i Tamar poszli w jego ślady, przerzedzając szeregi ocalałych pospolitaków. Mikołaj i jego załoga starali się kryć ich od góry. Widziałam, jak jeden z wojaków wyrwał się i biegnie w stronę lasu. Tolia władował ofierze kulkę w plecy i jeszcze zanim ciało padło na ziemię, olbrzym obrócił się z zaciśniętą pięścią, zgniatając serce innego zbrojnego w nóż żołnierza, który czał się za nim.

Tamar ruszyła prosto na Ekaterinę. Toporki błysnęły dwa razy i kobieta poległa. Kawałek skóry z kokiem opadł przy jej martwym ciele. Inny człowiek uniósł pistolet, mierząc w Tamar, ale Mal rzucił się na niego - jego nóż bezlitośnie poderznął mu gardło. „Jam się stał ostrzem”. I nie było już nikogo, tylko trupy na polu.

- Szybko! - zawołał Mikołaj. Platforma wzbiła się wyżej. Rzucił linę. Mal zaparł się o ziemię, naprężając sznur, żeby Tamar i Tolia mogli się wspiąć. Jak tylko bliźnięta znalazły się na platformie, Mal owinął sobie linę wokół kostki oraz nadgarstka, a rodzeństwo pochyliło się, by go wciągnąć.

Właśnie wtedy dostrzegłam za nim ruch. Jakiś człowiek podniósł się z ziemi, wysmarowany błotem oraz krwią i z wyciągniętą szablą.

- Mal! - zawołałam. Było jednak za późno - był zaplątany w linę.

Żołnierz wydał z siebie ryk i zamachnął się. Mal zasłonił się bezużyteczną w tej chwili ręką, by się bronić.

Światło odbiło się od klingi żołnierza. Ramię zastygło w pół ciosu, a szabla wysunęła się z palców. Potem jego ciało się rozpadło, rozdzielając się na środku, jak gdyby ktoś narysował

niemal idealną linię od czubka jego głowy aż do lędźwi - linię, która lśniła jasno, kiedy rozpadał się na kawałki.

Mal podniósł wzrok. Stałam na brzegu platformy z rękoma wciąż jaśniejącymi od mocy Cięcia. Zachwiałam się. Mikołaj szarpnął mnie w stronę środka, nim spadłam. Wyrwałam mu się, przesunęłam na koniec platformy i zwymiotowałam przez krawędź.

Trzymałam się kurczowo zimnego metalu i czułam się jak tchórz. Mal i bliźnięta skoczyli w ferwor bitwy, aby zadbać o to, by Darkling nie odkrył, gdzie jesteśmy. Nie zawahali się. Zabijali z bezlitosną skutecznością. Ja odebrałam jedno życie i leżałam zwinięta w kłębek jak dziecko, ścierając wymiociny z ust.

Stigg posłał w stronę ciał na polu ogień. Mnie nie przyszło na myśl, że ciało przecięte na pół zdradzi moją obecność równie skutecznie jak donosiciel.

Chwilę później platformę wciągnięto do ładowni „Pelikana” i ruszyliśmy w drogę. Kiedy wyszliśmy na pokład, słońce odbijało się od lewej burty, a my wzlatywaliśmy w chmury. Mikołaj wykrzykiwał rozkazy. Jedna załoga Szkwalników obsługiwała balon, kształtem przypominający gigantyczną pastylkę, a druga napełniała żagle wiatrem. Pływowladni spowili dolną część okrętu w mgłę, by z ziemi nikt nas nie zobaczył. Rozpoznałam kilkoro niezależnych Griszów z czasów, gdy Mikołaj występował w przebraniu Sturmhonda, a Mal i ja byliśmy więźniami na pokładzie jego statku.

Ten okręt był większy i nie tak pełen wdzięku jak „Koliber” albo „Zimorodek”. Wkrótce się dowiedziałam, że zbudowano go do transportu towarów - dostaw ziemczańskiej broni, którą Mikołaj szmuglował przez północne i południowe granice, a niekiedy przez Fałdę. Skonstruowano go nie z drewna, lecz z jakiegoś tworzywa fabrykatorskiej roboty, od którego David

dostał amoku. Dosłownie położył się na pokładzie, żeby się lepiej przyjrzeć, i stukał tu i ówdzie.

- To jakaś przetworzona żywica, umocniona... włóknem węglowym?

- Szkłem - odparł Mikołaj, ewidentnie połączony entuzjazmem Davida.

- Bardziej elastyczne! - zauważył David bliski ekstazy.

- Cóż mogę rzec? - wtrąciła Genia cierpko. - To człowiek pełen pasji.

Obecność Genii nieco mnie martwiła, lecz Mikołaj nie widział jej nigdy z bliźniami i chyba jej nie rozpoznał. Krążyłam z Nadią i szeptem przypominałam naszym Griszom, by nie używali prawdziwego imienia Genii.

Członek załogi podał mi kubek czystej wody, żebym mogła przepłukać usta i umyć twarz oraz ręce. Przyjęłam wodę z piekącymi policzkami, zawstydzona swoim popisem na platformie.

Kiedy się z tym uporałam, wsparłam łokcie na relingu i spojrzałam na zamglony pejzaż pod nami - pola malowane czerwienią i złotem jesieni, szarobłękitne migotanie rzecznych miast i ich tętniących życiem portów. Szaleńcza moc Mikołaja sprawiła, że nawet mnie nie zdziwiło, iż lecimy. Bywałam już na jego mniejszych okrętach i zdecydowanie bardziej odpowiadał mi „Pelikan”. Miał w sobie coś statecznego. Może i nie dotrze na miejsce szybko, ale przynajmniej nie przewróci się kapryśnie do góry dnem.

Najpierw kilometry pod ziemią, teraz kilometry w powietrzu. Wierzyć się w to wszystko nie chciało - że Mikołaj nas odszukał, że był zdrow i cały, że wszyscy byliśmy razem. Zalała mnie fala ulgi i łzy stanęły mi w oczach.

- Najpierw wymioty, potem łyzy - powiedział Mikołaj, podchodząc do mnie. - Nawet mi nie mów, że straciłem wyczucie.

- Po prostu cieszę się, że żyjesz - powiedziałam, pośpiesznie mrugając, żeby przepędzić łyzy. - Chociaż na pewno mi to wyperswadujesz.

- Też się cieszę, że cię widzę. Krążyły pogłoski, że zesłaś do podziemia, ale wyglądało to raczej, jakbyś kompletnie zniknęła.

- Rzeczywiście czułam się jak żywcem pogrzebana.

- Reszta twoich ludzi tam jest?

- To wszyscy.

- Niemożliwe...

- Tyle zostało z Drugiej Armii. Darkling ma swoich Griszów, ty masz swoich, ale... - urwałam.

Mikołaj powiódł wzrokiem po pokładzie. Mal i Tolia, pogrążeni w rozmowie z członkiem załogi Mikołaja, pomagali uwiązać liny i manewrować żaglem. Ktoś znalazł Malowi kurtkę, ale nadal brakowało mu pary butów. David przesuwiał dłońmi po pokładzie, jak gdyby próbował się w nim rozpuścić. Pozostali zbili się w niewielkie grupki: Genia kulila się z Nadią i pozostałymi Eterealnikami. Stigg utknął z Siergiejem, który siedział na pokładzie z rękami we włosach. Tamar opatrywała rany Harshawa, podczas gdy Oncat - z futrem zjeżonym na sztorc - wbiła mu pazury w nogę. Pręgowana kocica najwyraźniej nie przepadała za lataniem.

- Tyle zostało - powtórzył Mikołaj.

- Jeden Uzdrowiciel postanowił zostać pod ziemią. - Po długiej chwili zapytałam: - Jak nas znalazłeś?

- Tak naprawdę to wcale was nie znalazłem. Pospolitycy grasowali na naszych szlakach przemytniczych. Nie stać nas było na utratę kolejnego transportu, więc zacząłem się na Luchenkę.

Potem na placu zauważono Tamar, a kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że szykują się akurat na wasz obóz, pomyślałem, że mogę zdobyć dziewczynę...

- I broń?

- Otóż to. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Jakie to szczęście, że przewidując daliśmy się uprowadzić.

- Świetne myślenie na gorąco. Pochwalam.

- Jak się mają król i królowa?

Prychnął i odparł:

- Dobrze. Nudzą się. Nie mają co robić. - Poprawił mankiet płaszcza. - Ciężko znieśli utratę Vasyla.

- Przykro mi. - Gwoli prawdy, niespecjalnie się przejęłam losem starszego brata Mikołaja.

- Sam to na siebie ściągnął, ale z zaskoczeniem stwierdzam, że też mi przykro.

- Muszę wiedzieć... uratowałaś Baghrę?

- Wielkim nakładem wysiłku i bez śladu wdzięczności z jej strony. Mogłaś mnie uprzedzić, jaka jest.

- Rozkoszna, prawda?

- Jak zaraza pierwszej wody. - Chwycił pukiel moich siwych włosów i lekko pociągnął. - Śmiały wybór.

Speszona, założyłam wolne kosmyki za ucho.

- Szczyt mody pod ziemią.

- Tak?

- To się stało podczas bitwy. Miałam nadzieję, że się z powrotem odmienią, ale chyba będzie tak na stałe.

- Mój kuzyn Ludvik obudził się z siwym pasmem włosów, kiedy pewnej nocy nieomal zginął w pożarze. Twierdził, że

zdaniem dam przydaje mu to uroku. Rzecz jasna, twierdził również, że pożar w domu roznieciły duchy, więc kto go tam wie.

- Biedny kuzyn Ludvik.

Mikołaj odchylił się na relingu i wbił wzrok w uczepony ponad nami balon. Początkowo sadyłam, że jest wykonany z płótna, lecz teraz wydawało mi się, że to chyba jedwab kryty gumą.

- Alina... - odezwał się Mikołaj. Tak bardzo nie nawykłam do widoku Mikołaja, który czuje się nieswojo, że dopiero po chwili zorientowałam się, iż brakuje mu słów. - Alino, tej nocy, kiedy zaatakowano pałac, ja wróciłem.

Czy właśnie to go martwiło? Że sądziłam, iż mnie opuścił?

- Nigdy w to nie wątpiłam. Co widziałeś?

- Kiedy nadleciałem, dobra były pogrążone w ciemności. W kilku miejscach wybuchły pożary. Widziałem naczynia Davida, roztrzaskane na dachu i trawniku Małego Pałacu. Kaplica się zawaliła. W jej pobliżu aż się roziło od nisztoty. Myślałem, że mamy kłopoty, ale nawet się nie zainteresowały „Zimorodkiem”.

Zrozumiałe - skoro ich pan konał w potrzasku pod stertą gruzu.

- Liczyłem, że może uda się odzyskać ciało Vasyła - ciągnął Mikołaj. - Ale nic z tego. Cały pałac był opanowany. Co się stało?

- Nisztoje zaatakowały Mały Pałac. Kiedy dotarłam na miejsce, jedno z naczyń już było zniszczone. - Wbiłam paznokiec w reling, wydrapałam niewielki półksiężyc. - Nie mieliśmy żadnych szans. - Nie chciałam myśleć o głównym hallu umazanym krwią, o ciałach rozsianych po dachu, podłodze, schodach... o zniszczonych kopczykach błękitu, czerwieni i purpury.

- A Darkling?

- Próbowałam go zabić.

- Człowiek próbuje.

- Popelniając samobójstwo.

- Rozumiem.

- Zburzyłam kaplicę - powiedziałam.

- Ty..

- Cóż, właściwie to niszczy ją zburzyły... na mój rozkaz.

- Potrafisz im rozkazywać?

Już widziałam, jak kalkuluje możliwą przewagę. Wieczny strateg.

- Nie podniecaj się tak - zmitygowałam go. - W tym celu musiałam stworzyć własne niszczyje. I musiałam nawiązać bezpośrednią łączność z Darklingiem.

- Aha - powiedział ponuro. - Ale kiedy już znajdziesz ognistego ptaka?

- Nie jestem pewna - przyznałam - ale... - Zawahałam się. Nigdy nie wypowiedziałam tej myśli na głos. Pośród Griszów uchodziłaby ona za herezję. Niemniej chciałam wypowiedzieć te słowa - chciałam, by Mikołaj je usłyszał. Miałam nadzieję, że zrozumie, jakiego rodzaju przewagę nam to da, nawet jeśli nie mógłby pojąć, jaki gna mnie głód. - Myślę, że mogłabym zbudować własną armię.

- Żołnierzy światła?

- Taki jest pomysł.

Mikołaj mi się przyglądał. Widziałam, że starannie dobiera słowa.

- Mówiłaś mi kiedyś, że mierzost jest inna od Nauki Małej... że płaci się za nią wysoką cenę. - Skinęłam głową. - Jak wysoką, Alino?

Pomyślałam o ciele dziewczyny - zmiażdżonym pod lustrzanym naczyniem, o jej przekrzywionych goglach, o rozdartej na pół Marie w objęciach Siergieja, o Genii skulonej w szalu. Pomyślałam o ścianach cerkwi przypominających kawałki

krwawego pergaminu, ciasno zapisanych imionami zmarłych. Nie kierowało mną jednak wyłącznie święte oburzenie. Również moja własna potrzeba ognistego ptaka - przesunięta na drugi plan, lecz nieustannie paląca.

- To nie ma znaczenia - powiedziałam stanowczo. - Zapłacę ją.

Mikołaj rozważał chwilę moje słowa, potem powiedział:

- Doskonale.

-Tyle? Żadnych mądrych słów? Złowrogich ostrzeżeń?

- Na Świętych, Alino. Mam nadzieję, że nie liczyłaś, iż to ja będę głosem rozsądku. Żywię się wyłącznie niewskazanym entuzjazmem oraz serdecznym żalem. - Przerwał i jego uśmiech zgasł. - Ale naprawdę mi przykro z powodu żołnierzy, których straciłaś, i że tamtej nocy nie zrobiłem więcej.

Pod nami widziałam pierwsze białe przyczółki wiecznej zmarzliny, a daleko za nimi - zarys gór w oddali.

- Co mógłbyś zrobić, Mikołaju? Tylko byś zginął. Nadal możesz zginąć. - Słowa były brutalne, ale prawdziwe. W starciu z Darklingowymi żołnierzami cienia wszyscy - nieważne, jak błyskotliwi czy pomysłowi - byli niemal bezradni.

- Nigdy nic nie wiadomo - odparł Mikołaj. - Nie próżnowałem. Mogę jeszcze czymś Darklinga zaskoczyć.

- Proszę powiedz mi, że zamierzasz przebrać się za wilkra i wyskoczyć z tortu.

- Cóż, teraz już po niespodziance. - Odepchnął się od relingu. - Muszę przeprowadzić nas przez granicę. - Jaką granicę?

- Zmierzamy do Fjerdy.

- O, świetnie. Terytorium wroga. A już zaczynałam się odprężyć.

- To moje niebiosa - skwitował Mikołaj, puszczając do mnie oko. Potem pomaszerował po pokładzie, fałszywie gwizdząc dobrze mi znaną melodię.

Tęskniłam za nim. Za tym, jak mówił. Jak zabierał się do problemu. Jak wszędzie, gdzie się pokazał, sprowadzał nadzieję. Pierwszy raz od wielu miesięcy poczułam, że ucisk w mojej piersi nieco zelżał.

Sądziłam, że po przekroczeniu granicy udamy się nad wybrzeże, albo nawet do Ravki Zachodniej, lecz już wkrótce halsowaliśmy w kierunku łańcucha górskiego, który wypatrzyłam wcześniej. Z czasów, gdy byłam kartografką, wiedziałam, że są to najdalej wysunięte na północ szczyty Sikurzoju - łańcucha, który rozciągał się wzdłuż przeważającej części wschodniej oraz południowej granicy. Fjerdanie nazywali je Elbjem - Łokcie - choć kiedy się zbliżyliśmy, trudno było rozgryźć dlaczego. Były to kolosalne skupiska białego lodu i szarej skały, których szczyty wieńczył śnieg. Swoim ogromem przytłoczyłyby Petrazoj. Jeśli to były łokcie, nie chciałam wiedzieć, do czego są przytwierdzone.

Wzbijaliśmy się wyżej. Powietrze było lodowate, bo wpłynęliśmy w gęste chmury kryjące najbardziej strome granie. Kiedy wyłoniliśmy się nad chmurami, wyrwało mi się westchnienie zachwytu. Tutaj nieliczne turnie, które sięgały tak wysoko, by przebić zasłonę chmur, zdawały się unosić jak wyspy na białym morzu. Najwyższy wierzchołek wyglądał, jak gdyby ścisnęły go wielkie mroźne palce, a kiedy wymijaliśmy go łukiem, dopatrzyłam się w lodzie kształtów. Wąskie kamienne schody biegły zygzakiem w górę zbocza. Co za szalenieć by się tu wspinał? I w jakim celu?

Ominęliśmy górę i coraz bardziej zbliżaliśmy się do skały. Już miałam krzyczeć w panice, kiedy skręciliśmy ostro w prawo. Nagle znaleźliśmy się między dwoma zamarzniętymi ścianami.

„Pelikan” skręcił i wlecieliśmy do dudniącego echem, kamiennego hangaru.

Mikołaj rzeczywiście nie próżnował. Zgromadziliśmy się przy relingu i gapiliśmy na żywołową krzątaninę wokół nas. W hangarze cumowały trzy inne okręty: druga barka do przewozu ładunków, podobna do „Pelikana”, smukły „Zimorodek” oraz podobny statek o nazwie „Bąk”.

- To rodzaj czapli - rzekł Mał, wciągając parę pożyczonych butów. - Są mniejsze. Podstępne. - Podobnie jak „Zimorodek” „Bąk” miał dwa kadłuby, choć w tym przypadku były one bardziej płaskie i szersze u podstawy. Były także wyposażone w coś, co wyglądało na płozy.

Załoga Mikołaja przerzuciła liny przez reling „Pelikana”, a robotnicy podbiegli, by je złapać. Naprężyli je i przywiązali do stalowych haków umocowanych w ścianach oraz podłożu hangaru. Wylądowaliśmy z wstrząsem i ogłuszającym zgrzytem, gdy kadłub szorował o kamień.

David zmarszczył czoło z dezaprobatą.

- Za duży ciężar.

- Na mnie nie patrz - rzucił Tolia.

Jak tylko się zatrzymaliśmy, Tolia i Tamar zeskoczyli z relingu, wykrzykując powitania do członków załogi i robotników, których najwyraźniej znali z czasów na pokładzie „Volkvołnego”. Reszta naszej grupki poczekała, aż obniżą trap, i powoli zeszliliśmy z barki.

- Robi wrażenie - powiedział Mał.

Pokręciłam głową z zadziwieniem.

- Jak on to robi?

- Chcecie poznać moją tajemnicę? - zapytał Mikołaj zza naszych pleców. Oboje podskoczyliśmy. Pochylił się w naszą stronę,

łypnął okiem na prawo i lewo, i szepnął głośno: - Mam dużo pieniędzy.

Przewróciłam oczami.

- Nie, poważnie - zaoponował. - Dużo pieniędzy.

Mikołaj zlecił oczekującym robotnikom portowym naprawy, a potem powiódł naszą umęczoną gromadkę, patrzącą na wszystko szeroko rozwartymi oczyma, do wrót w skale.

- Wszyscy do środka - powiedział.

Skonsternowani, wcisnęliśmy się do małego, kwadratowego pomieszczenia. Ściany wyglądały na żelazne. Mikołaj zamknął drzwi naprzeciw wejścia.

- Depczesz mi po stopie - poskarżyła się Zoja zrzędliwie, ale byliśmy wszyscy tak bardzo ściśnięci, że nie wiadomo było, na kogo jest zła.

- Co to jest? - zapytałam.

Mikołaj opuścił dźwignię, a my wydaliśmy wspólny wrzask, bo pomieszczenie wystrzeliło do góry, a razem z nim - mój żołądek.

Zatrzymaliśmy się gwałtownie. Wnętrznosci opadły mi z impetem do samych stóp, a wrota się rozsunęły. Mikołaj wyszedł, składając się wpół ze śmiechu.

- Nigdy mi się to nie znudzi.

Wyszliśmy z pudła najszybciej, jak się dało - oprócz Davida, który został w środku i gmerał przy mechanizmie dźwigni.

- Ostrożnie - zawołał do niego Mikołaj. - Jazda w dół jest bardziej wyboista niż w górę.

Genia wzięła Davida pod rękę i wyciągnęła go.

- Święci - zakląłam. - Zapomniałam już, jak często mam ochotę cię zadźgać.

- Czyli jednak nie straciłem wycucia. - Zerknął na Genię i zapytał cicho: - Co spotkało tę dziewczynę?

- Długa historia - odparłam wymijająco. - Proszę powiedz mi, że macie tu schody. Wolę zamieszkać tu na zawsze, niż kiedyś wracać do tego czegoś.

- Oczywiście, że mamy tu schody, ale są znacznie mniej zajmujące. Poza tym kiedy już pochodzisz sobie po tych czterech piętrach dość razy, przekonasz się, że masz dużo bardziej otwarty umysł.

Już miałam się sprzeczać, ale kiedy się rozejrzałam dookoła, słowa mi umknęły. Jeśli hangar robił wrażenie, to było wręcz cudowne.

Było to największe pomieszczenie, w jakim się w życiu znalazłam - dwa, może trzy razy szersze i wyższe niż sala pod kopułą w Małym Pałacu. Uświadomiłam sobie, że to nawet nie jest pokój. Staliśmy na szczycie wydrążonej góry.

Teraz rozumiałam, co zobaczyłam, kiedy się zbliżyliśmy na pokładzie „Pelikana”. Mroźne palce stanowiły w istocie wielkie kolumny z brązu, odlane na kształt ludzi i stworów. Górowały nad nami, podtrzymując gigantyczne tafle szkła wychodzące na rozpościerający się poniżej ocean chmur. Szkło było tak przejrzyste, że rodziło się wrażenie niesamowitej, otwartej przestrzeni - jak gdyby niepowstrzymany podmuch wiatru mógł strącić mnie w pustkę na zewnątrz. Serce zaczęło mi walić.

- Oddychać głęboko - powiedział Mikołaj. - Na początku może to oszołamiać.

W pomieszczeniu roiło się od ludzi. Grupki tłoczyły się przy przygotowanych stokach kreślarskich oraz fragmentach maszyn. Inni oznaczali skrzynki towarów w swego rodzaju zaimprovizowanym magazynie. Osobny obszar wyznaczono na treningi - żołnierze ćwiczyli walkę stępienymi mieczami, podczas

gdy inni przyzywali szkwalniczy wiatr albo ciskali inferny płomień. Przez szkło widziałam tarasy, wystające na cztery strony świata niczym wierzchołki kompasu - na północ, południe, wschód i zachód. Dwa przeznaczono do ćwiczenia celności. Trudno było nie porównywać tego do zawilgłych, odizolowanych jaskiń Białego Soboru. Tutaj wszystko tętniło życiem i nadzieją. Na wszystkim Mikołaj odcisnął swoje piętno.

- Co to za miejsce? - zapytałam, kiedy powoli przedzieraliśmy się na drugą stronę.

- Pierwotnie był to ośrodek pielgrzymkowy... w czasach, gdy granice Ravki sięgały dalej na północ - odparł Mikołaj. - Monastyr Świętego Diemjana.

Sankt Diemjan od Szronu. To przynajmniej wyjaśniało, po co były te kręte schody, które widzieliśmy przelotnie. Jedyne wiara albo strach mogły kogokolwiek nakłonić do wspinaczki po takich schodach. Pamiętałam poświęconą Diemjanowi stronicę z *Istorii Sanktja*. Dokonał jakiegoś cudu w pobliżu północnej granicy. Byłam prawie pewna, że go ukamienowano.

- Kilkaset lat temu przekształcono monastyr w obserwatorium - ciągnął Mikołaj. Pokazał mi masywny mosiężny teleskop ustawiony w jednej ze szklanych nisz. - Jest opuszczone od ponad stu lat. Usłyszałam o nim podczas kampanii halmhendzkiej, ale niełatwo je było znaleźć. Teraz nazywamy je po prostu Kołowrotek.

Nagle uświadomiłam sobie, że brązowe kolumny przedstawiały gwiazdozbiory: Łowca z napiętym łukiem, Uczony pochylony nad badaniami, Trzej Głupi Synowie, garnący się do siebie, by nakryć się jednym płaszczem. Kwesor, Niedźwiedź, Żebrak. Ostrzyżona Dziewica władająca kościaną igłą. Łącznie dwanaście szprych Kołowrotka.

Musiałam odchylić głowę najbardziej, jak umiałam, żeby popatrzeć na wiszącą wysoko nad nami szklaną kopułę. Słońce zachodziło, a przez szkło widziałam, jak niebo przybiera nasycony, głęboki odcień granatu. Mrużąc oczy, mogłam wypatrzeć dwunastoramienną gwiazdę na środku kopuły.

- Tyle szkła - szepnęłam. W głowie mi wirowało. - Ale nie ma szadzi.

- Podgrzewane rury - rzekł David. - Są w podłodze. Zapewne również osadzone w kolumnach.

W tym pomieszczeniu rzeczywiście było cieplej. Nadal panował ziąb i nie chciałam się rozstawać z płaszczem ani czapką, ale w butach było mi ciepło w nogi.

- Pod nami znajdują się kotły - wyjaśnił Mikołaj. - Cała jednostka pracuje na stopionym śniegu oraz ciepłe z pary. Problemem jest paliwo, ale zbierałem węgiel.

- Od jak dawna?

- Od dwóch lat. Zaczęliśmy renowacje, kiedy kazałem przerobić dolne jaskinie na hangary. Nie jest to idealne miejsce na wakacje, ale niekiedy człowiek ma po prostu ochotę uciec od świata.

Byłam pod wrażeniem, ale zarazem wytrącona z równowagi. W towarzystwie Mikołaja zawsze tak było - patrzyłam, jak się zmienia i przekształca, przy okazji wyjawiając tajemnice. Przypominał mi drewniane matryoszki, jakimi bawiłam się jako dziecko. Tyle że Mikołaj nie stawał się coraz mniejszy, lecz coraz wspanialszy i bardziej tajemniczy. Jutro pewnie mi oznajmi, że zbudował sobie pałac rozrywki na księżycu. „Ciężki dojazd, ale za to jaki widok”.

- Rozejrzyjcie się - zwrócił się do nas Mikołaj. - Wycujcie to miejsce. Nevski wyładowuje w hangarze towar, a ja muszę się zająć naprawą kadłuba.

Pamiętałam Nevskiego. Był kiedyś żołnierzem w dawnym pułku Mikołaja - Dwudziestym Drugim - i nie przepadał za Griszami.

- Chciałabym zobaczyć się z Baghrą.

- Jesteś pewna?

- Ani trochę.

- Zabiorę cię do niej. Poćwiczę sobie, na wypadek gdybym miał kiedyś kogoś odprowadzać na stryczek. A jak się już dość poumartwiasz, ty i Orecev możecie zjeść ze mną kolację.

- Dziękuję - odparł Mal - ale powinienem się zająć zaopatrzeniem naszej wyprawy po ognistego ptaka.

Kiedyś, nie tak dawno temu, Mal cały by się zjeżył na myśl o tym, by zostawić mnie samą z Księciuniem Idealem, Mikołaj jednak miał na tyle przyzwoitości, że nie okazał zaskoczenia.

- Oczywiście. Poślę do ciebie Nevskiego, kiedy skończy. Może wam również pomóc zorganizować zakwaterowanie. - Klepnął Mala po ramieniu. - Miło cię widzieć, Orecev.

Mal odpowiedział szczerym uśmiechem.

- Ciebie też. Dzięki za ratunek.

- Każdy musi mieć jakieś hobby.

- Myślałem, że twoje hobby to stroszyć piórka.

- Dwa hobby.

Chwycili się krótko za ręce, a potem Mal się skłonił i odszedł razem z grupą.

- Powinienem czuć się urażony, że nie chce z nami jeść? - zapytał Mikołaj. - Pięknie zastawiam stół i bardzo rzadko się ślinię.

Nie chciałam wdawać się na ten temat w dyskusje.

- Baghra - ponagliłam.

- Na tym polu jęczmienia robił wrażenie - ciągnął Mikołaj, biorąc mnie za Łokieć i prowadząc, skąd przyszliśmy. - Nie widziałem wcześniej, by lepiej władał mieczem i bronią.

Przypomniało mi się, co powiedział Aparat: „Ludzie walczą za Ravkę z rozkazu króla”. Mał zawsze był utalentowanym tropicielem, ale był również żołnierzem - wszyscy nimi byliśmy, bo nie mieliśmy wyboru. O co teraz walczył? Pomyślałam o tym, jak rzucił się z siatkowej platformy, jak jego nóż przeorał gardło pospolitaka. „Jam się stał ostrzem”.

Wzruszyłam ramionami, bo chciałam zmienić temat.

- Poza trenowaniem pod ziemią za bardzo nie ma co robić.

- Przychodzi mi na myśl kilka ciekawszych sposobów na spędzanie czasu.

- To miała być aluzja?

- Cóż za kosmate masz myśli. Mówiłem o zagadkach oraz przeglądaniu tekstów ku pokrzepieniu ducha.

- Nie wsiądę więcej do tego żelaznego pudła - zapowiedziałam, kiedy podeszliśmy do wrót w skale. - Więc lepiej zaprowadź mnie do schodów,

- Dlaczego wszyscy zawsze tak mówią?

Westchnęłam z ulgą, kiedy schodziliśmy po szerokich, rozkosznie nieruchomych kamiennych schodach. Mikołaj wiódł mnie krętym pasażem. Zdjęłam płaszcz, bo zaczęłam się pocić. Podłoga bezpośrednio pod obserwatorium była znacznie cieplejsza, a kiedy mijaliśmy szerokie drzwi, zauważyłam labirynt parujących kotłów, które jaśniały i syczały w ciemności. Pot zrosił nawet wyrafinowane rysy twarzy niezmiennie wytwornego Mikołaja. Zdecydowanie zbliżaliśmy się do kryjówki Baghry. Tej kobiecie nigdy nie było ciepło. Zastanawiałam się, czy to nie dlatego, że tak rzadko używa swojej mocy. Mnie samej na pewno

nie udało się przewyciężyć panującego w Białym Soborze chłodu.

Mikołaj zatrzymał się przed żelaznymi drzwiami.

- Ostatnia szansa na ucieczkę.

- Idź - odparłam. - Ratuj sam siebie.

Westchnął.

- Pamiętaj, że byłem bohaterem. - Zapukał lekko do drzwi i weszliśmy do środka.

Odniosłam niepokojące wrażenie, że wstąpiliśmy prosto do chatki Baghry przy Małym Pałacu. Siedziała tu, skulona przy kaflowym piecu, ubrana w tę samą wypłowiałą keftę. Jej ręka spoczywała na lasce, którą z taką lubością mnie okładała. Ten sam służący jej czytał, a mnie zalał wstyd, kiedy uzmysłowiłam sobie, że nawet nie przyszło mi na myśl zapytać, czy uszedł on z życiem z Os Alty. Chłopak urwał czytanie, kiedy Mikołaj odchrząknął.

- Baghro - zagaił - jak się miewasz dziś wieczorem?

- Dalej jestem stara i ślepa - odburknęła.

- I czarująca - dodał Mikołaj przeciągle. - Nie zapominajmy o tym, że czarująca.

- Szczęnie.

- Wiedźma.

- Czego chcesz, zarazo?

- Przyprowadziłem ci gościa - rzekł Mikołaj i lekko mnie popchnął.

Dlaczego tak się denerwowałam?

- Witaj Baghro! - Wyksztusiłam.

Zastygła w bezruchu.

- Mała Świętoszka - mruknęła - powróciła, by zbawić nas wszystkich.

- Cóż, trzeba przyznać, że niemal przypłaciła to życiem, gdy próbowała nas uwolnić od twojego przeklętego pomiotu - rzucił Mikołaj lekko.

Zamrugałam. Mikołaj zatem wiedział, że Baghra jest matką Darklinga.

- Nawet męczeństwo ci nie wyszło, co? - Baghra zamachała w moją stronę. - Wejdz i zamknij drzwi, dziewczyno. Wypuszczasz ciepło. - Uśmiechnęłam się, słysząc znajome słowa. - A ty - warknęła w kierunku Mikołaja - idź gdzieś, gdzie cię chcą.

- Zostawia mi to szerokie pole manewru - powiedział Mikołaj. - Alino, przyjdę po ciebie na kolację, ale jeśli ogarnie cię niepokój, śmiało wybiegnij stąd z krzykiem albo dziabnij ją sztyletem. Wedle uznania.

- Wciąż tu jesteś? - sarknęła Baghra.

- Wychodzę, lecz żywię nadzieję, iż pozostanę w twoim sercu - odparł solennie. Potem mrugnął i znikł.

- Przeklęte chłopczysko.

- Ty go lubisz - powiedziałam z niedowierzaniem.

Baghra się skrzywiła.

- Chciwy. Arogancki. Za dużo ryzykuje.

- Odnoszę niemal wrażenie, że się o niego martwisz.

- Ty też go lubisz, mała Świętoszko - odparła lubieżnym tonem.

- Lubię - przyznałam. - Był dobry, kiedy mógł okazać okrucieństwo. To odświeżające.

- Za dużo się śmieje.

- Są gorsze wady.

- Na przykład sprzecznianie się ze starszymi? - zawarczała. Potem uderzyła laską o podłogę. - Chłopcze, skocz mi po coś słodkiego.

Sługa skoczył na nogi i odłożył książkę. Złapałam go, kiedy przebiegał koło mnie do drzwi.

- Chwileczkę - powiedziałam. - Jak się nazywasz?

- Misza - odparł. Jego włosy desperacko domagały się strzyżenia, ale poza tym wyglądał nieźle.

- Ile masz lat?

- Osiem.

- Siedem - fuknęła Baghra.

- Niecałe osiem - ustąpił. Był nieduży jak na swój wiek.

- Pamiętasz mnie?

Wyciągnął rękę niepewnie i dotknął poroża na mojej szyi, potem skinął głową z powagą.

- Sankta Alina - szepnął. Matka go nauczyła, że jestem Świętą, a wzgarda Baghry widocznie nie przekonała go, że jest inaczej. - Wiesz, gdzie jest moja mama? - zapytał.

- Nie wiem. Przykro mi. - Nie wydawał się nawet zaskoczony. Może nauczył się oczekiwać takiej odpowiedzi. - Jak ci się tu wiedzie?

Zerknął na Baghrę, potem na mnie.

- W porządku - powiedziałam. - Mów szczerze.

- Nie ma się z kim bawić.

Poczułam lekkie ukłucie, wspominając samotne dni w Keramzinie przed przybyciem Mala - jak mało starsze sieroty interesowały się kolejną zabiedzoną uciekinierką.

- To się może wkrótce zmienić. W międzyczasie chciałbyś nauczyć się walczyć?

- Sługom nie wolno walczyć - odparł, ale widziałam, że pomysł przypadł mu do gustu.

- Jestem Przyzywaczką Słońca i zezwalam ci - zignorowałam prychnięcie Baghry. - Idź poszukać Maliena Oreceva, on zdobędzie dla ciebie miecz do ćwiczeń.

Nie zdążyłam choćby mrugnąć, a chłopiec już wypadł z pokoju, z podniecenia praktycznie potykając się o własne stopy.

Kiedy wyszedł, zapytałam:

- Jego matka?

- Służka w Małym Pałacu. - Baghra owinęła się szalem ciasniej.
- Możliwe, że przeżyła. Niepodobna stwierdzić.

- Jak on to znosi?

- A jak myślisz? Mikołaj musiał go siłą zaciągnąć na ten przeklęty statek. Chociaż to mógł akurat być objaw zdrowego rozumu. Teraz przynajmniej mniej płacze.

Przesuwając książkę, żeby usiąść przy niej, zerknęłam na tytuł. *Religijne przypowieści*. Biedny dzieciak. Potem skoncentrowałam się na Baghrze. Przybrała nieco na wadze, siedziała na krześle mniej zgarbiona. Wydostanie się z Małego Pałacu dobrze jej zrobiło - nawet jeśli znalazła sobie drugą gorącą jaskinię, w której się kryła.

- Dobrze wyglądasz.

- Skąd mam wiedzieć - powiedziała cierpko. - Naprawdę chcesz zrobić to, o czym mówiłaś Miszy? Myślisz, żeby ściągnąć tu uczniów? - Dzieci z griszaickiej szkoły w Os Alcie ewakuowano do Keramzina, wraz z nauczycielami oraz Botkinem, moim dawnym instruktorem walki. Od wielu miesięcy dręczyła mnie myśl o ich bezpieczeństwie, a teraz mogłam nareszcie coś w tej sprawie zrobić.

- Jeżeli Mikołaj się zgodzi przyjąć ich do Kołowrotka, byłabyś skłonna ich uczyć?

- Hm - odparła z grymasem na twarzy. - Ktoś musi. Kto wie, jakich bzdur się uczyli u tamtych.

Uśmiechnęłam się. W rzeczy samej był to postęp. Mój uśmiech jednak znikł, gdy Baghra stuknęła mnie w kolano laską.

- Aua! - zaskowyczałam. Ta kobitka to umiała celować.

- Dawaj nadgarstki.

- Nie mam ognistego ptaka.

Ponownie uniosła laskę, ale odsunęłam się.

- Dobrze już, dobrze. - Chwyciłam ją za rękę i położyłam ją na moim nagim nadgarstku. Pomacała mnie prawie do łokcia. Spytałam: - Skąd Mikołaj wie, że jesteś matką Darklinga?

- Zapytał. Jest bardziej spostrzegawczy niż wy głupcy. - Widocznie uwierzyła, że nie ukrywam trzeciego wzmacniacza jakimś sposobem, bo stęknęła i puściła moją rękę.

- A ty mu ot, tak powiedziałaś?

Baghra westchnęła.

- To sekrety mojego syna - powiedziała ze znużeniem. - Dochowywanie ich to już nie moje zadanie. - Odchyliła się. - Czyli znowu poniosłaś porażkę i go nie zabiłaś.

- Tak.

- Nie mogę powiedzieć, że żałuję. Ostatecznie jestem jeszcze słabsza od ciebie, mała Świętoszko.

Zawahałam się, a potem palnęłam.

- Użyłam mierzosty.

Otworzyła zasnute cieniem oczy gwałtownie.

- Że co zrobiłaś?

- Ja... nie zrobiłam tego sama. Wykorzystałam więc między nami... tę stworzoną przez obrożę... aby przejąć kontrolę nad mocą Darklinga. Stworzyłam nisztroje.

Baghra na oślep złapała mnie za rękę. Schwyciła mnie za nadgarstki boleśnie.

- Nie wolno ci tego robić, dziewczyno. Nie wolno igrać z taką potęgą. Tak powstała Fałda. Z tego może wypłynąć tylko nieszczęście.

- Możliwe, że nie będę miała wyboru, Baghro. Wiemy, gdzie jest ognisty ptak... tak się nam przynajmniej wydaje. Kiedy go znajdziemy...

- Poświęcisz kolejne pradawne życie w interesie własnej potęgi.

- Niekoniecznie - zaproponowałam słabowicie. - Jeleniowi okazałam miłosierdzie. Może ognisty ptak nie musi umierać.

- Posłuchaj, co ty opowiadasz. To nie jest jakaś bajka dla dzieci. Jeleń musiał zginąć, abyś mogła posiąść jego moc. Nie inaczej jest z ognistym ptakiem, a tym razem krew splami twoje ręce. - Potem zaśmiała się swoim cichym, posępnym rechotem. - Ta myśl nie przeszkadza ci tak bardzo, jak powinna, prawda, dziewczyno?

- Nie - przyznałam.

- Nie dbasz o to, co jest do stracenia? O szkody, jakich możesz narobić?

- Dbam - powiedziałam żałośnie. - Właśnie że dbam. Ale nie mam innego wyjścia, a nawet gdybym miała...

Puściła moje ręce.

- I tak byś go szukała.

- Nie będę się tego wypierać. Pragnę ognistego ptaka. Pragnę mocy połączonych wzmacniaczy. Nie zmienia to jednak faktu, że żadna armia złożona z ludzi nie da rady stawić czoła Darklingowym żołnierzom cienia.

- Abominacja przeciw abominacji.

Jeżeli tego będzie trzeba. Straty były już za duże, bym teraz odwróciła się od jakiegokolwiek broni, która dałaby mi siłę

zwyciężyć w tej walce. Z pomocą Baghry czy bez niej - będę musiała znaleźć sposób, by nauczyć się władać mierzostią.

Zawahałam się.

- Baghro, czytałam dzienniki Morozova.

- Czyżby? Wydały ci się stymulującą lekturą?

- Nie, doprowadzały mnie do szału.

Ku mojemu zaskoczeniu zaśmiała się.

- Mój syn ślęczał nad tymi kartkami, jak gdyby to było święte pismo. Przeczytał je pewnie z tysiąc razy, każde słowo podając w wątpliwość. Zaczął przypuszczać, że w tekście są zawarte ukryte kody. Przysuwał kartki do ognia, szukając atramentu sympatycznego. W końcu przeklął imię Morozova.

Podobnie jak ja. Jedynie obsesja Davida trwała. Niemalże przyplacił ją życiem, kiedy uparcie ciągnął z sobą ten plecak.

Gorąco nie chciałam o to pytać, nie chciałam nawet ubierać tej możliwości w słowa, ale zmusiłam się, by to zrobić.

- Czy jest... czy to możliwe, że Morozov nie dopełnił cyklu? Czy to możliwe, że nie stworzył trzeciego wzmacniacza?

Przez chwilę milczała. Jej ślepe oczy wpatrywały się jakby z oddali w coś dla mnie niewidocznego.

- Niemożliwe, żeby Morozov nie dokończył dzieła - powiedziała łagodnie. - To byłoby nie w jego stylu. Coś w jej słowach sprawiło, że dostałam gęziej skórki. Naszło mnie wspomnienie: Baghra w Małym Pałacu położyła dłonie na obroży na mojej szyi. „Żałuję, że nie widziałam jelenia”.

- Baghro...

Od drzwi dobiegł głos:

- Soverena maja. - Podniosłam oczy na Mala, zirytowana, że nam przeszkodził.

- O co chodzi? - zapytałam. Rozpoznałam ton własnego głosu - przybierałam go, ilekroć chodziło o ognistego ptaka.

- Jest problem z Genią - rzekł. - I z królem.

7.

Skoczyłam na równe nogi.

- Co się stało?

- Siergiejowi wymknęło się, jak się naprawdę nazywa. Wydaje się, że rozmowa z Wysokością odpowiada mu chyba tak bardzo jak z jaskinią.

Warknęłam z frustracją. Genia odegrała kluczową rolę w spisku Darklinga mającym na celu obalenie króla. Starłam się okazać Siergiejowi cierpliwość, ale teraz naraził ją na niebezpieczeństwo i wystawił na szwank naszą pozycję wobec Mikołaja.

Baghra wyciągnęła rękę i złapała mnie za spodnie, kiwając głową w stronę Mala:

- Kto to?

- Kapitan mojej straży.

- Grisza?

Zmarszczyłam czoło.

- Nie, otkazacja.

- Brzmi...

- Alino - rzekł Mal. - W tej chwili po nią idą.

Odczepiłam palce Baghry.

- Muszę iść. Przyślę do ciebie z powrotem Miszę.

Wybiegłam z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Mal i ja pognaliśmy po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Słońce dawno już zaszło i w Kołowrotku zapalono latarnie. Na zewnątrz widziałam gwiazdy wyłaniające się znad chmur. W obszarze treningowym zebrała się grupka żołnierzy z błękitnymi przepaskami na ramionach. Sprawiali wrażenie, jak gdyby lada moment mieli dobyć broni przeciw Toli i Tamar. Widząc, jak moi Eterealnicy rozstawili się za bliźniętami i osłaniają Genię oraz Davida, poczułam przyływ dumy. Po Siergieju nie było śladu. Prawdopodobnie dobrze się składało, bo nie miałam czasu przyłożyć mu tak, jak sobie na to zasłużył.

- Już jest! - zawołała Nadia, kiedy nas spostrzegła.

Podeszłam prosto do Genii.

- Król czeka - powiedział jeden ze strażników.

Z zaskoczeniem usłyszałam, jak Zoja odpala:

- Niech sobie czeka.

Objęłam Genię i odprowadziłam ją nieco na bok. Cała się trzęsła.

- Posłuchaj mnie - wygładziłam jej włosy. - Nikt cię nie skrzywdzi. Rozumiesz?

- Alina, to król - powiedziała z przerażeniem w głosie.

- Nie jest już królem niczego - przypomniałam jej. Mówiłam z pewnością siebie, której nie czułam. Sytuacja w okamgnieniu mogła przybrać fatalny obrót, ale trzeba było się z nią zmierzyć.

- Musisz stawić mu czoło.

- Że też on mnie zobaczy.. w takim poniżeniu...

Zmusiłam ją, by spojrzała mi w oczy.

- Nie zostałeś poniżona. Sprzeciwiłaś się Darklingowi, żeby dać mi wolność. Nie pozwolę, by tobie ją odebrano.

Podszedł do nas Mal.

- Straże się denerwują.

- Nie dam rady - powiedziała Genia.

- Dasz.

Mal delikatnie położył jej rękę na ramieniu.

- Jesteśmy z tobą.

Łza stoczyła się po jej policzku.

- Dlaczego? Jeszcze w Małym Pałacu donosiłam na Alinę. Paliałam jej listy do ciebie. Pozwoliłam jej wierzyć...

- Na statku Sturmhonda stanęłaś między nami a Darklingiem - rzekł Mal tym samym stanowczym głosem, który znałam z obwału. - Nie rezerwuję przyjaźni dla ludzi doskonałych. I - Świętym niech będą dzięki - Alina też nie.

- Zaufasz nam? - zapytałam.

Genia przełknęła i zrobiła wdech, zbierając siły, by przybrać opanowaną, swobodną pozę, która niegdyś przychodziła jej tak łatwo. Podciągnęła szal.

- Dobrze - powiedziała.

Wróciliśmy do grupy. David spojrzał na nią pytająco, a ona chwyciła go za rękę.

- Jesteśmy gotowi - zwróciłam się do żołnierzy. Mal i bliźnięta poszli krok w krok z nami, lecz ja uniosłam rękę, by uprzedzić pozostałych Griszów.

- Zostańcie tutaj. - Potem dodałam ciszej: - I bądźcie czujni. - Na rozkaz Darklinga Genia niemalże popełniła królobójstwo, a Mikołaj o tym wiedział. Jeśli dojdzie do walki, nie miałam pojęcia, jak wydostaniemy się z tej góry. Szliśmy za strażnikami przez obserwatorium oraz korytarz wiodący w dół po niedługich schodach. Kiedy minęliśmy róg, dobiegł mnie głos króla. Nie dosłyszałam wszystkiego, co mówił, ale słowa „zdrada stanu” nie uszły mojej uwagi.

Zatrzymaliśmy się w wejściu uformowanym przez włócznie dzierżone przez dwa brązowe posągi - Aloszę i Arkadego, Jeźdźców z Ivecu o zbrojach wysadzanych żelaznymi gwiazdami. Niezależnie od tego, jaką funkcję pełniło niegdyś to pomieszczenie, teraz była to sala do porad wojennych. Ściany były pokryte mapami i planami, a na wielkim stole kreślarskim leżało pełno rupieci. Mikołaj opierał się o biurko ze skrzyżowanymi rękoma i nogami. Minę miał zatroskaną.

Z trudem rozpoznałam króla i królową Ravki. Kiedy ostatni raz widziałam królową, spowijał ją różowy jedwab i ociekała brylantami. Teraz miała na sobie wełniany sarafan nałożony na prostą wiejską bluzkę. Jej blond włosy - bez kunsztu Genii matowe i sianowate - zwinięte były w niestaranny węzeł. Król najwyraźniej nadal gustował w wojskowym odzieniu. Złoty warkocz oraz atlasowa szarfa jego galowego mundurku przepadły, a zastąpiła je bura odzież Pierwszej Armii, która gryzła się z jego słabowitą budową i siwiejącym wąsem. Opierał się o krzesło żony. Wydawał się wątły. Zgarbione ramiona oraz luźna skóra jasno ukazywały, co zrobiła mu Genia.

Kiedy weszłam, król wybałuszył oczy niemal komicznie.

- Nie prosiłem, żeby ta wiedźma przyszła.

Zmusiłam się, by się uklonić, w nadziei, że odrobina dyplomacji, której nauczyłam się od Mikołaja, przysłuży mi się.

- Carze mój.

- Gdzie jest zdrajczyń? - szcęknął król. Z dolnej wargi oderwało się trochę śliny.

No to po dyplomacji.

Genia zrobiła niewielki krok naprzód. Kiedy opuszczała szal, drżały jej ręce. Król stracił oddech. Królowa zakryła usta.

Milczenie w pokoju przypominało ciszę po wystrzale z armaty. Widziałam, jak Mikołaj pojmuje, co się stało. Zerknął na mnie,

zaciskając zęby. Może wprost go nie okłamałam, ale efekt był taki sam.

- Co to ma być? - burknął król.

- To jest cena, którą zapłaciła za to, że mnie uratowała - oznajmiłam. - Za to, że sprzeciwiła się Darklingowi.

Król się skrzywił.

- Zdradziła koronę. Żądam jej głowy.

Ku mojemu zaskoczeniu Genia zwróciła się do Mikołaja:

- Przyjmę karę, jeśli on też swoją przyjmie.

Król zrobił się purpurowy na twarzy. Może dostanie zawału i oszczędzi nam kłopotu.

- Milcz w obliczu lepszych od siebie!

Genia uniosła brodę.

- Nie ma tu lepszych ode mnie.

Nie ułatwiała mi sprawy, ale i tak miałam ochotę bić brawo. Królowa wybełkotała:

- Jeśli myślisz, że...

Genia dygotała, ale odparła mocnym głosem:

- Jeśli nie można go sądzić za porażki w roli króla, niech zostanie rozliczony z porażek w roli mężczyzny.

- Ty niewdzięczna dziwko - wycedził król.

- Dosyć - rzekł Mikołaj. - Oboje.

- Jestem królem Ravki. Nie pozwolę...

- Jesteś królem bez tronu - powiedział Mikołaj cicho. - I z całym szacunkiem proszę... powściągnij język.

Król zamknął usta; żyłka pulsowała mu w skroni. Mikołaj założył ręce za plecy.

- Geniu Safin, jesteś oskarżona o zdradę stanu oraz próbę zabójstwa.

- Gdybym chciała go zabić, już by nie żył.

Mikołaj popatrzył na nią ostrzegawczo.

- Nie próbowałam go zabić - powiedziała.

- Ale coś królowi zrobiłaś, coś, po czym... zdaniem nadwornych medyków... nigdy nie dojdzie do siebie. Co to było?

- Trucizna.

- Z pewnością można by było ją wytropić.

- Nie tę truciznę. Sama ją stworzyłam. Jeżeli podawać ją w niewielkich dawkach przez wystarczająco długi czas, symptomy są łagodne.

- Alkaloid pochodzenia roślinnego? - zapytał David.

Pokiwała głową.

- Kiedy odłoży się w organizmie ofiary i przekroczy próg, narządy zaczynają zawodzić i degeneracja jest nieodwracalna. To nie jest zabójca, lecz złodziej. Kradnie lata. A on już ich nigdy nie odzyska.

Gdy usłyszałam satysfakcję w jej głosie, obleciał mnie lekki dreszcz. Opisała nie prozaiczną truciznę, lecz kunszt dziewczyny między Korporalniczką i Fabrykatorką. Dziewczyny, która spędzała mnóstwo czasu w warsztatach Materialników.

Królowa pokręciła głową.

- Niewielkie dawki przez długi czas? Nie miała takiego dostępu do naszych posiłków...

- Zatrulałam swoją skórę - rzuciła Genia szorstko - swoje usta. Ilekroć więc mnie dotykał... - zadrżała lekko i popatrzyła na Davida. - Ilekroć mnie całował, przyjmował do swego ciała chorobę. - Zacisnęła pięści. - Sam to na siebie ściągnął.

- Ale trucizna musiałaby oddziaływać również na ciebie - zauważył Mikołaj.

- Musiałam oczyścić z niej skórę, a potem leczyć blizny po ługu. Za każdym razem. - Nadal zaciskała pięści. - Warto było.

Mikołaj potarł ręką usta.

- Przymusił cię?

Genia raz skinęła głową. Mięsień drgnął Mikołajowi w policzku.

- Ojczy? - zapytał. - Przymusiłeś ją?

- To służąca, Mikołaju. Nie musiałem jej przymuszać.

Po długiej chwili Mikołaj rzekł:

- Geniu Safin, kiedy skończy się ta wojna, staniesz przez sądem za zdradę królestwa oraz za spiskowanie z Darklingiem przeciwko koronie.

Po twarzy króla rozlał się zadufany uśmiech. Ale Mikołaj jeszcze nie skończył.

- Ojczy, jesteś chory. Służyłeś koronie oraz ludowi Ravki, a teraz nastąpiła pora na należyty odpoczynek. Dzisiaj napiszesz list abdykacyjny.

Król zaczął mrugać z konsternacją - powieki goniły mu, jak gdyby nie mógł pojąć, co słyszy.

- Nic podobnego nie...

- Napiszesz list, a jutro wyjedziesz na pokładzie „Zimorodka”. Okręt zabierze cię do Os Kervo, gdzie bezpiecznie wsiądziesz na pokład „Volkvołnego” i przepłyniesz Morze Prawdziwe. Możesz się udać w jakieś ciepłe miejsce, może do Kolonii Południowych.

- Do Kolonii? - zachłysnęła się królowa.

- Będziesz miał do dyspozycji wszelkie luksusy. Znajdziesz się daleko od strefy walki oraz poza zasięgiem Darklinga. Będziesz bezpieczny.

- Ja jestem królem Ravki! Ta... ta zdrajczynie, ta...

- Jeżeli pozostaniesz tutaj, zadbam o to, byś stanął przed sądem za gwałt.

Królowa chwyciła się za serce.

- Mikołaju, nie możesz naprawdę tego zamierzać.

- Ona była pod twoją opieką, mamó.

- Ona jest służącą!

- A ty jesteś królową. Twoi poddani to twoje dzieci. Wszyscy.

Król ruszył na Mikołaja.

- Wypędzasz mnie z własnego kraju pod takim lekkim zarzutem...

Słyszac to, Tamar zabrała głos:

- Lekkim? Byłby taki lekki, gdyby z urodzenia była szlachcianką?

Mał skrzyżował ręce na piersi i rzekł:

- Gdyby z urodzenia była szlachcianką, w życiu by się nie poważył.

- To najlepsze rozwiązanie - powiedział Mikołaj.

- To w ogóle nie jest żadne rozwiązanie! - warknął król. - To tchórzostwo!

- Nie mogę przejść obojętnie obok tej zbrodni.

- Nie masz prawa, nie masz władzy. Kimże ty jesteś, żeby być sędzią wobec swojego króla?

Mikołaj wyprostował się.

- To są prawa Ravki, a nie moje. Nie powinny się uginać pod naporem pozycji czy statusu. -Łagodniejszym tonem ciągnął: - Wiesz, że tak będzie najlepiej. Zdrowie ci nie dopisuje. Potrzebujesz odpoczynku i jesteś za słaby, by poprowadzić nasze siły na Darklinga.

- Tylko popatrz! - ryknął król.

- Ojczy - powiedział Mikołaj delikatnie - ludzie za tobą nie pójda.

Król zmrużył oczy.

- Wasyl był wart dwóch takich jak ty. Ty jesteś słabeuszem i głupcem, co myśli pospolicie i ma pospolitą krew

Mikołaj drgnął.

- Możliwe - odparł. - Ale napiszesz ten list i wsiądziesz na pokład „Zimorodka” bez oporów. Opuścisz to miejsce albo staniesz przed sądem, a jeśli okaże się, że jesteś winien, zawiśniesz.

Królowa załkała cicho.

- Moje słowo przeciwko jej słowu - powiedział król, machając palcem w stronę Genii. - Ja jestem królem...

Weszłam między nich.

- A ja jestem Świętą. Przekonamy się, czyje słowo waży więcej?

- Zamknij gębę, groteskowa więdźmo. Trzeba było rozkazać cię zabić, kiedy miałem okazję.

- Dosyc - zachnął się zniecierpliwiony Mikołaj. Skinął na strażę przy drzwiach. - Odprowadźcie mojego ojca i matkę do ich pokojów. Trzymajcie przy nich straż i dopilnujcie, żeby z nikim nie rozmawiali. Rano chcę widzieć twoją abdykację, ojczy, a jak nie, to każę cię zakuć w kajdany.

Król powiódł wzrokiem od Mikołaja do strażników, którzy teraz go otaczali. Królowa trzymała go kurczowo za ramię. W jej błękitnych oczach malował się popłoch.

- Żaden z ciebie Lancov - warknął król.

Mikołaj tylko się skłonił.

- Przekonałem się, że potrafię z tym żyć.

Dał sygnał strażom. Schwycili króla, lecz ten im się wyrwał. Podeszedł do drzwi, oburzony i zły, siłąc się na przybranie szczątków godności.

Przed Genią zatrzymał się na chwilę i otaksował jej twarz.

- Teraz przynajmniej wyglądasz tak, jaka jesteś - powiedział jej.
- Zrujnowana.

Widziałam, że to słowo ubodło ją jak policzek. Razrusza'ja. Zrujnowana. Przydomek, który pielgrzymi szeptali na początku jej pobytu wśród nich. Mał zrobił krok do przodu. Tamar złapała za toporki, usłyszałam głuchy warkot Tolii. Ale Genia uciszyła ich gestem ręki. Kręgosłup jej się wyprężył, ocalałe oko płonęło pewnością.

- Pamiętaj o mnie, kiedy będziesz wchodził na pokład statku, carze mój. Pamiętaj o mnie, kiedy rzucisz ostatnie spojrzenie na Ravkę, znikającą za horyzontem. - Pochyliła się i wyszeptała coś do niego. Król pobladł, a w jego oczach odmalował się autentyczny strach. Genia odsunęła się i powiedziała: - Mam nadzieję, że warto było mnie posmakować.

Straże wyprowadziły króla i królową pośpiesznie z pokoju. Do ich wyjścia Genia trzymała brodę w górze.

Potem zgarbiła ramiona. David ją objął, ale strąciła jego ręce.

- Nie! - syknęła, ocierając napływające łzy. Tamar ruszyła do przodu w tej samej chwili, kiedy ja się odezwałam:

- Geniu...

Uniosła dłonie, hamując nas gestem.

- Nie chcę waszej litości - rzuciła zajadle. Mówiła głosem chrapliwym, dzikim. Staliśmy przed nią bezradni. - Nie rozumiecie. - Zakryła twarz dłońmi. - Żadne z was nie rozumie.

- Geniu... - podjął próbę David.

- Ani mi się waż - powiedziała ochryple. Łzy znów stanęły jej w oczach. - Nawet się na mnie nie obejrzałeś, nim stałam się taka, nim mnie zniszczono. Teraz patrzysz na mnie tylko jak na coś do naprawy.

Desperacko pragnęłam znaleźć słowa, które mogłyby ją ukoić, ale zanim mi się to udało, David wyprostował ramiona i oznajmił:

- Znam się na metalu.

- A co to ma w ogóle ma do rzeczy? - zawołała Genia.

David zmarszczył brwi.

- Ja... nie rozumiem połowy z tego, co się dzieje wokół mnie. Nie znam się na żartach, zachodach słońca ani na poezji, ale na metalu... tak. - Palce mu drgnęły mimowolnie, jak gdyby fizycznie łapał słowa. - Piękno było twoją zbroją. Krucha rzecz, wyłącznie na pokaz. Ale to, co masz w środku? Stal. Dzielne i niezłomne. I tego nie trzeba naprawiać. - Nabrał powietrza głęboko, a potem zrobił niezręczny krok do przodu. Ujął jej twarz w dłonie i ją pocałował.

Genia zeszywniała. Myślałam, że go odepchnie. Ale wtedy zarzuciła mu ramiona na szyję i odwzajemniła pocałunek. Dobitnie.

Mał odkaszlnął, a Tamar zagwizdała cicho. Ja musiałam przygryźć wargę, żeby powstrzymać nerwowy śmiech.

Oderwali się od siebie. David czerwieniał się wściekle. Genia uśmiechała się tak olśniewająco, że serce mi się ścisnęło w piersi.

- Musimy cię częściej wyprowadzać z warsztatu - powiedziała.

Tym razem się zaśmiałam. Śmiech się urwał, gdy Mikołaj się odezwał:

- Nie myśl, że możesz spać spokojnie, Geniu Safin - mówił głosem zimnym i głęboko znużonym. - Kiedy ta wojna dobiegnie końca, staniesz przed sądem i zdecyduję, czy ci darować.

Genia skłoniła się z wdziękiem.

- Nie lękam się twojej sprawiedliwości, carze mój.

- Nie jestem jeszcze królem.

- Carewicz mój - poprawiła się.

- Idźcie - odprawił nas skinieniem ręki. Kiedy się zawahałam, dodał po prostu: - Wszyscy.

Kiedy drzwi się zamykały, widziałam, jak opadł na stół kreślarski z głową w rękach.

Wróciłam za innymi do hallu. David mamrotał do Genii o właściwościach alkaloidów roślinnych oraz pyłu berylowego. Nie byłam pewna, czy to rozważne, by wspólnie zmawiali się na temat trucizn, ale pewnie w ich przypadku była to romantyczna chwila.

Na myśl o powrocie do Kołowrotka zaczęłam powlóczyć stopami. Był to jeden z najdłuższych dni w moim życiu, a chociaż panowałam wcześniej nad wyczerpaniem, teraz osiadło ono na moich ramionach jak przemoczony płaszcz. Uznałam, że Genia albo Tamar mogą przekazać pozostałym Griszom informacje o tym, co zaszło, a Siergiejem zajmę się jutro. Zanim jednak namierzę swoje łóżko i na nie padnę, musiałam się czegoś dowiedzieć.

Na schodach złapałam Genię za rękę.

- Co wyszeptałaś? - zapytałam cicho. - Królowi.

Patrzyła, jak pozostali wchodzą po schodach, potem odparła:

- Na razrusza'ja. E'ja razruszost. - Nie jestem zrujnowana. Jam jest ruiną.

Uniosłam brwi.

- Przypomnij mi, żeby zawsze podchodzić do ciebie od dobrej strony.

- Kochana - rzuciła, obracając ku mnie najpierw jeden, a potem drugi pokryty bliznami policzek. - Ja już nie mam dobrej strony. -

Mówiła lekkim tonem, lecz słyszałam w jej głosie również smutek. Mrugnęła do mnie jedynym okiem i zniknęła na schodach.

* * *

Z pomocą Nevskiego Mal zorganizował nam miejsce do spania, więc przypadło mu w udziale odprowadzić mnie do mojej kwatery - kilku pokoi po wschodniej stronie góry. Framugę drzwi tworzyły zaciśnięte ręce dwóch panien z brązu - sądziłam, że mogą one uosabiać Gwiazdę Poranną i Wieczorną. W środku jedną ze ścian niemal całkowicie wypełniało okrągłe okno, okolone nitowanym mosiądzem, tak że przypominało bulaj na statku. Latarnie się paliły, a chociaż za dnia widok zapewne będzie spektakularny, teraz nie było widać nic poza odbiciem mojej własnej zmęczonej twarzy.

- Bliźnięta i ja jesteśmy za ścianą - powiedział Mal. - A jedno z nas będzie stało na posterunku, kiedy będziesz spała.

Koło miednicy czekał na mnie dzbanek gorącej wody. Obmyłam twarz, kiedy Mal zdawał sprawę z zakwaterowania, które zapewnił pozostałym Griszom, ile czasu potrwa wyposażenie naszej wyprawy w Sikurzoj oraz jak chciał podzielić grupę. Staralam się słuchać, ale w pewnym momencie mój umysł przestał pracować. Usiadłam na kamiennej ławie przy parapecie.

- Przepraszam - powiedziałam. - Po prostu nie dam rady.

Stał tak, a ja niemalże widziałam, jak się zмага sam z sobą, czy przy mnie usiąść. Ostatecznie nie ruszył się z miejsca.

- Uratowałaś mi dzisiaj życie - powiedział.

Wzruszyłam ramionami.

- A ty mi. To tak jakby nasze zajęcie.

- Wiem, że nie jest łatwo zabić pierwszy raz.

- Ponośzę odpowiedzialność za wiele śmierci. W tym przypadku nie powinno być inaczej.

- Ale jest.

- Podobnie jak my był żołnierzem. Pewnie ma gdzieś rodzinę, dziewczynę, którą kocha, może nawet dziecko. Był, a potem po prostu... już go nie było. - Wiedziałam, że powinnam na tym poprzestać, ale musiałam wypuścić te słowa. - A wiesz, co było naprawdę przerażające? Że to rzeczywiście było łatwe.

Mał milczał dłuższą chwilę, potem się odezwał:

- Nie jestem pewien, kto pierwszy zginął z mojej ręki. Polowaliśmy na jelenia, kiedy na północnej granicy natknęliśmy się na fjerdański patrol. Walka trwała raptem kilka minut, ale zabiłem trzech ludzi. Wykonywali swoje zadanie... tak samo jak ja, starali się przeżyć z dnia na dzień, aż tu nagle wykrwawiali się na śniegu. Nie sposób stwierdzić, który poległ jako pierwszy, nie jestem zresztą pewien, czy to ma znaczenie. Trzyma się ich na dystans. Twarze zaczynają się zamazywać.

- Naprawdę?

- Nie.

Zawahałam się. Nie mogłam na niego patrzeć, kiedy wyszeptalam:

- To było przyjemne. - Nic nie odpowiedział, więc brnęłam dalej: - Nieważne, dlaczego używam Cięcia, jak używam potęgi. To zawsze jest przyjemne.

Bałam się na niego spojrzeć, bałam się odrazy w jego oczach - albo, co gorsza, lęku. Kiedy jednak zmusiłam się, by podnieść wzrok, twarz Mała wyrażała zadumę.

- Mogłaś powalić Apparata i całą jego Straż Kapłańską, ale tego nie zrobiłaś.

- Chciałam.

- Ale tego nie zrobiłaś. Miałaś mnóstwo okazji, by postąpić brutalnie, okrutnie. Z żadnej z nich nie skorzystałaś.

- Na razie. Ognisty ptak...

Pokręcił głową.

- Ognisty ptak nie zmieni tego, kim jesteś. Nadal będziesz dziewczyną, która dostała za mnie lanie, mimo że to ja rozbiłem pozłacany zegar Any Kuyi.

Jęknęłam i pokazałam go palcem oskarżycielsko.

- A ty mi na to pozwoliłeś.

Zaśmiał się.

- Oczywiście, że ci pozwoliłem. Ta kobieta jest przerażająca. - Potem spoważniał. - Nadal będziesz dziewczyną, która była gotowa poświęcić własne życie, żeby nas ratować w Małym Pałacu, tą samą dziewczyną, którą właśnie obserwowałem, jak popiera służącą przeciwko królowi.

- Ona nie jest służącą tylko...

- Przyjaciółką. Wiem. - Zawahał się. - Rzecz w tym, Alino, że Luchenko miał rację.

Chwilę trwało, nim skojarzyłam nazwisko z przywódcą oddziału pospolitaków.

- W jakiej kwestii?

- Z tym krajem jest coś nie tak. Nie ma ziemi. Nie ma życia. Tylko mundur i strzelba. Też tak kiedyś myślałem.

Tak było. Był skłonny opuścić Ravkę, nie oglądając się za siebie.

- Co się zmieniło?

- Ty. Zobaczyłem to tej nocy w kaplicy. Gdybym się tak nie bał, zobaczyłbym to wcześniej.

Pomyślałam o ciele pospolitaka, rozpadającym się na kawałki.

- Może słusznie się bałeś.

- Nie ciebie się bałem, Alino. Bałem się ciebie stracić. Dziewczyna, którą się stawiałaś, już mnie nie potrzebowała, ale to taką osobą zawsze było ci przeznaczone zostać.

- Żądną władzy? Bezwzględną?

- Silną. - Odwrócił wzrok. - Świetlistą. Może też trochę bezwzględną. Tego trzeba, by rządzić. Ravka jest rozbita, Alino. Chyba zawsze taka była. Dziewczyna, którą widziałem w kaplicy, mogłaby to zmienić.

- Mikołaj...

- Mikołaj to urodzony przywódca. Potrafi walczyć. Uprawiać politykę. Ale nie wie, jak to jest żyć bez nadziei. Nigdy nie był niczym. Nie tak jak ty czy Genia. Nie tak jak ja.

- To dobry człowiek - zaoponowałam.

- I będzie dobrym królem. Ale potrzebuje ciebie, żeby stać się królem wielkim.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Przycisnęłam palec do szklanej szyby, a potem starłam płamę rękawem. - Zapytam go, czy mogę tu ściągnąć uczniów z Keramzina. Również sieroty.

- Weź go z sobą, kiedy po nich pojedziesz - rzekł Mal. - Powinien zobaczyć, skąd pochodzisz. - Zaśmiał się. - Przedstaw go Anie Kul.

- Już i tak wydałam Mikołaja na pastwę Baghry. Jeszcze uzna, że kolekcjonuję wstrętne stare baby. - Znów odcisnęłam palec na szkło. Nie patrząc na niego, powiedziałam: - Mal, opowiedz mi o tatuażu.

Milczał przez chwilę. Wreszcie potarł się ręką po karku i rzekł:

- To przysięga po staroravczańsku.

- Ale czemu ten znak?

Tym razem się nie zaczerwienił ani nie odwrócił.

- To obietnica, że będę lepszy, niż byłem. Przysięga, że jeśli nie mogę być dla ciebie niczym innym, to przynajmniej będę bronią w twoim ręku. - Wzruszył ramionami. - No i chyba przypomnienie, że pragnąć a zasługiwać to nie to samo.

- A czego ty chcesz, Mal? - Pokój wydawał się bardzo cichy.

- Nie pytaj mnie o to.

- Czemu nie?

- Bo to niemożliwe.

- I tak chcę to usłyszeć.

Wypuścił powietrze powoli.

- Powiedz mi dobranoc. Każ mi wyjść, Alino.

- Nie.

- Potrzebna ci armia. Korona.

- Tak.

Zaśmiał się wtedy.

- Wiem, że powinienem powiedzieć coś szlachetnego - pragnę zjednoczonej Ravki, wyzwolonej od Fałdy. Pragnę, by Darkling trafił do piachu, gdzie już nigdy nie skrzywdzi ani ciebie, ani nikogo innego. - Pokręcił głową melancholijnie. - Ale jestem chyba tym samym samolubnym dupkiem co zawsze. Mimo gadania o przysięgach i honorze tak naprawdę chcę przycisnąć cię do tej ściany i całować cię tak długo, aż zapomnisz, że kiedyś wiedziałaś, jak się nazywa jakiś inny mężczyzna. Więc każ mi wyjść, Alino. Bo ja nie mogę ci dać tytułu, armii ani niczego, co ci jest potrzebne.

Miał rację. Wiedziałałam o tym. Krucha, cudowna rzecz, która niegdyś istniała między nami, należała do dwojga innych ludzi - ludzi, którzy nie byli związani przez obowiązek i odpowiedzialność - a ja nie byłam pewna, co pozostało. Mimo to

chciałam, by mnie objął, chciałam słyszeć, jak szepcze moje imię w ciemności, chciałam poprosić, żeby został.

- Dobranoc, Mal.

Dotknął miejsca na sercu, gdzie nosił złotą glorię, którą dałam mu dawno temu w ciemnym ogrodzie.

- Soverena maja - powiedział cicho. Ukłonił się i znikł. Zamknęły się za nim drzwi. Zgasiałam latarnie i położyłam się do łóżka, otulając się kocami. Ściana z oknem przypominała wielkie, okrągłe oko, a teraz, gdy w pokoju panował mrok, widać było gwiazdy.

Musnęłam kciukiem bliznę na dłoni, pochodzącą z rany zadanej przed laty przez krawędź rozbitego, błękitnego kubka - była to pamiątka po chwili, kiedy cały mój świat się zmienił, kiedy oddałam kawałek serca, którego już nigdy nie odzyskam.

Dokonałiśmy mądrego wyboru, postąpiliśmy słusznie. Musiałam wierzyć, że ta logika z czasem przyniesie pocieszenie. Dziś w nocy był tylko ten nazbyt cichy pokój, ból utraty, świadomość głęboka i ostateczna jak bicie dzwonu: Minęło coś dobrego.

* * *

Następnego ranka po przebudzeniu przy swoim łóżku zastałam Tolię.

- Znalazłem Siergieja - powiedział.

- A zgubił się?

- Nie było go całą noc.

Założyłam czyste ubrania, które dla mnie zostawiono: tunikę, spodnie, nowe buty i grubą, wełnianą keftę w błękitnym kolorze

Przyzywaczy, obszytą rudym lisem oraz z mankietami haftowanymi na złoto. Mikołaj był zawsze przygotowany.

Pozwoliłam Tolii sprowadzić się po schodach na poziom kotłowni i zawieść do jednego z ciemnych pomieszczeń. Od razu pożałowałam doboru odzieży - było okropnie gorąco. Rzuciłam w środku trochę światła. Siergiej siedział przy ścianie obok jednego z wielkich metalowych zbiorników z kolanami przyciśniętymi do piersi.

- Siergiej?

Zmrużył oczy i odwrócił głowę. Tolia i ja wymieniliśmy spojrzenia. Poklepałam Tolię po potężnym ramieniu.

- Idź poszukać sobie śniadania - powiedziałam, czując, jak mnie samej burczy w brzuchu. Kiedy Tolia wyszedł, przygasiałam światło i usiadłam koło Siergieja. - Co ty tu robisz?

- Za dużo tam w górze - wymamrotał. - Za wysoko.

W tym wszystkim - w tym, że wymknęło mu się imię Genii - kryło się coś więcej i dłużej nie mogłam tego lekceważyć. Nie mieliśmy nigdy okazji porozmawiać o katastrofie w Małym Pałacu. A może okazje się trafiały, lecz ja ich unikałam. Chciałam przeprosić za śmierć Marie, za narażenie jej na niebezpieczeństwo, że nie było mnie przy niej i nie mogłam jej ocalić. Ale jakimi słowami można wyrazić taką porażkę? Jakie słowa wypełnią pustkę, którą kiedyś zajmowała żywa dziewczyna z kasztanowatymi lokami i melodyjnym śmiechem?

- Ja też tęsknię za Marie - powiedziałam w końcu. - I za innymi.

Wtulił twarz w dłonie.

- Wcześniej nigdy się nie obawiałem... nie naprawdę. Teraz boję się bez przerwy. Nie mogę przestać.

Objęłam go ramieniem.

- Wszyscy się boimy. Nie ma się czego wstydzić.

- Chciałbym tylko znów poczuć się bezpieczny.

Ramiona mu drżały. Żałowałam, że nie mam Mikołajowego daru dobierania trafnych słów.

- Siergieju - odezwałam się, choć nie byłam pewna, czy nie pogorszę sytuacji. - Mikołaj ma obozy na ziemi, kilka na Cybei i trochę bardziej na południe. Są miejsca postojowe dla przemytników, z dala od większości walk. Jeśli się na to zgodzi, wołałbyś dostać przydział tam? Mógłbyś pracować jako Uzdrowiciel. Albo po prostu trochę wypocząć?

Nawet się nie zawahał.

- Tak - wydyszał.

Poczułam się winna, gdy zalała mnie ulga. Siergiej spowalniał nas podczas potyczki z pospolitakami. Był nieźrównoważony. Mogłam przeproszać, oferować bezużyteczne słowa, ale nie wiedziałam, jak mu pomóc, i nie zmieniało to faktu, że byliśmy na wojnie. Siergiej stał się potencjalnym słabym punktem.

- Zajmę się tym. Jeśli potrzebujesz czegoś jeszcze... - Urwałam, bo nie wiedziałam, co więcej powiedzieć. Poklepałam go po ramieniu niezręcznie, wstałam i skierowałam się do wyjścia.

- Alina?

Stanęłam w drzwiach. W ciemności słabo go było widać. Światło padające z korytarza odbijało się od jego mokrych policzków.

- Przepraszam za Genię. Za wszystko.

Przypomniało mi się, jak Marie i Siergiej sobie dogryzali, pomyślałam, jak siedzieli ramię w ramię i zaśmiewali się nad wspólną herbatą.

- Ja też - szepnęłam.

Kiedy wyszłam na korytarz, ze zdumieniem zobaczyłam, że Baghra czeka w towarzystwie Miszy.

- Co ty tu robisz?

- Przyszliśmy cię odszukać. Co się dzieje temu chłopcu?

- Miał ciężkie przejścia - powiedziałam, oddalając się z nimi od kotłowni.

- A kto nie miał?

- Widział, jak twój syn wybebeszył jego ukochaną, a potem trzymał ją w ramionach, gdy konała.

- Cierpienie jest tanie jak brud i dwa razy łatwiej się na nie natknąć. Liczy się to, jak się je traktuje. A teraz - postukała laską - lekcje.

Oślupiałam tak bardzo, że przez chwilę nie wiedziałam, o co jej chodzi. Lekcje? Kiedy wróciłam do Małego Pałacu z drugim wzmocniaczem, Baghra nie zgodziła się mnie uczyć. Zebrałam myśli i poszłam za nią przez hall. Pewnie głupio postąpiłam, że pytałam, ale nie mogłam się oprzeć:

- Czemu zmieniłaś zdanie?

- Pogadałam sobie z naszym nowym królem.

- Mikołajem?

Stęknęła.

Zwolniłam kroku, kiedy zobaczyłam, dokąd Misza ją prowadzi.

- Jeździsz żelazną skrzynią?

- Oczywiście - fuknęła. - Mam się wlec do góry po tyłu schodach?

Zerknęłam na Miszę, który odpowiedział spokojnym spojrzeniem. Jego ręka spoczywała na drewnianym mieczu do ćwiczeń, który miał przytroczony do biodra. Powoli weszłam do upiornego wynalazku.

Misza zatrzasnął drzwi i pociągnął dźwignię. Zacisnęłam oczy, gdy pomknęliśmy wzwyż, a potem zatrzymaliśmy się ostro.

- Co powiedział Mikołaj? - zapytałam drżącym głosem, kiedy wchodziliśmy do Kołowrotka. Baghra machnęła ręką.

- Uprzedziłam go, że kiedy zdobędziesz moc wzmacniaczy, możesz być równie niebezpieczna jak mój syn.

- Dzięki - skwitowałam cierpko. Miała rację, a ja dobrze o tym wiedziałam, ale nie znaczyło to, że chciałam, by Mikołaj się o to martwił.

- Kazałam mu przysiąc, że jeśli tak się stanie, to cię zastrzeli.

- I co? - zapytałam, choć bałam się odpowiedzi.

- Dał mi słowo. Ile by ono było warte.

Tak się składało, że wiedziałam, iż Mikołaj dotrzymuje słowa. Może będzie mnie opłakiwał. Może sobie nigdy nie wybaczyć. Ale pierwszą miłością Mikołaja była Ravka. Nigdy nie będzie tolerował zagrożenia dla swojego kraju.

- Może sama zrobisz to od razu i zaoszczędzisz mu fatygi? - mruknęłam.

- Myślę o tym codziennie - odparowała. - Zwłaszcza gdy kłapiesz ozorem.

Baghra cichym pomrukiem wydała Miszy polecenia i chłopiec zaprowadził nas na południowy taras. Drzwi były schowane w rąbku mosiężnej spódnicy Ostrzyżonej Dziewicy, a wzdłuż jej buta na haczykach wisiały płaszcze oraz nakrycia głowy. Baghra była już tak opatulona, że ledwie widać było jej twarz, ale zanim wyszliśmy na przeszywający ziąb, dla siebie wzięłam futrzaną czapę, a Miszę zapięłam w gruby, wełniany płaszcz.

Długi taras kończył się ostrym czubkiem, podobnym do dzioba okrętu, a zwały chmur rozpościerały się przed nami jak zamrożone morze. Od czasu do czasu mgła się przerzedzała i można było wypatrzeć pokryte śniegiem szczyty oraz szare głązy daleko pod nami. Zadrżałam. „Za dużo. Za wysoko”. Siergiej się

nie mylił. Ponad chmurami widać było jedynie najwyższe wierzchołki Elbjen, a mnie znowu przyszedł na myśl archipelag ciągnący się na południe.

- Powiedz mi, co widzisz - powiedziała Baghra.

- Głównie chmury - odparłam - niebo, kilka wierzchołków gór.

- Jak daleko stąd jest najbliższy? Próbowałam oszacować odległość. - Przynajmniej półtora kilometra, może ze trzy?

- Dobrze - powiedziała. - Zetnij mu głowę.

- Co?

- Używałaś już Cięcia.

- To jest góra. Bardzo duża góra.

- A ty jako pierwsza Grisha nosisz dwa wzmacniacze. Zrób to.

- To kilka kilometrów stąd!

- Liczysz na to, że się zestarzeję i umrę, podczas gdy ty będziesz narzekać?

- A jeśli ktoś zobaczy..

- Tak daleko na północ ten łańcuch jest niezamieszkały. Przestań się wykręcać.

Westchnęłam z frustracją. Nosiłam wzmacniacze od wielu miesięcy. Dobrze wyczuwałam granice swojej potęgi.

Uniosłam ubrane w rękawiczki ręce, a światło przyszło do mnie wyczekiwaną falą, migocząc nad piętrzącymi się chmurami. Skupiłam je, zwęziłam, by tworzyło ostrze. Potem - czując się jak kretynka - zamierzyłam się na najbliższy szczyt.

Nawet nie było blisko. Światło przepaliło chmury kilkaset metrów od wzniesienia, na krótko ukazując niższe szczyty i zostawiając po sobie rozproszoną mgłę.

- Jak jej poszło? - zapytała Baghra Miszę.

- Źle.

Skrzywiłam się do niego. Mały zdrajca. Ktoś za mną parsknął śmiechem.

Odwróciłam się. Przyciągnęliśmy tłum żołnierzy i Griszów. Łatwo było wypatrzyć rudy czub włosów Harshawa. Wokół szyi niczym pomarańczowy szalik owinęła mu się Oncat. Obok stała Zoja i uśmiechała się kpiąco. „Doskonale”. Nie ma to jak trochę upokorzenia na pusty żołądek.

- Jeszcze raz - powiedziała Baghra.

- To za daleko - poskarżyłam się. - A góra jest wielgachna.

Nie mogliśmy zacząć od czegoś mniejszego? Powiedzmy od budynku?

- Wcale nie jest za daleko - odparła szyderczo. - Jesteś tam tak samo jak jesteś tutaj. Góra jest zrobiona z tego samego materiału co ty. Nie ma płuc, więc pozwól jej z sobą oddychać. Nie ma tętna, więc daj jej swój puls. Oto kwintesencja Nauki Małej. - Walnęła mnie laską. - Przestań sapać jak dzik. Oddychaj tak, jak cię nauczyłam... z umiarem, miarowo.

Poczułam, jak się czerwienię, i wyrównałam oddech. W głowie zaczęły mi wirować strzępy griszaickiej teorii. Odinakovost. Totość. Etovost. Tamtość. Wszystko mi się mieszało. Najdobitniej jednak wróciły do mnie rozgorączkowane bazgroły Morozova: „Czyż nie jesteśmy wszystkim?”.

Zamknęłam oczy. Tym razem - zamiast przyciągać światło ku sobie - poszłam w jego stronę. Poczułam, jak się rozpadam na cząstki, odbijam się od tarasu, śniegu, szyby za moimi plecami.

Zaatakowałam Cięciem. Uderzyło w bok góry. Tafle lodu i skały runęły z głuchym dudnieniem.

Zza moich pleców dobiegły wiwaty zgromadzonych.

- Hm - skomentowała Baghra. - Biliby brawo tańczącej małpie.

- Wszystko zależy od mały - powiedział Mikołaj, stojący na skraju tarasu. - I od tańca.

Cudnie. Jeszcze większe towarzystwo.

- Lepiej? - zapytała Baghra Miszę.

- Trochę - przyznał niechętnie.

- Dużo lepiej! - zaproponowałam. - Walnęłam w górę, prawda?

- Nie prosiłam, żebyś w nią walnęła - odparła Baghra. - Kazałam ci ściąć jej głowę. Jeszcze raz.

- Stawiam dziesięć monet, że jej się nie uda - zawołał jeden z niezależnych Griszów Mikołaja.

- Stawiam dwadzieścia, że da radę - odkrzyknął Adrik lojalnie.

Miałam ochotę go uściskać, chociaż doskonale wiedziałam, że nie ma pieniędzy.

- Stawiam trzydzieści, że trafi w ten dalszy szczyt. Odwróciłam się szybko. Mał stał oparty w bramie ze skrzyżowanymi ramionami.

- Ten wierzchołek jest ponad osiem kilometrów stąd - zaprotestowałam.

- Raczej dziesięć - rzucił lekkim tonem z wyzywającym błyskiem w oku. Jakbyśmy wrócili do Keramzina, a on prowokował mnie, żebym wykradła torebkę słodkich migdałów, albo wabił mnie na staw Trivki, nim na dobre skuł go lód. „Nie dam rady” - mawiałam. „Jasne, że dasz” - odpowiadał i odjeżdżał ode mnie na pożyczonych łyżwach, wypchanych papierem, żeby pasowały, nie patrząc za siebie, zapewniając tym samym, że podążę za nim.

Thum zaczął wiwatować i robić zakłady, a Baghra powiedziała do mnie cicho:

- Mówimy, że podobne wzywa podobne, dziewczyno. Ale jeśli nauka jest dość mała, to jesteśmy jak wszystko. Światło żyje w

przestrzeniach pomiędzy wszystkim. Znajduje się w glinie tej góry, w skale i w śniegu. Cięcie już wykonano.

Wpatrywałam się w Baghrę. Tym razem praktycznie zacytowała dzienniki Morozova. Wspominała, że Darkling miał na ich punkcie obsesję. Czy teraz mówiła mi coś więcej?

Zakasałam rękawy i uniosłam ręce. Tłum umilkł. Skupiłam się na wierzchołku w oddali - był tak daleko, że nie mogłam wypatrzeć szczegółów.

Przyzwałam światło ku sobie, a potem je wypuściłam, unosząc się razem z nim. Byłam w chmurach, nad nimi, a przez krótką chwilę znalazłam się w ciemności góry, czując, jak jej masa mnie ściska i odbiera mi oddech. Byłam w przestrzeniach pomiędzy wszystkim, gdzie żyje światło, nawet jeśli go nie widać. Kiedy opuściłam rękę, łuk, który stworzyłam, był nieskończony - jaśniejący miecz, który istniał w tej i w każdej innej chwili.

Głośny trzask odbił się echem, jak grom płynący z oddali. Niebo zdawało się wibrować.

Nagle, cicho, wierzchołek odległej góry zaczął się przemieszczać. Nie przewrócił się, lecz niepowstrzymanie zsunął się w bok. Po jego obliczu sypały się kamienie i śnieg. Pozostała idealna, ukośna linia, gdzie niegdyś znajdował się szczyt - półka z odsłoniętej szarej skały wystająca ponad chmury.

Zza pleców usłyszałam krzyki i wiwaty. Misza podskakiwał w miejscu, piejąc:

- Udało się jej! Udało się jej!

Obejrzałam się przez ramię. Mał skinął głową lekko w moją stronę, a potem zaczął wszystkich zbierać i prowadzić do Kołowrotka. Widziałam, jak mierzy palcem w jednego z wyrzutków i szepcze:

- Płać.

Odwróciłam się z powrotem do zniszczonej góry. Krew tętniła mi mocą, w głowie kotłowało się od świadomości, nieodwracalności tego, co zrobiłam. „Jeszcze raz” - rozbrzmiał wewnętrzny głos, żądny więcej. Najpierw człowiek, potem góra. Byli, a nagle ich nie ma. Tak łatwo. Zadrzałam w swojej kefcie, czując kojące muśnięcie lisiego futra.

- Nie śpieszyłaś się - burknęła Baghra. - W tym tempie odmrozę sobie obie stopy, zanim zrobisz jakieś postępy.

8.

Tego wieczoru Siergiej opuścił nas na pokładzie „Ibisa” - ładownej barki wykorzystywanej z konieczności podczas napraw „Pelikana”. Mikołaj zaproponował mu przydział na cichym posterunku koło Duvy, gdzie będzie mógł odzyskać siły i pomóc przejezdnym przemytnikom. Mikołaj zasugerował nawet, że Siergiej mógłby poczekać i schronić się w Ravce Zachodniej, ale ten po prostu za bardzo już chciał wyjechać.

Następnego ranka Mikołaj i ja spotkaliśmy się z Malem oraz bliźniętami, by opracować praktyczne aspekty poszukiwań ognistego ptaka w południowym Sikurzoju. Pozostali Griszowie nie znali lokalizacji trzeciego wzmacniacza, a my chcieliśmy, by tak było, jak długo to możliwe.

Przez większą część dwóch ostatnich nocy Mikołaj analizował dzienniki Morozova. Tak samo jak ja martwił się i sądził, że kilka ksiąg zaginęło albo znajduje się w posiadaniu Darklinga. Chciał, żebym przycisnęła Baghrę, ale musiałam w tej kwestii zachować ostrożność. Jeśli ją sprowokuję, nie zdobędziemy nowych informacji, a ona przestanie udzielać mi lekcji.

- Nie chodzi tylko o to, że księgi są niedokończone - zauważył Mikołaj. - Nie wydaje się wam, że Morozov był nieco... ekscentryczny?

- Jeśli ekscentryczny oznacza obłąkany, to tak - przyznałam. - Liczę na to, że może być szalony, a jednocześnie mieć rację.

Mikołaj przyjrzał się wiszącej na ścianie mapie.

- A to wciąż nasza jedyna wskazówka? - Postukał palcem w nieopisaną dolinę na południowym pograniczu. - Wiele zależy od dwóch cienkich kamieni.

Nieoznaczoną doliną była Dva Stołba, mieszcząca osady, gdzie Mal i ja się urodziliśmy. Nazwę zawdzięczała ruinom, które znajdowały się u jej południowego wlotu - smukłym, steranym przez wichry iglicom, które ktoś uznał za pozostałości dwóch młynów. My jednak sądziliśmy, że w istocie są to szczątki pradawnego łuku - drogowskazu kierującego ku ognistemu ptakowi, ostatniemu spośród wzmacniaczy Ilii Morozova.

- W Murinie znajduje się opuszczona kopalnia miedzi - powiedział Mikołaj. - Można tam wylądować „Bąkiem”, a do doliny wejść na piechotę.

- Dlaczego nie lecieć wprost do Sikurzoju? - zapytał Mal.

Tamar pokręciła głową.

- Może być ciężko manewrować. Jest tam mniej miejsc zdalnych do lądowania i teren jest dużo bardziej niebezpieczny.

- Dobrze - zgodził się Mal. - Wylądujemy zatem w Murinie i przejdziemy Przełęczą Żidkovej.

- Powinniśmy być kryci - powiedział Tolia. - Nevski mówi, że przez miasta na granicy przetacza się wielu ludzi, którzy próbują się wydostać z Ravki, zanim nastanie zima i nie będzie się dało przejść przez góry.

- Ile czasu ci zajmie znalezienie ognistego ptaka? - zapytał Mikołaj.

Wszyscy odwrócili się w stronę Mała.

- Niepodobna stwierdzić - odparł. - Jelenia szukałem kilka miesięcy. Polowanie na węża morskiego zajęło niecały tydzień. - Nie spuszczał oczu z mapy, lecz poczułam, jak wspomnienie tamtych dni wznosi się między nami. Spędziliśmy je na lodowatych wodach Kostnego Szlaku pod groźbą tortur. - Sikurzoj zajmuje rozległy teren. Musimy wyruszyć jak najszybciej.

- Wybrałaś już załogę? - Mikołaj zapytał Tamar. Kiedy zasugerował, żeby objęła dowodzenie na „Bąku”, praktycznie ruszyła w tany i od razu zaczęła się zaznajamiać z okrętem oraz jego wymogami.

- Zoja niezbyt dobrze radzi sobie w pracy zespołowej - odpowiedziała Tamar - ale potrzebujemy Szkwalników, a ona i Nadia to nasze najlepsze opcje. Stigg nieźle sobie radzi z olinowaniem, poza tym nie zaszkodzi mieć na pokładzie przynajmniej jednego Infernika. Pewnie jutro uda nam się zorganizować próbny lot.

- Z doświadczoną załogą podróżowalibyście szybciej.

- Dopisałam do listy jednego z twoich Pływowladnych oraz Fabrykatorkę. Będę się czuła pewniej, obsadzając pozostałe funkcje naszymi ludźmi.

- Niezależni są lojalni.

- Może i tak - odparła Tamar - ale nam dobrze się razem pracuje.

Uświadomiłam sobie z zaskoczeniem, że miała rację. „Nasi ludzie”. Kiedy to się stało? Podczas podróży z Białego Soboru? W czasie obwału? Kiedy mierzyliśmy się ze strażą Mikołaja, a potem z królem?

Nasza grupka się rozdzielała, a to mi się nie podobało. Adrik był wściekły, że zostaje. Będę za nim tęsknić. Będę nawet tęsknić za Harshawem i Oncat. Najtrudniej jednak będzie pożegnać się z Genią. „Bąk” i tak był już obciążony załogą oraz zapasami, a ponadto nie było powodu, by leciała z nami w Sikurzoj. A choć potrzebowaliśmy Materialnika, który uformuje drugą bransoletę, Mikołaj uważał, że lepszy pożytek z Davida będzie na miejscu, gdzie Fabrykator będzie mógł skupić się na rozwoju działań wojennych. Zamiast niego weźmiemy z sobą Irinę - niezależną Fabrykatorkę, która jeszcze na pokładzie „Volkvołnego” wykuła z łusek manelę na moim nadgarstku. David był zadowolony z decyzji, a Genia przyjęła wieści lepiej niż ja.

- Chcesz powiedzieć, że nie będę się wlec po zakurzonej górze, słuchając, jak Zoja cały czas narzeka, a Tolia raczy mnie *Drugą opowieścią o Kregim*? - zaśmiała się. - Jestem zdruzgotana.

- Dasz sobie tu radę? - zapytałam.

- Tak myślę. Sama nie wierzę, że to mówię, ale zaczynam się przekonywać do Mikołaja. Jest zupełnie niepodobny do ojca. A jak się umie ubrać.

W tej kwestii miała całkowitą rację. Nawet na szczycie góry Mikołaj zawsze miał wypolerowane buty i nieskazitelny mundur.

- Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem - powiedziała Tamar - z końcem tygodnia powinniśmy być gotowi do drogi.

Odczulałam głęboką satysfakcję i z trudem powstrzymałam impuls, by potrzeć nagi nadgarstek. Wtedy Jednak Mikołaj odkaslnął.

- Skoro o tym mowa... Alino, ciekaw jestem, czy byłabyś skłonna nadłożyć nieco drogi.

Zmarszczyłam brew.

- Dokąd?

- Sojusz z Ravką Zachodnią jest wciąż świeży. Będą odczuwać naciski ze strony Fjerdy, by otworzyć Fałdę przed Darklingiem. Wiele by dla nich znaczyło, gdyby ujrzeni, na co stać Przyzywaczkę Słońca. Kiedy pozostali zaczną już przeszukiwać Sikurzoj, pomyślałem, że my moglibyśmy wziąć udział w paru oficjalnych kolacjach, ściąć wierzchołek jakiegoś łańcucha górskiego, trochę ich uspokoić. Wracając z Os Kervo, mógłbym zabrać cię z sobą i dołączyłabyś do pozostałych w górach. Jak Mal wspomniał - muszą przeczesać spory obszar, a zwłoka byłaby minimalna.

Przez moment myślałam, że Mal zwróci może uwagę na to, że musimy zakończyć wyprawę do Sikurzoju, zanim spadną pierwsze śniegi - na to, że wszelka zwłoka jest niebezpieczna. On jednak rozwinął mapę na biurku i rzekł:

- Mądra myśl. Tolia może być strażnikiem Aliny. Ja muszę poćwiczyć na takielunku.

Zignorowałam skurcz serca. Tego chciałam.

- Oczywiście - odparłam.

Jeżeli Mikołaj spodziewał się sporów, dobrze to ukrył.

- Znakomicie - klasnął dłońmi. - Porozmawiajmy o twojej garderobie.

* * *

Okazało się, że zanim Mikołaj mógł zagrzebać mnie w jedwabiach, musieliśmy się zająć wieloma innymi sprawami. Zgodził się wysłać „Pelikana” do Keramzina, kiedy okręt wróci, ale to był zaledwie punkt pierwszy na liście zadań. Zanim skończyliśmy omawiać uzbrojenie, modele pogodowe i sprzęt na

deszczową aurę, minęło południe i wszystkim potrzebna była przerwa.

Większość żołnierzy jadła razem w zaimprovizowanej kantynie na zachodnim krańcu Kołowrotka, pod strażą mających wysoko Trzech Głupich Synów oraz Niedźwiedzia. Nie miałam ochoty na towarzystwo, więc wzięłam bułkę posypaną kminkiem oraz sownie posłodzoną, gorącą herbatę, i wyszłam na południowy taras.

Panował przenikliwy ziąb. Niebo było intensywnie błękitne, a w blasku popołudniowego słońca na kłębach chmur kładły się głębokie cienie. Piłam herbatę powoli, nasłuchując w uszach świstu wiatru, który mierzwił futro okalające moją twarz. Po prawej i lewej widziałam iglice wschodniego i zachodniego tarasu. W oddali kikut szczytu góry, który ścięłam, pokrywał już śnieg.

Byłam pewna, że z czasem Baghra nauczyłaby mnie, jak dalej rozwijać moją moc, ale nigdy nie pomogłaby mi zawładnąć mierzostią, a sama nie miałam pojęcia, od czego zacząć. Pamiętałam uczucie, jakie ogarnęło mnie w kaplicy - odczucie połączenia i rozkładu, przerażające wrażenie, że wydziera mi się własne życie, ekscytację towarzyszącą powoływaniu moich stworów do istnienia. Lecz bez Darklinga nie znajdę drogi do tej potęgi - nie miałam też pewności, czy ognisty ptak to zmieni. Może jemu było po prostu łatwiej. Powiedział mi kiedyś, że miał znacznie większą wprawę w obcowaniu z wiecznością. Ile razy Darkling odebrał życie? Ile razy życie przeżył? Może po upływie tak długiego czasu inaczej patrzył na życie i śmierć - wydawały mu się błahe i banalne, jak coś, co można wykorzystać.

Jedną ręką przyzwałam światło, tak by ślizgało się po moich palcach leniwymi promieniami. Przepaliło chmury, ukazując urywane, bezlitosne granie rozciągających się poniżej gór. Odstawiłam szklanekę i wychyliłam się za barierkę, by spojrzeć na

kamienne schody wyrzeźbione w zboczu góry pod nami. Tamar twierdziła, że w pradawnych czasach pielgrzymi wspinali się po nich na kolanach.

- Skoro zamierzasz się rzucać, daj mi przynajmniej czas, bym ułożył balladę na twą cześć - rzekł Mikołaj. Odwróciłam się w jego stronę - szedł pewnym krokiem po tarasie, a jego blond włosy lśniły w słońcu. Narzucił na siebie elegancki szynel z wojskowej tkaniny, oznaczony złotym podwójnym orłem. - Coś ze smętnym motywem na skrzypkach oraz wersami poświęconymi twojemu upodobaniu do śledzi.

- Jeśli będę zwlekać, jeszcze będę musiała wysłuchać, jak śpiewasz tę balladę.

- Tak się składa, że dysponuję więcej niż przyzwoitym barytonem. I dokąd ci tak śpieszno? Czy chodzi o moją wodę kolońską?

- Nie używasz wody kolońskiej.

- Wydzielam tak rozkoszny naturalny aromat, że wydawałoby się to przesadą. Ale jeśli tobie to miłe, zacznę ją stosować.

Zmarszczyłam nos.

- Nie, dziękuję.

- Będę ci posłuszny we wszystkim. Zwłaszcza po tamtym pokazie - skinął głową w stronę ściętej góry. - Ilekroć zażyczysz sobie, bym zdjął kapelusz, wystarczy, że powiesz.

- Robi wrażenie, prawda? - powiedziałam z westchnieniem. - Ale Darkling uczył się u Baghry na kolanach. Przez setki lat szlifował swoją potęgę. Ja przez niecały rok.

- Mam dla ciebie prezent.

- Ognistego ptaka?

- Tego chciałaś? Było mi powiedzieć wcześniej. - Wyjął coś z kieszeni i położył na murku.

Światło zamigotało na szmaragdowym pierścieniu. Zbytorny kamień w środku był większy niż paznokieć na moim kciuku, a otaczały go gwiazdki maleńkich brylantów.

- Subtelność jest przeceniona - powiedziałam drżącym głosem.

- Uwielbiam, kiedy mnie cytujesz. - Mikołaj popukał palcem w pierścień. - Niech cię pocieszy świadomość, że jeśli kiedyś walniesz mnie z pięści, mając to na palcu, zapewne stracę oko. A bardzo bym tego chciał. Znaczący żebyś to nosiła. Nie żebyś mi dała z pięści.

- Skąd to wzięłaś?

- Matka mi dała przed wyjazdem. To szmaragd Lancovów. Miała go na palcu podczas uczyty urodzinowej, kiedy nas zaatakowano. Co ciekawe, nie były to moje najgorsze urodziny.

- Nie?

- Kiedy miałem dziesięć lat, rodzice wynajęli clowna.

Sięgnęłam po pierścień niepewnie.

- Ciężki - powiedziałam.

- Taki tam gładzik.

- Mówiłaś matce, że zamierzasz go dać zwykłej sierocie?

- Głównie to ona mówiła - odparł. - Chciała mi opowiedzieć o Magnusie Opjerze.

- O kim?

- O fjerdańskim ambasadorze... niezłym żeglarzu, który dorobił się na transporcie. - Mikołaj popatrzył na kłęby chmur. - A przy okazji był ponoć moim ojcem.

Nie byłam pewna, czy mu gratulować, czy złożyć wyrazy współczucia. Mikołaj dosyć swobodnie mówił o swoim pochodzeniu, ale wiedziałam, że doskwiera mu ono mocniej, niż to okazywał.

- Dziwnie tak naprawdę wiedzieć - ciągnął. - Chyba w głębi serca zawsze miałem nadzieję, że były to tylko czcze pogłoski.

- I tak będziesz wielkim królem.

- No pewnie - zżymnął się. - Ogarnęła mnie melancholia, ale nie zgłupiałem. - Stracił z rękawa niewidzialny pyłek. - Nie wiem, czy mi kiedyś wybaczy, że ją zesłałem, zwłaszcza do Kolonii.

Trudniej było stracić matkę, czy po prostu nigdy jej nie mieć? Tak czy owak, współczułam mu. Po kawałku stracił całą rodzinę - najpierw brata, teraz rodziców.

- Przykro mi, Mikołaju.

- A niby czemu? Wreszcie osiągnąłem to, czego chciałem. Król abdykował, ścieżka do tronu stoi otworem. Gdybym nie musiał się zająć wszechpotężnym dyktatorem i jego potworną hordą, otwierałbym szampana.

Mikołaj mógł sobie gadać tak gładko, jak chciał. Ja wiedziałam, że nie tak sobie wyobrażał przejęcie władzy nad Ravką - po morderstwie brata oraz poniżeniu ojca przez przykre oskarżenia służki.

- Kiedy sięgniesz po koronę? - zapytałam.

- Dopiero, kiedy wygramy. Dam się koronować w Os Alcie albo wcale. A pierwszym krokiem jest umocnienie sojuszu z Ravką Zachodnią.

- Stąd pierścień?

- Stąd pierścień. - Wygładził klapy szynela i rzekł: - Wiesz, mogłaś mi powiedzieć o Genii.

Zalało mnie poczucie winy.

- Próbowałam ją chronić. Za mało osób starało się to robić.

- Nie chcę między nami żadnych kłamstw, Alino. - Myślał o występkach ojca? O przygodzie matki? Ale nie grał uczciwie.

- Ile razy ty mnie okłamałeś, Sturmhondzie? - Wskazałam gestem Kołowrotek. - Ile tajemnic zachowałeś, dopóki sam nie byłeś gotów, by je wyjawić?

Założył ręce za plecy. Wyglądał bardzo nieswojo.

- Prerogatywy księcia?

- Skoro uchodzi to zwykłemu księciu, uchodzi też żywej Świętej.

- Zamierzasz wejść w nawyk wygrywania kłótni? To wielce niestosowne.

- To była kłótnia?

- Oczywiście, że nie. Ja nie przegrywam kłótni. - Potem wyrzwał w dół. - Święci, czy on biegnie po schodach z lodu?

Zmrużyłam oczy, by przebić się wzrokiem przez mgłę. W rzeczy samej, ktoś wspinał się po wąskich, krętych stopniach wzdłuż grani. Jego oddech parował w mroźnym powietrzu. Niemal od razu zorientowałam się, że to Mal - biegł z pochyloną głową i plecakiem na ramionach.

- Wydaje się to... orzeźwiająco. Jeżeli nie przestanie, będę musiał zacząć się wysilać. - Mikołaj mówił lekkim tonem, ale czułam na sobie jego inteligentne, piwne oczy. - Przy założeniu, że pokonamy Darklinga... czego jestem pewien... czy Mal zamierza objąć funkcję kapitana twojej straży?

Złapałam się, zanim potarłam kciukiem bliznę na dłoni.

- Nie wiem. - Pomimo wszystkiego, co się wydarzyło, chciałam zatrzymać Mالا blisko mnie. Byłoby to niesprawiedliwe dla nas obojga. Zmusiłam się, by powiedzieć: - Moim zdaniem lepiej będzie przydzielić go gdzie indziej. Sprawdza się w walce, ale lepszy z niego tropiciel.

- Wiesz, że nie przyjmie zadania z dala od pola walki.

- Rób, co uważasz za słuszne. - Ból przypominał wąski nóż sunący między moimi żebrami. Wycinałam Mała z mojego życia, lecz głos miałam miarowy. Mikołaj dobrze mnie wyszkolił. Próbowалаm oddać pierścień. - Nie mogę tego przyjąć. Nie teraz. - Może nigdy.

- Zatrzymaj go - odparł i zwinął moje palce wokół szmaragdu. - Korsarz uczy się wykorzystywać każdą przewagę.

- A książkę?

- Książęta są przyzwyczajeni do słowa „tak”.

* * *

Kiedy wieczorem wróciłam do swojego pokoju, czekały na mnie kolejne niespodzianki od Mikołaja. Po chwili wahania obróciłam się na pięcie i pomaszerowałam korytarzem do kwatery innych dziewcząt. Długą chwilę stałam, czując się głupia i nieśmiała, potem zmusiłam się, by zapukać.

Drzwi otworzyła Nadia. Za nią zobaczyłam Tamar - przyszła w odwiedziny i ostrzyła toporki przy oknie. Genia siedziała przy stole, wyszywając złotą nicią kolejną przepaskę na oko, a Zoja leżała na jednym z łóżek i unosiła w powietrzu piórko, wznecając podmuchy wiatru palcami.

- Muszę wam coś pokazać - oznajmiłam.

- O co chodzi? - zapytała Zoja, nie spuszczać oka z piórka.

- Chodźcie, to zobaczycie.

Sturlała się z łóżka z pełnym zniecierpliwienia westchnieniem. Poprowadziłam je korytarzem do mojego pokoju i z rozmachem otworzyłam drzwi.

Genia zanurkowała w stos sukni rozłożonych na moim łóżku.

- Jedwab! - jęknęła. - Aksamit!

Zoja wzięła do ręki keftę wiszącą na oparciu krzesła. Była wykonana ze złotego brokatu, rękawy oraz brzegi miała suto haftowane błękitem, a na mankietach widniały wysadzone kamieniami szlachetnymi słoneczne glorie.

- Sobole - zwróciła się do mnie, gładząc podszewkę. - Nienawidzę cię jak nigdy.

- To jest moje - powiedziałam. - Ale reszta jest do wzięcia. Wszystkiego nie dam rady założyć w Ravce Zachodniej.

- Mikołaj kazał je dla ciebie uszyć? - zapytała Nadia.

- Nie uznaje półśrodków.

- Jesteś pewna, że chce, byś to rozdała?

- Pożyczyła - poprawiłam. - A jeśli mu się to nie spodoba, będzie się musiał nauczyć zostawiać bardziej szczegółowe wytyczne.

- Sprytne - powiedziała Tamar, zarzucając na ramiona turkusową pelerynę i przeglądając się w lustrze. - Musi wyglądać jak król, a ty musisz wyglądać jak królowa.

- Chodzi o coś jeszcze - powiedziałam. Znowu poczułam, jak ogarnia mnie nieśmiałość. Nadal nie byłam całkiem pewna, jak się zachowywać przy innych Griszach. Czy to moi przyjaciele? Poddani? Było to nowe terytorium. Nie chciałam jednak siedzieć w pokoju sama, do towarzystwa mając wyłącznie własne myśli i stos sukienek.

Wyjęłam pierścień Mikołaja i położyłam go na stole.

- Święci - szepnęła Genia. - Toż to szmaragd Lancovów.

Kamień zdawał się lśnić w świetle lampy. Maleńkie brylanciki migotały wokół niego.

- Tak po prostu ci go dał? Na zawsze? - spytała Nadia.

Genia złapała mnie za ramię.

- Oświadczył się?

- Nie całkiem.

- Równie dobrze mógł to zrobić - skwitowała Genia. - Ten pierścień należy do rodziny od pokoleń. Królowa zawsze go nosiła, nawet do spania.

- Rzuć go - powiedziała Zoja. - Złam mu serce okrutnie. Z ochotą pocieszę naszego biednego księcia i będę wspaniałą królową.

Zaśmiałam się.

- Możesz mieć rację, Zoju. Gdybyś chociaż przez chwilę nie była taka okropna.

- Z taką zachętą dam radę przez minutę. Może nawet dwie.

- To tylko pierścionek. - Przewróciłam oczami.

Zoja westchnęła i uniosła szmaragd do góry, by rozjarzył się w świetle.

- Naprawdę jestem okropna - powiedziała raptownie. - Wszyscy ci ludzie nie żyją, a mnie brakuje ładnych rzeczy.

Genia przygryzła wargę, potem palnęła:

- Mnie brakuje migdałowego kulicha. I masła, i tego dżemu wiśniowego, który kucharki przynosiły z targu w Balakirewie.

- Ja tęsknię za morzem - powiedziała Tamar - i za moim hamakiem na pokładzie „Volkvołnego”.

- Mnie brakuje siedzenia nad jeziorem przy Małym Pałacu - dodała Nadia. - Piłam sobie herbatę, panował spokój.

Zoja spojrzała na swoje buty i powiedziała:

- Tęsknię za tym, by wiedzieć, co będzie później.

- Ja też - wyznałam.

Zoja odłożyła pierścień.

- Zgodzisz się?

- Tak naprawdę mi się nie oświadczył.

- Ale się oświadczy.

- Może. Nie wiem.

Prychnęła z niesmakiem.

- Skłamałam. Dopiero teraz nienawidzę cię jak nigdy.

- To byłoby coś wyjątkowego - zauważyła Tamar - mieć na tronie Griszę.

- Ona ma rację - dodała Genia. - Należęć do grona władców, a nie tylko sług.

Chciały królowej-Griszy. Mal chciał królowej-chłopki. A czego ja chciałam? Pokoju dla Ravki. Szansy na to, by spać spokojnie i bez lęku. Końca poczucia winy i grozy, z którymi budziłam się co rano. Były też dawne pragnienia - by mnie kochano za to, kim jestem, a nie za to, co potrafię, by leżeć na łące w objęciach chłopca i patrzeć, jak wiatr przesuwa chmury. Lecz te marzenia należały do dziewczyny - nie do Przyzywaczki Słońca, nie do Świętej.

Zoja pociągnęła nosem, nakładając sobie na włosy kokosznik z drobniutkich pereł.

- Nadal uważam, że to powinnam być ja.

Genia cisnęła w nią aksamitnym kapciem.

- Prędzej David nago na środku Fałdy Cienia odśpiewa operę, niż ja dygnę przed tobą.

- Jak gdybym przyjęła cię na swój dwór.

- Chciałabyś. Chodź tu. Krzywo masz ten kokosznik.

Znów wzięłam pierścień do ręki i obracałam go w dłoni. Nie mogłam się zmusić, żeby go założyć.

Nadia szturchnęła mnie ramieniem.

- Można trafić gorzej niż księżę.

- Prawda.

- Można też lepiej - rzekła Tamar. Wcisnęła Nadii koronkową suknię w kobaltowym kolorze. - Przymierz to.

Nadia uniosła suknię.

- Zwariowałaś? Gorset jest wycięty prawie do pępka.

Tamar uśmiechnęła się promiennie.

- Otóż to.

- Cóż, Alina tego nie założy - powiedziała Zoja. - Z tego to nawet ona wypadnie prosto na talerzyk deserowy.

- Dyplomacja! - krzyknęła Tamar.

Nadia zaczęła chichotać.

- Ravka Zachodnia deklaruje wierność biustowi Przyzywaczki Słońca!

Chciałam zrobić marsową minę, ale za bardzo się śmiałam.

- Mam nadzieję, że dobrze się bawicie.

Tamar zarzuciła Nadii na szyję szal i przyciągnęła ją, by ją pocałować.

- Och, na miłość Świętych - fuknęła Zoja. - Wszyscy się teraz dobierają w pary?

Genia parsknęła.

- Nie trać ducha. Widziałam, jak Stigg rzuca ci żałosne spojrzenia.

- To Fjerdanin - odparła Zoja. - Innych spojrzeń nie posiada. A ja sama sobie zorganizuję schadzki, dziękuję bardzo.

Przejrzałyśmy kufry z odzieżą, dobierając suknie, płaszcze i klejnoty najbardziej odpowiednie na wyprawę. Mikołaj - jak zawsze - myślał strategicznie. Każda z sukien była w kolorach błękitnym i złotym. Odpowiadałaby mi większa różnorodność, ale wyruszyliśmy na tę wyprawę, by dać przedstawienie, a nie dla przyjemności.

Dziewczyny zostały, aż lampy się niemal wypaliły. Byłam wdzięczna za ich towarzystwo. Kiedy jednak wybrały sobie suknie, które im się podobały, a resztę wystawnych strojów spakowano i włożono z powrotem do kufrów, pożegnały się.

Podniosłam ze stołu pierścień, czując w dłoni jego nedorzeczny ciężar.

„Zimorodek” niebawem powróci, a Mikołaj i ja wyruszymy do Ravki Zachodniej. Wtedy Mal i jego drużyna będą już w drodze do Sikurzoju. Tak być powinno. Nie znosiłam życia na dworze, lecz Mal nim wprost gardził. Czułby się równie źle, stojąc na straży podczas bankietów w Os Kervo.

Jeśli miałam być z sobą szczerą, musiałam przyznać, że odkąd opuściliśmy Mały Pałac - nawet jeszcze w podziemiu - rozkwitł. Stał się samodzielnym przywódcą, znalazł nowy cel. Nie mogłam powiedzieć, by wydawał się szczęśliwy, ale to przyjdzie z upływem czasu, z nastaniem pokoju, z szansą na przyszłość.

Znajdziemy ognistego ptaka. Stawimy czoło Darklingowi. Może nawet zwyciężymy. Ja założę pierścień Mikołaja, a Mal dostanie nowy przydział. Będzie miał życie, które powinien był mieć - które mógł był mieć, gdyby nie ja. Dlaczego więc nóż między moimi zebrami wciąż się obracał?

Położyłam się na łóżku. Światło gwiazd wlewało się przez okno, zaciskałam w dłoni szmaragd.

Później nie byłam nigdy pewna, czy zrobiłam to celowo, czy też był to przypadek - moje posiniaczone serce szarpnęło tę niewidzialną nić. Może byłam zbyt zmęczona, by stawiać opór jego wezwaniu. Znalazłam się w rozmazanym pomieszczeniu, patrząc prosto na Darklinga.

9.

Siedział na skraju stołu. Jego koszula leżała zwinięta w kłębek na kolanie, a ręce wyciągał nad głową, podczas gdy niewyraźnie widoczna Korporalniczka-Uzdrowicielka zjawiała się i znikwała, opatrując krwawą ranę w boku Darklinga. Na początku odniosłam wrażenie, że znajdujemy się chyba w lecznicy Małego Pałacu, ale nie mogłam nabrać pewności, bo pomieszczenie było zbyt ciemne i rozmazane.

Staralam się nie zwracać uwagi, jak wygląda - na jego zmierzwione włosy, na cieniste linie jego nagiego torsu. Wydawał się taki ludzki - jak zwykły chłopak ranny w bitwie, a może podczas sparingu. „Nie chłopiec” - powtórzyłam sobie z rozmysłem - „lecz potwór, który przeżył setki lat i odebrał życie setki razy”.

Zacisnął zęby, kiedy Korporalniczka kończyła pracę. Gdy skóra się zrosła, Darkling odprawił ją skinieniem ręki. Chwilę zwlekała, a potem odeszła, rozplywając się w nicość.

- Zastanawiam się nad czymś - odezwał się. Bez powitania, bez wstępu.

Czekałam.

- Tej nocy, kiedy Baghra powiedziała ci, co zamierzałam... tej nocy, kiedy uciekłaś z Małego Pałacu... wahałaś się?

- Tak.

- A po tym, jak odeszłaś, rozważałaś czasem powrót?

- Tak - przyznałam.

- Ale zdecydowałaś się nie wracać.

Wiedziałam, że powinnam odejść. Powinnam była przynajmniej zachować milczenie, ale byłam taka znużona, a przebywać z nim tu było tak łatwo.

- Nie chodziło jednak tylko o to, co Baghra powiedziała tamtej nocy. Okłamałeś mnie. Oszukałeś. Nęciłeś... mnie. - Uwiodłeś mnie, sprawiłeś, że cię pragnęłam, sprawiłeś, że kwestionowałam własne serce.

- Potrzebowałam twojej lojalności, Alino. Potrzebowałam tego, byś była ze mną związana czymś więcej niż poczucie obowiązku czy strach. - Dotknął palcami miejsca, gdzie znajdowała się wcześniej rana. Pozostało po niej lekkie zaczerwienienie. - Krążą pogłoski, że widziano twojego księcia Lancova.

Zbliżyłam się, starając się zachować swobodny ton głosu.

- Gdzie?

Podniósł oczy i uśmiechnął się lekko.

- Lubisz go?

- Czy to ma znaczenie?

- Kiedy się ich lubi, jest trudniej. Bardziej się ich opłakuje. - Ilu on opłakał? Byli jacyś przyjaciele? Żona? Czy kiedykolwiek pozwolił komuś tak się zbliżyć?

- Powiedz mi, Alino - rzekł Darkling. - Czy już cię posiadał?

- „Posiadał mnie”? Jak jakiś półwysep?

- Ani śladu rumieńca. Żadnego odwracania wzroku. Jakże się zmieniłaś. A co z twoim wiernym tropicielem? Czy będzie sypiał zwinięty w kłębek u stóp twojego tronu?

Naciskał, starał się mnie sprowokować. Zamiast się spłoszyć, przysunęłam się.

- Tamtej nocy w twojej komnacie przyszedłeś do mnie w masce Mała. Czy to dlatego, że wiedziałeś, że ciebie odprawię?

Zacisnął palce na krawędzi stołu, lecz potem wzruszył ramionami.

- To do niego tęskniłaś. Nadal tak jest?

- Nie.

- Pojętna uczennica, lecz fatalna kłamczucha.

- Dlaczego żywisz taką pogardę dla otkazacji?

- To nie pogarda, lecz zrozumienie.

- Nie wszyscy są głupcami i słabeuszami.

- Są za to przewidywalni - powiedział. - Lud kochałby cię przez pewien czas. Ale co by sobie pomyśleli, gdyby ich dobry król zestarzał się i zmarł, a ta wiedźma jego żona zachowała młodość? Kiedy ci wszyscy, którzy pamiętali twoje wyrzeczenia, będą się obracać w proch pod ziemią, jak sądzisz... ile to potrwa, zanim ich dzieci czy wnuki zwrócą się przeciwko tobie?

Od jego słów przeszył mnie dreszcz. Wciąż nie mogłam objąć umysłem czekającego mnie długiego życia - tej przepastnej otchłani wieczności.

- Nigdy nie przyszło ci to do głowy, prawda? - rzekł Darkling. - Żyjesz jedną chwilą. Ja żyję tysiącem chwil. „Czyż nie jesteśmy wszystkim?”

W okamgnieniu złapał mnie za nadgarstek. Pomieszczenie nagle zaczęło być wyraźnie widoczne. Przyciągnął mnie do siebie gwałtownie, objął mnie kolanami. Drugą rękę przycisnął do moich pleców, rozpościerając silne palce w zgięciu mojego kręgosłupa.

- Pisane ci było stać się moją przeciwwagą, Alino. Jesteś jedyną osobą na świecie, która mogłaby ze mną władać, która mogłaby utemperować moją potęgę.

- A kto będzie przeciwwagą dla mnie? - Słowa pojawiły się, nim zdążyłam je przemyśleć... bez upiększeń wyrażając myśl, która dręczyła mnie bardziej niż możliwość, że ogniasty ptak nie istnieje.
- Co jeśli nie jestem lepsza od ciebie? Co jeśli zamiast cię powstrzymać, jestem tylko kolejną lawiną?

Przyglądał mi się dłuższą chwilę. Zawsze patrzył na mnie w ten sposób - jak gdybym stanowiła równanie, które nie do końca się zgadza.

- Chcę, byś poznała moje imię - rzekł. - Imię, które mi nadano, a nie tytuł, jaki sam przybrałem. Zechcesz je przyjąć, Alino?

Czułam ciężar pierścienia Mikołaja w dłoni w Kołowrotku. Nie musiałam stać tu w ramionach Darklinga. Mogłam zniknąć mu z rąk, wślizgnąć się z powrotem w stan przytomności oraz do bezpiecznego, kamiennego pokoju skrytego na szczycie góry. Ale nie chciałam odchodzić. Mimo wszystko pragnęłam tego poufnego szeptu.

- Tak - powiedziałam cicho.

Po długiej chwili rzekł:

- Aleksander.

Wyrwał mi się krótki śmiech. Uniósł brew i uśmiechnął się lekko.

- Co?

- Jest takie... pospolite. - Takie zwyczajne imię, które nosili zarówno królowie, jak i wieśniacy. W samym Keramzinie znalazłam dwóch Aleksandrów, trzech w Pierwszej Armii. Jeden z nich zginął w Fałdzie.

Uśmiechnął się szerzej i przekrzywił głowę. Widzieć go takim graniczyło z bólem.

- Wypowiesz je? - zapytał.

Zawahałam się, czując napór zagrożenia.

- Aleksander - szepnęłam.

Jego uśmiech zgasł, a szare oczy zdawały się migotać.

- Jeszcze raz - rzekł.

- Aleksander.

Pochylił się. Poczułam na szyi jego oddech, potem dotyk jego ust na skórze tuż nad obręczą - prawie jak westchnienie.

- Nie rób tak - powiedziałam. Odsunęłam się, lecz on mocno mnie trzymał. Przesunął rękę na mój kark, wplótł długie palce w moje włosy, odchylił moją głowę. Zamknęłam oczy.

- Pozwól mi - mruknął przy moim gardle. Zahaczył stopą o moją nogę, przysuwając mnie bliżej ku sobie. Czułam żar jego języka, twarde, napięte mięśnie pod gołą skórą, kiedy opasał się moimi rękoma. - To się nie dzieje naprawdę - powiedział. - Pozwól mi.

Poczułam ten nagły głód - miarowy, tęskny puls pożądania, którego żadne z nas nie chciało, ale które i tak nami owładnęło. Byliśmy sami na tym świecie, niepowtarzalni. Byliśmy z sobą związani - zawsze tak będzie.

I to nie miało znaczenia.

Nie mogłam zapomnieć, co zrobił, i nie zamierzałam mu wybaczać tego, czym był - mordercą. Potworem. Człowiekiem, który torturował moich przyjaciół i wyrzwał ludzi, których próbowałam chronić. Odepchnęłam się od niego.

- Całkiem to prawdziwe.

Przymrużył oczy.

- Nuży mnie ta gra, Alino.

Zaskoczył mnie własny, niespodziewany przyływ gniewu.

- Nuży? Igrałeś ze mną na każdym kroku. Nie zmęczyła cię ta gra. Po prostu żałujesz, że nie tak łatwo ze mną pogrywać.

- Mądra Alina - wycedził. - Pojętna uczennica. Cieszę się, że dziś przyszłaś. Chcę ci przekazać nowinę. - Wciągnął zakrwawioną koszulę przez głowę. - Wchodzę do Fałdy.

- Śmiało - odparłam. - Wilkry zasługują na nową porcję twojego ciała.

- Nie dostaną jej.

- Masz nadzieję, że zmieniły im się gusta? Czy to kolejne szaleństwo?

- Nie jestem szalony. Zapytaj Davida, jakie sekrety zostawił dla mnie w pałacu.

Zastygłam w bezruchu.

- Ten też jest mądry - stwierdził Darkling. - Jego też sobie wezmę z powrotem, kiedy to wszystko się skończy. Taki bystry umysł.

- Blefujesz - powiedziałam.

Darkling uśmiechnął się, lecz tym razem zimno. Odepchnął się od stoku i ruszył w moją stronę.

- Wejść do Fałdy, Alino, i pokażę Ravce Zachodniej, na co mnie stać, nawet bez Przyzywaczki Słońca. A kiedy już zmiażdżę jedyne go sprzymierzeńca Lancova, będę na ciebie polował jak na zwierzę. Nie znajdziesz schronienia. Nie zaznasz spokoju. - Górował nade mną. Jego szare oczy błyszczały. - Leć do domu do swojego otkazacji - warknął. - Trzymaj się go mocno. Zasady tej gry się zmieniają.

Darkling uniósł rękę i Cięcie mnie rozharatało. Rozpadłam się na kawałki i jak na porywie wiatru wróciłam do swojego ciała z lodowatym wstrząsem.

Przyciskałam ręce do piersi z galopującym sercem. Wciąż czułam, jak przecina mnie cień, lecz byłam cała i bez szwanku. Wygramoliłam się z łóżka, szukając latarni, potem zrezygnowałam z niej i po omacku znalazłam płaszcz oraz buty.

Tamar stała na straży za drzwiami mojego pokoju.

- Gdzie Jest David zakwaterowany? - spytałam.

- Na tamtym końcu korytarza razem z Adrikiem i Harshawem.

- Czy Mal i Tolia śpią?

Skinęła głową.

- Obudź ich.

Wślizgnęła się do pokoju straży. Mal i Tolia dołączyli do nas parę sekund później - jak na żołnierzy przystało, rozbudzeni od razu i wciągając buty. Mal miał z sobą pistolet.

- Nie będzie ci potrzebny - powiedziałam. - Tak mi się przynajmniej wydaje.

Myślałam o tym, by posłać kogoś po Mikołaja, ale najpierw chciałam wiedzieć, z czym mamy do czynienia. Pomaszerowaliśmy korytarzem, a kiedy doszliśmy do pokoju Davida, Tamar zastukała i otworzyła drzwi.

Wyglądało na to, że Adrik i Harshaw zostali na noc eksmitowani. Genia i David mrugali w naszą stronę rozszpanymi oczami spod kołdry na wąskiej pryczy.

Pokazałam palcem Davida.

- Ubieraj się - rozkazałam. - Masz dwie minuty.

- Co się... - zaczęła Genia.

- Już.

Wyszliśmy na zewnątrz, by poczekać. Mal odkaszlnął.

- Nie mogę powiedzieć, żebym był zdziwiony.

Tamar parsknęła.

- Po tej jego przemowie w pokoju narad nawet ja się zastanawiałam, czy się na niego nie rzucić.

Chwilę później drzwi się uchyliły i rozczochrany, bosonogi David zaprosił nas do środka. Genia siedziała na pryczy po turecku. Rude loki sterczały jej na wszystkie strony.

- Co się stało? - zapytał David.

- Otrzymałam wiadomość, że Darkling zamierza użyć Fałdy przeciwko Ravce Zachodniej.

- Czy Mikołaj... - zaczęła Tamar.

Uniosłam rękę.

- Muszę wiedzieć, czy to możliwe.

David pokręcił głową.

- Bez ciebie nie może. Musi wejść na teren Niemorza, żeby je rozszerzyć.

- Twierdzi, że może. Twierdzi, że zostawiłeś po sobie w Małym Pałacu sekrety.

- Chwileczkę - wtrąciła Genia. - Skąd pochodzą te informacje?

- Z różnych źródeł - odparłam zwięźle. - Davidzie, o co mu chodziło? - Nie chciałam wierzyć, że David nas zdradził... przynajmniej nie rozmyślnie.

David zmarszczył czoło.

- Kiedy uciekaliśmy z Os Alty, zostawiłem za sobą stare notatniki, ale one nie są niebezpieczne.

- Co w nich było? - spytała Tamar.

- Przeróżne rzeczy - odparł, zręcznymi palcami zginając i prostując materiał spodni. - Projekty lustrzanych naczyń, soczewka do filtrowania różnych fal widma, nic, czego by mógł użyć, by wejść do Fakdy. Ale... - Lekko pobladł.

- Co jeszcze?

- To był tylko pomysł...

- Co jeszcze?

- Projekt szklanego skifu, który wymyśliliśmy z Mikołajem.

Ściągnęłam brwi i popatrzyłam na Mała, potem na innych. Wszyscy wydawali się równie zdziwieni jak ja.

- Po co mu szklany skif?

- Kadłub służy do przechowywania lumiji.

Skinęłam ręką ze zniecierpliwieniem.

- Co to jest lumija?

- Odmiana płynnego ognia.

Święci.

- Och, Davidzie. Co ty zrobiłeś. - Płynny ogień był jednym z wynalazków Morozova. Był lepki, łatwopalny i tworzył płomień, który niemal niepodobna było ugasić. Był tak niebezpieczny, że Morozov zniszczył formułę ledwie parę godzin po tym, jak ją stworzył.

- Nie! - David uniósł ręce defensywnie. - Nie, nie. To jest lepsze, bezpieczniejsze. W wyniku reakcji powstaje wyłącznie światło, a nie ciepło. Opracowałem ją, kiedy staraliśmy się ulepszyć bomby rozbliskowe do walki z nisztrojami. Nie dało się tego zastosować, ale pomysł mi się podobał, więc go zachowałem... na później. - Wzruszył ramionami bezradnie.

- Pali się bez żaru?

- To tylko źródło sztucznego światła słonecznego.

- Dość, by wilkry się nie zbliżały?

- Tak, ale Darklingowi nic po tym. Pali się krótki czas, a do aktywacji potrzebne jest światło słońca.

- Ile?

- Bardzo niewiele... o to chodziło. Miał to być kolejny sposób na wzmocnienie twojej potęgi... jak naczynia. Ale w Fałdzie nie ma światła w ogóle, więc...

Podniosłam ręce, a po ścianach rozlały się cienie. Genia krzyknęła, a David przywarł do łóżka. Tolia i Tamar sięgnęli po broń.

Opuściłam ramiona, a cienie na powrót przybrały zwykłą postać. Wszyscy się we mnie wpatrywali.

- Masz jego moc? - szepnęła Genia.

- Nie. Tylko jej okruch. - Mal sądził, że odebrałam coś Darklingowi. Może Darkling też mi coś odebrał.

- Kiedy byliśmy w Czajniku, to w ten sposób sprawiłaś, że cienie podskoczyły - rzekł Tolia.

Skinęłam głową. Tamar pokazała Mala palcem.

- Okłamałaś nas.

- Dochowałem jej tajemnicy - odparł Mal. - Ty byś postąpiła tak samo.

Skrzyżowała ramiona. Tolia położył jej na ramieniu wielką dłoń. Wszyscy wydawali się przejęci, lecz nie całkiem przerażeni.

- Widzicie, co to oznacza - powiedziałam. - Jeśli Darkling ma chociaż strzęp mojej mocy...

- Czy to wystarczy, by odpędzić wilkry? - zapytała Genia.

- Nie - odparłam. - Chyba nie. - Aby przejąć kontrolę nad taką ilością światła, która pozwoliłaby bezpiecznie wkroczyć do Fałdy, potrzebowałam wzmacniacza. Oczywiście, nic nie gwarantowało, że podczas naszej walki w kaplicy Darkling nie wzięł więcej mojej mocy. Niemniej gdyby w istocie potrafił władać światłem, już wcześniej podjąłby działanie.

- To nie ma znaczenia - powiedział David żałośnie. - Potrzebne mu tylko tyle światła słońca, by po wejściu do Fałdy aktywować lumiję.

- Mnóstwo światła dla ochrony - rzekł Mal. - Solidnie uzbrojony skif pełen Griszów i żołnierzy...

- To się wydaje ryzykowne, nawet jak na Darklinga. - Tamar pokręciła głową.

Ale Tolia odpowiedział jej tym, o czym sama myślałam.

- Zapominasz o nisztójach.

- Żołnierze cienia walczący z wilkami? - powiedziała Genia z przerażeniem.

- Święci - zakłęła Tamar. - Komu kibicujesz?

- Problem zawsze tkwił w naczyniu - rzekł David. - Lumija przeżera wszystko. Sprawdzało się jedynie szkło, ale ono nastęcza odrębne problemy inżynieryjne. Mikołajowi i mnie nie udało się ich rozwiązać. To było... tak dla zabawy.

Jeżeli Darkling jeszcze nie rozwiązał tych trudności, zrobi to niebawem.

„Nie znajdziesz schronienia. Nie zaznasz spokoju”.

Złapałam się rękami za głowę.

- Złamię Ravkę Zachodnią.

A potem żaden kraj nie waży się stanąć przy boku moim albo Mikołaja.

10.

Pół godziny później siedzieliśmy na końcu stołu w kambuzie nad pustymi szklankami po herbacie. Genia zniknęła, ale David był z nami - siedział z pochyloną głową nad stertą kartek papieru kreślarskiego i próbował odtworzyć z pamięci plany szklanego skifu oraz formułę na przechowywanie lumiji. Tak czy owak, nie sądziłam, że pomógł Darklingowi z rozmysłem. David grzeszył żądzą wiedzy, nie władzy.

W pozostałej części Kołowrotka panowała pustka i cisza - większość żołnierzy oraz niezależnych Griszów nadal spała. Mimo że wyciągnięto go z łóżka w środku nocy, jakimś sposobem Mikołaj wyglądał akuratnie, nawet w oliwkowym wojskowym płaszczu narzuconym na koszulę nocną oraz spodnie. Przekazanie mu, czego się dowiedziałam, trwało zaledwie chwilę, i nie zaskoczyło mnie pierwsze pytanie, jakie padło z jego ust:

- Od jak dawna o tym wiesz? Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

- Od jakiejś godziny, może krócej. Zwlekałam tylko tyle, by sprawdzić informacje z Davidem.

- To niemożliwe...

- Nieprawdopodobne - poprawiłam go delikatnie. - Mikołaju... - Żołądek mi się ścisnął. Zerknęłam na Mała. Nie zapomniałam, jak zareagował, kiedy mu powiedziałam, że widuję Darklinga w postaci wizji. A teraz sytuacja była znacznie gorsza, bo sama go wyszukałam. - Słyszałam to prosto z ust Darklinga. Powiedział mi.

- Co proszę?

- Mogę go odwiedzać... są to swego rodzaju wizje. Ja... nawiązałam z nim kontakt.

Długą chwilę panowała cisza.

- Możesz go szpiegować?

- Nie całkiem. - Próbowałam wyjaśnić, jak jawią mi się pomieszczenia oraz on sam. - Nie słyszę innych ludzi - tak naprawdę nawet ich nie widzę, jeśli nie znajdują się tuż przy nim albo jeśli nie wchodzą z nim w kontakt. Jak gdyby on jeden istniał naprawdę, materialnie.

Mikołaj bębnił palcami po blacie.

- Ale moglibyśmy próbować go sondować, by czegoś się dowiedzieć - powiedział podekscytowanym tonem. - Może nawet przekazywać mu fałszywe informacje. - Mrugnęłam. Tak szybko Mikołaj przeszedł do strategii. Powinnam była już do tego przywyknąć. - Możesz tak robić z innymi Griszami? Spróbować wniknąć im do głów?

- Raczej nie. Darklinga i mnie... łączy więź. Pewnie zawsze tak będzie.

- Muszę ostrzec Ravkę Zachodnią - rzekł. - Będą musieli ewakuować obszar wzdłuż brzegu Fałdy. - Mikołaj potarł dłonią twarz. Pierwszy raz widziałam skazę na jego pewności siebie.

- Nie utrzymają sojuszu, prawda? - spytał Mał.

- Wątpię. Blokada stanowiła gest dobrej woli, na który Ravka Zachodnia była skłonna sobie pozwolić, kiedy sądzili, że nie spotka ich odwet.

- Jeżeli skapitulują - odezwała się Tamar - czy Darkling będzie kontynuował natarcie?

- Nie chodzi tylko o blokadę - powiedziałam. - Rzecz w tym, by nas odizolować, zadbać o to, byśmy nie mieli się dokąd zwrócić. I chodzi o władzę. Chce użyć Fałdy. Zawsze tego chciał. - Powstrzymałam impuls, by dotknąć nagiego nadgarstka. - To przymus, kompulsja.

- Ilu ludzi możesz zebrać? - zapytał Mał Mikołaja.

- Szczerze? Moglibyśmy zapewne zgromadzić mniej więcej pięć tysięcy. Są rozsiani po komórkach na północnym zachodzie, więc trudność tkwi w mobilizacji, ale myślę, że da się zrobić. Mamy też powody podejrzewać, że niektóre oddziały pospolitego ruszenia są nam lojalne. Było mnóstwo dezercji z bazy w Policnai oraz na północnym i południowym froncie.

- A co z Soli Soldatami? - spytał Tolia. - Będą walczyć. Wiem, że za Alinę oddaliby życie. Już tak było. - Potarłam ramiona, myśląc o kolejnych straconych istnieniach - o zażarcie wesołej buzi Ruby z tatuażem glorii.

Mikołaj ściągnął brwi.

- Ale czy możemy polegać na Apparacie? - Kapłan odegrał kluczową rolę w zamachu stanu, który prawie obalił ojca Mikołaja - a w odróżnieniu od Genii nie był bezbronnym sługą skrzywdzonym przez króla, lecz zaufanym doradcą. - Czego on dokładnie chce?

- Myślę, że chce przetrwać - powiedziałam. - Wątpię, by ryzykował otwartą konfrontację z Darklingiem, o ile nie byłby pewny jej wyniku.

- Więcej ludzi by się nam przydało - przyznał Mikołaj.

W prawej skroni wzbierał mi tępy ból.

- Nie podoba mi się to - stwierdziłam. - Wcale. Mówisz o tym, by rzucić przeciwko nisztojom mnóstwo ciał. Skala ofiar będzie niespotykana.

- Dobrze wiesz, że będę tam razem z nimi - rzekł Mikołaj.

- Oznacza to jedynie, że mogę cię dodać do liczby poległych.

- Jeżeli Darkling wykorzysta Faldę, by odciąć nas od wszelkich sprzymierzeńców, Ravka będzie należała do niego. Tylko zyska na potędze, umocni swoje siły. Nie poddam się ot, tak.

- Widziałeś, co te potwory zrobiły w Małym Pałacu...

- Sama mówisz, że on się nie zatrzyma. Musi używać swojej potęgi, a im częściej jej używa, tym bardziej będzie jej pożądał. To może być nasza ostatnia okazja, by go pokonać. Poza tym krążą plotki, że Orecev to niezły tropiciel. Jeżeli znajdzie ognistego ptaka, możemy mieć szansę.

- A jeśli nie znajdzie?

Mikołaj wzruszył ramionami.

- Wystroimy się paradnie i zginiemy śmiercią bohaterów.

* * *

Świtało już, nim skończyliśmy omawiać szczegóły naszych następnych posunięć. „Zimorodek” powrócił, a Mikołaj zaraz odesłał go z powrotem ze świeżą załogą oraz ostrzeżeniem

skierowanym do izby kupieckiej Ravki Zachodniej, że Darkling może planować atak.

Załodze powierzono również zaproszenie do spotkania z Mikołajem oraz Przyzywaczką Słońca w neutralnym Kerczu. Mikołaj ani ja nie mogliśmy ryzykować, że zostaniemy pojmani na obszarze, który już wkrótce może wpaść w ręce nieprzyjaciela - było to zbyt niebezpieczne. „Pelikan” cumował w hangarze i niebawem miał wyruszyć do Keramzina bez nas. Nie byłam pewna, czy czuję żal, czy ulgę, że nie dam rady razem z nimi udać się do sierocińca, ale po prostu nie mieliśmy czasu na nadkładanie drogi. Mal i jego drużyna mieli wyruszyć do Sikurzoju następnego ranka na pokładzie „Bąka”, a ja do nich dołączę tydzień później. Zamierzaliśmy trzymać się pierwotnego planu, licząc na to, że Darkling nie ruszy wcześniej do akcji.

Było jeszcze wiele kwestii do omówienia, lecz Mikołaj musiał napisać kilka listów, a ja - porozmawiać z Baghrą. Pora na lekcje dobiegła końca.

Zastałam ją w jej ciemnej norze. Ogień płonął suto i w pomieszczeniu było nieznośnie ciepło. Misza przyniósł jej właśnie tacę ze śniadaniem. Czekałam, aż zje swoją kaszę gryczaną i wypije gorzką, czarną herbatę. Kiedy skończyła, Misza otworzył książkę, by zacząć czytać, lecz Baghra szybko go uciszyła.

- Odnieś tacę - powiedziała. - Świętoszka się czymś martwi. Jeżeli każemy jej dłużej czekać, zerwie się z krzesła i mną potrząśnie.

Okropny babsztyl. Czy nic jej nie umykało?

Misza podniósł tacę. Zawahał się, przestępując z nogi na nogę.

- Muszę od razu wracać?

- Przestań się więc jak czerw - warknęła Baghra i Misza znieruchomiał. Pomachała ręką. - Zmykaj, bezużyteczny pędraku, tylko nie spóźnij mi się z obiadem.

Pognał do wyjścia ze szczękiem naczyń i kopniakiem zamknął za sobą drzwi.

- To twoja wina - poskarżyła się Baghra. - Nie potrafi już ustać w miejscu.

- To mały chłopiec. Mali chłopcy nie słyną z bezruchu. - Zanotowałam sobie w pamięci, żeby po naszym wyjeździe ktoś kontynuował lekcje fechtunku z Miszą.

Baghra skrzywiła się i pochyliła w stronę ognia, owijając się ciaśniej futrami.

- No dobra - powiedziała - jesteśmy same. Co chcesz wiedzieć? Czy wolisz siedzieć tu, gryząc się w język, jeszcze przez godzinę?

Nie byłam pewna, co powiedzieć.

- Baghro...

- Albo wyduś to z siebie, albo daj mi się zdrzemnąć.

- Możliwe, że Darkling znalazł sposób, by wkroczyć do Fałdy beze mnie. Będzie mógł użyć jej w charakterze broni. Jeżeli możesz nam cokolwiek powiedzieć, potrzebujemy informacji.

- Zawsze jedno i to samo pytanie.

- Kiedy spytałam, czy to możliwe, by Morozov nie dokończył pracy nad wzmacniaczami, powiedziałaś, że to nie było w jego stylu. Znałaś go?

- Skończyłyśmy, dziewczyno - odwróciła się z powrotem do ognia. - Zmarnowałaś swój ranek.

- Powiedziałaś mi kiedyś, że żywisz nadzieję na odkupienie dla swojego syna. To może być moja ostatnia szansa, by go powstrzymać.

- Aha, czyli teraz masz nadzieję uratować mojego syna? Jakże wielkodusznie z twojej strony.

Zrobiłam głęboki wdech.

- Aleksander - szepnęłam. Zamarła. - Naprawdę ma na imię Aleksander. Jeżeli zrobi ten krok, będzie stracony na wieki. Możliwe, że my wszyscy będziemy straceni.

- To imię... - Baghra odchyliła się na krześle. - Tylko on mógł ci je podać. Kiedy?

Nigdy nie rozmawiałam z Baghrą o wizjach i raczej nie chciałam dyskutować o nich teraz. Zamiast tego powtórzyłam pytanie:

- Baghro, znałaś Morozova?

Milczała dłuższą chwilę. Ciszę przerywał tylko trzask ognia. W końcu odparła:

- Lepiej niż inni.

Podejrzewałam, że tak było, ale trudno mi było w to uwierzyć. Widziałam pisma Morozova, nosiłam jego wzmacniacze, ale nigdy nie wydawał się rzeczywisty. Był Świętym w złotym nimbie - dla mnie stanowił bardziej legendę niż prawdziwego człowieka.

- Na półce w rogu stoi butelka kvasu - powiedziała Baghra - wysoko, tak by Misza nie sięgnął. Przynieś ją oraz szklanę.

Wcześniej było jak na kvas, ale nie zamierzałam się spierać. Przyniosłam butelkę i nalałam jej.

Pociągnęła długi łyk i zamlaskała.

- Nowy król nie skąpi, prawda? - Westchnęła i rozparła się wygodniej. - Dobrze, Świętoszko, skoro chcesz dowiedzieć się wszystkiego o Morozovie i jego wspaniałych wzmacniaczach, opowiem ci historię... historię, którą opowiadałam małemu chłopcu z ciemnymi włosami, milczącemu chłopcu, który rzadko się śmiał i który słuchał uważniej, niż sądziłam. Chłopcu, który miał imię, a nie tytuł.

Cieniste otchłanie jej oczu zdawały się falować i migotać w blasku ognia.

- Morozov był Kowalem Kości, jednym z najwybitniejszych Fabrykatorów, jakich zrodziła ziemia, i człowiekiem, który posuwał griszaicką potęgę do granic, ale był też po prostu mężczyzną, który miał żonę. Ona była otkazacją i choć go kochała, nie rozumiała go.

Pomyślałam o tym, jak Darkling wypowiada się o otkazacjach, o jego przewidywaniach na temat Mala oraz tego, jak będzie mnie traktować lud Ravki. Nauczył się tego od Baghry?

- Muszę ci powiedzieć, że on też ją kochał - ciągnęła. - Tak przynajmniej sądzę. Ale nigdy dość, by przestać pracować. Miłość nie mogła wziąć w karby kierującej nim potrzeby. To jest klątwa mocy Griszów. Sama wiesz, Świętoszko. Ponad rok spędzili na Cybei, polując na jelenia, dwa lata żeglowali po Kostnym Szlaku w poszukiwaniu węża morskiego. Były to wielkie sukcesy Kowala Kości. Dwie pierwsze fazy jego wielkiego planu. Ale kiedy żona zaszła w ciążę, osiedli w małej wiosce... miejscu, gdzie mógł kontynuować swoje eksperymenty i snuć plany na temat tego, które stworzenie zostanie trzecim wzmacniaczem. Pieniądzy mieli mało. Kiedy dało się go odciągnąć od studiów, zarabiał na życie jako stolarz, a wieśniacy od czasu do czasu przychodzili do niego z ranami i boleściami...

- Był Uzdrowicielem? - spytałam. - Myślałam, że był Fabrykatorem.

- Morozov tego nie rozgraniczał. W owych czasach niewielu Griszów to czyniło. Sądził, że jeżeli nauka jest dostatecznie mała, wszystko jest możliwe. I w jego przypadku często okazywało się to prawdą.

„Czyż nie jesteśmy wszystkim?”

- Mieszkańcy wioski patrzyli na Morozova oraz jego rodzinę z mieszaniną litości i nieufności. Jego żona chodziła ubrana w łachmany, a dziecko... Jego dziecko rzadko widywano. Matka pilnowała, żeby trzymała się domu i pobliskich pól. Widzisz, ta dziewczynka wcześniej zaczęła manifestować moc -niepodobną do niczego znanego wcześniej. - Baghra upiła kvasu. - Potrafiła przyzywać ciemność.

Słowa zawisły w rozgrzanym powietrzu - pojęłam ich sens.

- Ty? - szepnęłam. - Zatem Darkling...

- Jestem córką Morozova, a Darkling jest ostatnim z jego rodu. - Opróżniła szklanicę. - Przerazałam swoją matkę. Była przekonana, że moja potęga to jakaś abominacja... rezultat eksperymentów ojca. I mogła mieć rację. Maczać palce w mierzosty... Cóż, skutki nigdy nie są całkiem takie, na jakie się liczy. Nienawidziła mnie dotykać, z trudem przychodziło jej przebywanie w tym samym pomieszczeniu co ja. Dopiero kiedy urodziło się jej drugie dziecko, wróciła do siebie. Druga dziewczynka - normalna jak matka, bez mocy i śliczna. Jakże moja matka ją rozpieszczała!

Minęły setki lat - może nawet tysiąc. Rozpoznałam jednak ból w jej głosie, żądło zdeptania i odtrącenia.

- Ojciec gotował się do wyprawy za ognistym ptakiem. Byłam tylko małą dziewczynką, ale błagałam, by wziął mnie z sobą. Staralam się być pożyteczna, ale tylko go drażniłam, i w końcu zabronił mi wstępu do swojej pracowni.

Postukała w blat, a ja nappełniłam jej szklanke.

- I nagle pewnego dnia Morozov musiał opuścić swój warsztat. Krzyki mojej matki ściągnęły go na pastwisko za domem. Bawiłam się lalkami, a moja siostra marudziła, płakała i tupiała nóżkami, aż matka kazała mi dać jej moją ulubioną zabawkę... drewnianego łabędzia, którego ojciec wyrzeźbił w jednej z

rzadkich chwil, kiedy w ogóle zwracał na mnie uwagę. Łabędź miał skrzydła tak precyzyjnie wykończone, że wydawało się, że są z prawdziwych piór, oraz idealne stopy z błoną, dzięki którym utrzymywał się na powierzchni wody. Nie minęła nawet minuta, odkąd siostra dostała go do rąk, a już złamała mu smukłą szyję. Pamiętaj, jeśli potrafisz, że byłam zaledwie dzieckiem... samotnym dzieckiem, które miało bardzo mało własnych skarbów. - Uniosła szklanę, lecz nie upiła. - Zaatakowałam siostrę. Cięciem. Rozpłatałam ją na pół.

Staralam się nie wyobrazić tego sobie, lecz obraz stanął mi wyraziście przed oczyma: błoto na polu, ciemnowłosa dziewczynka, jej ulubiona zabawka zniszczona. Dostała napadu złości - jak to dziecko. Ale nie była zwyczajnym dzieckiem.

- Co się stało? - wyszeptalam w końcu.

- Wieśniacy przybiegli. Przytrzymali moją matkę, żeby nie mogła się na mnie rzucić. Nie mogli pojąć, co ona mówi. Jak to możliwe, że mała dziewczynka zrobiła coś takiego? Kiedy przyszedł mój ojciec, kapłan już się modlił nad ciałem mojej siostry. Morozov bez słowa uklęknął przy niej i zabrał się do dzieła. Wieśniacy nie rozumieli, co się dzieje, ale wyczuwali wzbierającą moc.

- Uratował ją?

- Tak - odparła Baghra po prostu. - Był wielkim Uzdrowicielem i wykorzystał cały swój kunszt, by ją przywrócić do życia... była słaba, oddychała chrapliwie, miała blizny... ale żyła.

Czytałam niezliczone wersje męczeństwa Świętego Ilii. Z biegiem czasu szczegóły opowieści się zatarły i wykrzywiły: ocalił własne dziecko, a nie kogoś nieznanego. Dziewczynkę, a nie chłopca. Przypuszczałam jednak, że zakończenie nie uległo zmianie. Zadrżałam na myśl o tym, co wydarzyło się później.

- Tego było za wiele - rzekła Baghra. - Wieśniacy wiedzieli, jak wygląda śmierć... to dziecko powinno było umrzeć. A może też mieli do niego żal. Ilu ich bliskich przypląciło życiem choroby czy rany, odkąd Morozov przybył do ich wioski? Ile istnień mógł być ocalić? Może kierowały nimi nie tylko przerażenie oraz poczucie słuszności, lecz także gniew. Zakuli go w kajdany... razem z moją siostrą, dzieckiem, które powinno było mieć dość rozumu, by nie dać się wskrzesić. Nie miał kto bronić mojego ojca... nie miał kto przemówić w imieniu mojej siostry. Żyliśmy na obrzeżu ich codzienności i nie mieliśmy przyjaciół. Odprowadzili go nad rzekę. Siostrę trzeba było nieść. Dopiero nauczyła się chodzić i nie dawała rady w łańcuchach.

Zacisnęłam dłoń w pięści na kolanach. Nie chciałam słuchać reszty.

- Matka zawodziła i błagała, ja płakałam i starałam się wyrwać jakiemuś prawie obcemu sąsiadowi, a oni zepchnęli Morozova i jego najmłodszą córkę z mostu, i patrzyliśmy, jak nikną pod powierzchnią wody, wciągani ciężarem żelaznych łańcuchów. - Baghra opróżniła szklankę i postawiła ją na stole dnem do góry. - Więcej nie widziałam ojca ani siostry.

Siedziałyśmy w milczeniu, a ja starałam się zrozumieć, co wynika z jej słów. Nie widziałam łez na policzkach Baghry. „Jej żaloba jest stara” - powiedziałam sobie. A jednak wydawało mi się, że taki ból nigdy całkowicie nie przemija. Żaloba miała własny żywot, sama się odżywiała.

- Baghro - parłam dalej, na własny sposób bezwzględna - skoro Morozov zginął...

- Nie mówiłam, że zginął. Ja go więcej nie widziałam. Był jednak Griszą o olbrzymiej mocy. Mógł przeżyć upadek.

- W kajdanach?

- Był najwybitniejszym Fabrykatorem na świecie. Otkazacka stał nie wystarczyłaby, by go uwięzić.

- I sądzisz, że stworzył później trzeci wzmacniacz?

- Praca była jego życiem - powiedziała tonem zaprawionym goryczą zaniedbywanego dziecka. - Póki starczyłoby mu tchu w piersi, póty bez ustanku szukałby ognistego ptaka. Ty byś przestała?

- Nie - przyznałam. Ognisty ptak stał się moją własną obsesją - jak nić kompulsywnego przymusu łącząca mnie z Morozovem poprzez wieki. Czy to możliwe, że przeżył? Baghra wydawała się pewna, że tak. A co z jej siostrą? Jeżeli Morozowowi udało się wyratować, czy mógłby ocalić swoje dziecko z odmętów rzeki i użyć swoich umiejętności, by ją ponownie ożywić? Myśl ta mną wstrząsnęła. Chciałam schwycić ją kurczowo, obracać w rękach - lecz musiałam dowiedzieć się więcej.

- Co wieśniacy zrobili z tobą?

Jej chrapliwy śmiech prześlizgnął się przez pomieszczenie. Dostałam gęsiej skórki.

- Gdyby byli mądrzy, mnie też wrzuciliby do rzeki. Ale oni wygnali moją matkę oraz mnie z wioski i zdali nas na łaskę lasów. Matka była do niczego. Rwała włosy z głowy i szlochała, aż się pochorowała. Wreszcie po prostu się położyła i nie chciała wstać, nie bacząc na to, jak płakałam i ją wołałam. Zostałam z nią tak długo, jak mogłam. Starłam się rozpalić ogień, żeby było jej ciepło, ale nie umiałam. - Wzruszyła ramionami. - Byłam taka głodna. W końcu zostawiłam ją i zaczęłam się błąkać, brudna, w majakach, aż trafiłam na gospodarstwo. Wpuścili mnie i zorganizowali poszukiwania, ale nie umiałam trafić do niej z powrotem. Z tego, co wiem, możliwe, że umarła z głodu na leśnej ściółce.

Czekałam w milczeniu. Kvas zaczynał wyglądać bardzo dobrze.

- Ravka była wtedy inna. Griszowie nie mieli schronienia. Moc taką jak nasza przyplącało się losem mojego ojca. Ukrywałam swoje zdolności. Śledząc opowieści o czarownicach oraz Świętych, natknęłam się na tajne mateczniki, gdzie Griszowie studiowali swoją naukę. Nauczyłam się, ile mogłam. A kiedy przyszedł czas, nauczyłam mojego syna.

- A jego ojciec?

Baghra znów zaśmiała się szorstko.

- Chcesz też historii o miłości? Nie ma tu takiej. Chciałam mieć dziecko, więc wyszukałam najpotężniejszego Griszę, jakiego mogłam. Był Sercodarcą. Nie pamiętam nawet, jak miał na imię.

Przez krótką chwilę widziałam dziką dziewczynę, jaką była - nieulekłą i zażartą, Griszę o niezwykłych zdolnościach. Potem westchnęła i poprawiła się na krześle, a złudzenie zniknęło - w jego miejsce pojawiła się zmęczona, stara kobieta skulona przy ogniu.

- Mój syn nie był... Zaczął tak dobrze. Przeprowadzaliśmy się z miejsca na miejsce, widzieliśmy, jak żyją nasi, jak się im nie ufa, jak z musu budują sobie z trudem życie w tajemnicy i lęku. Poprzysiągł, że pewnego dnia będziemy mieli bezpieczne schronienie, że moc Griszów będzie czymś cenionym i upragnionym... że nasz kraj będzie otaczał ją szacunkiem. Że będziemy Ravczanami, a nie tylko Griszami. To marzenie stanowiło zasiew Drugiej Armii. To było dobre marzenie. Gdybym wiedziała... - Pokręciła głową. - Dałam mu dumę. Obciążyłam go ambicją, ale najgorsze było to, że próbowałam go ochronić. Musisz zrozumieć, że nawet nasi nas unikali... lękali się naszej dziwnej mocy.

„Nie ma nikogo takiego jak my”.

- Nie chciałam, żeby kiedykolwiek czuł się tak jak ja, kiedy byłam dzieckiem - powiedziała Baghra. - Więc nauczyłam go, że

jest niezrównany, że pisane mu jest, by nikomu nie musiał się kłaniać. Chciałam, by był hardy, silny. Nauczyłam go tego, co przekazali mi matka i ojciec: żeby na nikim nie polegać. Że miłość... krucha, kapryśna, surowa... to nic w porównaniu z potęgą. Był bardzo bystrym chłopcem. Za dobrze się nauczył.

Szybkim gestem, z zaskakującą precyzją, Baghra złapała mnie za nadgarstek.

- Odłóż głód na bok, Alino. Zrób to, na co nie było stać Morozova ani mojego syna, i zrezygnuj.

Policzki miałam mokre od łez. Współczułam jej. Współczułam jej synowi. Ale mimo to wiedziałam, jaka będzie moja odpowiedź.

- Nie mogę.

- „Cóż jest nieskończone?” - wydeklamowała. Dobrze znałam ten tekst.

- „Wszechświat oraz ludzka chciwość” - odparłam cytatem.

- Może się okazać, że nie przeżyjesz ofiary, jakiej wymaga mierzost. Raz już zasmakowałeś tej potęgi i prawie przyplącałeś to życiem.

- Muszę spróbować.

Baghra pokręciła głową.

- Głupia dziewczucha - powiedziała, ale głos miała smutny, jak gdyby łąjała inną dziewczynę... sprzed lat, zagubioną i niechcianą, kierowaną bólem i strachem.

- Dzienniki...

- Wiele lat później powróciłam do wioski, gdzie przyszłam na świat. Nie byłam pewną, co zastanę. Po warsztacie ojca nie zostało śladu, ale znalazłam jego dzienniki... wetknięte w jakąś ukrytą niszę w starej piwnicy. - Parsknęła z niedowierzaniem. - Zbudowali na tym miejscu cerkiew.

Po chwili wahania zapytałam:

- Skoro Morozov przeżył, co się z nim stało?
- Pewnie odebrał sobie życie. W ten sposób umiera większość Griszów o wielkiej mocy.

Wyprostowałam się z zaskoczenia.

- Dlaczego?

- Myślisz, że ja tego nigdy nie rozważałam? Ani mój syn? Kochankowie się starzeją. Dzieci umierają. Królestwa wzrastają i upadają, a my trwamy. Może Morozov nadal błąka się po świecie, starszy i bardziej zgorzkniały niż ja. A może skierował swoją moc przeciwko sobie i położył wszystkiemu kres. To proste. Podobne wzywa podobne. W przeciwnym razie... - Znów się zaśmiała - tym suchym, chrapliwym śmiechem. - Powinnaś ostrzec swojego księcia. Jeżeli naprawdę sądzi, że kula powstrzyma Griszę z trzema wzmacniaczami, bardzo się myli.

Zadygotałam. Starczy mi odwagi, by odebrać sobie życie, jeśli do tego przyjdzie? Jeżeli połączę wzmacniacze, może uda mi się zniszczyć Fałdę, ale w jej miejsce równie dobrze mogę stworzyć coś innego. A kiedy będę się mierzyć z Darklingiem, nawet jeśli ważę się użyć mierzosty, by powołać do istnienia armię światła, czy to wystarczy, by go zniszczyć?

- Baghro - zapytałam ostrożnie - co trzeba by zrobić, żeby zabić Griszę o takiej mocy?

Baghra postukała palcem w mój nadgarstek - w nagie miejsce, gdzie za parę dni może spocząć trzeci wzmacniacz.

- Świętoszko - szepnęła. - Męczenniczko. Zapewne się przekonamy.

* * *

Resztę popołudnia spędziłam, układając prośbę o pomoc do Apparata. Przesyłka będzie złożona pod ołtarzem w cerkwi Świętego Lukina w Vernosti i - mieliśmy nadzieję - za pośrednictwem sieci wiernych trafi do Białego Soboru. Użyliśmy kodu, który Tolia i Tamar znali z czasów spędzonych w gronie Sol Sołdatów, tak by w przypadku gdyby wiadomość wpadła w ręce Darklinga, nie zorientował się, że za dwa zaledwie tygodnie Mal i ja będziemy czekać na siły Apparata w Karievie. Po okresie letnim miasto wyścigów było ziało pustką, a ponadto było ono usytuowane nieopodal południowej granicy. Ognistego ptaka zdobędziemy albo nie, ale będziemy mogli przemaszerować wraz z naszymi siłami - jakiegokolwiek one będą - na północ pod osłoną Fałdy i połączyć się z żołnierzami Mikołaja na południe od Kribirska.

Miałam dwa zupełnie różne zestawy bagażu. Jeden z nich był to prosty żołnierski plecak, który miał się znaleźć na pokładzie „Bąka”. W środku znajdowały się zgrzebne spodnie, oliwkowy płaszcz, wykończony tak, by nie przepuszczał wody, ciężkie buty, niewielki zasób pieniędzy na łapówki czy zakupy, które okażą się konieczne w Dva Stołba, futrzana czapa oraz szal, by zakryć obręcz Morozova. Drugi zestaw bagaży zapakowano na „Zimorodka” - był to komplet trzech kufrów zdobnych w moją złotą glorię i wypchanych jedwabiami oraz futrami.

Kiedy nastał wieczór, zesłam do kotłowni, żeby pożegnać się z Baghrą i Miszą. Nie zdziwiłam się, że po swych złowieszczych ostrzeżeniach odprawiła mnie z kwaśną miną. Tak naprawdę przyszłam jednak zobaczyć się z Miszą. Zapewniłam go, że znalazłam kogoś, kto pod naszą nieobecność będzie kontynuować jego lekcje, i podarowałam mu szpilkę ze złotą glorią, jakie nosi moja straż przyboczna. Na południu Mal nie będzie mógł jej nosić, a zachwyty na twarzy Miszy wart był wszystkich szyderstw Baghry.

Nieśpiesznie wracałam ciemnymi korytarzami. Było tam cicho, a odkąd Baghra opowiedziała mi swoją historię, nie miałam czasu na zastanowienie. Wiedziałam, że w jej zamierzeniu była to opowieść ku przestrodze, a mimo to nieustannie wracałam myślami do małej dziewczynki, którą wrzucono do rzeki wraz z Ilią Morozovem. Baghra sądziła, że zginęła. Zbagatelizowała siostrę, uznając ją za otkazację - ale jeżeli dziewczynka po prostu nie zaczęła jeszcze manifestować mocy? Ona też była dzieckiem Morozova. A jeżeli jej dar był wyjątkowy - jak talent Baghry? Jeśli przeżyła, ojciec mógł wziąć ją z sobą w pościg za ognistym ptakiem. Możliwe, że żyła w pobliżu Sikurzoju; że jej moc przechodziła z pokolenia na pokolenie przez setki lat. Może ostatecznie ukazała się we mnie.

Wiedziałam, że to bezczelne przypuszczenie. Okropna arogancja. A jednak jeżeli znajdziemy ognistego ptaka nieopodal Dva Stołba, tak blisko miejsca moich narodzin - czy to rzeczywiście może być zbieg okoliczności? Urwałam. Gdybym była spokrewniona z Morozovem, oznaczałoby to, że jestem również spokrewniona z Darklingiem. A to oznaczało, że niewiele brakowało, a... Na myśl o tym przeszły mnie ciarki. Niezależnie od tego, ile lat i pokoleń przeminęło, nadal czułam potrzebę wykapać się we wrzątku.

Z zamyślenia wyrwał mnie Mikołaj, który kroczył korytarzem w moją stronę.

- Powinnaś coś zobaczyć - rzekł.

- Wszystko w porządku?

- Właściwie to w imponującym wręcz porządku. - Popatrzył na mnie. - Co ci wiedźma zrobiła? Wyglądasz, jakbyś połknęła wyjątkowo oślizgłego robala.

„Albo może całowałam się - i trochę więcej - z kuzynem".
Zadrzałam.

Mikołaj podał mi ramię.

- Cóż, mniejsza z tym, co to było... pokrzywiesz się na myśl o tym później. Na górze jest cud, który nie cierpi zwłoki.

Wsparałam się na jego ramieniu.

- Nigdy nie przesadzasz z wychwalaniem, co nie, Lancov?

- Jeżeli sprostą się oczekiwaniom, nie jest to przesada.

Zaczęliśmy właśnie wchodzić na górę, gdy z przeciwnej strony pojawił się Mal, biegnący lekko po schodach. Promieniał - jego twarz jaśniała podnieceniem. Ten uśmiech był jak wybuch bomby w mojej piersi. Należał do Mala, który - jak sądziłam - już znikł, pokryty bliznami tej wojny.

Zauważył Mikołaja i mnie ze splecionymi rękoma. Po upływie krótkiej chwili jego twarz pokryła maska. Skłonił się i ustąpił nam z drogi.

- Idziesz w złą stronę - powiedział Mikołaj. - Ominie cię.

- Zaraz wrócę - odparł Mal. Jego głos brzmiał tak normalnie, uprzejmie, że prawie uwierzyłam, iż ten uśmiech mi się przewidział.

Mimo to kosztowało mnie wszystkie siły, by nadal wchodzić po tych schodach pod rękę z Mikołajem. „Miej w pogardzie własne serce” - powiedziałam sobie. Rób, co trzeba.

Kiedy dotarliśmy na górę i weszliśmy do Kołowrotka, rozdziawiłam buzię. Pogaszono latarnie, więc w pomieszczeniu panowała ciemność, ale wszędzie dookoła sypały się gwiazdy. Okna rozjaśniały smugi światła spadające kaskadami po szczytach góry - jak błyszczące ryby w rzece.

- Deszcz meteorytów - powiedział Mikołaj, prowadząc mnie uważnie przez pomieszczenie. Ludzie porzkładali koce oraz poduszki na podgrzewanej podłodze i siedzieli w grupkach albo leżeli na plecach, patrząc w nocne niebo.

Znienacka ból w mojej piersi tak przybrał na sile, że prawie zgięłam się wpół. Bo Mał biegł po schodach właśnie po to, żeby mi to pokazać. Bo ten wyraz twarzy - otwarty, ochoczy, szczęśliwy - był przeznaczony dla mnie. Bo ja już zawsze będę pierwszą osobą, do której się zwróci, kiedy zobaczy coś pięknego. Ze mną będzie tak samo. Niezależnie od tego, czy będę Świętą, królową czy najpotężniejszą Griszą świata, zawsze będę zwracać się do niego.

- Piękne - wykrztusiłam.

- Mówiłem ci, że mam mnóstwo pieniędzy.

- Czyli teraz organizujesz wydarzenia na nieboskłonie?

- Taka fucha na boku.

Staliśmy pośrodku pomieszczenia, patrząc na szklaną kopułę.

- Mógłbym obiecać, że sprawię, iż o nim zapomnisz - zaproponował Mikołaj.

- Nie jestem pewna, czy to możliwe.

- Zdajesz sobie sprawę, że godzisz w moją dumę.

- Twoja pewność siebie wydaje się nienaruszona.

- Zastanów się - powiedział, wiodąc mnie przez ciżbę w stronę cichego zakamarka w pobliżu zachodniego tarasu. - Jestem przyzwyczajony do tego, że wszędzie znajduję się w centrum uwagi. Mówiono mi, że potrafiłbym tak oczarować konia wyścigowego, że w biegu oddałby mi podkowy, a mimo to ty jesteś odporna.

Zaśmiałam się.

- Dobrze wiesz, że cię lubię, Mikołaju.

- Takie letnie uczucie.

- Nie słyszałam, żebyś deklarował miłość.

- A to by pomogło?

- Nie.

- Komplementy? Kwiaty? Sto sztuk bydła?

Szturchnęłam go.

- Nie.

Nawet w tej chwili wiedziałam, że przyprowadzenie mnie tutaj stanowiło raczej demonstrację niż romantyczny gest. Kantyna była pusta, a ten zakątek Kołowrotka mieliśmy do własnej dyspozycji, ale zadbał o to, żebyśmy przeszli dłuższą drogą przez tłum. Chciał, by widziano nas razem - przyszłego króla i królową Ravki. Mikołaj odchrząknął.

- Alino, jeżeli jakimś cudem przeżyjemy następne kilka tygodni, poproszę cię, byś została moją żoną.

Zaschło mi ustach. Wiedziałam, że ku temu zmierzamy, ale i tak dziwnie było słyszeć te słowa.

- Nawet jeśli Mał będzie chciał zostać - ciągnął Mikołaj - każę dać mu inny przydział.

„Powiedz dobranoc. Każ mi wyjść, Alino”.

- Rozumiem - powiedziałam cicho.

- Naprawdę? Wiem, że mówiłem, iż możemy być małżeństwem jedynie z nazwy, ale gdyby... gdybyśmy mieli dziecko, nie chciałbym, żeby musiał znosić plotki i żarty. - Założył ręce za plecy. -Jeden królewski bękart wystarczy.

Dzieci. Z Mikołajem.

- Wiesz, nie musisz tego teraz robić - powiedziałam. Nie byłam pewna, czy mówię do niego, czy do siebie. - Mogłabym stanąć na czele Drugiej Armii, a ty mógłbyś mieć każdą dziewczynę, jakiej zapragniesz.

- Szuhańską księżniczkę? Córkę kerczańskiego bankiera?

- Albo ravszańską dziedziczkę, lub Griszę taką jak Zoja.

- Zoja? Mam taką zasadę, że nie uwodzę nikogo, kto jest ładniejszy ode mnie.

Zaśmiałam się.

- To chyba było obraźliwe.

- Alino, właśnie takiego sojuszu pragnę... połączenia Pierwszej i Drugiej Armii. A jeśli chodzi o wszystko inne, zawsze wiedziałem, że małżeństwo, jakie kiedyś zawrę, będzie posunięciem politycznym. Że będzie w nim chodzić o władzę, nie o miłość. Ale może się nam poszczęści. Z biegiem czasu możemy mieć jedno i drugie.

- Albo trzeci wzmocniacz zamieni mnie w opętaną władzą dyktatorkę i będziesz musiał mnie zabić.

- Tak, to by zepsuło miesiąc miodowy - Wziął mnie za rękę i zaczął wodzić palcami po moim nadgarstku. Napięłam mięśnie i uświadomiłam sobie, że czekam na falę pewności, która towarzyszyła dotykowi Darklinga, albo na wstrząs, jaki poczułam tamtej nocy w Małym Pałacu, kiedy Mal i ja kłóciliśmy się przy bani. Nic się nie stało. Skóra Mikołaja była ciepła, jego dotyk delikatny. Zastanawiałam się, czy jeszcze kiedyś poczuję coś tak prostego, czy też tkwiąca we mnie moc będzie wzbierać i trzaskać, szukając styczności tak jak błyskawica kieruje się ku wzniesieniom.

- Naszyjnik - rzekł Mikołaj. - Bransolety. Nie będę musiał się wykosztowywać na biżuterię.

- Gustuję w drogich diademach.

- Ale masz tylko jedną głowę.

- Jak na razie. - Zerknęłam na nadgarstek. - Muszę cię uprzedzić... z rozmowy, którą odbyłam dziś z Baghrą, wynika, że jeżeli ze wzmocniaczami coś pójdzie nie tak, pozbycie się mnie może wymagać nieco więcej wysiłku niż zwykła broń palna.

- Czego na przykład?

- Może drugiej Przyzywaczki Słońca.

„To proste. Podobne wzywa podobne”.

- Na pewno gdzieś jest wersja zapasowa.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

- Widzisz? - powiedział. - Jeżeli nie zginiemy w ciągu miesiąca, możemy być razem bardzo szczęśliwi.

- Przestań - powiedziałam, nie przestając się uśmiechać.

- Co?

- Mówić to, co trzeba.

- Postaram się wyjść z tego nawyku. - Jego uśmiech przygasł. Wyciągnął rękę i odsunął włosy z mojej twarzy. Zamarłam. Położył dłoń tam, gdzie obroza spoczywała na krzywiznie mojej szyi, a kiedy się nie wzdrygnęłam, przesunął dłoń na mój policzek.

Nie byłam pewna, czy tego chcę.

- Mówiłeś... mówiłeś, że mnie nie pocałujesz, dopóki...

- Dopóki nie będziesz myśleć o mnie, zamiast starać się zapomnieć o nim? - Zbliżył się do mnie. Światło deszczu meteorytów padało na jego twarz. Pochylił się, dając mi czas, bym się odsunęła. Czułam jego oddech, kiedy powiedział: - Uwielbiam, kiedy mnie cytujesz.

Musnął ustami moje usta raz, przelotnie, potem ponownie. Nie był to pocałunek, lecz obietnica pocałunku. - Kiedy będziesz gotowa - powiedział. Potem wsunął sobie moją dłoń pod ramię i wstaliśmy razem, obserwując, jak po niebie sypią się gwiazdy.

Z biegiem czasu możemy być szczęśliwi. Ludzie zakochują się codziennie. Genia i David. Tamar i Nadia. Ale czy są szczęśliwi? Czy pozostaną szczęśliwi? Może miłość to gusła, modlitwa, którą odmawiamy, by odsunąć od siebie prawdę o samotności.

Odchyliłam głowę. Gwiazdy wyglądały, jak gdyby znajdowały się blisko siebie, mimo że w istocie były oddalone o miliony kilometrów. Ostatecznie może miłość oznaczała po prostu tęsknotę za czymś niemożliwie jaśniejącym i wiecznie nieosiągalnym.

11.

Następnego ranka zastałam Mikołaja na wschodnim tarasie, gdzie czytał pogodę. Drużyna Mała miała wyruszyć w ciągu godziny - czekali jedynie na sygnał. Podciągnęłam kaptur. Śnieg nie padał intensywnie, ale na policzkach i włosach osiadło mi kilka płatków.

- Jak to wszystko wygląda? - zapytałam, podając Mikołajowi szklankę herbaty.

- Nieźle - odparł. - Wiatr lekki, a ciśnienie stabilne. W górach może być trudniej, ale „Bąk” powinien sobie poradzić.

Usłyszałam, jak za plecami otwierają się drzwi. Mał i Tamar wyszli na taras. Byli ubrani w wiejską odzież, futrzane czapy i grube wełniane płaszcze.

- Mamy zgodę na wylot? - zapytała Tamar. Starła się wywierać wrażenie spokoju, ale słyszałam w jej głosie z trudem poskramiane podniecenie. Za jej plecami widziałam Nadię, która przyciskając buzię do szyby, czekała na werdykt.

Mikołaj pokiwał głową.

- Macie zgodę.

Uśmiech Tamar był oślepiający. Zdobyła się na opanowany ukłon, a potem odwróciła się do Nadii i dała jej znak. Nadia

krzyknęła radośnie i zaczęła na poły tańczyć, a na poły miotać się jak podczas ataku.

Mikołaj się roześmiał.

- Gdyby tylko okazała odrobinę entuzjazmu.

- Uważaj na siebie - powiedziałam, obejmując Tamar.

- Zaopiekuj się Tolią - odparła. Potem szepnęła. - Kobaltową suknię z koronki zostawiłyśmy ci w kufrze. Załóż ją dzisiaj.

Przewróciłam oczami i szturchnęłam ją. Wiedziałam, że zobaczę ich wszystkich za tydzień, ale z zaskoczeniem odkryłam, jak bardzo będę za nimi tęsknić.

Kiedy stanęłam przed Malem, zapanowało niezręczne milczenie. W szarym świetle poranka jego błękitne oczy jaśniały intensywnie. Blizna na moim ramieniu zakłuła.

- Bezpiecznej podróży, soverena maja. - Ukłonił się.

Wiedziałam, jak należy postąpić, ale i tak go przytuliłam. Przez chwilę stał bez ruchu, lecz potem zacisnął wokół mnie ramiona.

- Bezpiecznej podróży, Alino - wyszeptał mi we włosy i cofnął się szybko.

- Wyruszymy w drogę, jak tylko „Zimorodek” powróci. Spodziewam się zobaczyć was wszystkich w dobrym zdrowiu za tydzień - powiedział Mikołaj. - No i wyposażonych we wszechpotężne ptasie kości.

Mał się skłonił.

- Niech Święci prowadzą, carewiczu mój.

Mikołaj podał mu dłoń i uścisnęli sobie ręce.

- Powodzenia, Orecev. Znajdź ptaka, a kiedy to wszystko się skończy, zadbam o nagrodę dla ciebie. Gospodarstwo w Udovie. Dacza nieopodal miasta. Czego tylko zechcesz.

- Niepotrzebne mi to wszystko. Tylko... - Puścił rękę Mikołaja i odwrócił wzrok. - Zasługuj na nią.

Wrócił pośpiesznie do Kołowrotka razem z Tamar. Przez szybę widziałam, jak rozmawiają z Nadią i Harshawem.

- Cóż - rzucił Mikołaj - przynajmniej nauczył się, jak efektownie wyjść.

Ignorując ucisk w gardle, zapytałam:

- Ile czasu zajmie, nim dotrzemy do Ketterdamu?

- Dwa-trzy dni, w zależności od pogody i naszych Szkwalników. Udamy się na północ, a potem nad Morze Prawdziwe. Bezpieczniej niż podróżować nad Ravką.

- Jak tam jest?

- W Ketterdamie? Tam jest...

Nie skończył zdania. Przed oczyma przemknął mi rozmazany cień i nagle Mikołaj znikł. Stałam i wpatrywałam się w miejsce, gdzie stał, potem krzyknęłam, czując, jak pazury wpijają mi się w ramię, a moje stopy tracą kontakt z ziemią.

Kątem oka zobaczyłam, jak Mal wypada na taras, a Tamar depcze mu po piętach. Rzucił się i złapał mnie w pasie, szarpiąc mną w dół. Obróciłam się, poruszając rękoma po łuku i ciskając feerię światła, która przepaliła trzymającego mnie nisztója. Zamigotał i eksplodował w nicość. Upadłam na taras bezładnie, turlając się z Malem - krwawiąc z rany zadanej przez szpony potwora.

W jednej chwili stanęłam na nogi, przerażona tym, co widziałam. W powietrzu śmigały czarne kształty - skrzydlate kreatury, które poruszały się inaczej niż wszelkie naturalne stworzenia. Za plecami usłyszałam nagły zgiełk w sali, brzęk tłuczonego szkła, bo nisztóje ciskały sobą o okna.

- Wyprowadź pozostałych - zawołałam do Tamar. - Zabierz ich stąd.

- Nie możemy cię zostawić... - Nie stracę także ich!

- Idź! - ryknął do niej Mal. Przyłożył strzelbę do ramienia i zaczął mierzyć w atakujące potwory. Atakowałam Cięciem, lecz poruszały się tak szybko, że nie mogłam w nie wycelować. Odchyliłam głowę, szukając na niebie Mikołaja. Serce mi łomotało. Gdzie był Darkling? Skoro jego potwory tu są, on sam musi być w pobliżu.

Zstąpił z wysoka. Jego kreatury tłoczyły się wokół niego jak żywa peleryna. Ich skrzydła biły powietrze czarną, kłębiącą się falą, formowały się i niknęły, niosąc go na swej powierzchni. Ich ciała ślizgały się bliżej i dalej od siebie, pochłaniając pociski z broni Mala.

- Święci - zaklął Mal. - Jak on nas znalazł? Odpowiedź przyszła szybko. Zobaczyłam czerwoną sylwetkę wiszącą między dwoma nisztójami, których pazury zatopione były głęboko w ciele jeńca. Twarz Siergieja była biała jak kreda, oczy miał wytrzeszczone i pełne przerażenia, jego usta poruszały się w cichej modlitwie.

- Darować mu życie, Alino? - rzekł Darkling.

- Zostaw go w spokoju!

- Zdradził cię przed pierwszym oprycznikiem, jakiego znalazł. Ciekaw jestem... okażesz mi miłosierdzie czy sprawiedliwość?

- Nie chcę, by stała mu się krzywda - krzyknęłam. W głowie mi się kotłowało. Czy Siergiej naprawdę nas zdradził? Od czasu bitwy w Małym Pałacu był roztrzęsiony, ale co jeżeli planował to cały czas? Może podczas naszej potyczki z pospolitakami po prostu próbował się wymknąć, może z rozmysłem wyjawił imię Genii. Tak bardzo chciał opuścić Kołowrotek.

Wtedy właśnie uzmysłowiłam sobie, co Siergiej mamrocze - nie modlitwy, lecz w kółko jedno słowo: „Bezpiecznie. Bezpiecznie. Bezpiecznie”.

- Daj mi go - zażądałam.

- Najpierw zdradził mnie, Alino. Pozostał w Os Alcie, kiedy powinien był przejść na moją stronę. Był członkiem twojej rady, spiskował przeciwko mnie. Wszystko mi powiedział.

Świętym niech będą dzięki, że zachowaliśmy miejsce pobytu ognistego ptaka w sekrecie.

- Decyzja zatem należy do mnie - rzekł Darkling. - A obawiam się, że ja wybieram sprawiedliwość. Jednym ruchem nisztoje oderwały Siergiejowi kończyny i głowę z karku. Przelotnie dostrzegłam na jego twarzy wyraz szoku, usta rozchylone w milczącym krzyku, potem fragmenty zniknęły pod kopułą chmur.

- Wszyscy Święci - zaklął Mal.

Zaczęłam się dławić, ale musiałam stłumić własne przerażenie. Mal i obróciliśmy się wkoło, zwrócenie do siebie plecami. Otaczały nas nisztoje. Z tyłu, z Kołowrotka, dobiegały mnie krzyki i trzask tłuczonego szkła.

- Oto znów jesteśmy w tym samym położeniu, Alino. Twoja armia przeciwko mojej. Sądziś, że tym razem twoim żołnierzom powiedzie się lepiej?

Nie zwracając na niego uwagi, krzyknęłam w mglistą szarość:

- Mikołaj!

- Ach, księżę-pirat. Żałowałem wielu rzeczy, które musiałem zrobić podczas tej wojny - rzekł Darkling. - Ta się do nich nie zalicza.

Żołnierz cienia zapikował w dół. Z przerażeniem zobaczyłam, że trzyma szamoczącego się Mikołaja. Moja odwaga wyparowała do cna. Nie mogłam, patrzeć, jak rozczłonkuje Mikołaja.

- Proszę! - Słowo mi się wyrwało, bez godności ani hamulców. - Proszę, nie!

Darkling uniósł dłoń.

Przycisnęłam palce do ust. Kolana już się pode mną ugiwały.

Ale nisztój nie zaatakował Mikołaja. Cisnął nim o taras. Jego ciało walnęło w kamień z odrażającym hukiem i poturlało się kawałek.

- Alina, nie! - Mal próbował mnie powstrzymać, ale wyrwałam mu się i pobiegłam do Mikołaja, padając przy nim na kolana. Jęknął. Płaszcz miał potargany w miejscach, gdzie szpony kreatury rozdarły materiał. Próbował się unieść na łokciach i krew popłynęła mu z ust.

- To było niespodziewane - powiedział słabym głosem.

- Nic ci nie jest - powiedziałam. - Nic się nie stało.

- Cenię twój optymizm.

Kątem oka spostrzegłam ruch. Zobaczyłam, jak dwie plamy cienia uwalniają się z rąk Darklinga. Prześlizgnęły się po krawędzi balkonu, wijąc się jak żmije, zmierzając prosto na nas. Podniosłam ręce i cisnęłam Cięcie, unicestwiając brzeg balkonu, ale byłam zbyt powolna. Cienie przemknęły po kamieniu szybko jak błyskawica i wniknęły Mikołajowi w usta.

Wybałuszył oczy. Z zaskoczenia zapało mu oddech i wciągnął to coś, co Darkling wyzwolił, głębiej do płuc. Patrzyliśmy na siebie w szoku.

- Co... co to było? - wykrztusił. - Nie...

Zakaszłał, zadygotał. Nagle jego palce pofrunęły do jego piersi, rozdierając strzępy koszuli. Oboje spojrzeliśmy w dół, a pod jego skórą zobaczyłam rozprzestrzeniające się cienie, tworzące delikatne czarne linie, rozdzielające się jak żyłki w marmurze.

- Nie - jęknęłam. - Nie. Nie.

Pęknięcia przemieszczały się wzdłuż jego brzucha, po rękach.

- Alina? - powiedział bezradnie. Pod jego skórą ciemność rozpościerała się dalej, wspinając się po jego gardle. Odrzucił głowę w tył i krzyknął, prężąc ścięgna w szyi. Całe jego ciało się wygięło, plecy wyprężyły. Podniósł się na kolana, ciężko dysząc. Targały nim konwulsje. Wyciągnęłam rękę w jego stronę.

Z gardła wyrwał mu się następny surowy krzyk, a z jego pleców eksplodowały dwa czarne kształty. Rozwinęły się. Jak skrzydła.

Podniósł głowę gwałtownie. Popatrzył na mnie. Twarz pokrywał mu pot, oczy miał pełne paniki i rozpacz.

- Alino...

Potem jego oczy - mądre, piwne oczy - przybrały czarną barwę.

- Mikołaju? - szepnęłam.

Odgiał wargi, odsłaniając zęby czarne jak onyks. Wśród nich kły.

Warknął. Zachwiałam się w tył. Kłapnął zębami parę centymetrów ode mnie.

- Głodny? - zapytał Darkling. - Ciekaw jestem, które ze swoich przyjaciół zjesz najpierw.

Uniosłam ręce, nie chcąc używać mojej mocy. Nie chciałam robić mu krzywdy.

- Mikołaju - powiedziałam błagalnie. - Nie rób tego. Zostań ze mną.

Po jego twarzy przemknął spazm bólu. Był tam w środku, walczył z sobą, zmagając się z apetytem, który nim owładnął. Wyprężył ręce - nie, szpony. Zawył, a odgłos, jaki się z niego wydobył, był desperacki, przesywający, zupełnie nieludzki.

Uderzył skrzydłami i wbił się z tarasu, potworny, lecz wciąż piękny - w jakiś sposób nadal Mikołaj. Popatrzył na ciemne żyły na swoim torsie, na ostre jak brzytwa pazury, które przebiły jego

zaczernione opuszki palców. Wyciągnął ręce, jak gdyby błagał mnie o odpowiedź.

- Mikołaju - zawołałam.

Obrócił się w powietrzu, oderwał się i pognał wzwyż, jak gdyby mógł prześcignąć tkwiącą w nim potrzebę. Czarne skrzydła poniosły go wyżej i przeszył warstwę nisztoid. Raz obejrzał się za siebie. Czułam jego udrękę i zagubienie nawet z tej odległości.

Potem znikł - czarna plamka na szarym niebie. Ja zostałam na dole, drząc na całym ciele.

- Prędzej czy później - powiedział Darkling - zacznie się żywić.

Uprzedzałam Mikołaja, że Darkling będzie się mścił, ale nawet ja nie mogłam przewidzieć elegancji, idealnego okrucieństwa tego odwetu. Mikołaj okpił Darklinga, a teraz Darkling wziął mojego wyrafinowanego, błyskotliwego, szlachetnego księcia i przemienił go w potwora. Śmierć byłaby nazbyt łaskawa.

Dobyl się ze mnie głos - coś gardłowego, zwierzęcego, dźwięk, którego nie rozpoznałam. Uniosłam ręce i cisnęłam Cięcie dwoma jaśniejącymi łukami. Ugodziły one w kłębiące się kształty otaczające Darklinga. Widziałam, że niektóre eksplodują w nicłość, lecz zaraz zastępują je inne. Nie dbałam o to. Miotalam w niego raz po razie. Skoro potrafię strącić wierzchołek góry, to na pewno moja moc na coś się zda w tej bitwie.

- Walcz ze mną! - krzyknęłam. - Skończmy to teraz! Tutaj!

- Walczyć z tobą, Alino? Nie ma tu z czym walczyć. - Skinął w stronę nisztoid. - Brać ich.

Zaroily się ze wszech stron kipiącą czarną masą. Przy moim boku Mal otworzył ogień. Czułam zapach prochu i słyszałam brzęk przeładowywanych naboij, gdy pociski padały na ziemię. Koncentrowałam całą swoją moc, tak że moje ręce przypominały niemal wiatraki. Przecinałam naraz pięciu, dziesięciu, piętnastu

żołnierzy cienia, lecz nic to nie dawało. Było ich po prostu zbyt wielu.

Nagle walka ustała. Nisztoje unosiły się w powietrzu. Ich ciała zwisały bezwładnie, skrzydła poruszały się cichym rytmem.

- Ty to zrobiłaś? - zapytał Mal.

- Ja... chyba nie...

Na tarasie zapadła cisza. Słyszałam zawodzenie wiatru, odgłosy toczoney za nami bitwy.

- Abominacja.

Odwróciliśmy się. W drzwiach stała Baghra, wspierając rękę na barku Miszy. Chłopiec dygotał, a oczy miał tak szeroko otwarte, że widziałam więcej białka niż tęczówki. Za nimi nasi żołnierze walczyli już nie tylko z nisztojami, lecz także z oprycznikami oraz Griszami Darklinga w ich błękitnych i czerwonych keftach. Kazał swoim stworom wnieść ich wszystkich na szczyt góry.

- Prowadź mnie - kazała Baghra Miszy. Ile musiało go kosztować odwagi, by powieść ją po tarasie, minąć nisztoje, które kotłowały się i ocierały o siebie nawzajem, idąc w ślad za nią jak błyszczący czarny szuwar. Tylko te najbliższe Darklinga nadal się poruszały, lgnęły do swojego pana, bijąc skrzydłami jednostajnie.

Twarz Darklinga wykrzywił gniew.

- Powinienem był wiedzieć, że znajdę cię w obozie wroga. Wracaj do środka - rozkazał. - Moi żołnierze nie zrobią ci krzywdy.

Baghra nie zwróciła na niego uwagi. Kiedy doszli na skraj tarasu, Misza położył jej dłoń na barierce ocalałej ściany. Wsparła się na niej z niemal zadowolonym westchnieniem i szturchnęła Miszę laską.

- Idź, chłopcze, uciekaj do chuderlawej Świętoszki. - Zawahał się. Baghra wyciągnęła rękę w stronę jego policzka i poklepała go mocno. - Idźże - powtórzyła. - Chcę porozmawiać z synem.

- Misza - powiedział Mał, a chłopiec pognał w naszą stronę, kryjąc się za płaszczem Mała. Nisztoje nie okazały mu zainteresowania. Skupiały uwagę wyłącznie na Baghrze.

- Czego chcesz? - zapytał Darkling. - I nie licz na to, że wyblągasz miłosierdzie dla tych głupców.

- Tylko spotkać twoje potwory - odparła. Baghra oparła łaskę o mur i wyciągnęła ramiona. Nisztoje ruszyły do przodu, szeleszcząc i potrącając siebie nawzajem. Jeden wtulił łeb w jej dłoń, jak gdyby ją obwąchiwał. Zdawało mi się, czy wyczuwałam w nich ciekawość? Czy głód?

- Znają mnie, te dzieci. Podobne wzywa podobne.

- Przestań - zażądali Darkling.

Dłonie Baghry zaczęła wypełniać ciemność. Wizja była wstrząsająca. Tylko raz wcześniej widziałam, jak przyzywa. Ukryła swoją moc, tak jak ja stłamsiłam swoją, ona jednak uczyniła to ze względu na tajemnice swojego syna. Pamiętałam, co mówiła o Griszy, który zwraca swoją moc przeciwko sobie. Z Darklingiem łączyła ją wspólnota krwi, jego potęgi. Czy teraz przeciw niemu wystąpi?

- Nie będę z tobą walczyć - rzekł Darkling.

- To mnie zabij.

- Wiesz, że tego nie zrobię.

Wówczas się uśmiechnęła i cicho zaśmiała, jak gdyby zadowolona z młodego ucznia.

- To prawda. Dlatego wciąż mam nadzieję. - Odwróciła głowę w moją stronę. - Dziewczyno - rzuciła ostro. Jej ślepe oczy były

puste, lecz w tym momencie mogłabym przysiąc, że widzi mnie wyraźnie. - Nie spraw mi więcej zawodu.

- Ona też nie jest dość silna, by ze mną walczyć, starucho. Weź laskę, a ja odstawię cię do Małego Pałacu.

Do mojego umysłu zakradło się straszne podejrzenie. Baghra dała mi siłę, by walczyć, ale nigdy mi nie kazała tego robić. Prosiła mnie zawsze tylko o jedno - żebym uciekała.

- Baghro... - zaczęłam.

- Moja chata. Moje palenisko. Brzmi miło - powiedziała. - Ale przekonuję się, że ciemność jest taka sama wszędzie, gdzie jestem.

- Zasłużyłaś sobie na te oczy - odparł zimno, ale usłyszałam w jego głosie również ból.

- Zasłużyłam - przyznała z westchnieniem. - I na więcej. - Potem bez ostrzeżenia klasnęła dłońmi. Nad górą rozbrzmiał grom, a z jej rąk zaczęły się wzbijać kłęby ciemności, rozwijające się jak sztandary, wijące się wokół nisztoty i oplatające je. Stwory wyły i pulsowały, wirując w otumanieniu.

- Wiedz, że cię kochałam - powiedziała do Darklinga. - Wiedz, że to było za mało.

Jednym ruchem odepchnęła się od ściany i zanim zdążyłam chociaż zaczerpnąć tchu, by krzyknąć, runęła do przodu i zniknęła za krawędzią. Nisztoje ciągnęły za nią jak splątane wiązki ciemności. Rzuciły się obok nas ryczącą, czarną falą, która przetoczyła się przez taras i spadła, przyciągana przez promieniującą z niej moc.

- Nie! - zaryczał Darkling. Zanurkował za nią na skrzydłach swoich żołnierzy, trzepoczących od jego wściekłości.

- Alina, teraz! - Przez mgłę przerażenia usłyszałam słowa Mała, poczułam, jak przepycha mnie przez drzwi, i nagle Mał trzymał

Miszę na rękach, i biegliśmy przez obserwatorium. Nisztoje sunęły wzdłuż nas, porwane na taras przez ciągnące się za Baghrą smugi. Inne tylko wisiały w powietrzu niepewnie, gdy ich pan się oddalał.

„Uciekaj” - powtarzała mi Baghra raz po raz. I teraz uciekałam.

Podgrzewana podłoga była śliska od roztopionego śniegu. Ogromne okna Kołowrotka rozbito w pył i do pomieszczenia wdzierały się porywy wichru, a na nich śnieg. Widziałam ciała poległych, tu i ówdzie walkę.

Nie mogłam zebrać myśli. Siergiej. Mikołaj. Baghra. Baghra. Spada przez mgły, skały wychodzą jej na spotkanie. Czy krzyknie? Czy zamknie niewidzące oczy? „Świątoszka. Męczenniczka”.

Tolia biegł w naszą stronę. Widziałam, jak oprycznicy się na niego zamierzają, biorąc zamach mieczami. Nie myląc kroku, wyrzucił do przodu pięści, a żołnierze upadli, ściskając się za piersi. Z ust pociekła im krew.

- Gdzie inni? - krzyknął Mał, kiedy wyrównaliśmy z Tolią i pognaliśmy w stronę schodów.

- W hangarze, ale jest ich mniej niż przeciwnika. Musimy się tam dostać.

Niektórzy z błękitno odzianych Szkwalników Darklinga próbowali zabarykadować schody. Ciskali na nas skrzynki i meble niesione potężnymi podmuchami wiatru. Roztrzaskałam je Cięciem, rozbijając skrzynie w pył, zanim do nas doleciały. Szkwalnicy się rozproszyli.

Najgorsze czekało nas w hangarze na dole. W panicznej ucieczce przed żołnierzami Darklinga wszelki ład się rozsypał.

Ludzie roili się na pokładzie „Pelikana” oraz „Ibisa”. „Pelikan” unosił się już nad podłożem na szkwalnickim porywie powietrza.

Wojacy ciągnęli za liny, próbując ściągnąć go z powrotem i dostać się na pokład, bo nie chcieli czekać na drugą barękę.

Ktoś wydał rozkaz i „Pelikan” wyrwał się na wolność, przedzierając się przez tłum, gdy wzbijał się w górę. Uniósł się w powietrze, ciągnąc za sobą krzyczących ludzi niczym osobliwe kotwice, i zniknął z pola widzenia.

Zoja, Nadia oraz Harshaw byli przyparci do jednego z kadłubów „Bąka”, ogniem i wiatrem starając się odeprzeć chmarę Griszów oraz opryczników.

Tamar była na pokładzie. Z ulgą ujrzałam przy niej Nevskiego oraz paru innych żołnierzy z Dwudziestego Drugiego. Za nimi jednak w kałuży krwi leżał Adrik. Ramię odstawało mu od ciała pod dziwnym kątem. Twarz miał bladą z szoku. Genia klęczała przy nim, zalewając się łzami, a nad nią stał David ze strzelbą i strzelał niezbyt celnie do nacierającej ciżby. Stigga nie było widać. Uciekł na „Pelikanie”, czy po prostu został w Kołowrotku?

- Stigg... - powiedziałam.

- Nie ma czasu - odparł Mal.

Przepchnęliśmy się przez tłum, a słysząc wykrzyczany rozkaz brata, Tamar wślizgnęła się na miejsce i ujęła ster „Bąka”. Oślanialiśmy Zoję i pozostałych Szkwalników, kiedy gramolili się na pokład. Mal zachwiał się, trafiony kulą w udo, ale Harshaw trzymał go mocno i wciągał na pokład.

- Ruszajmy! - krzyknął Nevski. Dał sygnał innym żołnierzom, którzy ustawili się wzdłuż kadłuba i otworzyli ogień do ludzi Darklinga. Zajęłam miejsce przy nich, śląc w stronę tłumy jaskrawe światło, oślepiając ich, by nie mogli celować.

Mal i Tolia zajęli pozycje przy olinowaniu, a Zoja wypełniła żagle. Ale jej mocy nie wystarczało.

- Nadia, potrzebujemy cię! - wydarła się Tamar. Nadia klęczała przy bracie, lecz podniosła wzrok. Po twarzy płynęły jej łzy, ale

wstała niepewnie i cisnęła podmuch pod żagle. „Bąk” zaczął sunąć naprzód na płozach.

- Jesteśmy zbyt ciężcy! - zawołała Zoja.

Nevski złapał mnie za ramię.

- Przeżyj - rzucił chrapliwie. - Pomóż mu. - Wiedział, co się stało z Mikołajem?

- Pomogę - przyrzekłam. - Druga barka...

Nevski nie czekał, by mnie wysłuchać, lecz zakrzyknął:

- Za Dwudziesty Drugi!

Przeskoczył przez ściankę, a pozostali żołnierze bez wahania poszli w jego ślady. Rzucili się w motłoch. Tamar wydała rozkaz i wystrzeliliśmy z hangaru. „Bąk” opadł z krawędzi niebezpiecznie, lecz potem żagle wyduły się mocno i zaczęliśmy się wznosić. Obejrzałam się za siebie i ostatni raz zobaczyłam Nevskiego ze strzelbą przy ramieniu, nim pochłonął go tłum.

12.

Lecieliśmy nierówno, podskakując i chwiejąc się niepewnie tam i z powrotem pod żaglami. Tamar i załoga starali się zapanować nad „Bąkiem”. Śnieg sypał nam w twarze klującymi porywami, a kiedy kadłub zahaczył o brzeg urwiska, cały pokład się przechylił i wszyscy straciliśmy równowagę.

Nie mieliśmy Pływowladnych, którzy zamaskowaliby nas mgłą, więc mogliśmy jedynie żywić nadzieję, iż Baghra kupiła nam dość czasu, by udało nam się opuścić góry i wydostać poza zasięg Darklinga.

Baghra. Przemknęłam wzrokiem po pokładzie. Misza przyłgął do burty kadłuba, obejmując rękoma głowę. Nikt nie miał czasu próbować go pocieszyć.

Przyklęknęłam przy Adriku oraz Genii. Nisztoj odgryzł Adrikowi potężny kawał ramienia. Genia starała się powstrzymać krwawienie, lecz nigdy nie szkolono jej na Uzdrowicielkę. Chłopiec miał sine usta, lodowato zimną skórę i widziałam, jak oczy zaczynają zachodzić mu bielmem.

- Tolia! - krzyknęłam, siląc się na ton pozbawiony paniki.

Nadia się odwróciła, patrząc na nas oczyma jak spodki z przerażenia, i „Bąk” opadł.

- Trzymaj nas w pionie, Nadiu - zażądała Tamar, przekrzykując podmuchy wiatru. - Tolia, pomóż mu!

Harshaw stanął za Tolią. Miał w ramieniu, głęboką szramę, lecz schwycił liny i powiedział:

- Gotów. - Widziałam, jak Oncat pląta mu się pod płaszczem.

Tolia zmarszczył brwi. Miał z nami być Stigg. Harshaw nie uczył się pracować z takielunkiem.

- Trzymaj tylko równo - pouczył Harshawa. Popatrzył w stronę Mała, który zapierał się o drugą burtę kadłuba i mocno trzymał liny, prężąc mięśnie, gdy miotaly nami śnieg i wicher.

- Idź! - krzyknął Mał. Broczył krwią z rany postrzałowej na udzie.

Wymienili się. „Bąk” się zachwiał, potem wyrównał lot. Harshaw stęknął.

- Mam go - wycedził przez zaciśnięte zęby. Nie dodawało to otuchy.

Tolia przyskoczył do boku Adrika i zabrał się do roboty. Nadia łkała, ale podtrzymywała stabilny podmuch.

- Uratujesz ramię? - spytałam cicho.

Tolia pokręcił głową. Był Sercodarcą, wojownikiem i zabójcą - nie Uzdrawicielem.

- Nie mogę po prostu zapieczętować skóry - rzekł - bo się wykrwawi wewnętrznie. Muszę zamknąć arterie. Rozgrzejesz go?

Rzuciłam na Adrika światło. Dygot jego ciała nieco zelżał.

Parliśmy do przodu na żaglach napiętych od griszaickiego wiatru. Tamar pochyliła się nad sterem. Jej płaszcz powiewał za nią. Wiedziałam, kiedy wylecieliśmy z gór, bo „Bąk” przestał się wówczas trząść. Przyśpieszyliśmy i powietrze siekło mnie zimnem w policzki, ale nie przestawałam spowijać Adrika blaskiem słońca.

Czas zdawał się biec wolniej. Żadna z nich nie chciała tego przyznać, ale widziałam, że Nadia i Zoja tracą siły. Mal oraz Harshaw pewnie też sobie nie dawali rady.

- Musimy wylądować - powiedziałam.

- Gdzie jesteśmy? - spytał Harshaw. Jego rudy czub leżał płasko na głowie, mokry od śniegu. Miałam go za nieprzewidywalnego, może trochę niebezpiecznego, a oto był - zakrwawiony i zmęczony, pracował przy linach przez długie godziny bez skarg.

Tamar popatrzyła na mapy.

- Tuż za granicą wiecznej zmarzliny. Jeżeli nadal będziemy kierować się na południe, niebawem znajdziemy się nad zaludnionymi terenami.

- Możemy poszukać lasu, by się w nim schronić - wydyszała Nadia.

- Jesteśmy za blisko Czernasti - odparł Mal.

Harshaw poprawił uchwyt.

- Czy to ważne? Jeżeli będziemy lecieć w ciągu dnia, ktoś nas zauważy.

- Możemy wzbić się wyżej - zasugerowała Genia.

Nadia pokręciła głową.

- Możemy spróbować, ale wyżej powietrze jest rzadsze, a na ruch w pionie zużyjemy mnóstwo mocy.

- Dokąd my w ogóle lecimy? - spytała Zoja.

Odparłam bez wahania:

- Do kopalni miedzi w Murinie. Po ognistego ptaka.

Na chwilę zapanowała cisza. Potem Harshaw powiedział to, co jak dobrze wiedziałam, wielu z nich na pewno myślało: - Moglibyśmy uciec. Ilekroć mierzymy się z tymi potworami, ginie nas więcej. Możemy tym statkiem polecieć dokądkolwiek. Do Kerczu. Nowoziemka.

- Jeszcze czego - mruknął Mal.

- To jest mój dom - powiedziała Zoja. - Nie dam się z niego wypędzić.

- Co z Adrikiem? - spytała Nadia chrapliwie.

- Stracił dużo krwi - odparł Tolia. - Mogę tylko pilnować, by serce bilo mu miarowo, żeby miał czas dojść do siebie.

- Potrzebuje prawdziwego Uzdrowiciela.

- Jeżeli znajdzie nas Darkling, Uzdrowiciel na nic mu się nie zda - zauważyła Zoja.

Przesunęłam dłońią po oczach, starając się zastanowić. Możliwe, że stan Adrika jest stabilny. A możliwe, że chłopak zapadnie głębiej w śpiączkę i nigdy się z niej nie wybudzi. A jeżeli gdzieś wylądujemy i ktoś nas zauważy, czeka nas śmierć albo jeszcze gorszy los. Darkling musi wiedzieć, że nie wylądujemy we Fjerdzie, głęboko na terytorium nieprzyjaciela. Może sądzić, że zbiegniemy do Ravki Zachodniej. Wyśle zwiadowców wszędzie, gdzie będzie mógł. Czy wstrzyma się na chwilę, by opłakiwać matkę? Skoro roztrzaskała się o skały, czy będzie coś grzebać? Obejrzałam się przez ramię, przekonana, że

lada moment zobaczą, jak pikują ku nam nisztaje. Nie mogłam i nie zamierzałam myśleć o Mikołaju.

- Lecimy do Murina - odezwałam się. - Zastanowimy się, co dalej, na miejscu. Nie będę nikogo zmuszać, by został. Zoju, Nadiu... dacie radę nas tam dowieźć? - Wcześniej słabły, lecz musiałam wierzyć, że mają jeszcze zapasy sił.

- Ja wiem, że dam - odparła Zoja.

Nadia uniosła brodę poważnie.

- Staraj się nie zostawać w tyle.

- Nadal istnieje ryzyko, że nas zobaczą- powiedziałam. - Potrzebny nam Pływowałny.

David podniósł wzrok znad bandaży, którymi owijał sobie poparzoną od prochu rękę.

- A gdybyś spróbowała zakrzywić światło?

Zmarszczyłam brew.

- Jak je zakrzywić?

- Okręt można zobaczyć tylko dlatego, że odbija się od niego światło. Wyeliminuj odbicie.

- Chyba nie nadążam.

- Co ty nie powiesz - wtrąciła Genia.

- Jak kamień w strumieniu - wyjaśnił David. - Po prostu zakrzyw światło, tak by nie docierało do okrętu. Nie będzie czego widzieć.

- Czyli będziemy niewidzialni? - spytała Genia.

- Teoretycznie.

Zerwała z nogi but i walnęła nim o pokład.

- Spróbuj.

Popatrzyłam na but sceptycznie. Nie byłam pewna, jak się za to zabrać. To był zupełnie inny sposób używania mojej mocy.

- Po prostu... zakrzywić światło?

- Cóż - rzekł David - może ci pomoże, że nie musisz się przejmować współczynnikiem załamania. Musisz tylko przekierować i zsynchronizować oba elementy światła jednocześnie. No bo nie możesz zacząć od magnetyzmu, to by było absurd...

Uniosłam dłoń.

- Trzymajmy się kamienia w strumieniu.

Skoncentrowałam się, lecz nie przyzywałam ani nie cyzelowałam światła, tak jak wtedy, gdy stosowałam Cięcie. Zamiast tego próbowałam je tylko delikatnie pchnąć. Czubek buta się rozmazał, a powietrze wokół niego zdawało się wibrować.

Starłam się myśleć o świetle jak o wodzie, jak o wietrze pędzącym wokół skóry - o tym, jak się rozdziela, a potem łączy, jak gdyby but nigdy nie stanął mu na drodze. Złączyłam luźno palce. But zamigotał i znikł.

Genia wydała radony okrzyk. Pisnęłam przeraźliwie i wyrzuciłam ręce w górę. But pojawił się z powrotem. Zwinęłam palce i znikł.

- Davidzie, mówiłam ci kiedyś, że jesteś genialny?

- Tak.

- No to mówię ci jeszcze raz.

Statek był większy i się poruszał, więc utrzymanie odpowiedniej krzywizny światła wokół niego było trudniejsze. Ale musiałam się przejmować jedynie światłem odbijanym przez dno kadłuba, a po kilku próbach umiałam swobodnie zachować odpowiednie zagięcie.

Gdyby ktoś stał na polu i patrzył prosto w górę, mógłby zauważyć, że coś jest nie tak - dostrzegłby rozmażany kształt albo błysk światła. Nie zobaczyłby jednak skrzydlatego okrętu

płynącego po południu po niebie. Taką przynajmniej mieliśmy nadzieję. Przypominało mi to coś, co kiedyś zrobił Darkling - przeciągnął mnie przez zalaną światłem świec salę balową, za pomocą swojej potęgi sprawiając, że byliśmy prawie niewidzialni. Kolejna sztuczka, którą opanował na długo przede mną.

Genia przetrząsnęła zapasy i znalazła porcję jurdy - ziemczańskiego środka pobudzającego, stosowanego niekiedy przez żołnierzy na długich wartach. Po jurdzie czułam się roztrzęsiona i było mi trochę niedobrze, ale nie było innego sposobu, byśmy byli przytomni i na nogach.

Jurdę trzeba było żuć i już wkrótce wszyscy wypluwaliśmy przez burtę rdzawy sok.

- Jeżeli od tego będę miała pomarańczowe zęby... - powiedziała Zoja.

- Będiesz miała - przerwała jej Genia - ale obiecuję, że ci je wybielę i będą ładniejsze niż wcześniej. Może nawet poprawię ci te twoje dziwne siekacze.

- Z moimi zębami jest wszystko w porządku.

- Ależ oczywiście - powiedziała Genia kojąco. - Nie znam ładniejszego morsa od ciebie. Zdumiewa mnie tylko, że nie przeżułaś sobie dolnej wargi.

- Łapy przy sobie, Krawcowo - burknęła Zoja - bo ci wykluję drugie oko.

Zanim nastał zmrok, Zoja nie miała już energii na gderanie. Razem z Nadią koncentrowały się wyłącznie na tym, by utrzymać nas w powietrzu.

David przejmował stery na krótkie chwile, żeby Tamar mogła zająć się raną na nodze Mała. Harshaw, Tolia i Mał zmieniali się przy linach, żeby dać sobie nawzajem szansę na rozprostowanie kości.

Tylko Nadia i Zoja nie miały wytchnienia i pracowały znośnie pod sierpem księżyca, mimo że staraliśmy się znaleźć sposoby, by im pomóc. Genia stanęła plecami do Nadii, by ta mogła wesprzeć się na niej i na moment odciążyć kolana. Teraz kiedy słońce już zaszło, niepotrzebne nam było maskowanie, więc przez prawie godzinę podpierałam ramiona Zol, która przyzywała.

- To niedorzeczne - warknęła. Jej mięśnie dygotały pod moimi dłońmi.

- Mam puścić?

- Jeśli puścisz, pokryję cię sokiem z jurdy.

Ochoczo szukałam sobie zajęcia. Na okręcie panowała cisza i czułam, jak koszmary minionego dnia czają się, by mnie osaczyć.

Misza nie ruszył się ze swojego kąta przy burcie, gdzie siedział skulony. Ścisnął w dłoni drewniany miecz do ćwiczeń, który znalazł dla niego Mal. Ścisnęło mnie w gardle, kiedy uświadomiłam sobie, że wziął go z sobą, kiedy Baghra kazała mu odeskortować się do nisztai. Wygrzebałam z prowiantu kawałek suchara i zaniósłam mu.

- Głodny? - spytałam. Pokręcił głową. - A może mimo to spróbujesz coś zjeść? - Zaprzeczył drugi raz.

Usiadłam przy nim, nie wiedząc, co powiedzieć. Przypomniało mi się, jak siedziałam tak z Siergiejem w kotłowni, szukając słów pocieszenia - bezskutecznie. Czy wtedy intrygował, manipulował mną? Jego strach wydawał się autentyczny.

Misza jednak nie przypominał mi wyłącznie Siergieja. Był jak każde dziecko, którego rodzice poszli na wojnę. Był jak każdy chłopiec i dziewczynka w Keramzinie. Był jak Baghra, błagająca, by ojciec zwrócił na nią uwagę. Był jak Darkling, który na kolanach swojej matki uczył się samotności. To była specjalność Ravki. Tworzenie sierot. Sianie nieszczęścia. „Bez ziemi, bez życia, tylko mundur i strzelba”. Mikołaj wierzył w coś lepszego.

Zrobiłam drżący wdech. Musiałam znaleźć sposób, by wyłączyć myślenie. Jeżeli pomyślę o Mikołaju, pójdę w rozsypkę. Albo o Baghrze. Albo o rozczłonkowanych fragmentach ciała Siergieja. Albo o opuszczonym Stiggu. Albo nawet o Darklingu - o tym, jaki miał wyraz twarzy, kiedy jego matka zniknęła pod chmurami. Jak to możliwe, że jest taki okrutny, a jednocześnie taki ludzki?

Noc ciągnęła się, a pogrążona we śnie Ravka płynęła pod nami. Liczyłam gwiazdy. Czuwałam nad Adrikiem. Drzemałam. Chodziłam wśród załogi, oferując łyk wody albo kępkę kwiecica jurdy. Kiedy ktoś pytał o Mikołaja albo Baghrę, jak najzwięźlej informowałam o przebiegu bitwy.

Siłą woli narzucałam myślom milczenie, starałam się zamienić umysł w puste pole, białe od śniegu, nieskalane śladami. Mniej więcej o świcie zajęłam pozycję przy relingu i zaczęłam przemieszczać światło, by zakamuflować okręt.

Właśnie wtedy Adrik wymamrotał coś przez sen. Nadia odwróciła głowę gwałtownie. „Bąk” się zachybotał.

- Skup się! - warknęła Zoja.

Ale się uśmiechała. Wszyscy się uśmiechaliśmy - gotowi kurczowo uchwycić choćby strzęp nadziei.

* * *

Lecieliśmy przez resztę dnia i długo w noc. Kiedy wreszcie dostrzeżliśmy Sikurzój, był już świt drugiego dnia. W południe wypatrzyliśmy głęboki, poszarpany lej znamionujący porzuconą kopalnię miedzi - Mikołaj sugerował wcześniej, by tu przechować „Bąka”. Na środku leja znajdowało się mętne, turkusowe jezioro.

Obniżaliśmy pułap powoli i z trudem. Jak tylko kadłuby osiadły na dnie leja, i Nadia, i Zoja padły na pokład. Wyzyskały swoją

moc do granic, a choć twarze miały zarumienione i jaśniejące, były całkowicie wyczerpane.

Ciągnąc za liny, nam pozostałym udało się ukryć „Bąka” pod nawisem skalnym. Jeżeli ktoś zawędrowałby do kopalni, z łatwością by go znalazł, ale ciężko było sobie wyobrazić, po co ktoś miałby się tu fatygować. Dno leja zaśmiecały zardzewiałe przyrządy. Z jeziora dochodziła przykra woń, a David powiedział, że przyczyną nieprzejrzystego turkusowego wody są minerały wmywane ze skały. Nie było śladu po nieproszonej gościach.

Mał i Harshaw zabezpieczyli żagle, a Tolia zniósł Adrika z pokładu „Bąka”. Z kikuta ramienia Adrika sączyła się krew, ale chłopak był względnie przytomny i wypił nawet trochę wody.

Misza nie chciał się ruszyć z kadłuba. Otuliłam go kocem i zostawiłam mu kawałek suchara oraz plasterek suszonego jabłka, licząc na to, że coś zje.

Pomogliśmy Zoi i Nadii zejść z pokładu, przeciągnęliśmy nasze posłania w niszę w cieniu nawisu i bez dalszych stów zapadliśmy w niespokojny sen. Nie wystawiliśmy warty. Jeżeli ktoś nas śledził, nie mieliśmy już sił walczyć.

Przymykając już oczy, zauważyłam, że Tolia zakrada się z powrotem na pokład „Bąka”, więc zmusiłam się, by znów usiąść. Chwilkę później wyszedł z ciasnym zawiniątkiem. Zerknął w stronę Adrika, a mnie ścisnęło w żołądku, kiedy uzmysłowiłam sobie, co niesie. Zamknęłam znużone powieki. Nie chciałam wiedzieć, gdzie Tolia zamierza pochować ramię Adrika.

Kiedy się obudziłam, było późne popołudnie. Większość pozostałych nadal smacznie spała. Genia upinała rękaw Adrika.

Natknęłam się na Mała, który schodził drogą okalającą brzeg leja. Niósł torbę pełną kuropatw.

- Pomyślałem, że dziś tu zostaniemy - powiedział. - Rozpalimy ogień. Rano możemy wyruszyć do Dwa Stołba.

- Dobrze - odparłam, chociaż chciałam ruszać w drogę. Musiał to wyczuć, bo dodał:

- Adrikowi dobrze zrobi odpoczynek. Nam wszystkim dobrze to zrobi. Boję się, że jeżeli będziemy nieustannie przeć do przodu, jedno z nich się załamie.

Pokiwałam głową. Miał rację. Wszyscy byliśmy pogrążeni w żalu, przestraszeni i zmęczeni.

- Przyniosę coś na podpałkę.

Dotknął mojego ramienia.

- Alino...

- Zaraz wrócę. - Minęłam go. Nie chciałam rozmawiać. Nie chciałam słów pocieszenia. Chciałam ognistego ptaka. Chciałam przekształcić ból w gniew i stanąć z nim u wrót Darklinga.

Zagłębiłam się w las otaczający kopalnię. Tak daleko na południe rosły inne drzewa - wyższe i rzadziej rozmieszczone, o korze czerwonej i porowatej. Wracałam już do kopalni z pełnym naręczem najsuchszych gałęzi, jakie udało mi się znaleźć, kiedy odniosłam dziwne wrażenie, że ktoś mi się przygląda. Zatrzymałam się, a włosy na karku stanęły mi dęba.

Patrzyłam pomiędzy oświetlone przez słońce pnie i czekałam. Cisza była gęsta - jak gdyby najmniejsze stworzenia wstrzymywały oddech. Wtedy to usłyszałam - delikatny szelest. Podniosłam głowę do góry szybko, śledząc dźwięk wśród drzew. Wbiłam wzrok w drgnienie ruchu - bezgłośnie uderzenie cienistego skrzydła.

Mikołaj siedział na gałęziach drzewa, świdrując mnie ciemnymi oczyma.

Klatkę piersiową miał nagą i pokrytą pręgami czerni, jak gdyby ciemność roztrzaskała się pod jego skórą. Stracił gdzieś buty i gołymi stopami trzymał się kory. Palce u stóp przeistoczyły się w czarne szpony.

Miał zaschniętą krew na rękach. I wokół ust.

- Mikołaju? - szepnęłam.

Wzdrygnął się.

- Mikołaju, zaczekaj...

Lecz on skoczył w powietrze. Jego ciemne skrzydła zatrzęsły gałęziami, kiedy przebił się przez nie ku błękitnemu niebu.

Miałam ochotę krzyczeć, więc tak zrobiłam. Rzuciłam swoje drewno na ziemię, przycisnęłam pięść do ust i wrzeszczałam, aż zdałam sobie gardło. Nie mogłam przestać. Udało mi się nie płakać na „Bąku” ani przy kopalni, ale teraz osunęłam się na leśną ściółkę, a moje krzyki zamieniły się w łkanie - milczący, dotkliwy szloch. Bolało, jak gdyby te zachłyśnięcia mogły rozerwać mi żebra, ale na moich ustach były bezdźwięczne. Cały czas myślałam o podartych spodniach Mikołaja i przez głowę przemknęła mi głupia myśl, że byłby wstrząśnięty, widząc swoje ubrania w takim stanie. Leciał za nami całą drogę od Kołowrotka. Czy mógł poinformować Darklinga, gdzie jesteśmy? Czy by to zrobił? Ile z niego zostało w tym udreńczonym ciele?

Wówczas to poczułam - wibrację wzdłuż tej niewidzialnej nici. Odepchnęłam się od niej. Nie pójdę teraz do Darklinga. Nigdy więcej do niego nie pójdę. Niemniej wiedziałam, że gdziekolwiek jest, pogrążony jest w żalobie.

* * *

Mal mnie tam znalazł. Siedziałam z głową nakrytą rękoma i płaszczem obsypanym zielonym igliwem. Podał mi rękę, ale ją zignorowałam.

- Nic mi nie jest - powiedziałam, chociaż nic nie mogło być dalsze od prawdy.

- Ściemnia się. Nie powinnaś tu sama siedzieć.

- Jestem Przyzywaczką Słońca. Ściemni się, kiedy ja sobie tego zażyczę.

Przykucnął przede mną i odczekał, aż spojrzę mu w oczy.

- Nie odcinaj się od nich, Alino. Potrzebują boleć razem z tobą.

- Nie mam nic do powiedzenia.

- To niech oni mówią.

Nie mogłam zaoferować pociechy ani zachęty. Nie chciałam dzielić tego cierpienia. Nie chciałam, by widzieli, jak bardzo się boję. Ale zmusiłam się, by wstać i otrzepać płaszcz z igieł. Pozwoliłam Malowi odprowadzić się z powrotem do kopalni.

Kiedy wszyscy zesłiśmy na dno leja, było już zupełnie ciemno i pozostali zaświecili latarnie pod osłoną nawisu.

- Nie śpieszyliście się, co? - powiedziała Zoja. - Mieliliśmy zamarznąć, kiedy wy dwoje sobie hasaliście po lasach?

Nie było sensu ukrywać zapłakanej twarzy, więc powiedziałam po prostu:

- Okazało się, że muszę się wyplakać.

Nastawiłam się na zniewagę, ale odparła tylko:

- Następnym razem mnie zaproś. Mnie też by się przydało.

Mal rzucił opał, jaki zebrałam, na palenisko, które ktoś zbudował, a ja zdjęłam Oncat Harshawowi z ramienia. Syknęła krótko, ale się tym nie przejęłam. W tej chwili potrzebowałam przytulić się do czegoś miękkiego i futrzastego.

Inni oczyścili i sprawili już zwierzynę, którą Mał schwytał, i wkrótce - mimo smutku oraz trosk - ślinka mi pociekła, gdy poczułam woń pieczonego mięsa.

Siedzieliśmy dookoła ognia, jedząc i podając sobie flaszkę kwasu. Patrzyliśmy, jak blask płomieni pada na kadłub „Bąka”, a gałęzie w ogniu trzaskają i strzelają. Mieliśmy mnóstwo do omówienia - kto może pójść z nami w Sikurzoj, a kto pozostanie w dolinie, czy ludzie w ogóle chcą zostać. Potarłam nadgarstek. Pomogło mi się to skupić na ognistym ptaku, myśleć o nim zamiast o czarnym połysku oczu Mikołaja, ciemnej, zaschniętej krwi koło jego ust.

Nagle Zoja się odezwała:

- Powinłam była wiedzieć, że Siergiejowi nie można ufać. Zawsze był słabeuszem. - Wydało mi się to niesprawiedliwe, lecz puściłam to mimo uszu.

- Oncat nigdy go nie lubiła - dodał Harshaw.

Genia rzuciła gałąź do ognia.

- Myślicie, że cały czas to planował?

- Zastanawiam się nad tym - przyznałam. - Sądziłam, że kiedy wydostaniemy się z Białego Soboru, będzie w lepszym stanie, ale on czuł się chyba jeszcze gorzej, był bardziej niespokojny.

- Przyczyny mogły być różne - powiedziała Tamar. - Obwał, atak pospolitaków, chrapanie Tolii.

Tolia cisnął w nią kamykiem i rzekł:

- Ludzie Mikołaja powinni byli baczniej go obserwować.

Albo ja nie powinłam była go wypuszczać. Może poczucie winy z powodu Marie zaćmiło mi osąd. Może smutek zasnuwał go teraz i czeka nas więcej zdrad.

- Nisztoje naprawdę po prostu... rozdarły go na kawałki? - spytała Nadia.

Rzuciłam okiem na Miszę. W którymś momencie zszedł z „Bąka”. Teraz spał przy Mału, nadal ściskając drewniany miecz.

- To było straszne - powiedziałam cicho.

- A co z Mikołajem? - zapytała Zoja. - Co Darkling mu zrobił?

- Nie wiem dokładnie.

- Da się to cofnąć?

- Tego też nie wiem. - Popatrzyłam na Davida.

- Może - powiedział. - Musiałbym go zbadać. To mierzost. Nowe terytorium. Żałuję, że nie mam przy sobie dzienników Morozova.

Słyszając to, niemal się zaśmiałam. Cały czas, kiedy David taszczył z sobą te dzienniki, miałam ochotę rzucić je do śmieci. Teraz jednak, kiedy z dobrego powodu chcieliśmy je mieć, były dla mnie niedostępne, bo zostały w Kołowrotku.

Pojmać Mikołaja. Zamknąć go w klatce. Przekonać się, czy uda nam się wyrwać go ze szponów cienia. Nazbyt szczwany lis nareszcie został schwytany. Zamrugałam i odwróciłam wzrok. Nie chciałam znowu płakać. Raptownie Adrik warknął:

- Cieszę się, że Siergiej nie żyje. Żałuję tylko, że nie mogłem sam mu skrócić karku.

- Do tego potrzebne by ci były obie ręce - zauważyła Zoja.

Zapadło krótkie, okropne milczenie, potem Adrik skrzywił się i powiedział:

- No dobra, zadźgać go.

Zoja uśmiechnęła się promiennie i podała mu flaszkę. Nadia pokręciła tylko głową. Czasami zapomniałam, że to prawdziwi żołnierze. Nie wątpiłam, że Adrik będzie opłakiwał utratę ręki. Nie byłam nawet pewna, jak to wpłynie na jego zdolność przyzywania. Pamiętałam jednak, jak stał przede mną w Małym

Pałacu i domagał się prawa, by zostać i walczyć. Był twardszy, niż ja kiedykolwiek będę.

Pomyślałam o Botkinie - moim dawnym nauczycielu, który zmuszał mnie, bym przebiegła jeszcze półtora kilometra albo przyjęła kolejny cios. Przypomniały mi się słowa, które wypowiedział do mnie wieki temu: „Na stal się pracuje”. Adrik miał tę stal, podobnie jak Nadia. Dowiodła tego kolejny raz podczas naszej ucieczki z Elbjen. Wcześniej w głębi duszy zastanawiałam się, co Tamar w niej widzi. Ale Nadia uczestniczyła w najgorszych walkach w Małym Pałacu. Straciła najlepszą przyjaciółkę i życie, jakie знаła. Mimo to nie załamala się jak Siergiej ani nie wybrała życia pod ziemią jak Maxim. W toku tego wszystkiego się nie ugięła.

Kiedy Adrik oddał flaszkę, Zoja pociągnęła głęboki łyk i powiedziała:

- Wiecie, co Baghra mi powiedziała podczas pierwszej lekcji z nią? - Obniżyła głos, by naśladować gardłowy, chrapliwy głos Baghry: - „Śliczna buzia. Szkoda, że zamiast mózgu masz owsiankę”.

Harshaw parsknął.

- Podpaliłem jej chatę na zajęciach.

- Oczywiście - rzuciła Zoja.

- Przypadkiem! Więcej nie chciała mnie uczyć. Nawet się do mnie nie odzywała. Widziałem ją raz na terenie majątku i po prostu przeszła obok mnie. Słowem się nie odezwała, tylko walnęła mnie laską w kolano. Dalej mam w tym miejscu zgrubienie. - Podwinął nogawkę spodni i w istocie - pod skórą widać było kościaną bułę.

- To jeszcze nic - powiedziała Nadia, czerwieniąc się, kiedy wszyscy skupiliśmy uwagę na niej. - Miałam jakąś blokadę i przez

pewien czas nie mogłam przyzywać. Zamknęła mnie w pokoju i wpuściła do środka cały ul pszczoł.

- Co? - zaskrzeczałam. Nie tylko pszczoły mnie zaszokowały. Przez długie miesiące w Małym Pałacu miałam trudności z przyzywaniem, a Baghra ani razu nie wspomniała, że inni Griszowie też miewają blokady.

- Co zrobiłaś? - zapytała Tamar z niedowierzaniem.

- Udało mi się przywołać powiew i posłać je w górę kominem, ale ukąsiły mnie tak wiele razy, że wyglądałam, jakbym miała ospę ogniową.

- W życiu bardziej się nie cieszyłem, że nie jestem Griszą - powiedział Mal, kręcąc głową.

Zoja uniosła flaszkę:

- Zdrowie jedyne go otkazacji.

- Baghra mnie nie znosiła - powiedział David cicho.

Zoja zbyła jego słowa machnięciem ręki.

- Wszyscy się tak czuliśmy.

- Nie, mnie naprawdę nie znosiła. Miałem z nią jedną lekcję wraz z innymi Fabrykatorami w moim wieku, a potem nie zgadzała się nawet ze mną więcej spotkać. Zostawałem w warsztatach, kiedy wszyscy inni mieli z nią zajęcia.

- Czemu? - zapytał Harshaw, drapiąc Oncat pod brodą.

David wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia.

- Ja wiem dlaczego - powiedziała Genia. Czekałam, ciekawa, czy naprawdę wie. - Zwierzęcy magnetyzm - ciągnęła. - Jeszcze chwila z tobą w tej chacie, a zdarłaby z ciebie wszystkie ciuchy.

David się zastanowił.

- To się wydaje mało prawdopodobne.

- Niemożliwe - Mal i powiedzieliśmy jednocześnie.
- Cóż, nie całkiem niemożliwe - odparł David z miną lekko urażoną.

Genia się zaśmiała i pocałowała go prosto w usta.

Wzięłam do ręki patyk i poruszyłam ogień, wzbijając w górę iskry. Wiedziałam, dlaczego Baghra odmówiła nauczania Davida. Zbyt jej przypominał Morozov, owładniętego tak silną obsesją wiedzy, że był ślepy na cierpienie swojego dziecka, na zaniedbanie żony. I fakt - David stworzył lumiję „dla zabawy”, właściwie wręczając Darklingowi środki, by ten mógł wkroczyć na teren Fałdy. Ale David był inny niż Morozov. Wspierał Genię, kiedy go potrzebowała. Nie był wojownikiem, ale i tak znalazł sposób, by o nią walczyć.

Rozejrzałam się po naszej dziwnej, steranej grupce. Zobaczyłam Adrika bez ręki, który wbijał maślane oczy w Zoję; Harshawa i Tolię, którzy przyglądali się, jak Mal szkicuje naszą trasę na ziemi. Widziałam, jak Genia uśmiecha się promiennie, napinając blizny, kiedy David intensywnie gestykułuje i stara się wytłumaczyć Nadii swój pomysł na mosiężną rękę, podczas gdy Nadia, nie zwracając na niego uwagi, przeczesuje palcami ciemne pukle włosów Tamar.

Żadne z nich nie było proste, delikatne ani bezproblemowe. Byli tacy jak ja - nosili w sobie ból i ukryte rany, wszyscy na różne sposoby nadwerężeni. Nie całkiem do siebie pasowaliśmy. Mieliśmy tak poszarpane krawędzie, że niekiedy kaleczyliśmy siebie nawzajem, ale zwijając się w kłębek na boku, czując ciepło ognia na plecach, poczułam wdzięczność tak słodką, że ścisnęło mnie w gardle. Wraz z nią przyszedł strach. Ich bliskość stanowiła luksus, za który zapłacę. Teraz miałam więcej do stracenia.

13.

Ostatecznie wszyscy zostali. Nawet Zoja, chociaż narzekwała niestrudzenie całą drogę do Dva Stołba. Uzgodniliśmy, że podzielimy się na dwie grupki. Tamar, Nadia i Adrik wyruszą z Davidem, Genią oraz Miszą. Zorganizują nam zakwaterowanie w jednej z osad na południowo-wschodnim krańcu doliny. Genia będzie musiała zakrywać twarz, ale chyba jej to nie przeszkadzało. Owinęła szalem głowę i oznajmiła:

- Będę kobietą tajemniczą. - Przypomniałam jej, żeby nie była nazbyt intrygująca.

Mal i ja udamy się w głąb Sikurzoju wraz z Zoją, Harshawem oraz Tolią. Znajdowaliśmy się bardzo blisko granicy, więc wiedzieliśmy, że możemy się mierzyć ze wzmożoną obecnością wojsk, mieliśmy jednak nadzieję, iż wtopimy się w tłum uchodźców starających się przebyć Sikurzoj przed nastaniem pierwszych śniegów.

Jeżeli w ciągu dwóch tygodni nie wrócimy z gór, Tamar spotka się z siłami wyekspediowanymi do Karievy przez Apparata - jakiegokolwiek się one okażą. Nie podobał mi się pomysł, by słać ją samą z Nadią, ale Mal i ja nie mogliśmy jeszcze bardziej zmniejszyć naszej grupki. Wiadomo było, że szuhańscy zwiadowcy napadają przy granicy raveczańskich podróżnych, a chcieliśmy być przygotowani na kłopoty. Tamar przynajmniej знаła Sol Sołdatów, próbowałam też dodać sobie otuchy, myśląc o tym, że i ona sama, i Nadia to doświadczone wojowniczk.

Poza tym nie byłam pewna, co zrobię z żołnierzami, którzy faktycznie się stawiają, ale wiadomość wysłano i musiałam wierzyć, że coś wymyślimy. Może wówczas będę już miała ognistego ptaka oraz zaczątki planu. Nie mogłam wybiegać myślą za bardzo do przodu. Ilekroć to robiłam, popadałam w popłoch.

Przypominało to powrót pod ziemię - nie ma czym oddychać, czekam, aż świat wokół mnie się zawali.

Nasza drużyna wyruszyła o świcie, gdy inni wciąż spali pod nawisem. Tylko Misza się obudził - wbijał w nas oskarżycielskie spojrzenie i rzucał w burtę „Bąka” kamykami.

- Chodź tu - powiedział Mał, kiwając w jego stronę. Sądziłam, że Misza się nie ruszy, ale potem podszedł do nas, powłócząc nogami i wysuwając podbródek z urazą.

- Masz szpilkę, którą Alina ci dała?

Misza skinął głową.

- Wiesz, co ona oznacza, prawda? Jesteś żołnierzem. Żołnierze nie chodzą tam, dokąd chcą, tylko tam, gdzie są potrzebni.

- Wy po prostu nie chcecie, żebym z wami poszedł.

- Nie, jesteś nam potrzebny tutaj, żeby zaopiekować się pozostałymi. Sam wiesz, że David jest beznadziejny, a Adrik też będzie potrzebował pomocy, nawet jeśli nie będzie chciał się do tego przyznać. Będziesz musiał być z nim ostrożny... pomóc mu tak, żeby nie wiedział, że pomagasz. Dasz radę?

Misza wzruszył ramionami.

- Musisz się w naszym imieniu nimi zaopiekować, tak jak opiekowałaś się Baghrą.

- Ale ja wcale się nią nie opiekowałem.

- Ależ owszem. Czuwałaś nad nią, dbałeś o to, żeby było jej wygodnie, a kiedy musiałeś... puściłeś ją. Zrobiłeś, co było trzeba, chociaż cię to bolało. Tak postępują żołnierze.

Misza popatrzył na niego ostro, jak gdyby rozważał jego słowa.

- Powinienem był ją powstrzymać - powiedział łamiącym się głosem.

- Gdybyś tak zrobił, żadnego z nas by tu nie było. Jesteśmy wdzięczni, że zrobiłeś to, co było trudniejsze.

Misza zmarszczył czoło.

- David rzeczywiście jest nieogarnięty.

- Prawda - zgodził się Mal. - Możemy ci więc zaufać?

Misza odwrócił wzrok. Minę miał wciąż zmartwioną, ale ponownie wzruszył ramionami.

- Dziękuję - rzekł Mal. - Możesz zacząć od tego, by zagotować wodę do śniadania.

Misza skinął głową i pobiegł po kamieniach, by wstawić wodę.

Mal popatrzył na mnie, wstając i zakładając plecak.

- Co?

- Nic. Po prostu... bardzo dobra robota.

- W ten sam sposób Ana Kuya nakłoniła mnie, żebym przestał ją prosić o zapaloną latarnię na noc.

- Naprawdę?

- Tak - odparł, rozpoczynając wspinaczkę. - Powiedziała mi, że muszę być dzielny ze względu na ciebie... że jeśli ja się będę bał, ty też się będziesz bała.

- Cóż, mnie kazała jeść pasternak, żeby dać ci dobry przykład, ale i tak tego nie robiłam.

- A ty się dziwisz, czemu ciągle obrywałaś różgą.

- Mam swoje zasady.

- W sensie „Jeśli mogę sprawiać trudności, to będę je sprawiać”.

- To niesprawiedliwe.

- Ej! - krzyknęła Zoja znad krawędzi leja. - Liczę do dziesięciu... jeżeli was tu wcześniej nie będzie, to wracam do spania, a wy możecie mnie zanieść do Dva Stołba.

- Mal - westchnęłam - jeżeli zamordują ją w Sikurzoju, będziesz miał mi to za złe?

- Tak - odparł. Potem dodał: - W sensie: „Upozorujmy wypadek”.

* * *

Dwa Stołba mnie zaskoczyły. Nie wiedzieć czemu spodziewałam się, że niewielka dolina będzie przypominać cmentarz - że będzie to ponure pustkowie pełne duchów i porzuconych miejsc. Tymczasem osady tętniły życiem. Krajobraz był usiany wypalonymi skorupami budynków i pustymi polami pokrytymi popiołem, lecz nowe domy i warsztaty wznosiły się tuż przy nich.

Były karczmy i oberże, witryna reklamująca naprawę zegarków oraz - na oko - placówka wypożyczająca książki na tydzień. Wszystko wydawało się dziwnie nietrwale. Wybite okna po prostu zabito deskami. Wiele budynków miało płócienne dachy albo dziury w ścianach, które zakryto wełnianymi kocami lub plecionymi matami. „Kto wie, jak długo tu będziemy?” - zdawały się mówić. „Radźmy sobie z tym, co mamy”.

Czy zawsze tak było? Osady nieustannie niszczone i odbudowywano, pod władzą Szu Hanu albo Ravki - w zależności od tego, jak wytyczono granice na koniec danej wojny. Czy tak żyli moi rodzice? Dziwnie było wyobrażać ich sobie w ten sposób, ale nie przeszkadzała mi ta wizja. Mogli być żołnierzami albo kupcami. Możliwe, że byli tu szczęśliwi. A może jedno z nich skrywało moc - uśpione dziedzictwo młodszej córki Morozova. Krążyły legendy o Przyzywaczach Słońca przede mną. Większość ludzi brała je za mistyfikacje albo czcze opowieści, myślenie życzeniowe zrodzone z nieszczęścia rozpetanego przez Fałdę. Mogło w nich jednak tkwić coś więcej. A może uczepliłam

się marzenia o dziedzictwie, do którego tak naprawdę nie miałam prawa.

Przeszliśmy przez rynek zatłoczony ludźmi, wystawiającymi towary na zaimprovizowanych stołach: cynowe patelnie, noże myśliwskie, futra na przeprawę przez góry. Widzieliśmy słoje gęsiego sadła, suszone figi sprzedawane na pęczki, wyborne siodła i rachityczne strzelby. Nad jednym ze stoisk wisiały świeżo oskubane kaczki, o skórze różowej i pomarszczonej, nanizane na sznurki. Mal nie wyjął łuku ani automatycznej strzelby z plecaka. Jego broń była zbyt pięknie wykonana, by nie przykuwać uwagi. Dzieci bawiły się w błocie. Pękaty mężczyzna w kamizelce bez rękawów wędził jakieś mięso w wielkim metalowym kotle. Patrzyłam, jak wrzuca do środka gałązkę jałowca, która wzbija chmurę wonnego, niebieskiego dymu. Zoja zmarszczyła nos, ale Tolia i Harshaw od razu rzucili się po pieniądze.

Tutaj właśnie rodziny Mała i moja poniosły śmierć. Swawolna, radosna atmosfera wydawała się niemal niesprawiedliwa. A już na pewno nie pasowała do mojego nastroju.

Poczułam ulgę, kiedy Mal rzekł:

- Myślałem, że będzie tu posępniej.

- Widziałeś, jaki mały jest ten cmentarz? - zapytałam pod nosem. Skinął głową. Na większości terytorium Ravki cmentarze były większe niż miasta, ale kiedy Szuhańcy spalili te osady, nie został nikt, by opłakiwać zmarłych.

Byliśmy dobrze zaopatrzeni zasobami Kołowrotka, lecz Mal chciał kupić mapę sporządzoną przez kogoś miejscowego. Musieliśmy się dowiedzieć, które szlaki mogą być zablokowane przez osuwiska albo gdzie podmyło mosty.

Kobieta z siwymi warkoczami wyzierającymi spod pomarańczowej, wełnianej czapki siedziała na niskim, pomalowanym stołku, nucąc pod nosem i bijąc w krowi dzwonek,

by zwrócić uwagę przechodniów. Nie zwracała sobie głowy stołem, lecz rozłożyła dywanik i prezentowała swój towar bezpośrednio na ziemi: manierki, sakwy na siodła, mapy i stopy metalowych pierścionków z modlitwami. Za nią stał muł, odpędzając muchy długimi uszami. Od czasu do czasu kobieta odwracała się i klepała go po nosie.

- Niedługo spadnie śnieg - oznajmiła, mrużąc oczy w kierunku nieba, kiedy przeglądaliśmy mapy. - Trzeba wam kocy na podróż?

- Już mamy - odpowiedziałam. - Dziękujemy.

- Wielu ludzi przekracza granicę.

- Wy nie?

- Za stara już jestem, by jechać. Szuhańczycy, Fjerdanie, Fałda... - wzruszyła ramionami. - Jak się siedzi w miejscu, to kłopoty omijają.

„Albo walną prosto w ciebie, zawrócą i poprawią” - pomyślałam ponuro.

Mal podniósł jedną z map:

- Nie widzę tu wschodnich łańcuchów, jedynie zachodnie.

- Lepiej się trzymać zachodnich - powiedziała. - Wybieracie się na wybrzeże?

- Tak - skłamał Mal gładko - potem do Nowoziemska. Ale...

- Trzymajcie się zachodnich szlaków. Ze wschodu ludzie nie wracają.

- Ju ueh - rzekł Tolia. - Ei ie bat e' iuan.

Kobieta odpowiedziała i wspólnie przejrzeni mapę, rozmawiając po szuhańsku, podczas gdy my czekaliśmy cierpliwie. W końcu Tolia podał Malowi inną mapę.

- Wschód - powiedział.

Kobieta pomachała dzwonkiem w stronę Tolii i spytała mnie:

- Jak wy go wykarmicie w górach? Lepiej się pilnuj, żeby ciebie nie nadział na rożen.

Tolia ściągnął brew, ale kobieta śmiała się tak bardzo, że prawie spadła ze stołka.

Mał dołożył do map kilka pierścionków z modlitwami i dał pieniądze.

- Miałam brata, który poszedł do Nowoziemska - kobieta powiedziała, śmiejąc się pod nosem i odliczając resztę dla Mała. - Pewnie teraz jest bogaty. To dobre miejsce, by zacząć nowe życie.

Zoja prychnęła.

- W porównaniu z czym?

- Naprawdę nie jest źle - powiedział Tolia. - Błoto na błocie.

- Są tam miasta - mruknął Tolia, kiedy odchodziliśmy.

- Co ta kobieta miała do powiedzenia o wschodnich łańcuchach gór? - spytałam.

- Są święte - odparł Tolia - i ponoć nawiedzone. Ona twierdzi, że Cera Huo strzegą duchy.

Przeszył mnie dreszcz.

- Co to jest Cera Huo?

Złote oczy Tolii zamigotały.

- Ogniospady.

* * *

Nawet nie zauważyłam ruin, dopóki nie znaleźliśmy się niemal tuż pod nimi. Do tego stopnia nie rzucały się w oczy - dwie nadwątlone, wysmagane przez pogodę kamienne iglice, które oskrzydlały drogę wiodącą z doliny na południowy wschód. Niegdyś mogły tworzyć łuk. Albo akwedukt. Albo dwa młyny, jak

wskazywała ich nazwa. Albo dwie zwykle, spiczaste skały. Czego oczekiwałam? Że na brzegu drogi będzie stał Ilija Morozov w złotym nimbie, trzymając znak z napisem: „Miałas rację, Alino. Tędy po ognistego ptaka”?

Kąty wydawały się jednak odpowiednie. Studiowałam ilustrację przedstawiającą Świętego Ilię w Kajdanach tak często, że obraz był wypalony w mojej pamięci. Widok na Sikurzoi za dwoma wrzcionami pasował do mojego wspomnienia tej kartki. Czy Morozov sam to narysował? Czy był odpowiedzialny za mapę zawartą w tej ilustracji, czy też ktoś inny poskładał elementy jego historii? Możliwe, że nigdy się nie dowiem.

„To jest to miejsce” - powiedziałam sobie. „To musi być to miejsce”.

- Coś wygląda znajomo? - spytałam Mała.

Pokręcił głową.

- Chyba liczyłem... - Wzruszył ramionami. Więcej nie musiał mówić. Nosiałam w sercu tę samą natrętną nadzieję: że kiedy znajdę się na tej drodze, w tej dolinie, większa część mojej przeszłości nagle się wyjaśni. Miałam jednak wciąż te same, sfatygowane wspomnienia - danie z buraków, szerokie bary, wole ogony kiwające się przed moimi oczyma.

Wypatrzyliśmy kilkoro uchodźców - kobietę z niemowlęciem przy piersi na wózku zaprzęgniętym w kucyka, przy którym siedł jej mąż, grupkę ludzi w naszym wieku, których wzięłam za dezertków z Pierwszej Armii. Lecz droga pod ruinami nie była zatłoczona. Najpopularniejsze miejsca przepraw do Szu Hanu znajdowały się dalej na zachód, gdzie góry były mniej strome i łatwiej było podróżować na wybrzeże.

Piękno Sikurzoi objawiło mi się znienacka. Wcześniej znałam jedynie lodowe szczyty daleko na północy oraz Petrazoi - urywane, szare i odstręczające. Jednak te góry były delikatne,

falujące. Ich łagodne zbocza porastały wysokie trawy, kotliny między nimi przecinały nieśpiesznie płynące rzeki, błyskające błękitem, a w słońcu złotem. Nawet niebo wydawało się przyjazne - przestwór nieskończonego błękitu, grube białe obłoki piętrzące się ciężko na horyzoncie, pokryte śniegiem szczyty południowego łańcucha majające w oddali.

Wiedziałam, że to ziemia niczyja - niebezpieczne pogranicze wyznaczające kres Ravki i początek terytorium nieprzyjaciela, ale wrażenie było inne. Wody było w obfitości, było gdzie wypasać. Gdyby nie wojna, gdyby granice w jakiś sposób wytyczono inaczej, byłoby to spokojne miejsce.

Nie rozpaliliśmy ognia i tej nocy obozowaliśmy pod gołym niebem, rozciągnąwszy posłania pod gwiazdami. Nasłuchiwałam westchnienia wiatru w trawie i myślałam o Mikołaju. Czy tu był - tropiąc nas, podczas gdy my tropiliśmy ognistego ptaka? Czy nas pozna? Czy też całkowicie się zatracił? Czy przyjdzie taki dzień, że będziemy dla niego wyłącznie zwierzyną? Patrzyłam w niebo, czekając, aż skrzydlata sylwetka zasłoni gwiazdy. Nie było łatwo zasnąć.

Następnego dnia zeszliśmy z głównej drogi i zaczęliśmy wspinać się na dobre. Mał skierował nas na wschód, w stronę Cera Huo, po szlaku, który zdawał się zjawiać i znikać, wijąc się przez góry. Burze przychodziły bez uprzedzenia - gęste ulewy, które przekształcały ziemię pod naszymi butami w grząskie błoto, a potem znikwały równie szybko, jak nastały.

Tolia martwił się o gwałtowne powodzie, więc całkowicie opuściliśmy szlak i ruszyliśmy wyżej. Resztę popołudnia spędziliśmy na wąskiej krawędzi skalistej grani, skąd widać było chmury burzowe pędzące za sobą nawzajem nad niskimi wzgórzami i dolinami. Ich ciemne kłęby rozświetlały przelotne błyskawice.

Dni płynęły powoli. Byłam dojmująco świadoma, że każdy krok głębiej na terytorium Szu Hanu będziemy musieli później powtórzyć w odwrotną stronę, wracając do Ravki. Co zastaniemy, kiedy powrócimy? Czy okaże się wówczas, że Darkling wyruszył już przeciwko Ravce Zachodniej? A jeżeli znajdziemy ognistego ptaka, kiedy trzy wzmacniacze nareszcie zostaną połączone, czy ja będę dość silna, by stawić mu czoło? Myślałam głównie o Morozovie i zastanawiałam się, czy przemierzał kiedyś te same ścieżki, spoglądał na te same góry. Czy potrzeba zwieńczenia zadania, które rozpoczął, motywowała go tak, jak obecnie moja desperacja napędzała mnie, zmuszając mnie, bym szła naprzód, stawiała krok za krokiem, przeprawiła się w bród przez kolejną rzekę, wspięła się na następne wzgórze?

Tej nocy temperatura spadła tak bardzo, że musieliśmy rozbić namioty. Zoja zdawała się sądzić, że to ja powinnam rozłożyć nasz namiot, mimo że miałyśmy w nim spać we dwójkę. Klęłam nad stertą płótna, kiedy Mal mnie uciszył.

- Ktoś tam jest - rzekł.

Znajdowaliśmy się na szerokiej hali porosłej ostnicą, rozciągającej się pomiędzy dwoma niskimi wzgórzami. Wyteżyłam wzrok w ciemność, nic nie widząc. Uniosłam ręce pytająco.

Mal pokręcił głową.

- W ostateczności - szepnął.

Potaknęłam. Nie chciałam, byśmy znaleźli się w podobnej sytuacji jak ta z pospolitakami.

Mal podniósł strzelbę i dał sygnał. Tolia dobył miecza, a my ustawiliśmy się w pozycji do walki, plecami do siebie nawzajem, i czekaliśmy.

- Harshaw - szepnęłam.

Usłyszałam, jak Harshaw krzesze ogień. Zrobił krok do przodu i rozłożył ramiona. Płonąca kropla ognia rozgorzała z hukiem. Ogień otoczył nas błyszczącym kręgiem, oświetlając twarze ludzi przykucniętych dalej na hali. Było ich pięciu, może sześciu - byli złotoocy i odziani w płaszcze ze strzyżonych owiec. Zobaczyłam napięte łuki i refleks światła na przynajmniej jednej lufie.

- Teraz - powiedziałam.

Zoja i Harshaw poruszyli się jednocześnie, wyrzucając ramiona szerokimi łukami. Płomienie rozbłysły wśród traw jak żywe, niesione ich wspólną mocą.

Mężczyźni zaczęli krzyczeć. Ogień lizał głodnymi językami. Usłyszałam pojedynczy wystrzał, a złodzieje odwrócili się i uciekli. Harshaw i Zoja posłali za nimi ogień, ścigając ich po hali.

- Mogą wrócić - zauważył Tolia. - Ściągnąć więcej ludzi. W Kobie za Griszów dobrze płacą. - Koba było to miasto na południe od granicy.

Pierwszy raz pomyślałam o tym, co przeżywają Tolia i Tamar - nie mogą nigdy powrócić do kraju ojca, obcy w Ravce, obcy także tutaj.

Zoja zadrzała.

- We Fjerdzie nie jest lepiej. Są tam pogromcy czarownic, którzy nie jedzą zwierząt, nie założą skórzanych butów i nie zabiją w domu pająka, ale Griszę spalą żywcem na stosie.

- Może szuhańscy doktorzy nie są tacy źli - powiedział Harshaw. Wciąż igrał z płomieniami - słał je strzeliście w górę w kształcie pętli i krętych pasm. - Oni przynajmniej czyszczą swoje narzędzia. Na Wyspie Wędrownej uważa się, że krew Griszów to panaceum - leczy impotencję, suchoty, co chcecie. Kiedy moc mojego brata się ujawniła, poderżnęli mu gardło i powiesili go do góry nogami, żeby spuścić z niego krew jak ze świni w rzeźni.

- Święci, Harshaw - Zoja straciła oddech.

- Spaliłem tę wioskę i wszystko, co w niej było, doszczętnie. Potem wsiadłem na statek i nie oglądałem się za siebie.

Pomyślałam o marzeniu, które miał kiedyś Darkling - że będziemy Raveczanami, a nie tylko Griszami. Próbował stworzyć schronienie dla naszych, może jedyne takie na świecie. „Rozumiem pragnienie zachowania wolności”.

Czy to dlatego Harshaw nadal walczył? Dlatego postanowił zostać? Musiał kiedyś mieć to samo marzenie co Darkling. Powierzył je mnie?

- Wystawimy dziś warty - powiedział Mal - a jutro pójdziemy bardziej na wschód.

Na wschód do Cera Huo, gdzie na straży stoją duchy. Lecz już teraz towarzyszyły nam własne upiory.

* * *

Następnego ranka po złodziejach nie było śladu - jedynie hala wypalona w cudaczne wzory.

Mal powiódł nas głębiej w góry. Na początku podróży widywaliśmy kręty dym czyjegoś paleniska albo sylwetkę chaty na zboczu wzgórza. Teraz byliśmy sami - do towarzystwa mieliśmy tylko jaszczurki wygrzewające się na kamieniach i - raz - stado łosi pasące się na odległej łące.

Jeżeli były znaki świadczące o obecności ognistego ptaka, dla mnie były one niewidoczne, rozpoznawałam jednak milczenie Mała, jego głęboki zamiar. Widziałam je na Cybei, gdy polowaliśmy na jelenia, a potem ponownie na wodach Kostnego Szlaku.

Według Tolii na każdej mapie oznaczano Cera Huo inaczej, a my nie mogliśmy przecież wiedzieć, czy właśnie tam znajdziemy

ognistego ptaka. Góra wyznaczyła jednak Malowi kierunek, a teraz poruszał się w ten swój miarowy, krzepiący sposób, jak gdyby wszystko na całym dzikim świecie już znał, jak gdyby zgłębił wszystkie jego tajemnice. Dla innych zamieniło się to w swego rodzaju grę - próbowali przewidzieć, którądy nas powiedzie.

- Co widzisz? - zapytał sfrustrowany Harshaw, kiedy Mal sprowadził nas z wygodnego szlaku.

Mal wzruszył ramionami.

- Chodzi raczej o to, czego nie widzę. - Wskazał na niebo, gdzie wyrazisty klucz gęsi rwał na południe. - O to, jak poruszają się ptaki, jak zwierzęta kryją się w podszyciu.

Harshaw podrapał Oncat za uchem i szepnął głośno:

- A ludzie mówią, że to ja jestem szalony.

Z upływem dni czułam, jak wyczerpuje się moja cierpliwość. Za dużo czasu spędzaliśmy w marszu, nie mając poza myśleniem nic do roboty, a moje myśli nie miały bezpiecznego schronienia. Przeszłość była pełna koszmarów, a przyszłość zapierała mi dech w piersi wzbierającą paniką.

Tkwiąca we mnie moc wydawała mi się kiedyś taka cudowna, lecz każda konfrontacja z Darklingiem unaoczniała ograniczenia moich zdolności. „Nie ma tu z czym walczyć”. Choć widziałam śmierć i czułam rozpacz, nie zbliżyłam się do zrozumienia ani władania mierzostią. Złapałam się na tym, że mam żal do Mała o jego spokój, o pewność, która zdawała się nieść jego kroki.

- Myślisz, że tam jest? - zapytałam pewnego popołudnia, kiedy schroniliśmy się pod gęstą kępą sosen, by przeczekać burzę.

- Trudno powiedzieć. W tej chwili możliwe, że tropię po prostu dużego jastrzębia. Kieruję się głównie instynktem, a to zawsze sprawia, że się denerwuję.

- Nie wydajesz się zdenerwowany, tylko zupełnie rozluźniony. - Słyszałam rozdrażnienie we własnym głosie.

Mal zerknął na mnie.

-To pomocne, że nikt nie grozi, że rozpląta cię nożem.

Nie odpowiedziałam. Myśl o nożu Darklinga wydawała się wręcz kojąca - prosty lęk, konkretny, do opanowania.

Mal zmrużył oczy, patrząc w deszcz.

- Chodzi też o coś innego - coś, co Darkling powiedział w kaplicy. Uważał, że jestem mu potrzebny, by znaleźć ognistego ptaka. Choć niechętnie to przyznaję, właśnie dlatego teraz wiem, że potrafię to zrobić... bo on był taki pewien.

Rozumiałam. Wiara Darklinga we mnie była upajająca. Pragnęłam tej pewności, wiedzy, że wszystko zostanie załatwione - że ktoś sprawuje kontrolę. Siergiej pobiegł do Darklinga po tę pewność. „Chciałbym tylko znów poczuć się bezpieczny”.

- Kiedy przyjdzie czas - zapytał Mal - będziesz mogła zabić ognistego ptaka?

Tak. Skończyłam z wahaniem. Rzecz nie tylko w tym, że wyczerpały się nam inne możliwości, ani w tym, że tak wiele zależało od mocy ognistego ptaka. Po prostu stałam się dość bezwzględna albo dość samolubna, by odebrać życie innej istocie. Tęskniłam jednak za dziewczyną, która okazała jeleniowi miłosierdzie, która miała dość siły, by odwrócić się od nęcącej władzy, która wierzyła w coś więcej. Kolejna ofiara tej wojny.

- Wciąż nie wydaje mi się prawdziwy - powiedziałam. - A nawet jeśli taki jest, może nie wystarczyć. Darkling ma armię. Sojuszników. My mamy... - Bandę wyrzutków? Garstkę wytatuowanych fanatyków? Nawet wraz z potęgą wzmacniaczy siły w bitwie wydawały się nierówne.

- Dzięki - rzuciła Zoja kwaśno.

- Ona ma trochę racji - rzekł Harshaw, opierając się o drzewo. Oncat siedziała mu na ramieniu, a Infernik wysyłał w powietrze maleńkie, tańczące płomyki. - Nie czuję, by stać mnie było na wiele.

- Nie o to mi chodziło - zaproponowałam.

- Wystarczy - powiedział Mal. - Znajdziemy ognistego ptaka. Zmierzysz się z Darklingiem. Stoczymy z nim walkę i wygramy.

- A co potem? - poczułam wzbierający popłoch. - Nawet jeśli pokonamy Darklinga i zniszczę Fałdę, Ravka będzie narażona na ataki. - Nie poprowadzi kraju książe z rodu Lancovów. Nie będzie Darklinga. Tylko chuderlawa sierota z Keramzina, wspierana przez nieokreślone siły poskładane z ocalałych Griszów oraz szczątków Pierwszej Armii.

- Jest Aparat - zauważył Tolia. - Ten kapłan może nie jest godzien zaufania, ale na twoich zwolenników można liczyć.

- A David sądził, że może mu się udać uleczyć Mikołaja - wtrąciła Zoja.

Zwróciłam się przeciwko niej z narastającym gniewem:

- Myślisz, że Fjerda będzie czekać, aż znajdziemy lekarstwo? A Szu?

- W takim razie zawrzesz nowy sojusz - powiedział Mal.

- Sprzedam swoją moc temu, kto da najwięcej?

- Będziesz negocjować. Postawisz własne warunki.

- Sklecić kontrakt małżeński, wybrać fjerdańskiego arystokratę albo szuhańskiego generała? Liczyć na to, że nowy mąż nie zamorduje mnie we śnie?

- Alino...

- A ty dokąd pójdziesz?

- Zostanę przy twoim boku, póki mi pozwolisz.

- Szlachetny Mal. Będiesz stał nocą na straży pod naszą sypialnią? - Wiedziałam, że postępuję niesprawiedliwie, ale w tamtej chwili mi to nie przeszkadzało.

Zacisnął zęby.

- Zrobię, co będę musiał, żebyś była bezpieczna.

- Nie wychylać się. Spełniać swój obowiązek.

- Tak.

- Noga za nogą. Naprzód po ognistego ptaka. Maszerować jak dobry żołnierz.

- Zgadza się, Alino. Jestem żołnierzem. - Sądziłam, że w końcu ulegnie i zacznie się ze mną kłócić, jak tego chciałam, do czego dążyłam. On jednak wstał i strząsnął wodę z płaszcza. - I będę maszerował dalej, bo nic innego poza ognistym ptakiem nie mogę ci dać. Ani pieniędzy. Ani armii. Ani warowni na szczycie góry. - Założył plecak. - Tylko tyle mogę zaoferować. Tę samą starą sztuczkę. - Wyszedł na deszcz. Sama nie wiedziałam, czy chcę pobiec za nim, by go przeprosić, czy przewrócić go w błoto.

Zoja uniosła elegancką rękę.

- Ja bym wolała szmaragd.

Wnikam w nią wzrok, a potem wydałam z siebie coś pomiędzy śmiechem a westchnieniem. Mój gniew się ulotnił, zostawiając po sobie poczucie małości i zażenowanie. Mal na to nie zasłużył. Żadne z nich na to nie zasłużyło.

- Przepraszam - wymamrotałam.

- Może jesteś głodna - powiedziała Zoja. - Ja się zawsze robię wredna, kiedy jestem głodna.

- Cały czas jesteś głodna? - zapytał Harshaw.

- Jeszcze nie widziałeś, jaka jestem, kiedy jestem wredna. Kiedy to nastąpi, będzie ci potrzebna bardzo duża chusteczka do nosa.

Prychnął.

- By osuszyć łzy?

- By zahamować krwotok.

Tym razem zaśmiałam się szczerze. Okazało się, potrzebna mi była właśnie odrobina jadu Zoi. Potem - wbrew rozsądkowi - zadałam pytanie, z którym nosiłam się niemal rok.

- Ty i Mał, jeszcze w Kribirsku...

- Stało się.

Wiedziałam o tym i wiedziałam, że przed nią było wiele innych, ale i tak mnie to zabolalo. Zoja zerknęła na mnie. Jej długie, czarne rzęsy iskrzyły się od deszczu.

- Ale od tamtej pory nie - powiedziała niechętnie - i bynajmniej nie dlatego, że nie próbowałam. Jeżeli mężczyzna potrafi odmówić mnie, to jest coś.

Przewróciłam oczami. Zoja dziabnęła mnie w ramię długim palcem.

- Z nikim nie był, kretynko. Wiesz, jak go nazywały dziewczyny w Białym Soborze? Beznako.

Sprawa beznadziejna.

- Zabawne - ciągnęła Zoja z zadumą. - Rozumiem, dlaczego Darkling i Mikołaj pragną twojej potęgi. Ale Mał patrzy na ciebie... cóż, jakbyś była mną.

- Wcale nie - powiedział Tolia. - Obserwuje ją tak, jak Harshaw ogień. Jak gdyby nigdy nie miał mieć jej dość. Jak gdyby próbował schwytać, ile zdoła, zanim ona zniknie.

Zoja i ja zagapiłyśmy się na niego. Potem Zoja zrobiła grymas.

- Wiesz co, gdybyś potraktował mnie odrobiną tej poezji, mogłabym się zastanowić, czy nie dać ci szansy.

- A kto twierdzi, że chcę dostać szansę?

- Ja chcę! - zawołał Harshaw.

Zoja zdmuchnęła z czoła wilgotny pukiel włosów.

- Oncat ma większe szanse niż ty.

Harshaw podniósł pręgowaną kocicę nad głowę.

- Oncat, ty łobuziaro.

* * *

Zbliżając się do obszaru, gdzie według pogłosek miało się znajdować Cera Huo, przyśpieszyliśmy. Mał stał się jeszcze bardziej milczący i niebieskimi oczyma nieustannie wodził po wzgórzach. Byłam mu winna przeprosiny, ale nie udawało mi się znaleźć odpowiedniej chwili, by z nim porozmawiać.

Niemal dokładnie tydzień po rozpoczęciu wyprawy natknęliśmy się na coś, co wzięliśmy za koryto wyschniętego strumienia, biegnące między dwoma stromymi skalnymi ścianami. Szliśmy wzdłuż niego przez prawie dziesięć minut, kiedy Mał przyklęknął i przeczesał palcami trawę.

- Harshaw - powiedział - mógłbyś wypalić trochę tej roślinności?

Harshaw wykrzesał ogień i niska powłoka błękitnych płomieni przetoczyła się po dnie strumienia, ukazując układ kamieni, który był tak regularny, że musiał stanowić dzieło ludzkiej ręki.

- To droga - powiedział z zaskoczeniem.

- Tutaj? - zapytałam. Od wielu kilometrów mijaliśmy wyłącznie puste góry.

Zachowywaliśmy czujność, szukając oznak tego, co mogło być wcześniej - spragnieni dowodu, że jesteśmy na dobrej drodze, mieliśmy nadzieję zobaczyć wyryte symbole, może niewielkie ołtarze, jakie widzieliśmy wyrzeźbione w skałach bliżej Dva Stołba. Z kamieni jednak dawało się wyczytać tylko jedną lekcję:

że miasta się wznoszą, upadają i ulegają zapomnieniu. „Żyjesz jedną chwilą. Ja żyję tysiącem chwil”. Możliwe, że dożyję dnia, gdy Os Alta obróci się proch. A może skieruję swoją moc przeciwko sobie i położę temu wszystkiemu kres wcześniej. Jak będzie wyglądać życie, kiedy ludzie, których kocham, odejdą? Kiedy nie będzie już żadnych tajemnic?

Szliśmy drogą aż do miejsca, gdzie zdawała się kończyć, pogrzebana pod kamienistym osuwiskiem porośłym trawą i żółtymi dzikimi kwiatami. Wgramoliliśmy się na nie, a kiedy dotarliśmy na szczyt, sople lodu wniknęły mi w kości.

Wyglądało to tak, jak gdyby z krajobrazu usunięto wszystkie kolory. Rozpościerała się przed nami łąka szarej trawy. Wzdłuż horyzontu rozciągał się czarny grzbiet górski, porośły drzewami o korze gładkiej i lśniącej jak wygładzony łupek. Ich regularnie kanciaste gałęzie były wolne od liści. Niesamowite jednak było to, jak rosły - w idealnie równych rzędach i jednakowej od siebie odległości, jak gdyby każde z nich posadzono z nieskończoną troską.

- To wygląda nie tak - orzekł Harshaw.

- To drzewa-żołnierze - powiedział Mal. - Rosną tak, jak gdyby stały w szeregu.

- Nie jest to jedyne powód - odparł Tolia. - To las jesionowy. Wrota do Cera Huo.

Mal wyjął mapę.

- Nie widzę go.

- Wiąże się z tym historia. Zdarzyła się tu masakra.

- Bitwa? - spytałam.

- Nie. Wrogowie sprowadzili tu szuhański batalion. Byli to jeńcy wojenni.

- Którzy wrogowie? - zapytał Harshaw.

Tolia wzruszył ramionami.

- Ravczanie, Fjerdanie, może inni Szuhańczycy. To dawne dzieje.

- Co się z nimi stało?

- Głodowali, a kiedy głód stał się przemożny, zwrócili się przeciwko sobie. Mówią, że ostatni żywy zasadził drzewo za każdego z poległych pobratymców. A teraz czekają, aż podróżni za bardzo się zbliżą do ich gałęzi, by mogli zdobyć ostatni posiłek.

- Cudnie - burknęła Zoja. - Przypomnij mi, żebym nigdy nie prosiła cię o bajkę na dobranoc.

- To tylko legenda - rzekł Mal. - Widziałem takie drzewa koło Balakireva.

- Rosły w ten sposób? - dopytał Harshaw.

- Nie... całkiem.

Wpatrywałam się w cienie w zagajniku. Drzewa rzeczywiście wyglądały jak pułk maszerujący w naszą stronę. Słyszałam podobne opowieści o lasach w pobliżu Duvy - że w długie zimy drzewa łapią dziewczęta, by je pożreć. „Zabobon” - mówiłam sobie, ale nie chciałam zrobić ani jednego kroku dalej w kierunku tego zbocza.

- Patrzcie! - rzekł Harshaw.

Spojrzałam tam, gdzie on. Wśród głębokich cieni drzew poruszało się coś białego, roztrzepotany kształt wznosił się i opadał, prześlizgując się między gałęziami.

- Tam jest drugi - powiedziałam, tracąc oddech, i pokazałam miejsce, gdzie zwój bieli zaiskrzył się, po czym rozpląnął się w nicłość.

- Niemożliwe - powiedział Mal.

Pomiędzy drzewami pojawiły się kolejne zarysy.

- Nie podoba mi się to - oznajmił Harshaw. - W ogóle mi się to nie podoba.

- Och, na litość Świętych - rzuciła Zoja szyderczo. - Naprawdę jesteście kmiotami.

Podniosła ręce i po stoku góry przemknął potężny podmuch wiatru. Białe kształty zdawały się cofać. Potem Zoja zgięła ręce w łokciach, a one ruszyły na nas jęczącą, białą chmurą.

- Zoju...

- Spokojnie - odparła.

Uniosłam dłonie gwałtownie, że odpędzić to nieokreślone, straszne coś, które Zoja na nas ściągnęła. Chmura eksplodowała. Wybuchła w chmurę nieszkodliwych płatków, które powoli opadły na ziemię wokół nas.

- Popiół? - wyciągnęłam rękę i złapałam kilka płatków palcami. Były drobne i białe, w kolorze kredy.

- To tylko jakiś fenomen pogody - powiedziała Zoja i wzbijała proch w powietrze leniwymi spiralami. Popatrzyliśmy na wzgórze. Białe obłoki nadal ruszały się, niesione podmuchami wiatru, ale skoro już wiedzieliśmy, czym są, wydawały się nieco mniej złowieszcze. - Nie sądziliście chyba na poważnie, że to duchy, prawda?

Zarumieniłam się, a Tolia odchrząknął. Zoja przewróciła oczami i pomaszerowała w kierunku wzgórza.

- Otaczają mnie głupcy.

- Wyglądały strasznie - powiedział do mnie Mal, wzruszając ramionami.

- Dalej tak wyglądają- mruknęłam.

Całą drogę pod górę uderzały w nas dziwne, krótkie porywy wiatru - gorące, a potem zimne. Mniejsza z tym, co mówiła Zoja - zagajnik był niesamowitym miejscem. Wymijałam wyciągnięte

gałęzie drzew i starałam się nie zwracać uwagi na własną gęsią skórkę na rękach. Ilekroć biały zwój wzbijał się przy nas, podskakiwałam, a Oncat - usadowiona na ramieniu Harshawa - syczała.

Kiedy wreszcie dotarliśmy na szczyt wzgórza, zobaczyliśmy, że drzewa maszerują aż po dolinę, choć tutaj ich gałęzie były zdobne w purpurowe liście, a ich szeregi rozpościerały się po krajobrazie jak fałdy fabrykatorskiego płaszcza. Nie to jednak sprawiło, że stanęliśmy jak wryci.

Przed nami wznosiło się wyniosłe urwisko. Przypominało raczej ścianę olbrzymiej warowni niż część góry. Było ciemne i ogromne, niemal płaskie na szczycie. Skała nosiła ciemnoszary kolor żelaza. Do podnóża urwiska wiatr przywiał kłębowisko martwych drzew. Klif był rozdzielony w połowie huczącym wodospadem, uchodzącym do zbiornika tak przejrzystego, że widać było kamienie na dnie. Jezioro rozciągało się na szerokość niemal całej doliny i otaczały je kwitnące drzewa-żołnierze. Dalej zdawało się nikać pod ziemią.

Przedarliśmy się na dno doliny, wymijając niewielkie kałuże oraz strużki. W uszach dudnił nam grom siklawy. Kiedy doszliśmy do największego jeziora, przystanęliśmy, by napelnić manierki i obmyć twarze.

- To jest to? - spytała Zoja. - Cera Huo?

Harshaw odstawił Oncat i zanurzył głowę w wodzie.

- To musi być to - odparł. - Co dalej?

- Myślę, że w górę - powiedział Mal.

Tolia popatrzył na śliską ścianę urwiska. Skała była mokra od pary wodospadu.

- Musimy iść okrężną drogą. Po tym zboczach nie da się wdrapywać.

- Rano - odparł Mal. - Wspinać się w tym terenie nocą jest zbyt niebezpiecznie.

Harshaw przekrzywił głowę.

- Lepiej rozbijmy obóz trochę dalej.

- Dlaczego? - spytała Zoja. - Jestem zmęczona.

- Oncat nie podoba się krajobraz.

- Jak dla mnie ta kocica może spać na dnie jeziora - fuknęła.

W odpowiedzi Harshaw wskazał płataninę martwych drzew wciśniętą u podnóża klifu. To wcale nie były drzewa, lecz stopy kości.

- Święci - Zoja zrobiła krok wstecz. - Zwierzęce czy ludzkie?

Harshaw wskazał kciukiem przez ramię.

- Kawalek wcześniej widziałem bardzo przytulną kupę głązów.

- Chodźmy tam - skwitowała Zoja. - Już.

Z pośpiechem oddaliliśmy się od wodospadu, klucząc między drzewami-żołnierzami i wchodząc po zboczu doliny.

- Może ten popiół jest pochodzenia wulkanicznego - powiedziałam z nadzieją. Wyobraźnia mnie ponosiła i nagle byłam pewna, że mam we włosach prastare szczątki spalonych ludzi.

- Nie - rzekł Tolia. - Oto dlaczego.

Obejrzałam się przez ramię na rozciągającą się pod nami dolinę. W świetle zachodzącego słońca wodospady przypominały płynne złoto. Musiało to być złudzenie wywołane przez mgłę albo kąt widzenia, ale wyglądało to, jak gdyby woda stanęła w ogniu. Słońce opadło niżej i każda z kałuż rozgorzała, a dolina przeistoczyła się w tygiel.

- Niewiarygodne - jęknął Harshaw.

Mal i ja wymieniliśmy spojrzenia. Będziemy mieli szczęście, jeśli nie będzie próbował się w to rzucić.

Zoja walnęła plecakiem o ziemię i nań opadła.

- Weźcie sobie swój cholerny pejzaż. Ja chcę tylko ciepłe łóżko i kieliszek wina.

Tolia zmarszczył czoło.

- To jest miejsce święte.

- Świetnie - odpaliła cierpko. - Spróbuj wymodlić mi parę suchych skarpet.

14.

O świcie następnego ranka, kiedy inni wygaszali ogień i żuli kawałki sucharów, założyłam płaszcz i wróciłam popatrzeć na wodospady. W dolinie wisiała gęsta mgła. Z mojej perspektywy kości u podnóża siklawy wyglądały zupełnie jak drzewa. Nie było duchów. Nie było ognia. Miejsce wydawało się ciche, sprzyjające wypoczynkowi.

Składaliśmy pokryte popiołem namioty, kiedy to usłyszeliśmy - wysoki, przeszywający skwir, który odbił się echem wśród świtu. Przerwaliśmy i czekaliśmy w milczeniu, by się przekonać, czy rozbrzmi ponownie.

- To może być zwykły jastrząb - przestrzegł Tolia.

Mal nie powiedział nic. Przerzucił strzelbę przez ramię i dał nura w las. Musieliśmy biec, żeby dotrzymać mu kroku.

Wspinaczka przeciwległym wobec wodospadów zboczem zajęła nam większą część dnia. Było stromo i dziko, a chociaż stopy mi stwardniały i nogi przywykły do forsownych podróży, marsz

kosztował mnie wiele wysiłku. Mięśnie pod plecakiem bolały i mimo chłodu w powietrzu pot zrosił mi czoło.

- Kiedy to coś złapiemy - wysapała Zoja - zrobię z tego gulasz.

Czułam, jak w nas wszystkich wzbiera podniecenie, poczucie, że już jesteśmy blisko, i motywowaliśmy siebie nawzajem, by silniej przeć w górę. Gdzieniedzie było niemal pionowo. Musieliśmy się podciągać, łapiąc się mocno korzeni rzadko rosnących drzew albo wpijając palce w skałę. W pewnym momencie Tolia wyjął żelazne haki i wbił je wprost w ścianę, byśmy mogli je wykorzystać jako zaimprovizowaną drabinę.

Nareszcie późnym popołudniem wciągnęliśmy się przez poszarpaną, kamienną krawędź i znaleźliśmy się na płaskim szczycie urwiska. Przed nami rozpościerała się gładka płaszczyzna skały i mchu, śliska od mgły i rozszczepiona spienionym nurtem rzeki.

Kierując wzrok na północ, poza gwałtowny spadek siklawy, widzieliśmy, skąd przyszliśmy - w oddali rysował się grzbiet doliny, szare pole wiodące do jesionowego lasu, wgłębienie, w którym biegła stara droga, a jeszcze dalej - burze sunące nad trawiastym pogórzem. I było to po prostu pogórze - teraz było to jasne. Bo kiedy odwróciliśmy się na południe, pierwszy raz na własne oczy zobaczyliśmy góry - bezkresny Sikurzoj z białymi czubami, źródło topniejącego śniegu zasilającego Cera Huo.

- Ciągną się bez końca - powiedział Harshaw ze znużeniem.

Przeszliśmy na brzeg koło bystrza. Trudno będzie się przez nie przeprawić, nie byłam też pewna, czy miałoby to sens. Widzieliśmy, że po drugiej stronie po prostu klif się kończy. Nic tam nie było. Płaszczyzna była ewidentnie i rozczarowująco pusta.

Wiatr się wzmógł, mierzwiąc mi włosy i kłując policzek drobną mgłą. Zerknęłam na białe góry na południu. Nie było nas od ponad tygodnia. A jeżeli coś się innym stało w Dva Stołba?

- No więc - rzuciła Zoja gniewnie - gdzie on jest?

Mal podeszedł do skraju wodospadu i popatrzył na dolinę.

- Miałeś ponoć być najlepszym tropicielem w całej Ravce - ciągnęła. - Dokąd teraz mamy niby iść?

Mal potarł dłonią kark.

- Zejść z jednej góry, wspiąć się na drugą. Tak to działa, Zoju.

- Jak długo? - naciskała. - Nie możemy tak bez końca.

- Zoju - powiedział Tolia ostrzegawczo.

- Skąd w ogóle wiemy, że to coś istnieje?

- Czego się spodziewałaś? - spytał Tolia. - Gniazda?

- Czemu nie? Gniazda, pióra, parującego placka łajna. Czegoś. Czegokolwiek.

Zoja wypowiadała te słowa, lecz również u innych wyczuwałam zmęczenie i zawód. Tolia będzie szedł, aż padnie. Nie byłam pewna, czy Harshaw oraz Zoja zniosą wiele więcej.

- Za mokro tu na obóz - odezwałam się. Wskazałam las za płaskowyżem, gdzie drzewa były kojąco zwyczajne, a ich liście lśniły czerwienią i złotem. - Idźcie w tamtą stronę, aż znajdziecie suche miejsce. Rozpalcie ogień. Zastanowimy się, co z kolacją. Może pora się rozdzielić.

- Nie możesz wchodzić głębiej na terytorium Szu Hanu bez ochrony - zaoponował Tolia.

Harshaw się nie odzywał, tylko przytulił Oncat i nie patrzył mi w oczy.

- Nie musimy podejmować decyzji w tej chwili. Idźcie po prostu rozbić obóz.

Ostrożnie podeszłam do krawędzi urwiska, gdzie stał Mal. Było tak wysoko, że zakręciło mi się w głowie, więc zamiast tego spojrzałam w dal. Kiedy mrużyłam powieki, wydawało mi się, że

widzę wypaloną halę, gdzie przepędziliśmy złodziei, ale możliwe, że sobie to jedynie wyobraziłam.

- Przepraszam - powiedział w końcu.

- Nie przepraszaj. Równie dobrze ognisty ptak może nie istnieć.

- Nie wierzysz w to.

- Nie, ale może nie było nam pisane, by go znaleźć.

- W to też nie wierzysz. - Westchnął. - No to po dobrym żołnierzyku.

Skrzywiłam się.

- Nie powinnam była tak mówić.

- Włożyłaś mi kiedyś gęsie odchody do butów, Alino. Ze złym nastrojem sobie poradzę. - Zerknął na mnie i powiedział: - Wszyscy wiemy, jaki niesiesz ciężar. Nie musisz dźwigać go sama.

Pokręciłam głową.

- Nie rozumiesz. Nie możesz.

- Może nie. Ale widziałem to u żołnierzy w mojej jednostce. Gromadzisz cały ten gniew i żal. W końcu czara się przeleje. Albo w nich utoniesz.

Kiedy dotarliśmy do kopalni, mówił mi to samo - że inni muszą pograć się w żalobie wraz ze mną. Ja też tego potrzebowałam, nawet jeśli nie chciałam tego przyznać. Potrzebowałam wówczas nie być sama. A on miał rację. Rzeczywiście czułam się, jakbym tonęła - jakby strach pochłaniał mnie niczym lodowate morze.

- To nie takie proste - powiedziałam. - Nie jestem taka jak oni. Jestem inna niż wszyscy. - Zawahałam się, potem dodałam: - Oprócz niego.

- W ogóle nie jesteś taka jak Darkling.

- Jestem, nawet jeśli nie chcesz tego widzieć.

Mal uniósł brew.

- Bo on jest potężny, groźny i wieczny? - Zaśmiał się melancholijnie. - Powiedz mi coś. Czy Darkling wybaczyłby kiedyś Genii? Albo Tolu i Tamar? Albo Zoi? Albo mnie?

- Z nami jest inaczej - powiedziałam. - Trudniej jest ufać.

- Mam dla ciebie nowinę, Alino. Nikomu nie jest łatwo ufać.

- Ty nie...

- Wiem, wiem. Nie rozumiem. Wiem jedynie, że nie da się żyć bez bólu... niezależnie od tego, jak długo albo jak krótko trwa życie. Ludzie sprawiają zawód. Dzieje ci się krzywda, a ty w zamian też ranisz. Ale to, co Darkling zrobił Genii? Baghrze? Co próbował zrobić tobie za pomocą tej obroży? To jest słabość. To jest człowiek, który się boi. - Powiedział wzrokiem na dolinę. - Możliwe, że nigdy nie pojmem, jak to jest żyć z twoją mocą, ale wiem, że jesteś lepsza. I oni wszyscy też o tym wiedzą - skinął głową w stronę, dokąd pozostali poszli rozbić obóz. - Dlatego tu jesteśmy i walczymy przy twoim boku. Dlatego Zoja i Harshaw będą marudzić całą noc, ale jutro zostaną.

- Tak myślisz?

Skinął głową.

- Zjemy, prześpimy się, a potem zobaczymy, co dalej.

Westchnęłam.

- Byle naprzód.

Położył mi rękę na ramieniu.

- Pójdiesz do przodu, a kiedy się potkniesz, to wstaniesz. A kiedy nie dasz rady, pozwolisz nam się nieść. Pozwolisz mi się nieść. - Opuścił rękę. - Nie zostawaj tu za długo - powiedział, odwrócił się i pomaszerował po płaskowyżu.

„Więcej nie sprawię ci zawodu”.

Owej nocy nim Mal i ja pierwszy raz wkroczyliśmy do Fałdy, obiecał mi, że przeżyjemy. „Poradzimy sobie i nic nam nie będzie” - tak mi powiedział. „Zawsze sobie radzimy”. W ciągu roku, który upłynął od tamtej pory, byliśmy udręczeni i zastraszeni, złamani i odrodzeni. Zapewne już nigdy nie będziemy czuć się dobrze, ale potrzebowałam tego kłamstwa i wówczas, i teraz. Dzięki niemu nie upadaliśmy, toczyliśmy walkę kolejnego dnia. Postępowaliśmy tak całe życie.

Słońce zaczynało właśnie zachodzić. Stałam na krawędzi urwiska, nasłuchując nurtu wody. Kiedy słońce opadało, wodospady stanęły w ogniu. Patrzyłam, jak kałuże w dolinie się złocą. Wychyliłam się, kątem oka widząc stertę kości na dole. Niezależnie od tego, na co Mal dokładnie polował, było to duże stworzenie. Zajrzałam w mgłę wzbijającą się znad głązów u podnóża siklawy. Kłębiła się i tętniła, tak że wyglądała prawie jak żywa, jak...

Coś pędziło w moją stronę. Zatoczyłam się w tył i przewróciłam, lądując na kości ogonowej. Ciszę przeszył skwir.

Omiotłam wzrokiem niebo. Nade mną, coraz szerszym łukiem, wznosiła się wielka, skrzydlata forma.

- Mal! - krzyknęłam. Mój plecak leżał na krawędzi płaskowyżu, a wraz z nim moja strzelba i łuk. Pognałam w ich kierunku, a ognisty ptak rzucił się prosto na mnie.

Był olbrzymi, biały jak jeleni oraz wąż morski. Szerokie skrzydła były zabarwione złotym płomieniem. Biły w powietrze, a porywy mnie odpychały. Gdy rozchylił kolosalny dziób, po dolinie odbił się echem jego skwir. Dziób był tak wielki, że jednym ciosem mógłby mnie pozbawić ręki, może głowy. Szpony jaśniały, długie i ostre.

Uniosłam ręce, by użyć Cięcia, ale nie mogłam zachować równowagi. Poślizgnęłam się i poczułam, jak turlam się w stronę

skraju urwiska - biodra, potem głowa tłuą o wilgotne głązy. „Kości” - pomyślałam. „O Święci, kości na dnie wodospadu”. W ten sposób zabijał.

Wbijałam paznokcie w śliski kamień, starając się uchwycić - a potem spadałam.

Krzyk uwiązał mi w gardle, gdy rękę niemal wyrwało mi ze stawu. Mal trzymał mnie tuż pod łokciem. Leżał na brzuchu, zwisając nad krawędzią. Ognisty ptak krążył nad nim w gasnącym świetle.

- Mam cię! - zawołał, lecz moja wilgotna ręka wyslizgiwała mu się z dłoni. Stopy dyndały mi nad nicością, serce waliło mi w piersi.

- Mal... - powiedziałam desperacko.

Wychylił się mocniej. „Oboje wypadniemy.”

- Mam cię - powtórzył. Jego błękitne oczy płonęły. Zacisnął palce na moim nadgarstku.

Prąd przeszył nas w tej samej chwili - ten sam elektryczny wstrząs, który poczuliśmy tamtej nocy w lasach koło bani. Wzdrygnął się. Tym razem nie mieliśmy wyboru - musieliśmy mocno się trzymać. Popatrzyliśmy sobie w oczy, a moc płynęła między nami, intensywna i nieunikniona. Miałam wrażenie, że jakieś drzwi otwierają się z impetem, a ja chciałam jedynie przez nie przejść - ten smak idealnego, jaśniejszego uniesienia nie mógł się równać z tym, co leżało po przeciwnej stronie. Zapomniałam, gdzie się znajdowałam, zapomniałam o wszystkim poza tym, by przekroczyć próg, objąć w posiadanie tę władzę.

I wraz z tym głodem przyszło potworne zrozumienie.

„Nie” - pomyślałam desperacko. „Nie to”.

Było już jednak za późno. Wiedziałam.

Mał zacisnął zęby. Poczułam, jak trzyma mnie jeszcze mocniej. Moje kości ocierały się o siebie. Żar potęgi był niemal nieznośny, jak tępy skowyt wypełniający moją głowę. Serce bilo mi tak mocno, że myślałam, że tego nie przeżyję. Musiałam przejść przez te drzwi.

A potem, jak cud, wciągał mnie wyżej, centymetr po centymetrze. Drugą ręką drapałam w skałę, szukając grzbietu urwiska, i w końcu go dotknęłam. Mał złapał mnie za obie ręce, a ja wpełzłam na bezpieczny płaskowyż. Jak tylko puścił mój nadgarstek, wstrząsający zalew mocy zelżał. Zawlekliśmy się dalej od urwiska, mięśnie nam drżały, dyszeliśmy ciężko.

Przenikliwy okrzyk rozległ się ponownie. Ognisty ptak popędził w naszą stronę. Podnieśliśmy się na kolana. Mał nie miał czasu dobyć łuku. Rzucił się przede mnie, rozciągając ramiona szeroko. Ognisty ptak zaskrzeczał i pikował, wyciągając szpony prosto na niego.

Cios nigdy nie nastąpił. Ognisty ptak się zatrzymali - jego pazury dzieliło od piersi Mała zaledwie parę centymetrów. Uderzył skrzydłami raz, dwa razy, odpychając nas pędem powietrza. Czas zdawał się płynąć wolniej. Widziałam, jak oboje odbijamy się w jego wielkich, złotych oczach. Dziób miał ostry jak brzytwa, a pióra zdawały się gorzeć własnym światłem. Pomimo strachu poczułam podziw. Ognisty ptak był Ravką. Słusznie klęczeliśmy.

Wydał z siebie kolejny przeraźliwy skwir, zawirował i zamachał skrzydłami, wznosząc się w nadciągający zmrok.

Osunęliśmy się na ziemię, ciężko dysząc.

- Dlaczego przerwał? - spytałam, z trudem łapiąc oddech.

Minęła długa chwila. Potem Mał rzekł:

- Nie polujemy już na niego. Wiedział. Tak samo jak ja. Wiedział.

- Musimy się stąd wydostać - powiedział. - Może jeszcze wrócić.

Kiedy wstaliśmy, jak przez mgłę zauważyłam, że inni biegną w naszą stronę po śliskich kamieniach. Pewnie usłyszeli moje krzyki.

- To był on! - zawołała Zoja, pokazując znikającą sylwetkę ognistego ptaka. Podniosła ręce, żeby spróbować go ściągnąć z powrotem podmuchem wiatru.

- Zoju, przestań - powiedział Mal. - Puść go.

- Czemu? Co się stało? Dlaczego go nie zabiliście?

- Nie jest wzmacniaczem.

- Skąd możecie to wiedzieć?

Żadne z nas nie odpowiedziało.

- Co się dzieje? - wrzasnęła.

- To Mal - powiedziałam w końcu.

- Co Mal? - spytał Harshaw.

- Mal jest trzecim wzmacniaczem. - Słowa zabrzmiały chrapliwie, ale słyszalnie... dużo silniejsze i spokojniejsze, niż mogłabym się spodziewać.

- O czym wy opowiadacie? - Zoja zaciskała pięści, a na policzkach miała gorączkowe plamy.

- Poszukajmy schronienia - rzekł Tolia.

Pokuśtykaliśmy po płaskowyżu i w ślad za pozostałymi wspięliśmy na kolejne wzgórze, gdzie pod wysoką topolą rozbili obóz.

Mal rzucił strzelbę i chwycił łuk.

- Idę złapać nam kolację - powiedział i rozpląnął się w lesie, nim zdążyłam choćby pomyśleć o oporach. Opadłam na ziemię. Harshaw rozpałił ogień, a ja przy nim usiadłam, patrząc w

plomienie, niemal nie czując ich ciepła. Tolia podał mi flaszkę, przykucnął przy mnie, a kiedy skinęłam głową, wbił mi ramię z powrotem w staw barkowy. Ból nie wystarczył, by powstrzymać obrazy przelewające się przez moją głowę - związki, których mój umysł nie mógł przestać rozpoznawać.

Dziewczynka na polu stoi nad zabitą siostrą, czarne smużki Cięcia wznoszą się z jej ciała, ojciec klęczy przy niej.

„Był wielkim Uzdrowicielem”. Baghra się myliła. Aby ocalić drugą córkę Morozova, trzeba było czegoś więcej niż Nauka Mała. Konieczna była mierzost, wskreszenie. Ja też się myliłam. Siostra Baghry nie była Griszą. Była jednak otkazacją.

- Musiałaś wiedzieć - powiedziała Zoja, siadając po drugiej stronie ogniska. Jej oczy spoglądały oskarżycielsko.

Wiedziałam? Ten wstrząs tamtej nocy przy bani uznałam za coś zrodzonego we mnie.

A jednak kiedy patrzyłam wstecz, wzór jawił się wyraziście. Pierwszy raz użyłam mocy, kiedy Mal konał w moich ramionach. Szukaliśmy jelenia przez długie tygodnie, ale znaleźliśmy go po naszym pierwszym pocałunku. Kiedy wąż morski się pokazał, stałam w jego objęciach, blisko Mała pierwszy raz, odkąd przemocą zaciągnięto nas na pokład statku Darklinga. Wzmacniacze chciały być połączone.

Poza tym czy nasze losy nie były splecione od początku? Przez wojnę. Przez porzucenie. Może przez coś więcej. Nie mogło być dziełem przypadku, że przyszliśmy na świat w sąsiednich wioskach, że przeżyliśmy wojnę, która nam obojgu odebrała rodziny, że oboje trafiliśmy do Keramzina. Czy taka prawda kryła się za jego darem tropienia - że w jakiś sposób Mal był powiązany z tym wszystkim, z tworzeniem w sercu świata? Nie Grisza, nie zwyczajny wzmacniacz, lecz coś zupełnie innego?

„Jam się stał ostrzem". Bronią, którą można wykorzystać. Jakąż miał rację.

Zakryłam twarz dłońmi. Chciałam wyprzeć tę wiedzę, wykroić ją sobie z czaszki. Bo łaknęłam potęgi, która leżała za tymi złotymi drzwiami; pożałowałam jej czystą, dojmującą gorączką, która sprawiała, że chciałam zedrzeć z siebie skórę. Ceną za tę potęgę było życie Mala.

Co takiego powiedziała Baghra? „Może się okazać, że nie przeżyjesz ofiary, jakiej wymaga mierzost".

Mał wrócił niewiele później. Przyniósł z sobą dwa tłuste króliki. Słyszałam, jak pracują z Tolią przy czyszczeniu i sprawianiu zwierząt, a wkrótce poczułam zapach mięsa. Nie miałam apetytu.

Siedzieliśmy przy palenisku, nasłuchując trzasku i syku gałęzi w ogniu, aż w końcu Harshaw się odezwał:

- Jeżeli ktoś zaraz nie zacznie gadać, podpalę te lasy.

Upiłam więc łyk z flaszki Zoi i zaczęłam gadać. Słowa przyszły łatwiej, niż się spodziewałam. Opowiedziałam im historię Baghry - straszną opowieść o człowieku owładniętym obsesją, o córce, którą zaniedbywał, o drugiej córce, która niemal przypląciła to życiem.

- Nie - poprawiłam się. - Ona rzeczywiście zginęła tego dnia. Baghra ją zabiła. A Morozov ją przywrócił do życia.

- Nikt nie potrafi...

- On potrafił. Nie było to uzdrawianie, lecz wskrzeszenie - ten sam proces, jakiego użył, by stworzyć pozostałe wzmacniacze. Wszystko to opisał w dziennikach. - Metody utrzymania tlenu we krwi, zapobieżenia rozkładowi. Potęgi Uzdrowiciela oraz Fabrykatora wyzyskane do granic i przesunięte poza te granice, pchnięte tam, dokąd nie miały nigdy dotrzeć.

- Mierzost - szepnął Tolia. - Władza nad życiem i śmiercią.

Pokiwałam głową. Magia. Abominacja. Moc tworzenia. Dlatego dzienniki były niekompletne. Ostatecznie Morozov nie miał potrzeby polować na inną istotę, by stworzyć trzeci wzmacniacz. Cykl był kompletny. Obdarzył swoją córkę w mocą, którą przeznaczył dla ognistego ptaka. Krąg się zamknął.

Morozov spełnił swój ambitny zamysł, lecz nie tak, jak się spodziewał. „Maczać palce w mierzosty... Cóż, skutki nigdy nie są całkiem takie, na jakie się liczy”. Kiedy Darkling ingerował w tworzenie w sercu świata, karą za jego arogancję stała się Fałda - obszar, gdzie jego potęga nic nie znaczyła. Morozov stworzył trzy wzmacniacze, które dałoby się połączyć tylko pod warunkiem, że jego córka rozstałaby się z życiem - że jego potomkowie zapłaciliby ciałem i krwią.

- Ale jeleni i wąż morski... one były prastare - zauważyła Zoja.

- Morozov wybrał je z rozmysłem. Były to święte stworzenia... rzadkie, srogie. Jego dziecko było zwykłą dziewczynką-otkazacją.

Czy to dlatego Darkling oraz Baghra tak łatwo ją zlekceważyli? Zakładali, że tamtego dnia zmarła, ale wskrzeszenie musiało ją wzmocnić - jej kruche, śmiertelne życie, podległe regułom tego świata, zostało zastąpione przez coś innego. Lecz czy w chwili, gdy dawał córce drugie życie - takie, które się jej nie należało - Morozov dbałby o to, że jest to możliwe właśnie dzięki abominacji?

- Przeżyła wrzucenie do wody - powiedziałam. - A Morozov wziął ją z sobą do osad na południu. - Gdzie żyła i umarła w cieniu łuku, który pewnego dnia użyczy nazwy Dva Stołba.

Popatrzyłam na Mala.

- Musiała przekazać moc swoim potomnym, zapisaną w kościach. - Wyrwał mi się gorzki śmiech. - Myślałam, że to ja - powiedziałam. - Tak desperacko chciałam wierzyć, że przyświeca

temu jakiś wyższy cel, że nie jestem po prostu... przypadkowa. Sadziłam, że jestem drugą linią rodu Morozova. Ale to byłeś ty, Mal. To zawsze byłeś ty.

Mal przyglądał mi się przez płomienie. Nie powiedział ani słowa w ciągu całej rozmowy ani przez kolację, którą tylko Tolia i Oncat byli w stanie zjeść.

Teraz też nic nie mówił. Zamiast tego wstał i podszedł do mnie. Wyciągnął rękę. Zawahałam się przez króciutką chwilę - prawie bałam się go dotknąć - a potem podałam mu dłoń i dałam się podnieść na nogi. W milczeniu zaprowadził mnie do jednego z namiotów. Zza pleców usłyszałam, jak Zoja narzeka:

- Och Święci, teraz mam całą noc słuchać, jak Tolia chrapie?
- Ty też chrapiesz - rzekł Harshaw. - Damie nie przystoi.
- Wcale nie...

Ich głosy ucichły, kiedy schyliliśmy się, by wejść do ciemnego wnętrza namiotu. Blask ognia wnikał przez płócienne ściany i wprawiał cienie w chwiejny ruch. Bez słowa położyliśmy się na futrach. Mal owinał się wokół mnie, przyciskając pierś do moich pleców, obejmując mnie ciasno ramionami, muskając oddechem krzywiznę mojej szyi. Tak sypialiśmy wśród brzęczenia owadów na brzegach stawu Trivki, w trzewiach okrętu płynącego do Nowoziemska, na wąskiej pryczy w zrujnowanej gospodzie w Koftonie.

Przesunął dłonią po moim ramieniu. Delikatnie schwycił nagą skórę mojego nadgarstka, dotykając badawczo palcami. Kiedy się zetknęły, przez nas oboje popłynęła ta elektryzująca siła. Nawet ten przelotny posmak potęgi był w swej mocy niemal nie do zniesienia. Ścisnęło mnie w gardle - z żalości, zagubienia i wstydlivej, niezaprzeczalnej tęsknoty. Pragnąc tego od niego - to było za wiele, to nazbyt okrutne. „To niesprawiedliwe”. Głupie słowa, infantylne. Bezrozumne.

- Znajdziemy inny sposób - szepnęłam.

Mal rozłożył palce, ale nadal trzymał luźno mój nadgarstek i przysunął mnie bliżej do siebie. Czułam się w jego ramionach tak jak zawsze - spełniona, jak gdybym była w domu. Teraz jednak kwestionowałam nawet to. Czy moje uczucia są prawdziwe, czy też stanowią rezultat jakiegoś przeznaczenia, które Morozov wprowadził w ruch setki lat temu?

Mal zsunął włosy z mojej szyi. Przycisnął wargi do skóry nad obręczą i pocałował mnie raz.

- Nie, Alino - powiedział delikatnie. - Nie znajdziemy.

* * *

Podróż powrotna do Dva Stołba wydawała się krótsza. Trzymaliśmy się terenu wysoko położonego - wąskich grzbietów wzgórz, a odległość oraz dni niknęły nam pod stopami. Przemieszczaliśmy się szybciej, bo znaliśmy już ten obszar, a Mal nie szukał śladów ognistego ptaka, lecz miałam też poczucie, jak gdyby czas się kurczył. Rzeczywistość oczekująca nas w dolinie budziła we mnie zgrozę - decyzje, które będziemy musieli podjąć, wyjaśnienia, których będę musiała udzielić.

Szliśmy niemal w milczeniu - jedynie Harshaw nucił coś czasem albo mruczał do Oncat. Reszta zatopiła się we własnych myślach. Po tej pierwszej nocy Mal zachowywał dystans. Ja go nie zagadywałam. Nastrój mu się zmienił - nadal był spokojny, lecz teraz miałam niesamowite wrażenie, że spija świat, uczy się go na pamięć. Odwracał twarz w stronę słońca i zamykał oczy albo zrywał kwiat uczepu i przyciskał go do nosa. Polował dla nas każdej nocy, kiedy dało się rozpalić ogień. Pokazywał gniazda skowronków i kęпки bodziszka, złapał też polną mysz dla Oncat, która zdawała się zbyt rozpieszczona, by polować samodzielnie.

- Jak na kogoś z wyrokiem - zauważyła Zoja - humor ci dopisuje.

- Nie ma żadnego wyroku - warknęłam.

Mał założył strzałę, napiął cięciwę i strzelił. Brzdąknęła w bezchmurne i pozornie puste niebo, ale chwilę później z oddali dobiegło nas krakanie, a dobre półtora kilometra od nas ku ziemi poszybował jakiś kształt. Mał założył łuk na ramię.

- Wszyscy umieramy- powiedział, biegnąc truchtem po swoją zdobycz. - Nie wszyscy mają po co umierać.

- Filozofujemy? - spytał Harshaw. - Czy cytujesz piosenkę?

Harshaw zaczął nucić, a ja podbiegłam do Mała.

- Nie mów takich rzeczy - powiedziałam, kiedy go dogoniłam. - Nie mów tak.

- Dobrze.

- I tak nie myśl.

Naprawdę uśmiechnął się promiennie.

- Mał, proszę - powiedziałam desperacko. Nie byłam nawet pewna, o co proszę. Złapałam go za rękę. Odwrócił się do mnie, a ja się nie zastanawiałam. Stałam na palcach i go pocałowałam. Zareagował po ułamku sekundy... opuścił łuk i odwzajemnił pocałunek, obejmując mnie ciasno ramionami, przyciskając do mnie twarde płaszczyzny swojego ciała.

- Alina... - zaczął mówić.

Złapałam go za kłapy płaszcza ze łzami w oczach.

- Nie mów mi, że to wszystko nie dzieje się bez przyczyny - rzuciłam zażarcie. - Albo że wszystko będzie dobrze. Nie mów mi, że jesteś gotów na śmierć.

Staliśmy w wysokiej trawie, a wiatr szemrał wśród łądyg. Popatrzył mi w oczy spokojnie.

- Nie będzie dobrze. - Odsunął mi włosy z policzków i ujął moją twarz w szorstkie ręce. - To wszystko nie ma żadnej przyczyny. - Musnął ustami moje wargi. - I Alino, niech mi Święci pomogą, ale chciałbym żyć wiecznie.

Znowu mnie pocałował, i tym razem nie przestawał - aż policzki miałam zaczerwienione, serce mi galopowało, aż ledwie pamiętałam, jak sama się nazywam, a co dopiero jacyś inni ludzie, aż usłyszeliśmy śpiew Harshawa, pomruk Tolii i radosne obietnice Zol, że nas wszystkich wymorduje.

* * *

Tamtej nocy spałam w ramionach Mala, owinięta w futra pod gwiazdami. Szeptaliśmy w ciemnościach i kradliśmy pocałunki, wiedząc, że pozostali leżą nieopodal. Jakaś częśćka mnie pragnęła, by pojawił się szuhański oddział zwiadowczy i przestrzelił nam obojgu serca, zostawił nas tu na wieki - dwa ciała, które zamieniają się w proch i pójdą w niepamięć. Myślałam o tym, by po prostu odejść, porzucić innych, porzucić Ravkę, jak kiedyś zamierzaliśmy, przemierzyć góry i przedostać się na wybrzeże.

Myślałam o tym wszystkim. Ale następnego ranka wstałam, i kolejnego ranka też. Jadłam suche pieczywo, zapijałam gorzką herbatą. Aż nazbyt szybko góry znikły i rozpoczęliśmy ostatnie zejście do Dva Stołba. Powróciliśmy szybciej, niż się spodziewaliśmy - mieliśmy czas odebrać „Bąka” i wyjść na spotkanie siłom, które Apparat wysłał być może do Kariewy. Kiedy zobaczyłam dwie kamienne iglice ruin, miałam ochotę zrównać je z ziemią, tak by Cięciem zrobić to, czego nie dokonały czas i pogoda - rozbić je w gruz.

Trochę trwało, nim udało nam się odszukać gospodę, w której Tamar i pozostali znaleźli nocleg. Była piętrowa i pomalowana na

pogodny błękitny kolor. Na werandzie wisiały dzwonki modlitewne, a szpiczasty dach pokrywały błyszczące złotym pigmentem napisy po szuhańsku. Kiedy przyszliśmy, Tamar i Nadia siedziały przy niskim stole w jednym z wspólnych pomieszczeń. Obok siedział Adrik. Pusty rękaw miał schludnie przypięty, a na kolanach niezręcznie trzymał książkę. Widząc nas, skoczyli na równe nogi.

Tolia wyściskał siostrę, a Zoja objęła Nadię i Adrika powściągliwie. Tamar przytuliła mnie mocno. Oncat zeskoczyła z barków Harshawa i pobięła wyjeść resztki ich posiłku.

- Co się stało? - zapytała Tamar, widząc moją zmartwioną minę.

- Później.

Misza zbiegł po schodach i rzucił się na Mała.

- Wróciliście! - zakrzyknął.

- Oczywiście, że wróciliśmy - powiedział Mał, przytulając go. - Spełniałeś swoje obowiązki?

Misza potaknął z powagą.

- Dobrze. Później zdasz mi dokładnie sprawę.

- Dajcie spokój - powiedział Adrik gorliwie. - Znaleźliście go? David jest na górze z Genią. Mam po niego iść?

- Adrik - obsztorcowała go Nadia - są wykończeni i pewni umierają z głodu.

- Jest herbata? - spytał Tolia.

Adrik skinął głową i poszedł zamówić.

- Mamy nowiny - rzekła Tamar. - Nie za dobre.

Nie sądziłam, by mogły być gorsze niż nasze, więc skinęłam ręką:

- Mów.

- Darkling zaatakował Ravkę Zachodnią.

Usiadłam gwałtownie.

- Kiedy?

- Niemal od razu po tym, jak wyruszyliście.

Kiwnęłam głową. Czerpałam trochę pocieszenia z faktu, że nie mogłabym na to nic poradzić.

- Jak źle?

- Za pomocą Fałdy oderwał spory kawał na południu, ale z tego, co słyszeliśmy, większość ludzi zdążyła się ewakuować.

- Jakież wieści o siłach Mikołaja?

- Krążą pogłoski, że pojawiają się oddziały walczące pod sztandarem Lancova, ale nie ma Mikołaja, który by im dowodził, więc nie jestem pewna, jak długo będą stawiać opór.

- Dobrze. - Teraz przynajmniej wiedziałam, z czym mamy do czynienia.

- Jest więcej.

Zerknęłam na Tamar pytająco. Wyraz jej twarzy sprawił, że przeszył mnie zimny dreszcz.

- Darkling ruszył na Keramzin.

15.

W żołądku mi się zakotłowało.

- Co?

- Krążą... krążą plotki, że puścił go z dymem.

- Alina... - powiedział Mal.

- Uczniowie - powiedziałam, czując nadsięgający popłoch. - Co się stało z uczniami?

- Nie wiemy - odparła Tamar.

Przycisnęłam ręce do oczu, starając się pomyśleć.

- Twój klucz - wydyszałam chrapliwie.

- Nie ma powodu sądzić...

- Klucz - powtórzyłam. Sama słyszałam, jak głos mi się trzęsie.

Tamar podała mi klucz.

- Trzecie drzwi po prawej - powiedziała łagodnie.

Wbiegłam po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Już prawie na górze poślizgnęłam się i mocno walnęłam kolanem o schodek. Ledwie to odczułam. Potykając się i licząc drzwi, przeszłam korytarzem. Ręce drżały mi tak bardzo, że dopiero za drugim razem udało mi się włożyć klucz do dziurki i przekręcić go.

Pokój był pomalowany na czerwono i niebiesko - radosny jak reszta gospody. Zobaczyłam kurtkę Tamar ciśniętą obok cynowej miednicy, dwa zsunięte, wąskie łóżka, skłębione wełniane koce. Okno było otwarte i do środka wpadało jesienne słońce. Chłodna bryza poruszała zasłonami. Zatrzasnęłam za sobą drzwi i podeszłam do okna. Schwyciłam parapet kurczowo, jak przez mgłę widząc rozklekotane domy na skraju osady, iglice w oddali, za nimi góry. Poczułam ranę na ramieniu, wkradającą się we mnie ciemność. Rzuciłam się naprzód za pośrednictwem więzi, by go odszukać. W głowie miałam tylko jedną myśl: „Co ty zrobiłeś?”.

Kiedy wzięłam następny oddech, stałam już przed nim. Pomieszczenie dookoła mnie było rozmazane.

- Nareszcie - powiedział Darkling. Odwrócił się do mnie, a jego piękna twarz zarysowała się wyraziście. Opierał się o zwęglony gzyms kominka. Jego kontury były odrażająco znajome.

Szare oczy Darklinga były puste, znękanie. Znalazł się w tym stanie z powodu śmierci Baghry czy jakiejś okropnej zbrodni, której się tu dopuścił?

- Chodź - powiedział łagodnie. - Chcę ci pokazać.

Drżałam, ale pozwoliłam mu chwycić moją dłoń i wziąć się pod rękę. Kiedy to zrobił, rozmazane kształty nabrały ostrości i pokój wokół mnie ożył.

Staliśmy w dawnej bawialni Keramzina. Wyleniałe sofy były naznaczone czarnymi plamami sadzy. Drogocenny samowar Any Kuyi leżał na boku, zmatowiały i pusty. Po ścianach ostały się jedynie zwęglone i poszarpane szkielety, upiory drzwi. Kręte, metalowe schody, wiodące niegdyś do pokoju muzycznego, wypaczyły się pod wpływem temperatury, a stopnie się stopiły. Sufitu nie było. Mogłam popatrzeć przez ruinę prosto na piętro. Tam, gdzie powinien być strych, wisiało jedynie szare niebo.

„Dziwne” - pomyślałam głupio. „W Dva Stołba świeci słońce”.

- Siedzę tu od wielu dni - powiedział, oprowadzając mnie po pogorzeliśku, nad stertami gruzu, przez niegdysiejszą sień. - Czekałem na ciebie.

Kamienne schodki wiodące do głównego wejścia były wymazane popiołem, lecz nienaruszone. Zobaczyłam długi, prosty, żwirowy podjazd, białe słupy bramy, drogę do miasta. Odkąd ostatni raz patrzyłam na ten widok, minęły niemal dwa lata, ale dokładnie takim go pamiętałam.

Darkling położył mi ręce na ramionach i obrócił mnie lekko.

Nogi się pode mną ugięły. Padłam na kolana, przyciskając dłonie do ust. Wyrwał mi się odgłos, zbyt urywany jak na krzyk.

Dąb, na który kiedyś się wspierałam, bo się założyłam, wciąż stał, nietknięty ogniem, który strawił Keramzin. Teraz jego gałęzie były pełne ciał. Troje Griszów-nauczycieli zwisało z tej samej grubej gałęzi, a ich kefry trzepotały lekko na wietrze - purpurowa,

czzerwona i niebieska. Tuż przy nich Botkin. Twarz miał niemal czarną ponad sznurem, który wrzynał mu się w szyję. Był cały w ranach. Obok niego Ana Kuya huśtała się w swojej czarnej sukni. W talii miała przypasane swoje ciężkie klucze, a czubki jej zapinanych na guziki trzewików prawie ocierały się o ziemię.

- Ona była dla ciebie, jak sądzę, bodaj jedyną matką - zaszemrał Darkling.

Wstrząsające mną szlochły były jak uderzenia biczem. Z każdym jednym drgałam, zginałam się wół, zapadałam sama w siebie. Darkling uklęknął przy mnie. Chwycił mnie za nadgarstki i odsunął mi ręce od twarzy, jak gdyby chciał patrzeć, jak łkam.

- Alino - powiedział. Nie spuszczałam oczu ze schodów. Łzy mąciły mi wzrok. Nie chciałam na niego patrzeć. - Alino - powtórzył.

- Czemu? - Słowo padło jak skowyt, krzyk dziecka. - Dlaczego to zrobiłeś? jak możesz to robić? Nic z tego nie czujesz?

- Przeżyłem długie życie, zasobne w żalobę. Moje łzy już dawno się wyczerpały. Gdybym nadal odczuwał tak jak ty, gdybym bolał tak jak ty, nie zniósłbym tej wieczności.

- Mam nadzieję, że Botkin zabił dwudziestu twoich Griszów - syknęłam do niego - setkę.

- To był nadzwyczajny człowiek.

- Gdzie są uczniowie? - Zmusiłam się, by zapytać, chociaż nie byłam pewna, czy wytrzymam odpowiedź. - Co zrobiłeś?

- Gdzie ty jesteś, Alino? Byłem pewien, że przyjdiesz do mnie, kiedy ruszę na Ravkę Zachodnią. Sądziłem, że sumienie cię do tego zmusi. Mogłem jedynie żywić nadzieję, że to cię wywabi z ukrycia.

- Gdzie oni są? - zawylałam.

- Są bezpieczni. Jak na razie. Znajdą się na pokładzie mojego skifu, kiedy ponownie wkroczę do Fałdy.

- Zakładnicy - powiedziałam tępo.

Skinął głową.

- Jeżeli przyjdzie ci do głowy atakować, zamiast się poddać. Za pięć dni powrócę na Niemorze, a ty przyjdiesz do mnie... ty i tropiciel... albo przesunę Fałdę aż na wybrzeże Ravki Zachodniej, a te dzieci jedno po drugim wydam na pastwę wilkrów.

- To miejsce... ci ludzie - oni byli niewinni.

- Czekałem setki lat na tę chwilę, na twoją moc, na tę szansę. Zasłużyłem na nią, ponosząc straty i walcząc. Będę ją miał, Alino. Cena nie gra roli.

Chciałam rzucić się na niego z pazurami, powiedzieć mu, że dopilnuję, by jego własne potwory rozerwały go na strzępy. Chciałam mu powiedzieć, że uderzę w niego pełną mocą wzmacniaczy Morozova, armią światła zrodzoną z mierzosty, doskonałą w swojej pomście. I może nawet byłabym w stanie to zrobić. Gdyby Mał oddał własne życie.

- Nic nie zostanie - wyszeptałam.

- Nie - odparł delikatnie i objął mnie. Pocałował mnie w czubek głowy. - Odbiorę ci stopniowo wszystko, co znasz, wszystko, co kochasz, aż poza mną nie będziesz miała schronienia.

W żalobie, w przerażeniu, dałam sobie przyzwolenie, by się załamać.

* * *

Nadal klęczałam, kurczowo trzymając parapet i przyciskając czoło do drewnianych listew na ścianie gospody. Z zewnątrz dobiegał cichy brzęk dzwonek modlitewnych. W środku słychać

było wyłącznie mój urywany oddech, chrapliwe brzmienie mojego szlochu - bicz nadal trzaskał, a ja płakałam z pochyloną głową. Tak mnie znaleźli.

Nie usłyszałam otwieranych drzwi ani ich kroków, kiedy się zbliżali. Poczulałam tylko, jak chwytają mnie delikatne dłonie. Zoja posadziła mnie na skraju łóżka, a Tamar spoczęła przy mnie. Nadia zaczęła rozczesywać mi włosy, ostrożnie rozsupłując splecione pasma. Genia umyła mi najpierw twarz, a potem ręce chłodną szmatką, którą zwilżyła w miednicy. Pachniała lekko miętą.

Siedziałyśmy tam bez słów - wszystkie zgromadzone wokół mnie.

- Ma uczniów - powiedziała bezdźwięcznie. - Dwadzieścia troje dzieci. Nauczycieli zabił. I Botkina. - I Anę Kuię, kobietę, której nie znały. Która mnie wychowała. - Mal...

- Powiedział nam - rzekła Nadia łagodnie.

W głębi duszy oczekiwałam chyba obwiniania i oskarżeń. Zamiast tego Genia położyła głowę na moim ramieniu. Tamar ścisnęła moją dłoń.

Uświadomiłam sobie, że nie chodzi tylko o pocieszenie. Polegały na mnie - tak jak ja na nich - i czerpały siłę.

„Przeżyłem długie życie, zasobne w żalobę”.

Czy Darkling miał kiedyś takich przyjaciół? Ludzi, których kochał, którzy dla niego walczyli i o niego dbali, rozśmieszali go? Ludzie, którzy stali się niewiele więcej niż ofiarą w imię marzenia, co ich przeżyło?

- Ile mamy czasu? - zapytała Tamar.

- Pięć dni.

Rozległo się pukanie do drzwi. Mal. Tamar zrobiła mu miejsce obok mnie.

- Źle? - spytał.

Pokiwałam głową. Nie miałam na razie sił, by mu powiedzieć, co widziałam.

- Mam pięć dni, by się poddać, a jeżeli nie, to ponownie użyje Fałdy.

- I tak to zrobi - rzekł Mal. - Sama tak mówiłaś. Znajdzie powód.

- Mogę nieco zyskać na czasie...

- Za jaką cenę? Byłaś gotowa oddać życie - powiedział cicho. - Dlaczego mi nie pozwalasz zrobić tego samego?

- Bo nie mogę tego znieść.

Jego twarz przybrała twardy wyraz. Chwycił mnie za nadgarstek i znów poczułam ten wstrząs. Światło rozlało się za moimi powiekami, jak gdyby całe moje ciało było gotowe rozłupać się pod jego naporem. Za tymi drzwiami leżała niewymowna moc, a śmierć Mala miała te wrota otworzyć.

- Zniesiesz to - rzekł. - W przeciwnym razie wszystkie te zgony, wszystko, co poświęciliśmy, będzie na marne.

Genia odkaszlnęła.

- Uhm. Rzecz w tym, że może nie będzie to konieczne. David ma pomysł.

- Właściwie na pomysł wpadła Genia - sprostował David.

* * *

Tłoczyliśmy się wokół stoku pod zadaszeniem, kawałek w dół ulicy od naszej gospody. W tej części osady nie było restauracji z prawdziwego zdarzenia, ale na wypalonym poletku urządzono coś w rodzaju zaimprovizowanej tawerny. Nad chwiejnymi stołami

rozwieszono latarnie, stała tam drewniana beczułka zsiadłego mleka, a w dwóch kotłach - podobnych do tych, które widzieliśmy pierwszego dnia na rynku - piekło się mięso. Aromat dymu z jałowca wisiał w powietrzu.

Przy stole koło beczułki dwóch mężczyzn grało w kości, podczas gdy inny brzdąkał coś bezładnie na poobijanej gitarze. Nie dało się wychwycić melodii, ale Misza wydawał się usatysfakcjonowany. Zabrał się za skomplikowany taniec, który widocznie wymagał klaskania oraz ogromnej koncentracji.

- Dopilnujemy, żeby na tabliczce pamiątkowej była mowa o Genii - powiedziała Zoja - tylko przejdź już do sedna.

- Pamiętasz, jak zamaskowałaś „Bąka”? - spytał David. - Jak zakrzywiłaś światło wokół statku, zamiast dać mu się odbijać od powierzchni?

- Tak sobie myślałam - powiedziała Genia. - A gdybyś zrobiła tak z nami?

Zmarszczyłam czoło.

- To znaczy...

- Zasada jest identyczna - ciągnął David. - Większe wyzwanie, bo w grę wchodzi więcej zmiennych niż samo błękitne niebo, ale zakrzywienie światła wokół żołnierza nie różni się od zakrzywienia go wokół przedmiotu.

- Chwileczkę - wtrącił Harshaw. - Czy to znaczy, że bylibyśmy niewidzialni?

Adrik pochylił się do przodu.

- Darkling wyruszy z doków w Kribirsku. Możemy się zakraść do jego obozu. Wydostać w ten sposób uczniów. - Pięść miał zacisniętą, oczy gorejące. Znał wszystkie te dzieci lepiej niż my. Z niektórymi zapewne się przyjaźnił.

Tolia ściągnął brwi.

- Nie ma mowy, żebyśmy wdarli się do obozu i uwolnili ich niepostrzeżenie. Niektóre z tych dzieci są młodsze od Miszy.

- Kribirsk byłby zbyt skomplikowany - oznajmił David. - Mnóstwo ludzi, urywane osie widokowe. Gdyby Alina miała więcej czasu, by poćwiczyć...

- Mamy pięć dni - powtórzyłam.

- Wobec tego zaatakujemy na terenie Fałdy - stwierdziła Genia.
- Światło Aliny odpędzi wilkry...

Pokręciłam głową.

- I tak musielibyśmy walczyć z nisztocjami Darklinga.

- Nie, jeżeli nie będą nas widzieć - powiedziała Genia.

Nadia uśmiechnęła się szeroko.

- Ukrywalibyśmy się tuż pod ich nosem.

- Będzie miał również opryszczaków oraz Griszów - zauważył Tolia. - W odróżnieniu od nas nie będzie im brakować amunicji. Nawet jeżeli nie będą widzieć, do czego strzelać, mogą otworzyć ogień i liczyć, że się im poszczęści.

- Zatrzymamy się więc poza ich zasięgiem. - Tamar przesunęła swój talerz na środek stołu. - To jest szklany skif - powiedziała. - Rozmieścimy wokół strzelców wyborowych, którzy będą trzebić szeregi Darklinga. Potem podejmiemy na tyle blisko, żeby się wślizgnąć na skif, a kiedy dzieci będą już bezpieczne...

- Wysadzimy go w powietrze - rzekł Harshaw. Praktycznie się ślinił na myśl o eksplozji.

- A wraz z nim Darklinga - skwitowała Genia.

Okręciłam talerz Tamar, rozważając sugestie pozostałych. Bez trzeciego wzmocniacza w otwartym starciu moja potęga nie mogła się równać mocy Darklinga. Udowodnił mi to jednoznacznie. Ale gdybym zaatakowała go niewidziana, maskując się światłem tak jak inni ciemnością? Było to przebiegłe, wręcz tchórzliwe, lecz

Darkling i ja już dawno porzuciliśmy honor. Wniknął mi w głowę, toczył wojnę z moim sercem. Nie interesowała mnie sprawiedliwa walka - jeżeli tylko istniała szansa, by ocalić życie Mala.

Jakby czytając mi w myślach, Mal powiedział:

- Nie podoba mi się to. Zbyt wiele rzeczy może się nie powieść.

- Nie jest to wyłącznie twój wybór - stwierdziła Nadia. - Od wielu miesięcy walczysz i ronisz krew przy naszym boku. Zaslugujemy na szansę, by próbować uratować ci życie.

- Nawet jeśli jesteś bezużytecznym otkazacją - dodała Zoja.

- Uważaj - zauważył Harshaw. - Mówisz do Darklingowego... zaraz, kim ty jesteś? Kuzynem? Siostrzeńcem?

Mal zadrżał.

- Nie mam pojęcia.

- Zaczyniesz się teraz ubierać na czarno?

Mal bardzo zdecydowanie zaprzeczył.

- Jesteś jednym z nas - oznajmiła Genia - czy ci się to podoba, czy nie. Poza tym jeżeli Alina będzie musiała cię zabić, możliwe, że zupełnie zwariuje, a w dodatku będzie miała trzy wzmacniacze. A potem będziemy zdani na Miszę, który będzie musiał ją powstrzymać potęgą okropnego tańca.

- Jest dosyć humorzasta - stwierdził Harshaw. Popukał się w skroń. - Nie całkiem równo pod sufitem, jeśli wiesz, o czym mówię.

Żartowali, ale mogli też mieć rację. „Pisane ci było stać się moją przeciwwagą”. To, co czułam do Mala, było uparte, bez ładu i składu, a ostatecznie mogłam to przyplącić złamanym sercem, lecz było to też ludzkie. Nadia wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Mala.

- Zastanów się przynajmniej nad tym planem. A jeżeli nic się nie powiedzie...

- Alina dostanie nową bransoletkę - dokończyła Zoja.

Popatrzyłam na nią krzywo.

- A może tak ciebie rozkroję i przekonam się, jak pasowałyby twoje kości?

Zoja poprawiła włosy.

- Założę się, że są równie olśniewające jak cała ja.

Jeszcze raz obróciłam talerz Tamar - próbowałam sobie wyobrazić, czego by wymagał taki manewr. Żałowałam, że nie potrafię snuć strategii jak Mikołaj. Jednego jednak byłam pewna.

- Sam wybuch nie wystarczy, by zabić Darklinga. Przeżył Fałdę oraz zniszczenie kaplicy.

- W takim razie co? - spytał Harshaw.

- To muszę być ja - powiedziałam. - Jeżeli uda nam się oddzielić go od jego żołnierzy cienia, będę mogła użyć Cięcia. - Darkling był potężny, ale wątpiłam, by nawet on doszedł do siebie po rozczłonkowaniu. A chociaż nie miałam prawa do nazwiska Morozova, byłam Przyzywaczką Słońca. Miałam kiedyś nadzieję na wielki los, ale wystarczy mi sprawny mord.

Zoja zaśmiała się krótko i radośnie.

- To się może udać.

- Warto to przemyśleć - powiedziałam do Mała. - Darkling będzie się spodziewał ataku, lecz tego nie.

Mał milczał długą chwilę.

- Dobrze - powiedział. - Ale jeżeli to pójdzie nie tak... wszyscy się zgadzamy, co się musi stać.

Powiódł wzrokiem wokół stołu. Jedno po drugim wszyscy skinęli głowami. Tolia miał stoicki wyraz twarzy. Genia spuściła oczy. W końcu zostałam tylko ja.

- Daj mi słowo, Alino.

Przełknęłam gulę w gardle.

- Zrobię to. - Słowa zostawiły na moim języku posmak żelaza.

- Dobrze - powiedział. Złapał mnie za rękę. - A teraz pokażmy Miszy, jak należy kiepsko tańczyć.

- Zabić cię, zatańczyć z tobą. Jeszcze jakieś życzenia?

- W tej chwili nie - odparł, przyciągając mnie do siebie. - Ale na pewno coś wymyślę.

Wtuliłam głowę w ramię Mała i wciągnęłam do płuc jego zapach. Wiedziałam, że nie powinnam pozwalać sobie na wiarę w tę możliwość. Nie mieliśmy armii. Nie dysponowaliśmy królewskimi środkami. Mieliśmy tylko tę obdartą drużynę. „Odbiorę ci stopniowo wszystko, co znasz, wszystko, co kochasz”. Wiedziałam, że gdyby Darkling mógł, wykorzystałby tych ludzi przeciwko mnie, ale nigdy nie przyszło mu na myśl, że mogą stanowić coś więcej niż słabe punkty. Może ich niepotrzebnie zlekceważył - a może mnie również nie docenił.

Głupie to było. Niebezpieczne. Ale Ana Kuya mawiała, że nadzieja jest przemyślna niczym woda. Jakimś sposobem zawsze dostanie się do środka.

* * *

Tej nocy długo się nie kładliśmy - omawialiśmy praktyczne aspekty planu. Realia Fałdy wszystko komplikowały - gdzie i w jaki sposób wejdziemy na jej teren, czy to w ogóle możliwe, bym zamaskowała siebie, a co dopiero innych, jak odseparować Darklinga i jak zabezpieczyć uczniów. Nie mieliśmy prochu, więc musieliśmy zrobić własny. Chciałam także zadbać o to, by pozostali mieli szanse wydostać się z Fałdy, gdyby coś mi się stało.

Wyruszyliśmy wcześniej rano następnego dnia i cofnęliśmy się przez Dva Stołba, by odebrać „Bąka” z kopalni. Dziwnie było zobaczyć, że stoi tam, gdzie go zostawiliśmy - bezpiecznie ukryty jak gołąb pod okapem.

- Święci - powiedział Adrik, kiedy wdrapaliśmy się na kadłuby.

- To moja krew?

Plama była niemal tak duża jak on sam. Po długiej ucieczce z Kołowrotka byliśmy tak zmęczeni i załamani, że nikomu nawet przez myśl nie przeszło, by się tym zająć.

-Ty nabałaganieś, to ty sprzątaj - powiedziała Zoja.

- Żeby zmywać podłogę, potrzebne są dwie ręce - zripostował Adrik i zajął miejsce przy żaglach.

Adrik zdawał się gustować w drwinach Zol bardziej niż w ciągłej trosce Nadii. Z ulgą przyjąłem wiadomość, że nadal potrafi przyzywać, choć minie trochę czasu, nim nauczy się kontrolować silne prądy jedną ręką. „Baghra mogłaby go nauczyć”. Myśl pojawiła się, nim przypomniałam sobie, że nie było to już możliwe. Jakbym słyszała jej głos w głowie: „Mam ci odciąć drugą rękę? Wtedy dopiero miałbyś powód do narzekań. Jeszcze raz, ale lepiej”. Co ona by o tym wszystkim pomyślała? Co by pomyślała o Malu? Odepchnęłam tę myśl. Nigdy się nie dowiemy, a na oplakiwanie nie było czasu.

Kiedy wzbiliśmy się w powietrze, Szkwalnicy nadali łagodne tempo, a ja wykorzystałam ten czas, by poćwiczyć zakrzywianie światła, maskując okręt od spodu.

Podróż trwała zaledwie parę godzin. Wylądowaliśmy na podmokłym pastwisku na zachód od Kariewy. W mieście odbywały się coroczne letnie targi koni. Nie słynęło z niczego poza torami wyścigowymi oraz stajni rozplodowych. Nawet w czasach pokoju tak późną porą roku byłoby niemal opuszczone.

Wiadomość do Apparata sugerowała, byśmy spotkali się przy torze wyścigowym. Tamar i Harshaw mieli pieszo obejść tor, żeby sprawdzić, czy nie wpadniemy w pułapkę. Jeżeli coś wyda im się podejrzanе, wrócą do nas i wspólnie zdecydujemy, co dalej. Nie sądziłam, aby Aparat miał nas wydać w ręce Darklinga, ale istniała też możliwość, że zawarł jakiś nowy pakt z Szu Hanem albo Fjerdą.

Przybyliśmy o dzień za wcześnie, a pastwisko stanowiło idealne miejsce, by potrenować maskowanie ruchomych obiektów. Misza uparł się, że będzie pierwszy.

- Jestem mniejszy - powiedział. - Będzie łatwiej.

Wybiegł na środek pola.

Uniosłam ręce, okręciłam nadgarstki, a Misza znikł. Harshaw zagwizdał z uznaniem.

- Widać mnie? - krzyknął Misza. Jak tylko zaczął machać, światło wokół niego zafalowało i pojawiły się jego chude ramiona - wyglądały, jakby wisiały w powietrzu.

„Skup się”. Zniknęły.

- Misza - poleciał Mal - biegnij w naszą stronę. Pojawił się, a potem znowu znikł, kiedy dostosowałam światło.

- Widzę go z boku - zawołał Tolia z przeciwnej strony pastwiska.

Wypuściłam powietrze. Musiałam to dokładniej przemyśleć. Zasłonić statek było łatwiej, bo zmieniałam odbicie światła jedynie od spodu. Teraz musiałam pamiętać o wszystkich kątach.

- Lepiej! - rzekł Tolia.

Zoja zaskomlała.

- Ten mały łobuz właśnie mnie kopnął.

- Mądry dzieciak - stwierdził Mal.

Uniosłam brew.

- Mądrzejszy od niektórych.

Miał na tyle przyzwoitości, że się zaczerwienił. Resztę popołudnia spędziłam na polu, ukrywając jedno, potem dwójkę, wreszcie pięcioro Griszów. Robota była inna, ale lekcje Baghry wciąż znajdowały zastosowanie. Jeżeli za bardzo się koncentrowałam na emitowaniu swojej mocy, przytłaczały mnie zmienne. Kiedy jednak myślałam o tym, że światło jest wszędzie, jeżeli nie próbowałam go trącać, lecz pozwalałam mu się zagiąć, było dużo łatwiej.

Pomyślałam o sytuacjach, kiedy widziałam, jak za sprawą swojej mocy Darkling oślepią żołnierzy podczas bitwy, ścierając się z wieloma nieprzyjaciółmi naraz. Przychodziło mu to z łatwością, naturalnie. „Wiem o potędze takie rzeczy, jakich ty możesz się ledwie domyślać”.

Ćwiczyłam nocą, potem rano zaczęłam od nowa, kiedy Tamar i Harshaw wyszli, lecz nie mogłam się skoncentrować. Gdybyśmy mieli więcej strzelców, nasz atak na skif Darklinga mógłby mieć szansę powodzenia. Co zastaną na torze wyścigowym? Kapłana we własnej osobie? Zupełnie nikogo? Wyobrażałam sobie kiedyś chłopską armię maszerującą pod sztandarem z ognistym ptakiem pod osłoną trzech wzmocniaczy. Nie taką wojnę obecnie toczyliśmy.

- Widzę go! - powiedziała do mnie śpiewnie Zoja. I rzeczywiście - masywna sylwetka Tolii, który biegł po prawej stronie, zjawiała się i znikwała.

Opuściłam rękę.

- Zróbmy przerwę - zaproponowałam.

Nadia i Adrik rozwinęli jeden z żagli, by siostra mogła mu pomóc uczyć się panować nad prądami wstępującymi, a Zoja rozłożyła się leniwie na pokładzie i wygłaszała nieprzydatne komentarze.

W międzyczasie David i Genia pochylali się nad jednym z jego notesów, próbując wymyślić, skąd wziąć składniki na porcję lumiji. Okazało się, że Genia była uzdolniona nie tylko w dziedzinie trucizn. Jej talenty zawsze plasowały się gdzieś między zdolnościami Korporalników i Materialników, ale ciekawa byłam, czym by została, jaką by obrała ścieżkę, gdyby nie wpływ Darklinga. Mal i Misza poszli na drugi koniec pola objuczeni sosnowymi szyszkami. Poukładali je wzdłuż płotu w charakterze celów, żeby Misza mógł się nauczyć strzelać.

W ten sposób Tolia i ja zostaliśmy sami, nie mając nic do roboty poza martwieniem się i czekaniem. Przysiadł przy mnie na jednym z kadłubów, dyndając nogami.

- Chcesz jeszcze poćwiczyć? - zapytał.

- Pewnie powinnam.

Minęła długa chwila, potem się odezwał:

- Dasz radę to zrobić? Kiedy przyjdzie czas?

W niesamowity sposób skojarzyło mi się to z pytaniem Mala, czy będąc umiała zabić ognistego ptaka.

- Uważasz, że plan się nie powiedzie.

- Uważam, że to nie ma znaczenia.

- Nie...

- Jeżeli pokonasz Darklinga, Fałda pozostanie.

Uderzyłam obcasami o kadłub.

- Z Fałdą sobie poradzę - powiedziałam. - Dzięki mojej mocy będzie się dało przeprawić. Wyeliminujemy wilkry. - Nie lubiłam o tym myśleć. Mimo całej swej potworności wilkry były kiedyś ludźmi. Odchyliłam się i przyjrzałam twarzy Tolii. - Nie przekonałam cię.

- Spytałaś mnie kiedyś, dlaczego nie dałem ci umrzeć w kaplicy, dlaczego pozwoliłem Malowi do ciebie iść. Może jest powód, dla którego oboje przeżyliście. Może to właśnie on.

- Rozpętał to wszystko domniemany Święty, Toliu.

- I Święta to zakończy.

Ześlizgnął się z kadłuba i podniósł na mnie wzrok.

- Wiem, że nie wierzysz w to co Tamar i ja - rzekł - ale niezależnie od tego, jak to się skończy, cieszę się, że przeznaczenie nas połączyło.

Przeszedł przez pole do Mala i Miszy.

Nie wiedziałam, czy zaprzyjaźniłam się z Tolią oraz Tamar przez przypadek, czy z woli losu, ale byłam za to wdzięczna. A jeśli miałam być z sobą szczerą, to zazdrościłam im ich wiary. Gdybym mogła wierzyć, że błogosławi mi jakiś boski cel, łatwiej by było podejmować trudne decyzje. Nie wiedziałam, czy nasz plan się uda, a nawet jeśli, to wciąż było zbyt wiele niewiadomych. Jeżeli pokonamy Darklinga, co się stanie z jego żołnierzami cienia? A co z Mikołajem? A co jeżeli zabicie Darklinga spowoduje, że on również umrze? Może powinniśmy raczej próbować pojmać Darklinga? Jeżeli przeżyjemy, Mal będzie musiał się ukrywać. Jego życie byłoby nic niewarte, gdyby ktokolwiek dowiedział się, czym on jest.

Usłyszałam dudnienie kopyt. Nadia i ja wspięłyśmy się na mostek, żeby lepiej widzieć, a kiedy oddział znalazł się w zasięgu wzroku, serce mi opadło.

- Może na torze jest ich więcej- powiedziała Nadia.

- Może. - Ale sama w to nie wierzyłam.

Policzyłam szybko. Dwanaścioro żołnierzy. Kiedy się zbliżyli, przekonałam się, że wszyscy byli młodzi, a większość miała na twarzach wytatuowane słońce. W ich gronie była Ruby - ze

ślicznymi zielonymi oczyma i blond warkoczem, zobaczyłam też wśród nich Vladima oraz dwóch brodaczy, których pamiętałam chyba ze Straży Kapłańskiej.

Zeskoczyłam z mostka i wyszłam im na powitanie. Kiedy oddział mnie zauważył, zsunęli się z koni i każde z nich przyklęknęło na jedno kolano z pochyloną głową.

- Ugh - odezwała się Zoja. - Znowu to.

Rzuciłam jej ostrzegawcze spojrzenie, chociaż do głowy przyszło mi dokładnie to samo. Zapomniałam już prawie, jak bardzo obawiałam się brzemienia świętości. Przywdziałam jednak kostium i odegrałam swoją rolę.

- Powstańcie - powiedziałam, a kiedy to zrobili, skinęłam na Vladima, by podszedł. - To wszyscy?

Pokiwał głową.

- Jaką wymówkę śle Aparat?

Przełknął.

- Nie śle żadnej. Pielgrzymi codziennie się modlą o twoje bezpieczeństwo oraz o zniszczenie Fałdy. Aparat twierdzi, że ostatnim rozkazem, jaki mu wydałaś, poleciłaś mu strzec swojej trzody.

- A moja prośba o pomoc?

Ruby pokręciła głową.

- Dowiedzieliśmy się, że ty i Mikołaj Lancov prosiliście o wsparcie, tylko dlatego, że lojalny wobec ciebie mnich odebrał wiadomość z cerkwi Świętego Lukina.

- Skąd więc się tu wzięliście?

Vladim się uśmiechnął, a na jego policzkach znów pojawiły się te nedorzeczne dołeczki. Wymienił spojrzenia z Ruby.

- Uciekliśmy - oznajmiła.

Wiedziałam, że nie można ufać Apparatowi, a jednak w głębi duszy liczyłam, iż zaoferuje mi coś więcej niż modły. Kazałam mu jednak opiekować się moimi wyznawcami i dbać o to, by nie stała im się krzywda, a na pewno byli bezpieczniejsi w Białym Soborze niż podczas marszu na terytorium Fałdy. Apparat robi to, co wychodzi mu najlepiej: zaczeka. Kiedy pył opadnie, okaże się, że albo zwyciężyłam Darklinga, albo poniosłam męczeńską śmierć. Tak czy owak, ludzie będą w moim imieniu chwycić za broń. Apparatowe imperium wiernych powstanie.

Położyłam dłonie na ramionach Vladima i Ruby.

- Dziękuję wam za lojalność. Mam nadzieję, że jej nie pożałujecie.

Pochylili głowy i wymruczeli:

- Sankta Alina.

- Ruszajmy - powiedziałam. - Jesteście grupą dość dużą, by przyciągnąć uwagę, a te tatuaże na pewno nie pomogły.

- Dokąd idziemy? - spytała Ruby, podciągając szalik, by zakryć tatuaż.

- Na teren Fałdy.

Widziałam, że nowi żołnierze poruszyli się niespokojnie.

- Żeby walczyć? - zapytała.

- Żeby podróżować - odparł Mal.

Bez armii. Bez sojuszników. Od chwili, gdy przyjdzie nam zmierzyć się z Darklingiem, dzieliły nas zaledwie trzy dni. Zaryzykujemy, a jeżeli poniesiemy porażkę, innych możliwości nie będzie. Zamorduję jedyną osobę, którą w życiu kochałam i która kochała mnie. Rzucę się na powrót w odmęty bitwy, odziana w jego kości.

16.

Niebezpiecznie byłoby podejść pod Kribirsk od tej strony Fałdy, więc postanowiliśmy zorganizować nasz atak od Ravki Zachodniej, a to oznaczało, że musieliśmy skoordynować przeprawę. Nadia i Zoja nie mogłyby utrzymać „Bąka” w powietrzu, gdyby było na pokładzie zbyt wielu dodatkowych pasażerów, więc uzgodniliśmy, że Tolia odstawi Sol Sołdatów na wschodni brzeg Fałdy i tam na nas zaczeka. Zajmie im to cały dzień jazdy wierzchem, a w tym czasie będziemy mogli wkroczyć na teren Ravki Zachodniej i zlokalizować odpowiednie miejsce na bazę. Potem cofniemy się, by przeprowadzić pozostałych przez Fałdę pod osłoną mojej mocy.

Weszliśmy na pokład „Bąka”, a ledwie kilka godzin później zbliżaliśmy się szybko do dziwnej, czarnej mgły Fałdy Cienia. Kiedy tym razem zanurzyliśmy się w ciemności, byłam przygotowana na poczucie swojskości, które mną owładnęło - wrażenie podobieństwa. Teraz, po moich doświadczeniach z mierzostią - mocą, która stworzyła to miejsce - odczucie było jeszcze silniejsze. Lepiej też je rozumiałam, tę potrzebę, która zmusiła Darklinga do próby odtworzenia eksperymentów Morozova, dziedzictwa, które uważał za swoje.

Wilkry rzuciły się na nas. Mignęły mi ciemne formy ich skrzydeł, usłyszałam ich krzyki, gdy atakowały krąg światła, który przyzwałam. Jeżeli wszystko pójdzie po myśli Darklinga, już wkrótce będą syte. Byłam wdzięczna, gdy wypadliśmy na niebo nad Ravką Zachodnią.

Obszar na zachód od Fałdy został ewakuowany. Lecieliśmy nad opuszczonymi wioskami i domostwami, nie natykając się na żywą duszę. Ostatecznie postanowiliśmy rozbić obóz na terenie gospodarstwa przetwórstwa jabłek, które leżało lekko na południowy zachód od tego, co niegdyś stanowiło Novokribirsk -

mniej więcej półtora kilometra od zasięgu Fałdy. Gospodarstwo nosiło nazwę Tomikiana, którą wypisano na ścianie fabryki oraz szopy pełnej pras do wyciskania soku na cydr. Drzewa w sadach uginały się od owoców, których nikt nigdy nie zbierze.

Dom właściciela był wystawny, starannie zadbane i zwieńczony białą kopułą. Przypominał idealny mały torcik. Było mi wręcz głupio, kiedy Harshaw rozbił okno i wlażł do środka, żeby odryglować drzwi.

- Nowobogaccy - kręciła nosem Zoja, kiedy przechodziliśmy przez nadmiernie udekorowane pokoje. Na każdej półce i każdym gzymsie stały figurki z porcelany oraz osobliwości.

Genia wzięła do ręki ceramiczną świnkę.

- Ohydztwo.

- Mnie się tu podoba - zaproponował Adrik. - Ładnie.

Zoja udała, że się dławi.

- Może gust ci się poprawi z wiekiem.

- Jestem od ciebie młodszy tylko o trzy lata.

- Może więc jesteś skazany na tandetę.

Meble przykryto prześcieradłami. Misza zdarł jedno z nich i biegał z pokoju do pokoju, ciągnąc je za sobą jak pelerynę. Większość kredensów opróżniono, ale Harshaw znalazł puszkę sardynek, którą otworzył i zjadł na pół z Oncat. Trzeba będzie posłać ludzi do sąsiednich gospodarstw, żeby poszukali jedzenia.

Upewniwszy się, że nie ma innych nieproszonych gości, zostawiliśmy Davida, Genię oraz Miszę, by zabrali się za pozyskiwanie materiałów do wyrobu lumiji oraz prochu. Cała reszta ponownie weszła na pokład „Bąka”, by wrócić do Ravki.

Planowaliśmy połączyć się z Soli Soldatami przy pomniku Świętej Anastazji stojącym na niskim wzgórzu wychodzącym na niegdyśszą Cemnę. Dzięki Anastazji Cemna przetrwała plagę

suchot, która wybiła połowę mieszkańców okolicznych wiosek. Fałdy jednak Cemna nie przetrwała. Niemorze pochłonęło ją w chwili swego powstania w wyniku katastrofalnych eksperymentów Czarnego Heretyka.

Pomnik robił niesamowite wrażenie - gigantyczna kamienna kobieta powstawała z ziemi, rozkładając ręce szeroko i życzliwym spojrzeniem patrząc w nicosć Fałdy. Według opowieści Anastazja wyzwoliła od chorób niezliczone miejscowości. Czyniła cuda, czy po prostu była utalentowaną Uzdrowicielką? Czy istniała jakaś różnica?

Dotarliśmy na miejsce przed Sol Sołdatami, więc wylądowaliśmy i rozbiliśmy obóz na noc. Powietrze nadal było rozgrzane, więc nie potrzebowaliśmy namiotów i rozłożyliśmy posłania u stóp posągu, nieopodal nierównego pola najeżonego czerwonymi głazami. Mal wziął z sobą Harshawa i poszli szukać zwierzyny na kolację. Niewiele jej było, jak gdyby zwierzęta lękały się Niemorza tak samo jak my.

Owinęłam ramiona szalem i zesłam ze wzgórza na skraj czarnego brzegu. „Dwa dni” - pomyślałam, spoglądając w pulsującą, czarną mgłę. Nie byłam taka głupia, by sądzić, że rozumiem, co leży przede mną. Ilekroć próbowałam przewidzieć swój los, moje życie obracało się wniwecz.

Za sobą usłyszałam ciche drapanie. Odwróciłam się i zamarłam. Na szczycie wysokiej skały przykucnął Mikołaj. Był czystszy niż wcześniej, ale miał na sobie te same podarte spodnie. Szpony stóp zaciskał na grzbiecie skały, a cieniste skrzydła łagodnie uderzały powietrze. Oczy miał czarne i nieprzeniknione.

Miałam nadzieję, że znów się pokaże, ale teraz nie byłam pewna, co robić. Obserwował nas? Co widział? Ile zrozumiał?

Ostrożnie sięgnęłam do kieszeni. Obawiałam się, że nagły ruch może go spłoszyć.

Wyciągnęłam rękę, na której spoczywał szmaragd Lancovów. Mikołaj ściągnął brwi, po czym złożył skrzydła i bezgłośnie zeskoczył z głazu. Trudno było się nie cofnąć. Nie chciałam się bać, ale poruszał się zupełnie nie jak człowiek. Sunął w moją stronę powoli, wpatrując się w pierścień. Kiedy dzieliło nas może trzydzieści centymetrów, przekrzywił głowę.

Mimo czarnych oczu oraz atramentowych linii biegnących po jego szyi nadal miał elegancką twarz - subtelne kości policzkowe matki, silny podbródek - zapewne po ojcu-ambasadorze. Zmarszczył czoło mocniej. Potem wyciągnął rękę i chwycił szponami szmaragd.

- To... - Słowa uwięzły mi w gardle.

Mikołaj obrócił moją dłoń i wsunął pierścionek na mój palec.

Zaparło mi dech - nie wiedziałam, czy śmiać się, czy płakać. Poznał mnie. Nie mogłam pohamować łez, które stanęły mi w oczach.

Wskazał moją rękę i wykonał zamaszysty gest. Po chwili zrozumiałam, o co mu chodzi. Naśladował sposób, w jaki się poruszam, kiedy przyzywam.

- Chcesz, żebym przywołała światło?

Nie zmienił się na twarzy. Zebrałam światło słońca w dłoni.

- To?

Wydawało się, że blask go zelektryzował. Zapął mnie za rękę i przyłożył ją do swojego torsu szybko.

Próbowałam się odsunąć, ale unieruchomił moją dłoń. Trzymał mnie jak imadło, silniejszy za sprawą tej dziwnej potworności, którą Darkling w nim umieścił.

Pokręciłam głową.

- Nie.

Ponownie uderzył się w pierś moją ręką, niemalże gorączkowo.

- Nie wiem, co ci zrobi moja moc - zaoponowałam.

Uniósł kącik ust, przywodząc mi na myśl cierpki uśmiezek Mikołaja. Mogłam go prawie usłyszeć: „Naprawdę, śliczności, co może być gorsze?”. Pod moją dłonią miarowo biło jego ludzkie serce.

Wypuściłam powietrze powoli.

- Dobrze. Spróbuję.

Przyzwałam odrobinę światła, tak by płynęło przez moją dłoń. Wzdrygnął się, lecz nadal trzymał moją rękę zdecydowanie. Napałam nieco mocniej. Staralam się skierować światło do jego wnętrza, tak by wnikało przez jego skórę, myślałam o międzyprzestrzeniach.

Czarne rysy na jego piersi zaczęły zanikać. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Czy to możliwe, by to było takie proste?

- Działa - szepnęłam.

Skrzywił się, ale gestem kazał mi kontynuować, bo chciał więcej.

Przyzywałam w niego światło i patrzyłam, jak czarne żyły blakną i odsuwają się.

Teraz już dyszał z zaciśniętymi oczami. Z jego gardła wzbił się cichy, bolesny skowyt. Zaciskał mój nadgarstek jak żelazną obręczą.

- Mikołaju...

Nagle poczułam, jak coś stawia opór, jak gdyby tkwiąca w nim ciemność walczyła. Napierała na światło. Znienacka rysy eksplodowały, równie ciemne jak wcześniej, niczym korzenie drzewa spijające zatrutą wodę.

Mikołaj wzdrygnął się i odepchnął się ode mnie z pełnym frustracji warkotem. Popatrzył na swój tors z wyrazem żalości na twarzy.

Nic z tego. Jedyne Cięcie działało na nisztroje, a ono pewnie by zniszczyło to coś we wnętrzu Mikołaja, lecz jego samego też by zabiło.

Opuścił ramiona. Jego skrzydła wibrowały tym samym pulsującym ruchem co Fałda.

- Coś wymyślimy. David znajdzie wyjście z sytuacji, albo może znajdziemy Uzdrowiciela...

Przykucnął, wspierając łokcie na kolanach z twarzą ukrytą w dłoniach. Mikołaj wydawał się nieskończenie zdolny, przeświadczony, że każdy problem da się rozwiązać i że właśnie jemu się to uda. Nie mogłam wytrzymać, że go takim widzę, kiedy po raz pierwszy jest złamany i pokonany.

Podeszłam do niego ostrożnie i kucnęłam. Nie chciał mi spojrzeć w oczy. Wyciągnęłam rękę z wahaniem i dotknęłam jego ramienia, gotowa się odsunąć, gdyby się przestraszył albo zaatakował. Skórę miał ciepłą. Nie zmieniła się w dotyku pomimo czających się pod nią cieni. Objęłam go, uważając na skrzydła, które szeleściły na jego plecach.

- Przykro mi - szepnęłam. Opuścił czoło na moje ramię. - Tak mi przykro, Mikołaju.

Wyrwało mu się ciche, drżące westchnienie.

Nagle wciągnął powietrze i zeszywniał. Obrócił głowę. Poczulałam jego oddech na szyi, a pod brodą podrapał mnie jeden z jego zębów.

- Mikołaju?

Zacisnął wokół mnie ramiona. Wpił szpony w moje plecy. Pomruk, jaki dobył się z jego piersi, był jednoznaczny. Odepchnęłam go i skoczyłam na równe nogi.

- Stój! - powiedziałam ostro.

Naprężył ręce. Odsunął wargi i ukazał onyksowe kły. Wiedziałam, co w nim widzę: apetyt.

- Nie - powiedziałam błagalnie. - To nie ty. Możesz nad tym zapanować.

Zrobił krok w moją stronę. Popłynął od niego kolejny dudniący, zwierzęcy warkot. Podniosłam ręce.

- Mikołaju - powiedziałam ostrzegawczo. - Powalę cię. Od razu zobaczyłam, jak powrócił rozum. Zmienił się na twarzy z przerażenia tym, co chciał zrobić - na co pewnie gdzieś w środku nadal miał ochotę. Dygotał na całym ciele z żądy żeru.

Jego czarne oczy wezbrały migotliwymi cieniami. Czy to były łzy? Zacisnął pięści, odrzucił głowę do tyłu. Ściągną w jego szyi napięły się i wydał z siebie przenikliwy ryk bezradności oraz furii. Słyszałam już wcześniej coś takiego - kiedy Darkling przyzwał nisztaje. Rozdarcie materii świata, krzyk czegoś, co nie powinno istnieć.

Wzbił się w powietrze i pognął prosto do Fałdy.

- Mikołaju! - krzyknęłam.

Ale jego już nie było - pochłonęła go tętniąca czerń, przepadł w domenę wilkrów.

Usłyszałam kroki i odwróciwszy się, zobaczyłam Malą, Harshawą oraz Zoję. Biegli do mnie, a Oncat miauczała i śmigiała im między nogami. Harshaw miał krzemień w gotowości, a Mal zdejmował strzelbę.

Zoja wybałuszała oczy.

- Czy to był nisztaj?

Pokręciłam głową.

- To był Mikołaj.

Stanęli jak wryci.

- Znalazł nas? - spytał Mal.

- Tropi nas, odkąd odlecieliśmy z Kołowrotka.

- Ale Darkling...

- Gdyby był stworem Darklinga, już byśmy nie żyli.

- Od jak dawna wiesz, że nas śledzi? - zapytała Zoja gniewnie.

- Widziałam go raz w kopalni miedzi. Nie dało się z tym nic zrobić.

- Mal mógł do niego strzelić z łuku - powiedział Harshaw.

Wymierzyłam w niego palec.

- Nie opuściłam ciebie i nie opuszczę Mikołaja.

- Spokojnie - Mal wystąpił do przodu. - Już poleciał i nie ma sensu się o to kłócić. Harshaw, idź rozpalić ogień. Zoju, trzeba sprawić kuropatwy, które schwytaliśmy.

Zoja patrzyła na niego bez drgnienia. Przewrócił oczami.

- Dobrze, ktoś inny musi je sprawić. Proszę idź znaleźć kogoś, komu będziesz rozkazywać.

- Z przyjemnością.

Harshaw schował krzemień z powrotem do rękawa.

- Oni wszyscy powariowali, Oncat - powiedział do kocicy. - Niewidzialne wojska, książęta-potwory. Chodźmy coś podpalić.

Kiedy odchodzili, potarłam ręką oczy.

- Ty też na mnie nawrzeszczysz?

- Nie. Wiele razy miałem ochotę zastrzelić Mikołaja, ale teraz wydaje się to nieco małostkowe. Ale ciekawa rzecz z tym pierścieniem.

Zapomniałam o ogromnym klejnocie na ręce. Zdjęłam go i wcisnęłam do kieszeni.

- Mikołaj mi go oddał w Kołowrotku. Pomyślałam, że może go rozpozna.

- Rozpoznał?

- Chyba tak. Zanim próbował mnie zjeść.

- Święci.

- Poleciał do Fałdy.

- Myślisz, że chciał...

- Zabić się? Nie wiem. Może dla niego to teraz domek letniskowy. Nie wiem nawet, czy wilkry brałyby go za żer. - Oparłam się o głaz, na którym ledwie kilka minut wcześniej przycupnął Mikołaj. - Kazał mi próbować się uleczyć. Nie udało się.

- Nie wiesz, na co cię będzie stać, kiedy wzmacniacze zostaną połączone.

- Czyli po tym, jak cię zamordują?

- Alino...

- Nie będziemy o tym rozmawiać.

- Nie możesz naciągnąć kołdry na głowę i udawać, że to się nie dzieje.

- Mogę i tak będę robić.

- Zachowujesz się jak bachor.

- A ty się zachowujesz szlachetnie i się poświęcasz, a ja mam od tego ochotę cię udusić.

- Cóż, od czegoś trzeba zacząć.

- To nie jest śmieszne.

- Niby jak mam sobie z tym radzić? - zapytał. - Nie czuję się szlachetny ani pełen poświęcenia. Po prostu jestem...

- Jaki?

Wyrzucił ręce w górę.

- Głodny.

- Jesteś głodny?

- Tak - burknął. - Głodny, zmęczony i prawie pewien, że Tolia zje wszystkie kuropatwy.

Nie mogłam się powstrzymać. Wybuchnęłam śmiechem.

- Zoja mnie uprzedzała. Ona też robi się marudna, kiedy jest głodna.

- Nie jestem marudny.

- Nadąsany - poprawiłam się łaskawie.

- Wcale się nie dąsam.

- Racja - przyznałam, starając się pohamować chichot. - Bardziej się boczysz, niż dąsasz.

Złapał mnie za rękę i przyciągnął do siebie, by mnie pocałować. Ugryzł mnie w ucho, raz a mocno.

- Aua!

- Mówiłem, że jestem głodny.

- Już druga osoba próbuje mnie dziś ugryźć.

- Och, będzie jeszcze gorzej. Kiedy wrócimy do obozu, poproszę o *Trzecią opowieść o Kregim*.

- Powiem Harshawowi, że wolisz psy.

- Powiem Zoi, że nie podoba ci się jej fryzura.

Ciągnęliśmy to całą drogę powrotną do „Bąka”, popychając się i drocząc, czując, jak odrobina napięcia ostatnich tygodni ustępuje. Lecz kiedy zaszło słońce i obejrzałam się przez ramię na Fałdę, przez myśl przemknęło mi pytanie, jakie istoty ludzkie mogą trwać za jej brzegami i czy słyszą one nasz śmiech.

Sol Słdaci przybyli póżną nocą. Spali tylko kilka godzin, nim wyruszyliśmy rano. Wkracząc do Fałdy, czuli się niepewnie, ale spodziewałam się, że będzie z nimi znacznie gorzej i że będą ścisnąć ikony oraz skandować modlitwy. Kiedy zrobiliśmy pierwsze kroki w ciemność, a ja zalałam nas eksplozją światła, zrozumiałam: nie musieli błagać swoich Świętych. Mieli mnie.

„Bąk” dryfował wysoko nad nami, pod sklepieniem jasnej bańki, którą stworzyłam, ale ja postanowiłam podróżować pieszo, żeby poćwiczyć zakrzywanie światła w obrębie Fałdy. W oczach Sol Słdatów ten nowy pokaz stanowił następny cud i kolejny dowód na to, że jestem żywą Świętą. Pamiętałam słowa Apparata: „Nie ma potęgi większej niż wiara i nie będzie armii większej niż ta wiara wiedzona”. Modliłam się, by miał rację, bym nie okazała się kolejnym przywódcą, który przyjmuje ich lojalność i odpłaca za nią bezużyteczną, honorową śmiercią.

Przekroczenie Fałdy i odstawienie wszystkich Sol Słdatów na zachodni brzeg zajęło nam większą część tego dnia oraz nocy. Kiedy wróciliśmy do Tomikiany, odkryliśmy, że David i Genia całkowicie przejęli kontrolę. Kuchnia wyglądała, jak gdyby stoczyła się tam burza. Bulgoczące garnki pokrywały piec, a ogromny czajnik, przyniesiony z prasy do cydru, pełnił funkcję balii do studzenia. David siedział na stołku przy wielkim drewnianym stole, przy którym zaledwie kilka tygodni wcześniej służba wałkowała ciasto. Teraz wałały się po nim szkło i metal, był wymazany jakąś podobną do smoły substancją i stały na nim niezliczone buteleczki z cuchnącymi żółtymi fusami.

- Czy to całkiem bezpieczne? - spytałam go.
- Nic nie jest całkiem bezpieczne.
- Jakże to krzepiące.

Uśmiechnął się.

- Cieszę się.

W Jadalni Genia urządziła własny warsztat, gdzie pomagała konstruować pojemniki na lumiję oraz specjalne nosidła. Podczas ataku pozostali będą mogli je aktywować najpóźniej, jak się ośmielą, a jeżeli coś mi się stanie na terenie Fałdy; możliwe, że starczy im światła, by się wydostać. Zarekwirowano całe szkło właściciela gospodarstwa - pucharki, kielonki, lampki do wina i kieliszki do likieru, wyrafinowany zestaw waz oraz podgrzewacz do potraw w kształcie ryby.

Komplet herbaciany był pełen śrubek i tulejek, a Misza siedział po turecku na wyścielanym jedwabiem krześle i radośnie dekonstruował siodła, układając paski i strzępy skóry w staranne stosy.

Wyprawiliśmy Harshawa, żeby ukradł wszelkie dostępne jedzenie z sąsiednich majątków. Niepokojąco dobrze się sprawdzał w takich zadaniach.

Pracowałam z Genią oraz Miszą przez większość dnia. W ogrodach Szkwalnicy ćwiczyli tworzenie osłony akustycznej. Był to wariant sztuczki, którą Zoja wykonała po zawałeniu się jaskini, i liczyliśmy na to, że pozwoli nam ona wejść na obszar Fałdy i zająć pozycje w ciemności bez przyciągania uwagi wilkrów. W najlepszym razie będzie to środek tymczasowy, ale wystarczy nam, by utrzymał się na tyle długo, aby umożliwić zasadzkę. Od czasu do czasu zatykało mi uszy i wszelkie odgłosy zdawały się cichnąć. Potem słyszałam Nadię tak wyraźnie, jak gdyby stała ze mną w pokoju, albo głos Adrika dudnił mi w uchu.

Z sadu płynęły dźwięki strzałów - Mał i bliźnięta wybierali spośród Sol Soldatów najlepszych strzelców. Musieliśmy uważać na amunicję, więc korzystali z pocisków oszczędnie. Później słyszałam ich w salonie, gdzie przeglądali broń oraz zapasy.

Na obiad mieliśmy jabłka, twarde ser i czerstwy ciemny chleb, który Harshaw znalazł w jakiejś opuszczonej spiżarni. Jadalnia oraz kuchnia były w rozsypce, więc rozpaliliśmy wielki ogień w palenisku głównego salonu i urządziliśmy sobie zaimprovizowany piknik. Rozłożyliśmy się na podłodze oraz na kanapach obitych morą i opiekaliśmy kawałki chleba nabite na powykrzywiane gałęzie jabłoni.

- Jeżeli to przeżyję - zadeklarowałam, poruszając palcami u stóp przy ogniu - będę musiała znaleźć sposób, żeby tym biednym ludziom wynagrodzić szkody.

Zoja prychnęła.

- Będą musieli zmienić wystrój. Wyrządzamy im przysługę.

- A jeżeli nie przeżyjemy - zauważył David - całe to miejsce spowije ciemność.

Tolia odsunął od siebie kwiecistą poduchę.

- Może tak będzie lepiej.

Harshaw łyknął cydru z dzbanka, który Tamar przyniosła z prasy.

- Jeżeli wyżyję, natychmiast tu wrócę i popłynę sobie w zbiorniku tego czegoś.

- Spokojnie, Harshaw - powiedziała Tamar. - Jutro musisz być przytomny.

Jęknął.

- Dlaczego bitwy zawsze muszą być tak wcześnie? - Niechętnie oddał dzbanek jednemu z Sol Sołdatów.

Omawialiśmy plan, aż wszyscy zyskaliśmy pewność, że wiemy, gdzie i kiedy mamy się znaleźć. Wkroczyliśmy na teren Fałdy o świcie. Szkwalnicy wejda jako pierwsi, by rozsunąć osłonę akustyczną i ukryć nasze ruchy przed wilkrami. Słyszałam, jak

Nadia szeptem mówi Tamar, że nie chce zabierać Adrika, lecz Tamar mocno argumentowała, by go włączyć do grupy.

- To wojownik - powiedziała. - Jeżeli teraz go przekonasz, że jest czymś mniej, nigdy nie będzie wiedział, że może być czymś więcej.

Ja będę ze Szkwalnikami, na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Strzelcy oraz pozostali Griszowie pójdą za nami.

Zaplanowaliśmy zasadzkę na środku Fałdy, niemal dokładnie pomiędzy Kribirskiem i Novokribirskiem. Kiedy wypatrzymy skif Darklinga, rozświetlę Niemorze, zakrzywiając światło, tak byśmy byli niewidzialni. Jeżeli to nie sprawi, że się zatrzyma, zrobią to nasi strzelcy. Przerzedzą jego szeregi, a potem Harshaw oraz Szkwalnicy będą musieli wywołać taki chaos, bym wraz z bliźniętami mogła dostać się na pokład, znaleźć uczniów i zabrać ich w bezpieczne miejsce. Kiedy ich przejmujemy, zajmę się Darklingiem. Liczyłam na to, że nawet mnie nie zauważy.

Genia oraz David zostaną w Tomikianie razem z Miszą. Wiedziałam, że Misza będzie nalegał, by wybrać się z nami, więc Genia podała mu w jedzeniu pigułkę nasenną. Już teraz ziewał, zwinięty w kłębek koło paleniska. Miałam nadzieję, że rano prześpi nasz wymarsz.

Noc ciągnęła się bez końca. Wiedzieliśmy, że musimy spać, ale nikt nie miał na to specjalnie ochoty. Niektórzy rozłożyli posłania przy ogniu w salonie, a inni stopniowo zaszyli się w domu parami. Tej nocy nikt nie chciał być sam. Genia i David pracowali w kuchni. Tamar i Nadia zniknęły wcześniej. Sądziłam, że Zoja wybierze sobie któregoś z Sol Sołdatów, ale kiedy wychodziłam, nadal patrzyła w ogień z mruczącą Oncat na kolanach. Przeszłam ciemnym korytarzem do bawialni, gdzie Mal ostatni raz sprawdzał broń oraz sprzęt. Dziwny to był widok - stosy broni oraz amunicji

na marmurowym blacie obok oprawnych w ramki miniatur pani domu i ładnej kolekcji tabakierek.

- Byliśmy tu już - powiedział.

- Tak?

- Kiedy pierwszy raz wyszliśmy z Fałdy. Zatrzymaliśmy się w sadzie, nieopodal domu. Rozpoznałem to miejsce wcześniej, kiedy strzelaliśmy.

Przypomniało mi się. Wydawało się to wieki temu. Owoce na drzewach nie nadawały się do jedzenia, bo były za małe i zbyt kwaśne.

- Jak się dzisiaj spisali Sol Sołdaci?

- Nieźle. Tylko paru z nich ma solidny zasięg. Ale jeśli dopisze nam szczęście, to wystarczy. Wielu z nich zaznało akcji w Pierwszej Armii, więc przynajmniej są szanse, że nie potracą głów.

Z salonu dobiegł na śmiech. Ktoś - zapewne Harshaw - zaczął śpiewać. Ale w bawialni było cicho. Słyszałam, że zaczął padać deszcz.

- Mał? - odezwałam się. - Myślisz... myślisz, że to przez wzmacniacze?

Zmarszczył czoło, sprawdzając muszkę strzelby.

- O czym mówisz?

- Czy właśnie to nas łączy? Twoja i moja moc? Czy to dlatego się zaprzyjaźniliśmy, dlatego... - urwałam. Podniósł kolejną strzelbę, popatrzył w muszkę.

- Może to nas połączyło, ale nie to nas ukształtowało. Nie to zrobiło z ciebie dziewczynę, która potrafiła mnie rozśmieszyć, kiedy nie miałem nic. A już na pewno nie to sprawiło, że byłem idiotą, który uważał to za pewnik. Cokolwiek nas łączy, sami to

wykuliśmy. To należy do nas. - Potem odłożył strzelbę i wytarł rękę w szmatkę.

- Chodź ze mną - wziął mnie za rękę i pociągnął za sobą.

Przeszliśmy przez ciemny dom. Z drugiego końca korytarza dobiegały głosy śpiewające jakąś sprośną śpiewkę, nad głowami słyszeliśmy kroki kogoś, kto biegł z jednego pokoju do drugiego. Myślałam, że Mal zaprowadzi mnie na górę do sypialni - pewnie na to liczyłam - on jednak powiodł mnie przez wschodnie skrzydło domu, za pogrążoną w ciszy szwalnię, bibliotekę, aż do pozbawionego okien przedsionka pełnego łopatek, szpadli oraz suchych sadzonek.

- Uhm... prześliczne?

- Poczekaj. - Otworzył drzwi, których wcześniej nie zauważyłam, bo były wciśnięte w ścianę.

W przyćmionym świetle zobaczyłam, że wiodą one do czegoś w rodzaju długiej, wąskiej oranżerii. Deszcz stukał miarowo o sklepiony dach i szklane ściany. Mal wszedł głębiej do środka i zapalił latarnie, które stały na brzegu cienkiej sadzawki. Wzdłuż ścian rosły jabłonie o gałęziach pełnych kęp białych kwiatów. Ich płatki leżały na czerwonych kafelkach podłogi jak lekki śnieg i unosiły się na powierzchni wody.

Poszłam za Malem wzdłuż sadzawki. Powietrze w oranżerii było ciepłe, słodkie od zapachu kwiatów jabłoni i pachniało głębokim aromatem ziemi. Na zewnątrz wiatr się wzmagał i wył do wtóru burzy, lecz tutaj można było odnieść wrażenie, że pory roku na chwilę znikły. Miałam przedziwne poczucie, że mogliśmy znajdować się gdziekolwiek, reszta domu uleciała, a my byliśmy zupełnie sami.

Na przeciwległym końcu pomieszczenia w rogu stało biurko. Ktoś przerzucił szal przez oparcie zdobnego w rollwerk krzesła. Na dywaniku z wzorem kwiatów jabłoni leżał koszyk przyborów

do szycia. Pani domu zapewne przychodziła tu, by szyć, pić poranną herbatę. Za dnia przez wielkie łukowate okna na pewno miała doskonały widok na sady. Na biurku leżała otwarta książka. Popatrzyłam na kartki.

- To dziennik - rzekł Mal. - Statystyki na temat wiosennych plonów, wzrost drzew hybrydowych.

- Jej okulary - podniosłam złote, drucziane oprawki. - Ciekawe, czy jej ich brakuje.

Mal oparł się o kamienną krawędź sadzawki.

- Zastanawiasz się czasem, co by było, gdyby Inspektorzy Griszów odkryli twoją moc jeszcze w Keramzinie?

- Czasami.

- Ravka byłaby inna.

- Niekoniecznie. Dopóki nie znaleźliśmy jelenia, moja moc była bezużyteczna. Bez ciebie może nigdy nie odszukalibyśmy żadnego ze wzmacniaczy Morozova.

- Ty byłabyś inna - powiedział.

Odłożyłam delikatne oprawki i przekartkowałam kolumny liczb oraz starannego pisma. Jaką mogłam się stać osobą? Zaprzyjaźniłabym się z Genią, czy też widziałabym w niej jedynie służącą? Czy byłabym pewna siebie jak Zoja? Niezobowiązująco arogancka jak ona? Czym byłby dla mnie Darkling?

- Powiem ci, co by się stało - odparłam.

- Słucham.

Zamknęłam dziennik i odwróciłam się do Mała, przysiadając na skraju biurka.

- Trafiałabym do Małego Pałacu. Byłabym psuta i rozpieszczana. Jadałabym ze złotych talerzy, a używanie mojej mocy nigdy nie sprawiałoby mi trudu. Byłoby to jak oddychanie... tak jak zawsze

powinno było być. I z biegiem czasu zapomniałabym o Keramzinie.

- I o mnie.

- O tobie nigdy.

Uniósł brew.

- Może o tobie też - przyznałam. Roześmiał się. - Darkling szukałby wzmacniaczy Morozova - bezskutecznie, rozpaczliwie, aż pewnego dnia pewien tropiciel, nikt, sierota i otkazacja, zawędrowałby na lody Cybei.

- Zakładasz, że nie poległem na terenie Fakdy.

- W mojej wersji nigdy cię tam nie wysłano. Kiedy ty będziesz opowiadał tę historię, to możesz zginąć tragicznie.

- W takim razie kontynuuj.

- Ten nikt, to nic, ta żałosna sierota...

- Rozumiem.

- Po setkach lat poszukiwań jako pierwszy dostrzegłby jelenia. Więc oczywiście Darkling i ja musielibyśmy udać się na Cybeję jego wielkim, czarnym powozem.

- Przez śnieg?

- Jego wielkimi, czarnymi saniami - poprawiłam się. - A kiedy dotarlibyśmy do Czernasti, twój oddział zostałby postawiony przez naszymi szlachetnymi obliczami...

- Wolno nam iść czy mamy pełzać na brzuchach, jak przystało nędznym robakom?

- Możecie iść, ale z ogromną rewerencją. Siedziałabym na podium, we włosach miałabym klejnoty, a na sobie złotą keftę.

- Nie czarną?

Zastanowiłam się.

- Może czarną.

- Nie miałoby to znaczenia - powiedział Mal. - I tak nie mógłbym oderwać od ciebie wzroku.

Zaśmiałam się.

- Nie, ty byś robił słodkie oczy do Zoi.

- Zoja tam jest?

- Przecież jest zawsze.

Uśmiechnął się.

- Zauważyłbym cię.

- Oczywiście, że tak. Jestem przecież Przyzywaczką Słońca.

- Wiesz, o co mi chodzi.

Spuściłam oczy i strzepnęłam płatki z biurka.

- Zauważyłeś mnie kiedyś w Keramzinie?

Milczał długą chwilę, a kiedy na niego zerknęłam, patrzył w górę na szklany sufit. Poczzerwieniał jak burak.

- Mal?

Odkasznął i skrzyżował ramiona na piersi.

- Tak się składa, że owszem. Miałem bardzo... rozpraszające myśli na twój temat.

- Naprawdę? - wydusiłam.

- I przez każdą jedną z nich czułem się winny. Miałas być moją najlepszą przyjaciółką, a nie... - Wzruszył ramionami i zrobił się jeszcze czerwiejszy.

- Idiota.

- Ten fakt jest doskonale znany i nic nie wnosi do fabuły.

- Cóż - powiedziałam, zrzucając kolejne płatki - nie miałoby to znaczenia, czy mnie zauważyłeś, bo ja bym zwróciła uwagę na ciebie.

- Na marnego otkazację?

- Zgadza się - powiedziałam cicho. Nie miałam już ochoty się z nim droczyć.

- A co byś zobaczyła?

- Żołnierza... aroganckiego, poharatanego, nadzwyczajnego. I to byłby nasz początek.

Wstał i podszedł do mnie.

- Ale i tak to byłby nasz koniec. - Miał rację. Nawet w marzeniach nie mieliśmy przyszłości. Jeżeli jakimś cudem oboje przeżyjemy jutrzejszy dzień, będę musiała szukać sojuszu oraz korony. Mał będzie musiał znaleźć sposób, by zataić swoje dziedzictwo.

Delikatnie ujął moją twarz w dłoń.

- Ja też byłbym inny bez ciebie. Słabszy, lekkomyślny. - Uśmiechnął się lekko. - Bałbym się ciemności. - Otarł mi łzy z policzków. Nie byłam pewna, kiedy zaczęły płynąć. - Ale niezależnie od tego, kim i czym bym był, byłbym twój.

Wtedy go pocałowałam - z żalem, pragnieniem, latami tęsknoty, z desperacką nadzieją, że uda mi się go zatrzymać w ramionach, z przekłętą świadomością, że to niemożliwe. Przyłgnęłam do niego - do jego piersi, szerokich barów.

- Będzie mi tego brakować - powiedział, całując moje policzki, podbródek, powieki. - Tego, jak smakujesz. - Przyłożył usta do wgłębienia pod moim uchem. - Tego, jak pachniesz. - Przesunął dłońmi po moich plecach. - Tego, jaka jesteś w dotyku. - Oddech uwiązał mi w gardle, gdy przywarł biodrami do moich bioder.

Potem się odsunął, patrząc mi w oczy badawczo.

- Chciałem dla ciebie czegoś więcej - powiedział. - Białego welonu we włosach. Przysięg, których byśmy dotrzymali.

- Prawdziwej nocy poślubnej? Powiedz mi tylko, że to nie jest pożegnanie. Innych przysięg nie potrzebuję.

- Kocham cię, Alino.

Znów mnie pocałował. Nie odpowiedział, ale nie dbałam o to, bo jego usta dotykały moich i w tej chwili mogłam udawać, że nie jesteś zbawicielką ani Świętą, że mogę po prostu wybrać jego, mieć życie, zakochać się. Że nie czeka nas jedna noc, lecz tysiące. Pociągnęłam go na siebie, układając jego ciało na sobie, czując na plecach zimną podłogę. Miał dłonie żołnierza, szorstkie i stwardniałe. Rozgrzewały moją skórę, wywoływały głodne iskry w moim ciele, i uniosłam biodra, żeby był jeszcze bliżej.

Zdjęłam mu koszulę przez głowę, przesuwając palcami po gładkich krawędziach jego muskularnych pleców, wyczuwając lekko wzniesione linie słów, którymi był naznaczony. Kiedy jednak on zsunął mi bluzkę z ramion, zastygłam. Nagle, boleśnie uświadomiłam sobie wszystko, co ze mną jest nie tak. Sterczące kości, za małe piersi, skóra blada i sucha jak cebula. Objął dłonią mój policzek i pogładził kciukiem moje wargi.

- Zawsze chciałem tylko ciebie - powiedział. - Jesteś całym moim sercem.

Zobaczyłam wtedy siebie jego oczami - kąśliwą, niemądrą, trudną, cudowną. Przyciągnęłam go do siebie, poczułam, jak zadrżał, kiedy nasze ciała się zetknęły, skóra przy skórze, poczułam żar jego ust, jego języka, ruch rąk, aż potrzeba między nami była naprężona i niespokojna jak cięciwa czekająca na wyzwolenie.

Zacisnął dłoń na moim nadgarstku, a mój umysł zalało światło. Widziałam tylko twarz Mała, czułam jedynie jego ciało - nade mną, dookoła, początkowo w niezdarnym rytmie, potem powoli i miarowo jak uderzenia deszczu. Więcej nie potrzebowaliśmy. Więcej nigdy nie będziemy mieć.

17.

Następnego ranka obudziłam się i odkryłam, że Mal już wstał. Zostawił mi dzbanek gorącej herbaty na tacy otoczonej kwiatami jabłoni. Deszcz ustał, ale ściany oranżerii pokrywała para. Przetarłam szybę rękawem i wyjrzałam na ciemnobłękitny, wczesny świt. Pomiędzy drzewami przechadzały się jelenie, pochylając głowy ku słodkiej trawie.

Ubrałam się powoli, wypiłam herbatę, zwlekałam przy sadzawce, gdzie latarnie już dawno się wypaliły. Za kilka godzin to miejsce może być zasnuwane ciemnością. Chciałam zapamiętać każdy szczegół. Kierowana kaprysem, wzięłam pióro, otworzyłam dziennik na ostatniej stronie i zapisałam nasze imiona.

Alina Starkov

Malien Orecev

Nie byłam pewna, dlaczego to zrobiłam. Musiałam powiedzieć, że tu byliśmy.

Zastałam innych w głównym hallu na pakowaniu. Genia zaczęła się na mnie w drzwiach z moim płaszczem w rękach. Oliwkowa wełna była świeżo wyprasowana.

- Pobjając Darklinga, powinnaś wyglądać jak najlepiej.

- Dzięki - odpowiedziałam z uśmiechem. - Postaram się na niego nie wykrwawić.

Pocałowała mnie w oba policzki.

- Powodzenia. Będziemy na was czekać.

Chwyciłam ją za rękę i podałam jej pierścień Mikołaja.

- Jeżeli coś pójdzie nie tak, jeżeli nie przeżyjemy... weź Davida oraz Miszę i jedźcie do Os Kervo. Za to powinniście opłacić potrzebną pomoc.

Przełknęła, potem mnie mocno uściskała.

Na zewnątrz Sol Sołdaci stali w sztywnym rzędzie ze strzelbami na plecach i kanistrami z nieaktywną lumiją na ramionach. W świetle świtu tatuaże na ich twarzach wyglądały srogo. Griszowie byli ubrani w zgrzebne mundury. Można by ich wziąć za zwyczajnych żołnierzy. Harshaw zostawił Oncat z Miszą, ale teraz kocica siedziała na oknie bawialni, leniwie się liżąc i patrząc, jak się zbieramy. Tolia i Tamar przypięli do piersi swoje złote glorie. Szpilkę Mała wciąż miał Misza. Mał uśmiechnął się, kiedy mnie zobaczył, i poklepał się tam, gdzie znalazłaby się gloria - tuż nad sercem.

Jelenie się rozproszyły. Kiedy szliśmy przez sady, były one puste. Nasze buty zostawiały w miękkiej ziemi głębokie ślady. Pół godziny później staliśmy nad brzegiem Fałdy.

Dołączyłam do pozostałych Eteralników: Zoi, Nadii, Adrika oraz Harshawa. Wydawało się w jakiś sposób słuszne, byśmy weszli jako pierwsi i wspólnie. Szkwalnicy unieśli ramiona, by przyzwać powiew i obniżyć ciśnienie, tak jak Zoja to zrobiła w jaskiniach. Kiedy stworzyli osłonę akustyczną, zatkało mi uszy. Jeżeli się ona nie utrzyma, Harshaw i ja byliśmy gotowi przywołać światło oraz ogień, by odpędzić wilkry. W szeregu i miarowym krokiem wkroczyliśmy w ciemność Fałdy.

Niemorze zawsze jawiło się jako koniec wszystkiego. Nie chodziło jedynie o ciemność, lecz o okropne poczucie izolacji, jak gdyby świat znikł i zostawił tylko ciebie, szelest twojego oddechu, nierówne bicie serca.

Kiedy wstąpiliśmy na martwe, szare piaski i ciemność wokół nas zgęstniała, kosztowało mnie całą siłę woli, by nie podnieść rąk i nie otoczyć nas bezpiecznym, ochronnym światłem. Nasłuchiwałam uważnie. Spodziewałam się usłyszeć uderzenia skrzydeł albo jeden z tych potwornych, nieludzkich kwików, lecz nie słyszałam nic - nawet naszych kroków na piasku. Szkwalnicy się spisywali. Panowała głęboka i nieprzenikniona cisza.

- Halo? - szepnęłam.

- Słyszemy cię. - Odwróciłam się z impetem. Wiedziałam, że Zoja jest kawałek dalej, ale brzmiało to, jak gdyby mówiła mi wprost do ucha.

Przemieszczaliśmy się równym tempem. Usłyszałam stuk, a niespełna dziesięć minut później - dwa stuknięcia. Uszliśmy prawie dwa kilometry. W pewnym momencie usłyszałam nad nami odległy trzepot skrzydeł i poczułam, jak strach przebiega nasze szeregi niczym coś żywego. Wilkry nas nie słyszały, ale potrafiły zwęszyć żer z wielkiej odległości. Czy krążyły nad nami w tej chwili, wyczuwały, że coś jest nie tak - że ktoś jest w pobliżu? Wątpiłam, by sztuczka Zol zapewniła nam bezpieczeństwo na długo. W tym momencie dostrzegłam totalny obłęd tego, co robiliśmy. Ośmieliliśmy się uczynić to, na co nikt inny się nie ważył: weszliśmy do Fałdy bez światła.

Poruszaliśmy się dalej. Dwa stuki później zatrzymaliśmy się i zajęliśmy pozycje, by czekać. Jak tylko zobaczymy skif Darklinga, będzie trzeba działać szybko.

Zawędrowałam do niego myślami. Ostrożnie dotknęłam łączącej nas nici. Głód zatrzęsł mną z namacalną siłą. Był ochoczy, gotowy rozpętać potęgę Fałdy, przygotowany do walki. Ja też to czułam. Posłałam do niego echo tego dreszczu wyczekiwania, pragnienia: „Idę po ciebie”.

Mal i Tolia - może również wszyscy pozostali - sądzili, że wzmacniacze trzeba połączyć, oni jednak nigdy nie poczuli ekscytacji płynącej z używania mierzosti. Nie rozumiał tego żaden inny Grisza i ostatecznie właśnie to wiązało Darklinga i mnie najbliżej - nie nasze zdolności, nie ich osobliwość, nie to, że oboje stanowiliśmy aberracje, może nawet abominacje. Łączyła nas świadomość zakazanego, pożądanie czegoś więcej.

Minuty mijały i nerwy zaczęły dawać mi się we znaki. Szkwalnicy nie mogli utrzymać osłony akustycznej bez końca. A jeżeli Darkling czekał z atakiem do nocy? „Gdzie jesteś?”

Odpowiedź pojawiła się pod postacią bladofioletowego blasku, nadciągającego od wschodu.

Dwa stuki. Ustawiliśmy się w układzie, który przeciwczyliśmy.

Trzy stuki. Mój sygnał. Uniosłam ręce i rozjarzyłam Fałdę. Jednocześnie zakrzywiłam światło, tak by opływało każdego z naszych żołnierzy niczym strumień.

Co widział Darkling? Martwy piach, matowy poblask szarego nieba, zniszczone kadłuby skifów rozsypujące się w proch. I nic więcej. My byliśmy niewidzialni. Byliśmy jak powietrze.

Skif zwolnił. Kiedy się zbliżał, zobaczyłam czarne żagle naznaczone słońcem w czasie zaćmienia; dziwny kadłub jakby z dymnego szkła. Fioletowy płomień lumiji migotał po bokach, niewyraźny i chwiejny w ostrej iluminacji mojej potęgi.

Szkwalnicy stali na masztach w swych błękitnych keftach. Kilkoro Inferników było rozmieszczonych wzdłuż relingów. Otaczali ich Sercodarcy w czerwieni oraz ciężko uzbrojeni oprycznicy w szarości. Były to szczupłe siły. Uczniowie muszą być pod pokładem. Darkling stał na dziobie w otoczeniu swej hordy cienia. Jak zawsze pierwsze spojrzenie na niego przypominało fizyczny cios. Podobnie jak wtedy, gdy przychodziłam do niego w wizjach - był po prostu bardziej realny, bardziej jaskrawy niż wszystko inne wokół niego.

Stało się to tak szybko, że prawie nie zauważyłam. Pierwszy strzał ugodził jednego z opryczników Darklinga. Żołnierz runął ze skifu przez reling. Potem strzały padały w szybkim następstwie, jak krople deszczu na dach na początku burzy. Griszowie oraz oprycznicy osuwali się i padali na siebie nawzajem. Na pokładzie

szklanego skifu zapanował zamęt. Widziałam, że padło więcej ciał.

- Odpowiedzieć ogniem! - ktoś krzyknął i powietrze wybuchło przeszywającym dudnieniem strzałów, my jednak znajdowaliśmy się bezpiecznie poza ich zasięgiem. Nisztoje były skrzydłami, latały szerokimi łukami i szukały celów. Krzesano ogień, a pozostali na skifie Infernicy posyłali przed siebie jarzące się krople płomienia. Zamaskowany Harshaw posłał ogień na powrót w ich stronę. Usłyszałam krzyki.

Potem nastąpiła cisza, przerywana jedynie jękami oraz rozkazami wykrzykiwanymi z pokładu szklanego skifu. Nasi strzelcy dobrze się spisali. Przestrzeń dookoła relingu usłana była ciałami. Darkling - nietknięty - pokazywał jednego z Sercodarców i wydawał jakiś rozkaz. Nie rozróżniałam słów, ale wiedziałam, że właśnie teraz wykorzysta uczniów.

Rozejrzałam się dookoła, odnotowując, gdzie są strzelcy i Griszowie. Czulałam ich obecność w świetle. Jeden stuk. Szkwalnicy posłali w powietrze ogromną ławę piachu. Na pokładzie rozległy się nowe okrzyki, gdy Szkwalnicy Darklinga próbowali odpowiedzieć na atak.

To był nasz znak. Bliźnięta i ja popędziliśmy w stronę skifu, zbliżając się od rufy. Czas nagił.

- Gdzie są? - wyszeptał Tolia, kiedy wchodziliśmy na pokład. Dziwnie było słyszeć jego głos, lecz go nie widzieć.

- Może niżej - odparłam. Skif był płytki, ale starczyłoby miejsca.

Przemykaliśmy po pokładzie, ostrożnie wymijając Griszów Darklinga oraz strażników.

Pozostali oprycznicy mierzyli z broni w puste piaski za burtą skifu. Znajdowaliśmy się teraz tak blisko, że widziałam pot

zraszający im brwi, ich szeroko otwarte oczy. Drgali nerwowo na każdy prawdziwy czy wymyślony dźwięk.

- Maleni - szeptali. Duchy.

Tylko Darkling wydawał się niewzruszony. Ze spokojnym wyrazem twarzy patrzył na dzieło zniszczenia, które rozpętałam. Byłam dość blisko, by zaatakować, ale wciąż otaczali go żołnierze cienia. Miałam niepokojące poczucie, że na coś czeka.

Nagle jeden z oprychników ryknął:

- Padnij!

Otoczający nas ludzie rzucili się na pokład, a w powietrzu gruchnęły strzały.

Dwa kolejne szklane skify pojawiły się w polu widzenia, obładowane oprychnikami. Jak tylko weszły w kontakt ze światłem, skify rozgorzały jaśniejącym, fioletowym płomieniem lumiji.

- Myślałaś, że wyjdę ci na spotkanie nieprzygotowany, Alino? - zawołał Darkling, przekrzykując chaos. - Myślałaś, że nie poświęcę tej sprawie całej floty skifów?

Niezależnie od tego, ile skifów posłał, tylko dwa się przedarły. To jednak wystarczało, by odwrócić bieg bitwy. Usłyszałam krzyki, wrzaski, strzały naszych żołnierzy. Na piasku pojawiła się czerwona plama i uświadomiłam sobie, wstrząśnięta, że jeden z naszych ludzi krwawi. To mógł być Vladim. Zoja. Mał. Musiałam ich stąd wydostać. Gdzie uczniowie? Próbowałam się skupić. Nie mogłam pozwolić, by światło zawiodło. Nasze siły miały kanistry lumiji. Mogli się wycofać w głąb Fałdy, lecz wiedziałam, że tego nie zrobią. Dopóki nie opuszczę skifu Darklinga.

Skradałam się wokół masztów, wypatrując drzwi w podłodze albo włazu.

Nagle moje ramię przeszył palący ból. Padłam na plecy z krzykiem. Postrzelono mnie.

Leżałam na pokładzie i czułam, jak moja kontrola nad światłem zawodzi. Obok mignęła mi sylwetka Toffi. Próbowiałam odzyskać panowanie. Znikł, ale widziałam przez reling, jak na piasku pojawiają się żołnierze i Griszowie. Oprycznicy zeskoczyli z pozostałych skifów i ruszyli do ataku. Nisztoje rzuciły się w bój.

Zawrzała we mnie panika, próbowałam się skoncentrować. Nie czułam prawej ręki. Zmusiłam się, by oddychać. „Przestań sapać jak dzik”. Skoro Adrik potrafi przyzywać jedną ręką, ja też mogę.

Na dziobie pojawiła się Tamar, znikła, znów stała się widoczna. Nisztoj trzasnął w nią z impetem. Krzyknęła, kiedy zatopił jej szpony głęboko w plecach.

Nie. Skupiłam rozproszoną uwagę i sięgnęłam po Cięcie, chociaż miałam tylko jedną sprawną rękę, by nim władać. Nie byłam pewna, czy uda mi się trafić żołnierza cienia, tak by nie zranić Tamar, ale nie mogłam po prostu patrzeć, jak umiera.

Nagle z wysoka inny kształt rzucił się w wir walki. Chwilę trwało, nim pojęłam, co widzę. Mikołaj - z obnażonymi kłami i rozpostartymi skrzydłami.

Chwycił pazurami nisztoja, który trzymał Tamar, i odgiął mu głowę, zmuszając stwora, by ją puścił. Nisztoj miotał się i wił, lecz Mikołaj wzleciał w górę i cisnął go w odległą czerń. Z oddali usłyszałam szaleńcze krzyki - wilkry. Żołnierz cienia już się nie pojawił.

Mikołaj rzucił się w dół i staranował kolejnego z Darklingowych nisztoi. Mogłam sobie niemal wyobrazić jego śmiech. „Cóż, skoro mam być potworem, to równie dobrze mogę być królem potworów”.

Straciłam oddech, kiedy moją zdrową rękę przygnieciono do pokładu. Darkling stał nade mną, przyciskając butem mój nadgarstek boleśnie.

- Tu jesteś - odezwał się swoim chłodnym, precyzyjnym głosem. - Witaj, Alino.

Światło runęło. Napłynęła ciemność, rozjaśniana jedynie niesamowitym błyskaniem fioletowych płomieni.

Stęknęłam, czując, jak but Darklinga miażdży kości mojej ręki.

- Gdzie są uczniowie? - wykrztusiłam. - Nie ma ich tu.

- Co z nimi zrobiłeś?

- Są cali i zdrowi w Kribirsku. Pewnie właśnie jedzą obiad. - Jego nisztroje krążyły wokół nas, tworząc idealną, ochronną kopułę, która pulsowała i kłębiła się od skrzydeł, szponów, rąk. - Wiedziałem, że sama groźba wystarczy. Naprawdę sądziłaś, że narażę na ryzyko grisaickie dzieci, skoro straciliśmy już tak wielu Griszów?

- Myślałam... - Myślałam, że stać go na wszystko. „Chciał, żebym w to wierzyła” - uświadomiłam sobie. Kiedy mi pokazał zwłoki Botkina oraz Any Kul. Chciał, bym uwierzyła w jego bezwzględność.

Wtedy przypomniałam sobie jego słowa, wypowiedziane dawno temu: „Zrób ze mnie swojego łajdaka”.

- Wiem, co myślałaś, co zawsze o mnie myślałaś. W ten sposób jest o wiele łatwiej, prawda? Nadać się własną prawością.

- Nie zmyśliłam sobie twoich zbrodni. - To nie był jeszcze koniec. Musiałam tylko dosięgnąć krzemienia w rękawie. Wystarczy mi iskra. Może nas to nie zabije, ale będzie boleć jak diabli, a innym da trochę czasu.

- Gdzie jest chłopak? Mam już swoją Przyzywaczkę. Chcę również tropiciela.

Mał nadal był dla niego tylko tropicielem - Świętym niech będą dzięki. Zwinęłam zdrową rękę w rękawie, musnęłam brzeg krzemienia.

- Nie pozwolę go wykorzystać - powiedziałam. - Ani jako źródło nacisku, ani w ogóle.

- Rozłożona na łopatki, wierni giną dookoła, a ty nadal jesteś krnąbrna.

Szarpnął mną, bym stanęła na nogach. Dwa nisztroje zajęły miejsca przy moim boku, by mnie przytrzymać, a krzemień wyslizgnął mi się z ręki. Darkling odepchnął mój płaszcz i przesunął rękami po moim ciele. Serce mi opadło, kiedy chwycił pierwszą paczkę prochu. Wyjął ją z mojej kieszeni, a potem szybko znalazł drugą. Westchnął.

- Czuję twoje zamiary, jak ty odczuwasz moje, Alino. Twoją beznadziejną wolę, determinację męczennicy. Teraz je rozpoznaję.

Więź. Przyszedł mi wtedy do głowy pewien pomysł. Szansa była minimalna, ale ją wykorzystam.

Darkling rzucił paczki prochu nisztrojowi, który odleciał z nimi w ciemność. Obserwował mnie chłodnymi, szarymi oczami i czekaliśmy. Odgłosy bitwy były przytłumione przez furkot otaczających nas żołnierzy cienia. Chwilę później z oddali rozbrzmiał przenikliwy huk. Darkling pokręcił głową.

- Możliwe, że nim cię złamię, Alino, minie całe życie, ale zamierzam się przyłożyć do tego zadania.

Odwrócił się, a ja ruszyłam do akcji. Nisztroje mnie trzymały, więc nie mogłam użyć Cięcia, lecz nie byłam bezsilna. Zwinęłam nadgarstki. Fioletowe światło lumiji wykrzywiło się wokół mnie. W tym samym momencie pociągnęłam za łączącą nas nić.

Darkling szarpnął głową i przez krótką chwilę, choć stałam niewidzialna we władzy nisztroi, patrzyłam na niego spod masztu.

Stojąca przed nim dziewczyna była w wizji cała i zdrowa. Uniosła rękę, by wykonać Cięcie. Darkling zareagował bez zastanowienia. Trwało to ułamek sekundy, przelotną różnicę między instynktem a zrozumieniem, lecz to wystarczyło. Żołnierze cienia mnie puścili i pognali do przodu, by go chronić. Rzuciłam się w stronę relingu i skoczyłam za burtę skifu.

Wylądowałam na rannej ręce i poczułam gwałtowne uderzenie bólu. Zza pleców dobiegł gniewny ryk Darklinga. Wiedziałam, że straciłam kontrolę nad światłem, a to oznaczało, że jestem widzialna. Zmusiłam się, by ruszyć naprzód, wlec się po piachu, dalej od fioletowego blasku lumiji. Widziałam, jak żołnierze słońca oraz Griszowie walczą przy oświetlonych skifach. Harshaw poległ. Ruby we krwi.

Z wysiłkiem stanęłam na nogach. W głowie mi wirowało. Ścisnęłam ranną rękę i chwiejnie poszłam w ciemność. Nic nie widziałam, nie orientowałam się, dokąd idę. Coraz głębiej pogrążałam się w czerń, starając się zmusić umysł do pracy, wymyślić jakiś plan. Wiedziałam, że lada moment mogą mnie zaatakować wilkry, lecz nie mogłam zaryzykować światła. „Myśl” - złażałam się. Skończyły mi się pomysły. Proch przepadł. Nie mogłam wzniecić Cięcia. Rękaw miałam przemoczony od krwi.

Zwolniłam. Musiałam znaleźć kogoś, kto uleczy moją rękę. Musiałam zebrać siły. Nie mogłam znów uciec przed Darklingiem, tak jak pierwszy raz na terenie Fałdy. Od tamtej pory uciekałam nieustannie.

- Alina.

Obróciłam się na pięcie. Głos Mała w ciemności. „Niech to będzie złudzenie akustyczne” - pomyślałam. Wiedziałam jednak, że osłona Szkwalników już dawno przestała działać. Jak on mnie znalazł? Głupie pytanie. Mal zawsze mnie odnajdzie.

Jęknęłam, gdy złapał mnie za ranną rękę. Pomimo bólu i ryzyka przyzwałam słabą poświatę, zobaczyłam jego piękną twarz, umazaną błotem i krwią. I nóż w jego dłoni. Rozpoznałam ostrze. Należało do Tamar i było grisaickiej roboty. Dała mu je na tę chwilę? Poszukał jej, by o nie poprosić?

- Mal, nie. To jeszcze nie koniec...

- To koniec, Alino.

Próbowałam się odsunąć, ale objął dłonią mocno mój nadgarstek, zacisnął palce. Ostry wstrząs mocy popłynął przez nas oboje, wzywał mnie, żądał, bym przestąpiła ten próg. Drugą ręką zacisnął moje palce na rękojeści noża. Światło zamigotało.

- Nie!

- Nie pozwól, by to wszystko było na marne, Alino.

- Proszę...

Ponad zgiełek bitwy wzbił się krzyk udręki. Głos brzmiał jak Zoja.

- Ocal ich, Alino. Nie pozwól mi żyć, wiedząc, że mogłem to powstrzymać.

- Mal...

- Ocal ich. Ten jeden raz pozwól mi się ponieść. - Popatrzył mi w oczy. - Zakończ to - powiedział. Chwycił mnie mocniej. „Nasza historia się nie kończy”.

Do końca życia się nie dowiem, czy moją ręką kierowała chciwość, czy bezinteresowność. Prowadzona palcami Mala, wbiłam mu nóż w pierś.

Z rozpędu zatoczyłam się do przodu. Odsunęłam się, nóż wypadł nam z rąk, krew połała się z rany, ale on nadal trzymał mój nadgarstek.

- Mal - wyszłochałam.

Zakaszłał, a na jego ustach pojawiły się bąbelki krwi. Zachwiał się. Przycisnęłam go do siebie i prawie się przewróciłam. Ścisnął mój nadgarstek tak mocno, że myślałam, że połamię mi kości. Wypuścił powietrze głośno z mokrym grzechotem. Zawisł na mnie całym ciężarem, ciągnąc mnie w dół. Palce nadal miał zaciśnięte na mojej skórze, jak gdyby mierzył mi tętno. Wiedziałam, kiedy odszedł.

Przez chwilę panowała cisza jak wstrzymywany oddech - a potem wszystko eksplodowało białym ogniem. W uszach huczała mi lawina dźwięku, która wstrząsnęła piaskami i wprawiała w drżenie samo powietrze.

Krzyczałam, gdy zalewała mnie potęga, gdy płonęłam, trawiona od środka. Byłam żywą gwiazdą. Byłam spalaniem. Byłam nowym słońcem, zrodzonym, by roztrzaskać powietrze i pożreć ziemię.

Jam jest ruiną.

Świat zadygotał, rozpląnął się, implodował. I nagle potęga znikła.

Otworzyłam oczy gwałtownie. Spowijała mnie gęsta ciemność. W uszach mi dudniło.

Kłęczałam. Namacałam ciało Mała, wilgotny zwój przesączonej krwią koszuli.

Wyrzuciłam ręce w górę, przyzywając światło. Nic się nie wydarzyło. Spróbowałam jeszcze raz - sięgałam po moc, a znajdowałam jedynie pustkę. Z wysoka usłyszałam wrzask. Wilkry krążyły. Widziałam rozbłyśki infernickiego płomienia, niewyraźne sylwetki żołnierzy walczących w fioletowym blasku skifów. Gdzieś tam Tolia i Tamar wykrzykiwali moje imię.

- Mal... - Gardło miałam zdarte. Nie poznawałam własnego głosu.

Szukałam światła jak niegdyś głęboko w trzewiach Białego Soboru - wypatrując jakiegokolwiek słabiutkiej smużki. Tym razem jednak było inaczej. Czułam we własnym wnętrzu ranę - jamę, w której znajdowało się kiedyś coś całego i doskonałego. Nie było zepsute, lecz puste.

Zacisnęłam pięści na koszuli Mala.

- Pomocy - jęknęłam.

„Cóż jest nieskończone? Wszechświat i ludzka chciwość”.

Co to za lekcja? Co za chory żart? Kiedy Darkling igrał z mocą w sercu tworzenia, jako odpłatę otrzymał Fałdę - miejsce, gdzie jego potęga nie miała znaczenia; abominację, która na setki lat zniewoliła jego samego oraz jego kraj. Czy to zatem była moja kara? Czy Morozov naprawdę był szalony - czy po prostu poniósł porażkę?

- Niech ktoś pomoże! - zawyłam.

Tolia i Tamar biegli w moją stronę, w ślad za nimi Zoja. Ich sylwetki oświetlały kanistry lumiji. Tolia kulał. Zoja miała poparzoną część twarzy. Tamar była praktycznie cała we krwi z ran, które zadał jej nisztój. Wszyscy stanęli jak wryci, widząc Mala.

- Ożywcie go - zawołałam.

Tolia i Tamar rzucili się przy nim na kolana, ale widziałam, jak na siebie spojrzeli.

- Alino... - powiedziała Tamar.

- Proszę - załkałam. - Oddajcie mi go.

Tamar rozchyliła Malowi usta, starając się wtłoczyć powietrze do płuc. Tolia położył rękę na piersi Mala, aby uciskać ranę i przywrócić mu bicie serca.

- Potrzebujemy więcej światła - powiedział. Wyrwał mi się stłumiony śmiech. Podniosłam ręce, błagając światło i wszystkich

Świętych w historii. Nic to nie dało. Gest wydawał się fałszywy. Była to pantomina. Nic się za nią nie kryło.

- Nie rozumiem - zawołałam, przyciskając mokry policzek do twarzy Mała. Skóra już stygła.

Baghra mnie uprzedzała: „Może się okazać, że nie przeżyjesz ofiary, jakiej wymaga mierzost”. Ale jaki sens miała ta ofiara? Żyliśmy tylko po to, by stanowić nauczkę o cenie chciwości? Czy to była prawda szaleństwa Morozova - jakieś okrutne równanie, które całą naszą miłość i wszystkie utraty sumowało do zera?

Było tego za wiele. Nienawiść, ból, żaloba mnie przytłoczyły. Gdybym odzyskała swoją moc chociaż na moment, spaliłabym cały świat na popiół.

Wtedy je ujrzałam - światło w oddali jak lśniące ostrze przeszywające mrok.

Zanim zdążyłam coś z tego zrozumieć, pojawiło się kolejne światełko - jasny punkt, który przeistoczył się w dwa szerokie promienie, omiatające niebo nade mną wysoko i bezładnie.

Tuż obok mnie z ciemności wybuchł strumień iluminacji. Kiedy oczy mi się dostosowały, zobaczyłam Vladima. Stał z ustami otwartymi z szoku i konsternacji, a światło lalo mu się z rąk.

Obróciłam głowę i patrzyłam, jak ożywają, jeden po drugim, na przestrzeni Fałdy, jak gwiazdy pojawiające się na niebie o zmierzchu - Sol Soldaci i oprycznicy, porzuciwszy broń, z wyrazem zdumienia na twarzach, zatrwożeni, zachwyceni i skąpani w świetle. Przypomniały mi się słowa Darklinga, wypowiedziane na okręcie płynącym po lodowatych wodach Kostnego Szlaku. „Ilia Morozov był dziwnym człowiekiem. Trochę podobnym do ciebie - pociągało go to, co zwykłe i słabe”.

Miał żonę-otkazację.

Niemalże stracił dziecko-otkazację.

Sądził, że jest sam na świecie - sam w swojej potędze.

Teraz rozumiałam. Widziałam, co zrobił. Oto dar trzech wzmacniaczy - potęga zwielokrotniona tysiąc razy, ale nie w jednej osobie. Ilu nowych Przyzywaczy właśnie stworzono? Jak daleko sięgała moc Morozova?

Łuki i kaskady światła rozkwitały wokół mnie niczym jaśniejący ogród rosnący tej nienaturalnej nocy. Promienie się stykały, a tam, gdzie się skrzyżowały, wypalały ciemność.

Dookoła wzbily się ryki wilkrów. Fałda zaczęła się pruć. To był cud.

A mnie to nie obchodziło. Święci mogą sobie zatrzymać swoje cuda. Griszowie mogą sobie wziąć swoje długie życia i lekcje. Mal nie żył.

- Jak?

Podniosłam wzrok. Za nami stał Darkling - w osłupieniu obserwował, jak wokół nas rozpada się Fałda.

- To niemożliwe. Nie bez ognistego ptaka. Trzeciego... - Urwał, kiedy jego wzrok spoczął na ciele Mala, na krwi na moich rękach.

- Niemożliwe - powtórzył.

Nawet teraz, gdy znany nam świat przeistaczał się w rozbłyskach i łunie światła, nie mógł pojąć, czym naprawdę był Mal. Nie chciał.

- Co to za potęga? - spytał władczo.

Darkling kroczył w naszą stronę, cienie wzbierały mu w dłoniach, wokół niego wirowały jego stwory.

Bliźnięta dobiły broni. Bez zastanowienia uniosłam ręce, sięgając po światło. Nic się nie wydarzyło. Darkling wbił we mnie wzrok. Opuścił ręce. Kłęby ciemności się rozpląnęły.

- Nie - powiedział z oszołomieniem, kręcąc głową. - Nie. To... Co ty zrobiłaś?

- Pracujcie dalej - rozkazałam bliźniętom.

- Alino...

- Oddajcie mi go - powtórzyłam. Gadałam bez sensu. Wiedziałam o tym. Nie dysponowali potęgą Morozova. Ale Mal potrafił wyczarować króliki z kamieni. Zlokalizowałyby północ, stojąc na głowie. Znajdzie drogę powrotną do mnie.

Zerwałam się na nogi niepewnie, a Darkling maszerował w moim kierunku.

Położył mi dłonie na szyi.

- Nie - szepnął.

Dopiero wtedy zorientowałam się, że obręcz odpadła. Popatrzyłam w dół. Jej kawałki leżały obok ciała Mala. Mój nadgarstek był nagi - manela także się rozbiła.

- Tak nie może być - powiedział, a w jego głosie usłyszałam desperację i nową, nieznaną wcześniej udrękę. Musnął palcami moją szyję, ujął w dłonie moją twarz. Nie poczułam przyływu pewności. W odpowiedzi na jego zew nie zaiskrzyło we mnie światło. Spoglądał na mnie szarymi oczyma pełnymi zagubienia, niemal lęku. - Miałaś być taka jak ja. Miałaś być... Teraz jesteś niczym.

Opuścił ręce. Patrzyłam, jak sobie to uświadamia. Był naprawdę sam. I zawsze już tak będzie.

Widziałam, jak w jego oczach pojawia się pustka, poczułam, jak przepastna próżnia w jego wnętrzu się rozrasta, nieskończone pustkowia. Spokój, ta jego chłodna pewność, opuściły go. Krzyknął z gniewu.

Rozpostarł ramiona szeroko, przywołując ciemność. Nisztoje rozproszyły się jak stado ptaków spłoszonych z żywopłotu i zaatakowały zarówno Sol Sołdatów, jak i opryczników. Siekły ich, tłamsiły promienie światła, które jaśniały z ich ciał.

Wiedziałam, że ból Darklinga jest bezdenny. Będzie tylko spadał w nieskończoność.

Miłosierdzie. Czy wcześniej rzeczywiście je rozumiałam? Czy naprawdę sądziłam, że wiem, co to znaczy cierpieć? Przebaczać? „Miłosierdzie” - pomyślałam. „Dla jelenia, dla Darklinga, dla nas wszystkich”.

Gdyby nadal łączyła nas więź, mógłby wyczuć, co zamierzam. Palce mi drgnęły w rękawie płaszcza i owinęłam strzęp cienia wokół ostrza noża - tego noża, który podniosłam z piasku, mokrego od krwi Mała. Tylko taka potęga mi pozostała - ta, która nigdy nie należała do mnie. Echo, kpina, jarmarczna sztuczka. „Coś, co mu zabrałaś”.

- Nie muszę być Griszą - wyszeptałam - by władać griszaicką stalą.

Szybkim, płynnym ruchem wbiłam spowitą w cień klingę głęboko w serce Darklinga.

Wydał z siebie cichy dźwięk, niewiele więcej niż wydech. Popatrzył na rękojeść sterczącą mu z piersi, a potem znów na mnie. Zmarszczył czoło, zrobił krok, zachwiał się lekko. Wyprostował się.

Zaśmiał się krótko, a na brodzie osiadła mu krwawa mgielka.

- W ten sposób?

Nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Próbował wyhamować upadek, ale ręka mu się ugięła i upadł. Obrócił się na plecy. „To proste. Podobne wzywa podobne”. Własna moc Darklinga. Własna krew Morozova.

- Błękitne niebo - powiedział. Podniosłam wzrok. Zobaczyłam je w oddali - błądy przebłysk, niemal całkowicie przyćmiony czarną mgłą Fałdy. Wilkry odlatywały jak najdalej od niego, szukając kryjówek. - Alino - westchnął.

Uklękałam przy nim. Nisztoje porzuciły ataki. Krążyły i terkotały nad nami, nie wiedząc, co robić. Wydawało mi się, że widzę wśród nich Mikołaja, jak wlatuje ku temu skrawkowi błękitu.

- Alino - powtórzył Darkling, szukając palcami mojej dłoni. Z zaskoczeniem odkryłam, że świeże łzy napłynęły mi do oczu.

Podniósł rękę i pogładził wierzchem dłoni moje mokre policzki. Jego zakrwawione usta rozchyliły się w leciutkim uśmiechu.

- Ktoś mnie oplakuje. - Opuścił rękę, jak gdyby była zbyt ciężka. - Nie chcę grobu - wydusił, ściskając moją dłoń mocniej - który mogliby zbecześcić.

- Dobrze - powiedziałam. Łzy popłynęły intensywniej. „Nic nie zostanie”.

Zadrżał. Powieki mu opadły.

- Jeszcze raz - powiedział. - Jeszcze raz wypowiedz moje imię.

Był prastary - wiedziałam o tym. Jednak w tej chwili był tylko chłopcem - genialnym, pobłogosławionym zbyt dużą potęgą, obciążonym wiecznością.

- Aleksander.

Przymknął oczy.

- Nie pozwól mi być samemu - zaszemrał. A potem odszedł.

Nad nami przemknął odgłos podobny do potężnego westchnienia, który potargał mi włosy.

Nisztoje rozpadły się na strzępy, rozsypały jak popiół na wietrze. Zaskoczeni żołnierze oraz Griszowie wpatrywali się w miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą się znajdowały. Usłyszałam bolesny krzyk i podniosłam wzrok - zobaczyłam, jak skrzydła Mikołaja się rozpuszczają, ciemność wypływa z niego czarnymi smuzkami, a on sam spada na szary piach. Zoja pobiegła w jego stronę, próbując spowolnić jego upadek porywem wiatru.

Wiedziałam, że powinnam się ruszyć z miejsca. Powinnam coś zrobić. Nie mogłam jednak nakłonić nóg do pracy. Opadłam na ziemię między Małem a Darklingiem - ostatnimi z rodu Morozova. Moja rana postrzałowa krwawiła. Dotknęłam gołej skóry na szyi. Wydawała się naga.

Jak przez mgłę docierało do mnie, że Griszowie Darklinga się wycofują. Odchodzili też niektórzy z opryczników. Światło wciąż płynęło z nich nieopanowanymi napadami. Nie wiedziałam, dokąd idą. Może wracali do Kribirska, by ostrzec towarzyszy, że ich pan poległ. Może po prostu uciekali. Nie obchodziło mnie to.

Słyszałam, jak Tolia i Tamar szepczą między sobą. Nie rozróżniałam słów, ale ton rezygnacji w ich głosach był jasny.

- Nic nie zostało - powiedziałam cicho. Czułam pustkę w sobie, pustkę wszędzie.

Sol Słudaci wiwatowali i emitowali wspaniałe łuki gorejącego światła, wypalając Fałdę. Niektórzy z nich wspięli się na szklane skify Darklinga. Inni ustawili się w szeregu, połączyli promienie jasności i słali kaskadę słońca w rzędzące strzępy ciemności, unicestwiając Fałdę skłębioną falą.

Płakali, śmiali się, radowali swoim triumfem tak głośno, że prawie tego nie usłyszałam. Cichy szmer, kruchy, niemożliwy. Próbowалаm go nie słyszeć, ale nadzieja zaatakowała mnie mocno, poczułam tęsknotę tak dotkliwą, że wiedziałam, iż jej kres mnie zniszczy. Tamar zaszlochała. Tolia zaklął. A potem usłyszeliśmy to ponownie: słaby, cudowny oddech Mała.

18.

Wywieźli nas z terenu Fałdy na jednym ze skifów Darklinga. Zoja zarekwirowała poobijany szklany okręt z niewymuszonym autorytetem, a potem odwróciła uwagę Sol Sołdatów, kiedy Tolia i Tamar wnosili nas na pokład, ukrytych pod ciężkimi płaszczami oraz poskładanymi keftami. Ciało Darklinga było owinięte w błękitne szaty jednego z jego poległych Inferników. Złożyłam mu obietnicę i zamierzałam jej dotrzymać.

Szkwalnicy - Zoja, Nadia oraz Adrik, wszyscy żywi i na tyle cali, na ile byli przed rozpoczęciem bitwy - wydęli czarne żagle i ponieśli nas ponad martwymi piaskami najszybciej, jak pozwalała ich moc.

Leżałam obok Mała. Okropnie cierpiał, wciąż tracił i odzyskiwał przytomność. Tolia nadal nad nim pracował, monitorował jego tętno i oddech.

Gdzieś ze skifu słyszałam, jak Mikołaj mówi. Głos miał chrapliwy i uszkodzony przez tę dziwną ciemność, która go wyzyskała. Chciałam do niego pójść, zobaczyć jego twarz, upewnić się, że jest cały. Po tym upadku na pewno miał połamane kości. Straciłam jednak dużo krwi i łapałam się na tym, że odpływam. Mój znużony umysł łaknął zapomnienia. Kiedy powieki zaczęły mi się przemykać, złapałam Tolię za rękę.

- Zginęłam tu. Rozumiesz? - Ściągnął brwi. Sądził, że mającę, ale musiał mnie zrozumieć. - To było moje męczeństwo, Toliu. Zginęłam tu dziś.

- Sankta Alina - powiedział cicho i pocałował mnie w wierzch dłoni - dworny gest dżentelmena na balu. Modliłam się do prawdziwych Świętych, by zrozumiał.

* * *

Ostatecznie moi przyjaciele dobrze zorganizowali mój zgon, a zmartwychwstanie Mikołaja - jeszcze lepiej. Dowieźli nas do Tomikiany i umiejscowili w szopie - schowali nas wśród pras do cydru, na wypadek gdyby Sol Söldaci powrócili. Wyczyścili Mikołaja, obcięli mu włosy, nakarmili posłodzoną herbatą oraz czerstwym chlebem. Genia znalazła mu nawet mundur Pierwszej Armii. W ciągu kilku godzin wyruszył do Kribirsk w eskorcie bliźniąt oraz z Nadią i Zoją, ubranymi w błękitne kefty skradzione umarłym.

Wymyślili prostą historię: Mikołaj był więźniem Darklinga i miał zostać stracony na terenie Fałdy, ale uciekł i - z pomocą Przyzywaczki Słońca - zdołał zwyciężyć Darklinga. Niewiele osób znało prawdę o tym, co się stało. Podczas bitwy panował zamęt przemocy wyrządzonej w niemal całkowitej ciemności, poza tym podejrzewałam, że Griszowie Darklinga oraz oprycznicy będą zbyt zajęci ucieczką albo błaganiem o królewską łaską, by polemizować z nową wersją wydarzeń. Była to dobra historia z tragicznym zakończeniem - Przyzywaczka Słońca poświęciła życie, by ocalić Ravkę oraz nowego króla.

Większość godzin spędzonych w Tomikianie to smugi niewyraźnych wspomnień: zapach jabłek. Szelest gołębi pod dachem. Wdechy i wydechy Mala przy mnie. W pewnym momencie Genia przyszła do nas zajrzeć i myślałam, że śnię. Jej twarz nadal pokrywały blizny, ale większość czarnych szram zniknęła.

- Tak samo na twoim ramieniu - powiedziała z uśmiechem. - Jest blizna, ale nie wygląda nawet w połowie tak strasznie.

- Twoje oko? - spytałam.

- Przepadło na dobre. Polubiłam jednak swoją przepaskę. Uważam, że wyglądam dzięki niej nieco łobuzersko.

Musiałam zasnąć, bo potem zobaczyłam, jak Misza stoi przede mną z rękami w mące.

- Co piekłeś? - zapytałam nieco bełkotliwie.

- Piernik.

- Nie jabłecznik?

- Mam dość jabłek. Chcesz pomieszać lukier?

Pamiętam, że pokiwałam głową, a potem znowu zasnęłam.

* * *

Zoja i Tamar zajrzały do nas późną nocą i przyniosły wieści z Kribirska. Wyglądało na to, że potęga wzmocniaczy sięgnęła aż do doków. Wybuch zwałił Griszów oraz robotników z nóg, a kiedy z każdego otkazacji w zasięgu zaczęła się wylewać jasność, wybuchł chaos. Kiedy Fałda zaczęła się rozpadać, ośmielili się przekroczyć jej brzegi i przyłączyć do dzieła zniszczenia. Niektórzy chwycili za broń i zaczęli polować na wilkry, zapędzając je w nieliczne ocalałe strzępy Fałdy i uśmiercając. Mówiono, że niektóre z potworów uciekły - stawily czoło światłu i ruszyły na poszukiwanie głębokiego cienia w inne miejsca. Dzięki robotnikom, Sol Sołdatom oraz oprycznikom (tym, którzy nie uciekli) po Niemorzu zostały już tylko nieliczne ciemne smugi wiszące w powietrzu lub unoszące się nad ziemią jak zagubione stworzenia, które odłączyły się od stada.

Kiedy do Kribirska dotarły pogłoski o śmierci Darklinga, w obozie wojskowym zapanował zamęt - i wtedy właśnie wkroczył Mikołaj Lancov. Zajął królewską kwaterę, zabrał się za zbieranie kapitanów Pierwszej Armii oraz griszaickich dowódców, i po prostu zaczął rozkazywać. Zmobilizował pozostałe jednostki wojska, by zabezpieczyły granice, i wysłał wiadomości na

wybrzeże, by zgromadzić flotę Sturmhonda. Zdziałał to wszystko najwyraźniej bez spania i z dwoma pękniętymi żebrami. Nikogo innego nie byłoby na to stać, a już na pewno nikt inny by się na to nie ważył - szczególnie młodszy syn i domniemany bękart. Mikołaj jednak przygotowywał się do tej roli przez całe życie, a ja wiedziałam, że ma talent to niemożliwości.

- Jak on się miewa? - zapytałam Tamar.

Zastanowiła się i odparła:

- Jakby coś go prześladowało. Zmienił się, chociaż nie jestem pewna, czy ktoś inny to zauważy.

- Może - zaproponowała Zoja - ale ja nic takiego nie widziałam. Jeżeli stanie się jeszcze bardziej czarujący, kobiety i mężczyźni zaczną kłaść się na ulicach w nadziei na to, że nowy król Ravki ich zaszczyca i przejdzie im po grzbiecie. Jak ty mogłaś mu się oprzeć?

- Dobrze pytanie - mruknął siedzący obok mnie Mal.

- Okazuje się, że nie przepadam za szmaragdami - powiedziałam.

Zoja przewróciła oczami.

- Ani za królewską krwią, oślepiającą charyzmą, olbrzymim bogactwem...

- Już wystarczy - wtrącił Mal.

Wsparłam głowę na jego ramieniu.

- To wszystko są całkiem miłe rzeczy, ale mnie tak naprawdę pasjonują sprawy beznadziejne. - A właściwie tylko jedna. Beznako. Moja sprawa beznadziejna, którą odzyskałam.

- Otaczają mnie głupcy - rzekła Zoja, ale uśmiechała się przy tym.

Zanim Tamar i Zoja wróciły do głównej rezydencji, Tamar skontrolowała nasze obrażenia. Mal był słaby, ale biorąc pod

uwagę, przez co przeszedł, można się tego było spodziewać. Tamar wyleczyła ranę postrzałową na moim ramieniu. Byłam nieco osłabiona i obolała, ale poza tym czułam się doskonale. Tak przynajmniej im powiedziałam. Niczym ból fantomowy doskwierała mi pustka w miejscu, gdzie kiedyś była moja moc.

Zdrzemnęłam się na materacu, który wciągnęli do szopy, a kiedy się przebudziłam, Mał leżał na boku i mnie obserwował. Był blady, a jego niebieskie oczy wydawały się wręcz zbyt wyraziste. Wyciągnęłam rękę i pogładziłam bliznę biegnącą wzdłuż jego brody - tę, którą zyskał we Fjerdzie na początku polowania na jelenia.

- Co widziałeś? - spytałam. - Kiedy...

- Kiedy umarłem?

Szturchnęłam go delikatnie, a on się skrzywił.

- Widziałem, jak Ilia Morozov dosiada jednorożca i gra na bałajce.

- Bardzo śmieszne.

Położył się i ostrożnie wsunął ramię pod głowę.

- Nic nie widziałem. Pamiętam jedynie cierpienie. Miałem wrażenie, że ten nóż płonie - jak gdyby wykrawał mi serce z piersi. Potem nic. Tylko ciemność.

- Odszedłeś - powiedziałam z drzeniem. - A potem moja moc... - Głos mi się załamał.

Wyciągnął rękę, a ja położyłam głowę na jego barku, starannie omijając bandaż na jego piersi.

- Przykro mi - powiedział. - Bywało... bywało, że życzyłem sobie, by twoja moc zniknęła. Ale tego nigdy nie chciałem.

- Jestem wdzięczna, że żyję. Fałda przepadła. Ty jesteś bezpieczny. Po prostu... to boli. - Czułam się małosłowna. Harshaw nie żył, podobnie połowa Sol Sołdatów, w tym Ruby.

Poza tym inni: Siergiej, Marie, Paża, Fedior, Botkin. Baghra. Tylu poległo w tej wojnie. Lista ciągnęła się bez końca.

- Utrata to utrata - rzekł Mal. - Masz prawo opłakiwać.

Zapatrzyłam się w drewniane belki szopy. Opuściły mnie nawet te strzepy ciemności, którymi władałam. Ta potęga należała do Darklinga i odeszła ze świata wraz z nim.

- Czuję się pusta.

Mal milczał dłuższą chwilę, potem powiedział:

- Też to czuję. - Podniosłam się i oparłam na łokciu. Wzrokiem błędził w oddali. - Nie będę wiedział, dopóki nie spróbuję tropić, ale czuję się inaczej. Kiedyś po prostu wiedziałem różne rzeczy. Nawet leżąc tutaj, wyczułbym jelenie na polu, ptaka siedzącego na gałęzi, może mysz wierzącą dziurę w ścianie. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale teraz... panuje swego rodzaju cisza.

Utrata. Zastanawiałam się, jak Tolia i Tamar ożywili Mala. Wcześniej byłam skłonna uznać to po prostu za cud. Teraz wydawało mi się, że rozumiem. Mal posiadał dwa życia, lecz tylko jedno należało do niego. To drugie zostało skradzione - było to dziedzictwo wykute z mierzosty, zrabowane z tworzenia w sercu świata. Była to siła, która ożywiała córkę Morozova, kiedy jej ludzkie życie się skończyło - potęga tętniąca w kościach Mala. Jego krew była od niej gęsta, a ta zagrabiona część dzieła stworzenia sprawiała, że był takim niezwykłym tropicielem. Łączyła go z wszelką żywą istotą. „Podobne wzywa podobne”.

A teraz to przypadło. Życie wykradzione przez Morozova i oddane jego córce dobiegło końca. Życie, do którego Mal się narodził - kruche, śmiertelne, tymczasowe - należało wyłącznie do niego. Utrata. Takiej ceny świat domagał się za równowagę. Morozov jednak nie mógł wiedzieć, że osobą, która odkryje tajemnice jego wzmacniaczy, nie będzie wiekowy Grisza, co

przeżył tysiąc lat i znużyła go jego potęga. Nie mógł wiedzieć, że dokonają tego dwie sieroty z Keramzina.

Mal chwycił mnie za rękę, splótł nasze palce i przycisnął je sobie do piersi.

- Myślisz, że mogłabyś być szczęśliwa? - spytał. - Z wypalonym tropicielem?

Uśmiechnęłam się, słysząc to. Arogancki Mal - czarujący, dzielny i niebezpieczny. Czy w jego głosie pobrzmiwało zwątpienie? Pocałowałam go raz, delikatnie.

- Jeżeli ty możesz być szczęśliwy z kimś, kto ci wsadził nóż w pierś.

- Sam pomogłem. I mówiłem ci, że poradzę sobie ze złym nastrojem.

Nie wiedziałam, co będzie później ani kim mam teraz być. Nie miałam nic - nawet koszula na grzbiecie była pożyczona. Mimo to, leżąc tam, uświadomiłam sobie, że się nie boję. Po tym wszystkim, co przeszłam, nie było już we mnie strachu - smutek, wdzięczność, może nawet nadzieja, ale strach został pożarty przez ból i wyzwania. Święta zniknęła. Podobnie Przyzywaczka. Znów byłam zwykłą dziewczyną, ale taką, która nie zawdzięczała swojej siły losowi, przypadkowi ani wielkiemu przeznaczeniu. Z moją mocą się urodziłam - na wszystko inne zapracowałam.

- Mal, będziesz musiał być ostrożny. Historia o wzmocniaczach może wyciec. Ludzie mogą sądzić, że nadal masz moc.

Pokręcił głową.

- Malien Orecev zginął razem z tobą - powiedział. Jego słowa były tak bliskie temu, co sama myślałam, że obleciała mnie gęsia skórka. - To życie się skończyło. Może w następnym będę mądrzejszy.

Parsknęłam.

- Zobaczymy. Wiesz, będziemy musieli wybrać nowe imiona.
- Misza już pracuje nad listą propozycji.
- Och, Święci.
- Ty nie masz na co narzekać. Ja najwyraźniej mam się nazywać Dmitrij Głęb.
- Pasuje do ciebie.
- Muszę cię uprzedzić, że zamierzam odnotowywać wszystkie twoje zniewagi, a kiedy wyzdrowieję, to ci odplączę.
- Ostrożnie z tymi groźbami, Głębku. Może opowiem Apparatowi o twoim cudownym ozdrowieniu i z ciebie też zrobi Świętego.
- Niech próbuje. Nie zamierzam marnować swoich dni na święte uczynki.
- Nie?
- Nie - przysunął mnie do siebie. - Muszę spędzić resztę życia, obmyślając, jak zasłużyć na pewną białowłosą dziewczynę. Jest bardzo drażliwa, od czasu do czasu wkłada mi do butów gęsie odchody albo próbuje mnie zabić.
- Wydaje się to nużące - wyjąkałam, kiedy przyłgął ustami do moich warg.
- Jest tego warta. A pewnego dnia może da się zapędzić do kaplicy.
- Zadrzałam.
- Nie lubię kaplic.
- Mówiłem Anie Kuyi, że się z tobą ożenię.
- Zaśmiałam się.
- Pamiętasz to?
- Alino - powiedział i pocałował mnie w bliznę na dłoni. - Wszystko pamiętam.

Nadeszła pora, by opuścić Tomikianę. Mieliśmy tylko jedną noc, by dojechać do siebie, ale wieści o zniszczeniu Fałdy rozchodziły się szybko i niebawem mogli powrócić właściciele gospodarstwa. A choć nie byłam już Przyzywaczką Słońca, musiałam dopilnować pewnych spraw, zanim będę mogła pogrzebać Świętą Alinę na zawsze.

Genia przyniosła nam czyste ubrania. Mal pokuśtykał za prasy do cydru, by się przebrać, a ona pomogła mi założyć prostą bluzkę, a na nią sarafan. Była to odzież wiejska - nawet nie wojskowa.

Niegdyś w Małym Pałacu wplotła złoto w moje włosy, teraz jednak konieczna była bardziej radykalna przemiana. Użyła garnuszka hematytu oraz garści błyszczących kogucich piór, by tymczasowo zmienić charakterystyczny siwy kolor moich włosów, a potem na dokładkę zawiązała mi na głowie chustkę.

Mal wrócił w tunice, spodniach i prostym płaszczu. Na głowie miał czarną, wełnianą czapkę z wąskim rondem. Genia zmarszczyła nos.

- Wyglądasz jak rolnik.

- Zdarzało mi się wyglądać gorzej. - Popatrzył na mnie. - Czy ty masz rude włosy?

- Chwilowo.

- I nawet nieźle w nich wygląda - dodała Genia i wyszła z szopy. Bez jej pomocy efekty po paru dniach zanikną.

Genia i David wyruszą osobno, by spotkać się z Griszami gromadzącymi się w obozie wojskowym w Kribirsku. Zapropowali, że wezmą z sobą Miszę, ale on zdecydował się zostać ze mną i Malem. Twierdził, że trzeba się nami opiekować.

Zadbaliśmy o to, by jego złota gloria była bezpiecznie ukryta i by miał kieszenie pełne sera dla Oncat. Potem udaliśmy się na szare piaski niegdysiejszej Fałdy.

Łatwo było wtopić się w tłumy wędrujące w obie strony. Widać było rodziny, grupki żołnierzy, arystokratów i wieśniaków. Dzieci wspinały się na wraki skifów.

Ludzie bawili się spontanicznie. Całowali się i ściskali, rozdawali butelki kwasu i smażyli chleb wypchany rodzynkami. Pozdrawiali się nawzajem okrzykami „Junezhost!” - jedność.

Pośród celebracji natrafiało się na zaułki żalu. W sypiących się gruzach niegdysiejszego Novokribirsk panowała cisza. Większość budynków rozsypała się w proch. Po dawnych ulicach pozostały zaledwie niewyraźne zarysy i wszystko było niemal całkowicie wyzute z koloru, przybierając odcień szarości. Okrągła kamienna fontanna, która stała w centrum miasta, wyglądała jak sierp księżyca, wyżarta wszędzie tam, gdzie dotknęła jej mroczna moc Fałdy. Starcy grzebali w pozostałych ruinach i mruczeli do siebie nawzajem. Nawet poza granicami upadłego miasta żałobnicy składali kwiaty na wrakach skifów i wznosili niewielkie ołtarzyki w ich kadłubach.

Wszędzie widziałam ludzi noszących godło podwójnego orla, dźwigających sztandary i machających flagą Ravki. Dziewczęta wplatały we włosy bladobłękitne i złote wstążki. Słyszałam też plotki o katuszach, jakich zazał dzielny, młody książę z rąk Darklinga. Słyszałam też własne imię. Pielgrzymi już teraz zalewali Fałdę, by na własne oczy obejrzeć cud, jaki się wydarzył, oraz pomodlić się do Świętej Aliny. Sprzedawcy ponownie zaczęli rozstawiać wózki zaśmiecone moimi rzekomymi paliczkami, a moja twarz spoglądała na mnie z malowanych powierzchni drewnianych ikon. Nie byłam to jednak całkiem ja. Ta dziewczyna była ładniejsza, miała okrągłe policzki i spokojne

brązowe oczy, a na jej smukłej szyi spoczywały rogi obręczy Morozova. Alina od Fałdy.

Nikt nie zwracał na nas uwagi. Nie byliśmy szlachtą. Nie należeliśmy do Drugiej Armii. Nie zaliczaliśmy się do tej nowej, dziwnej klasy żołnierzy-Przyzywaczy. Byliśmy anonimowi. Turyści.

W Kribirsku balowano na potęgę. Doki jarzyły się kolorowymi latarniami. Ludzie śpiewali i pili na pokładzie skifów. Tłoczyli się przy wejściu do koszar i plądrowali kantynę w poszukiwaniu jedzenia. Mignęła mi żółta chorągiew na Namocie Dokumentów, a chociaż cząstka mnie pragnęła tam powrócić, odetchnąć starymi, znajomymi zapachami atramentu i papieru, nie mogłam ryzykować, że jeden z kartografów mnie rozpozna.

Miejskie burdele i oberże robiły złoty interes. Na głównym placu odbywała się zaimprovizowana potańcówka, chociaż nieopodal przy starej cerkwi zebrany tłum odczytywał imiona wypisane na ścianach świątyni i zapalał świece za zmarłych. Przystanąłam, by zapalić kilka świec dla Harshawa. Podobałyby mu się płomienie.

Tamar znalazła dla nas pokój w jednej z przyzwoitszych gospód. Zostawiłam tam Mała i Miszę z obietnicą, że wrócę wieczorem. Wieści napływające z Os Alty wciąż były przeinaczone i wciąż nie byliśmy pewni, co z matką Miszy. Wiedziałam, że musi mieć nadzieję, ale słowem się na ten temat nie zająknął, obiecał tylko solennie, że pod moją nieobecność zaopiekuje się Małem.

- Poczytaj mu przypowieści religijne - szepnęłam do Miszy. - Uwielbia to.

Ledwie uniknęłam ciosu poduszką, którą Mał cisnął przez pokój.

Nie poszłam wprost do królewskiej kwatery, lecz obrałam okrężną drogę, która prowadziła obok dawnego jedwabnego pawilonu Darklinga. Sądziłam, że go odbudował, lecz przestrzeń była pusta, a kiedy dotarłam do koszar Lancovów, szybko pojęłam dlaczego. Darkling tam się ulokował. W oknach umieścił czarne sztandary, a na miejscu rzeźbionego podwójnego orla nad wejściem zawisło słońce w zaćmieniu. Teraz robotnicy zdejmowali czarne jedwabie i zastępowali je ravnzańskim złotem oraz błękitem. Rozłożono zadaszenie na spadający gips, a jeden z żołnierzy, dzierżący olbrzymi młot, roztrzaskał kamienny symbol w pył. Tłum zaczął wiwatować. Ja nie mogłam podzielić ich ekscytacji. Mimo wszystkich swoich przewin Darkling kochał Ravkę i pragnął, by odwzajemniała jego miłość.

Znalazłam strażnika koło wejścia i zapytałam o Tamar Kir-Bataar. Popatrzył na mnie z góry - widział tylko chudą wieśniaczkę, i na moment wróciły do mnie słowa Darklinga: „Teraz jesteś niczym”. Dziewczyna, którą byłam kiedyś, uwierzyłaby mu. Dziewczyna, którą się stałam, nie była w nastroju.

- Na co dokładnie czekasz? - warknęłam. Żołnierz zamrugał i stanął na baczność. Parę minut później Tamar i Tolia zbiegali do mnie po schodach.

Tolia objął mnie i podniósł ogromnymi ramionami.

- Nasza siostra - wyjaśnił ciekawskiemu strażnikowi.

- Nasza siostra? - syknęła Tamar, kiedy wchodziliśmy do królewskich koszar. - Ona jest do nas zupełnie niepodobna. Przypomnij mi, żebym nigdy nie pozwoliła ci pracować w wywiadzie.

- Mam lepsze rzeczy do roboty niż babrać się w szeptach - odparł z godnością. - Poza tym to jest nasza siostra.

Przełknęłam gulę w gardle i odezwałam się:

- Przychodzę nie w porę?

Tamar pokręciła głową.

- Mikołaj zakończył spotkania wcześniej, żeby ludzie mogli pójść... - urwała.

Skinęłam głową.

Poprowadzili mnie korytarzem ozdobionym bronią oraz mapami Fałdy. Teraz trzeba będzie zmienić te mapy. Zastanawiałam się, czy coś kiedyś wyrośnie na tych zmartwiałych piaskach.

- Zostaniesz z nim? - zapytałam Tamar. Mikołaj na pewno desperacko szuka ludzi do swojego otoczenia, którym mógłby zaufać.

- Na pewien czas. Nadia chce zostać, przeżyło też paru członków Dwudziestego Drugiego.

- Nevski?

Pokręciła głową.

- Czy Stigg wy dostał się z Kołowrotka?

Znów pokręciła głową. Musiałam spytać także o innych - była to lista ofiar, którą bałam się czytać - lecz to później.

- Ja może zostanę - rzekł Tolia. - Zależy od...

- Tolia - przerwała mu siostra ostro.

Tolia zaczerwienił się i wzruszył ramionami.

- Po prostu zależy.

Doszliśmy do ciężkich, podwójnych drzwi. Klamki miały kształt głów dwóch krzyczących orłów. Tamar zapukała. W pokoju było ciemno - jedynym źródłem światła był blask ognia w palenisku. Chwilę trwało, nim wypatrzyłam w półmroku Mikołaja. Siedział przy ogniu, trzymając wypolerowane buty na wyścielanym stołku. Przy nim stały pełny talerz oraz butelka kwasu, chociaż wiedziałam, że woli brandy.

- Będziemy na zewnątrz - powiedziała Tamar.

Mikołaj drgnął, słysząc odgłos zamykanych drzwi. Skoczył na równe nogi i się uklonił.

- Wybacz mi - rzekł. - Zamyśliłem się. - Potem się uśmiechnął i dodał: - Nieznane terytorium.

Oparłam się o drzwi. Był to lapsus, nawet jeśli zamaskował go urokiem.

- Nie musisz tego robić.

- Ależ muszę. - Uśmiech zgasł. Wskazał fotele przy ogniu. - Usiądziesz ze mną?

Przeszłam przez pokój. Na długim stole wałały się dokumenty i pliki listów ozdobionych królewską pieczęcią. Na fotelu leżała otwarta książka. Odsunął ją i usiedliśmy.

- Co czytasz?

Zerknął na tytuł.

- Jedną z historii wojskowych Kamieńskiego. Tak naprawdę chciałem popatrzeć na wyrazy. - Poglądził palcami okładkę. Dłonie miał oszpecone przez zadrapania i rany. Wprawdzie moje blizny się rozjaśniły, lecz Mikołaja Darkling napiętnował w inny sposób. Wzdłuż każdego z palców, tam, gdzie szpony przedarły się przez jego skórę, nadal biegły słabe, czarne linie. Będzie musiał udawać, że to pozostałości tortur, które przeszedł jako więzień Darklinga. Poniekąd była to prawda. Przynajmniej reszta śladów chyba zniknęła. - Nie umiałem czytać - ciągnął. - Kiedy byłem... Widywałem szyldy w witrynach sklepów, napisy na skrzyniach. Nie rozumiałem ich, ale pamiętałem, że to coś więcej niż kreski wydrapane w ścianie.

Rozsiadłam się głębiej w fotelu.

- Co jeszcze pamiętasz?

Jego piwne oczy zapatrzyły się w dal.

- Zbyt wiele. Wciąż... czuję ten mrok w moim wnętrzu. Ciągłe myślę, że zniknie, ale...

- Wiem - powiedziałam. - Już jest lepiej, ale on nadal trwa. - Jak cię obok mojego serca. Nie wiedziałam, co to może mówić o potędze Darklinga, i nie chciałam tego roztrząsać. - Może z biegiem czasu zniknie.

Ścisnął grzbiet nosa dwoma palcami.

- Nie tego ludzie chcą od króla, nie tego ode mnie oczekują.

- Daj sobie szansę wyzdrowieć.

- Wszyscy obserwują. Potrzebują pokrzepienia. Niedługo Fjerdanie albo Szuhańcy wyruszą przeciwko mnie.

- Co zrobisz?

- Moja flota jest nienaruszona, Świętym i Privjetowi niech będą dzięki - powiedział, nawiązując do oficera, któremu powierzył dowództwo, kiedy zarzucał obowiązki Sturmhonda. - Na pewien czas powinni być w stanie zneutralizować Fjerdę, a w porcie czekają już okręty zaopatrzeniowe z dostawami broni. Rozesłałem wici do wszystkich sprawnych przyczółków wojskowych. Zrobimy, co w naszej mocy, by zabezpieczyć granice. Jutro wyjeżdżam do Os Alty, a moi posłańcy wyruszyli, by próbować ściągnąć pospolitaków pod królewski sztandar. - Zaśmiał się cicho. - Mój sztandar.

Uśmiechnęłam się.

- Pomyśl tylko, ile osób w przyszłości będzie się przed tobą płaszczyć.

- Niech żyje król-pirat.

- Korsarz.

- Po co owijać w bawełnę? Już prędzej król-bękart.

- Właściwie to już cię nazywają Korol Riezni. - Słyszałam szepty na ulicach Kribirska - Król Blizn.

Popatrzył na mnie.

- Sądziś, że wiedzą?

- Wątpię. Ale ty jesteś przecież przyzwyczajony do plotek, Mikołaju. A to może być korzystne.

Uniósł brew.

- Wiem, że uwielbiasz być uwielbiany - powiedziałam - ale odrobina strachu nie zawadzi.

- Darkling cię tego nauczył?

- I ty. Przypominam sobie pewną historię o palcach fjerdańskiego kapitana oraz głodnym ogarze.

- Następnym razem uprzedź mnie, kiedy będziesz słuchać uważnie. Będę mniej gadał.

- Teraz mi to mówisz.

Uśmiechnął się słabo. Potem ściągnął brwi.

- Powinienem cię ostrzec... Aparat dziś tu będzie.

Wyprostowałam się.

- Ułaskawiłeś kapłana?

- Musiałem. Potrzebne mi jego poparcie.

- Zaproponujesz mu miejsce na dworze?

- Negocjujemy - odparł gorzko.

Mogłam mu zaoferować wszelkie informacje o Apparacie, jakie miałam, podejrzewałam jednak, że najbardziej pomocna byłaby lokalizacja Białego Soboru. Niestety, jedyną osobą, która być może potrafiłaby nas tam z powrotem zaprowadzić, był Mał, a nie byłam pewna, czy taka ewentualność jeszcze istnieje.

Mikołaj pokręcił butelką kwasu bez celu.

- Jeszcze nie jest za późno - rzekł. - Mogłabyś zostać. Mogłabyś wrócić ze mną do Wielkiego Pałacu.

- I co miałabym tam robić?

- Nauczać, pomóc mi w odbudowie Drugiej Armii, wczasować się nad jeziorem?

Tego dotyczyła aluzja Tolii. Liczył na to, że powrócę do Os Alty. Czułam ból na samą myśl o tym. Pokręciłam głową.

- Nie jestem Griszą, a już na pewno nie jestem szlachcianką. Nie pasuję na dworze.

- Mogłabyś zostać ze mną - powiedział cicho. Znów pokręcił butelką. - Nadal potrzebuję królowej.

Wstałam z fotela, odsunęłam jego obute nogi i usiadłam na stołku, żeby na niego popatrzeć.

- Nie jestem już Przyzywaczką Słońca, Mikołaju. Nie jestem już nawet Aliną Starkov. Nie chcę wracać na dwór.

- Ale ty rozumiesz... to coś. - Poklepał się w pierś. Rzeczywiście rozumiałam. Mierzost. Mrok. Można było jej nienawidzić i łaknąć zarazem.

- Stanowiłabym jedynie słabość. Potęga to sojusz - przypomniałam mu.

- Uwielbiam, kiedy mnie cytujesz. - Westchnął. - Gdybym tylko nie był tak diabelnie mądry. Wsunęłam rękę do kieszeni i położyłam szmaragd Lancovów na kolanie Mikołaja. Genia mi go oddała, kiedy wyruszaliśmy z Tomikiany.

Wziął pierścień, obrócił go. W świetle ognia kamień błysnął zielono.

- Zatem szuhańska księżniczka? Dorodna Fjerdanka? Córka kerczańskiego magnata? - Podał mi pierścień. - Zatrzymaj go.

Popatrzyłam na niego.

- Ile tego kvasu wypijeś?

- Nic. Zatrzymaj go. Proszę.

- Mikołaju, nie mogę.

- Jestem ci dłużny, Alino. Ravka jest ci dłużna. To i więcej. Prowadź działalność dobroczynną, zleć budowę gmachu opery, albo po prostu wyciągaj go i spojierzaj na niego tęsknie, myśląc o przystojnym księciu, który mógł być twój. Dla jasności preferuję ostatnią opcję, najchętniej w zestawie z obfitymi łzami oraz deklamowaniem kiepskich wierszy.

Zaśmiałam się. Chwycił mnie za rękę i zacisnął ją na pierścieniu.

- Weź go i zbuduj coś nowego.

Obróciłam klejnot w dłoni.

- Zastanowię się.

Przewrócił oczami.

- Skąd twoja niechęć do słowa „tak”?

Poczułam, jak łzy napływają mi do oczu, i zamrugałam, by je powstrzymać.

- Dziękuję.

Odchylił się.

- Byliśmy przyjaciółmi, prawda? Nie tylko sprzymierzeńcami?

- Nie bądź osłem, Mikołaju. Jesteśmy przyjaciółmi. - Postukałam go mocno w kolano. - Teraz ty i ja ustalimy kilka kwestii związanych z Drugą Armią. A potem popatrzymy, jak płonę.

* * *

W drodze do doków wymknęłam się i odszukałam Genię. Razem z Davidem zamknęli się w namiocie Fabrykatorów po wschodniej stronie obozu. Kiedy podałam jej list zapieczętowany

podwójnym orłem Ravki, zastygła, trzymając go w ręku ostrożnie, jak gdyby ciężki papier był szkodliwy w dotyku.

Przesunęła kciukiem po woskowej pieczęci. Palce jej lekko drżały.

- Czy to...?

- Ułaskawienie.

Rozdarła list i przycisnęła go do piersi.

David zapytał, nie podnosząc wzroku znad warsztatu:

- Idziemy do więzienia?

- Jeszcze nie - odpowiedziała. Starła z policzka łzę. - Dziękuję. - Kiedy wręczyłam jej drugi list, zmarszczyła czoło. - Co to jest?

- Propozycja pracy. - Nie było to łatwe, ale ostatecznie Mikołaj dał się przekonać do moich racji. Odkasznęłam. - Ravka nadal potrzebuje swoich Griszów, a Griszowie nadal potrzebują bezpiecznego schronienia. Chcę, żebyś stanęła na czele Drugiej Armii, wraz z Davidem. I Zoją.

- Zoją? To ma być kara?

- Jest potężna, a moim zdaniem ma zadatki na dobrą przywódczynię. Albo zamieni wasze życie w koszmar. Możliwe, że jedno i drugie.

- Dlaczego my? Darkling...

- Darkling przeminął, podobnie jak Przyzywaczka Słońca. Teraz Griszowie mogą sami sobie przewodzić, a ja chcę, by wszystkie trzy zakony miały swojego reprezentanta: Eterealnicy, Materialnicy oraz Korporalnicy - ciebie.

- Alino, tak naprawdę nie jestem Korporalniczką.

- Kiedy miałaś szansę, wybrałaś czerwień. Mam zresztą nadzieję, że te podziały nie będą się już tak bardzo liczyć, jeżeli Griszom będą przewodzić osoby z ich grona. Wszyscy jesteście silni. Wszyscy troje wiecie, jak to jest dać się uwieść przez

potęgę, status albo wiedzę. Poza tym wszyscy jesteście bohaterami.

- Pójdą za Zoją, może nawet za Davidem...

- Hm? - spytał z roztargnieniem.

- Nic. Będziesz musiał chodzić na więcej zebrań.

- Nie znoszę zebrań - burknął.

- Alino - powiedziała Genia - nie jestem pewna, czy za mną podążą.

- Zmusz ich, żeby za tobą podążyli. - Dotknęłam jej ramienia. -
Dzielna i niezłomna.

Jej twarz powoli rozjaśnił uśmiech. Potem puściła do mnie oko.

- I cudowna.

Uśmiechnęłam się szeroko.

- Czyli się zgadzasz?

- Zgadzam się.

Uściskałam ją mocno. Roześmiała się, potem pociągnęła mnie za kosmyk włosów, który wysunął się spod chustki.

- Już blakną - zauważyła. - Odświeżymy cię?

- Jutro.

- Jutro - przytaknęła.

Jeszcze raz ją objęłam, potem przemknęłam na zewnątrz w ostatnie skrawki dnia.

* * *

Szłam przez obóz w ślad za tłumem. Minęliśmy doki i wyszliśmy na piaski Niemorza. Słońce niemal całkiem już zaszło i zapadł zmrok, nie dało się jednak przeoczyć stosu - gigantycznego

brzozowego kopca. Gałęzie drzew były splątane jak białe kończyny.

Kiedy zobaczyłam dziewczynę leżącą na szczycie, przeszył mnie dreszcz. Włosy miała rozłożone wokół głowy jak biały nimb. Była ubrana w złoto-błękitną keftę, a jej szyję opasywała obręcz Morozova. Poroże jelenia odznaczało się na tle jej skóry srebrzystoszarym kolorem. Niezależnie od tego, czy odłamki trzymały się na drucie, czy dzięki kunsztowi Fabrykatorów, nie było widać sztukowania.

Powiodłam oczami po jej twarzy - po mojej twarzy. Genia spisała się nadzwyczajnie. Kształt był idealnie oddany - krzywizna nosa, zarys brody. Tatuaż znikł z jej policzka. Prawie nic nie zostało po Ruby - Sol Sołdatce, która zostałaby kiedyś Przyzywaczką, gdyby nie poległa na terenie Fałdy. Zginęła jako zwykła dziewczyna.

Wzdragałam się przed wykorzystaniem jej ciała w ten sposób, bo martwiło mnie, że jej rodzina nie będzie miała czego pochować. Tolia mnie przekonał.

- Ona wierzyła, Alino. Nawet jeśli ty nie wierzysz, niech to będzie jej ostatni akt wiary.

Obok Ruby w swojej czarnej kefcie leżał Darkling. „Kto się o niego zatroszczył?” - zastanawiałam się, czując bolesny skurcz w gardle. Kto tak schludnie szesał mu z czoła ciemne włosy? Kto złożył na piersi jego pełne wdzięku ręce?

Niektórzy w tłumie sarkali, że Darkling nie ma prawa dzielić stosu ze Świętą. Mnie jednak wydawało się to słuszne, a ludzie musieli zobaczyć, że to dobiegło kresu.

Pozostali Sol Sołdaci zgromadzili się wokół stosu. Na ich nagich plecach i torsach widniały tatuaże. Był tu też Vladim - stał z pochyloną głową. Blask ognia podkreślał zmienioną skórę na jego piętnie. Wokół nich ludzie płakali. Mikołaj stał na skraju w

nieskazitelny mundurze Pierwszej Armii i z Apparatem przy boku. Podciągnęłam szal do góry.

Mikołaj przelotnie spojrzął mi w oczy z przeciwnej strony kręgu. Dał sygnał. Aparat podniósł ręce. Infernicy uderzyli w krzemienie. Płomienie wzbity się jasnymi łukami, krążyły i nurkowały pomiędzy brzozowymi gałęziami jak śmigłe ptaki, liżąc hubkę, aż zaczęła się jarzyć i zapłonęła. Ogień rósł, płomienie błyskały jak drżące liście wielkiego, złotego drzewa. Dookoła mnie jęki i łkanie tłumu zyskiwały na sile.

Sankta - wołali. Sankta Alina.

Oczy piekły mnie od dymu. Woń była chorobliwie słodka.

Sankta Alina.

Nikt nie wiedział, jakim imieniem go przeklinać albo wysławiać, więc wypowiedziałam je cicho, bezgłośnie. - Aleksander - szepnęłam. Zarzucone chłopięce imię. Niemalże zapomniane.

POTEM.

Kaplica stała na wybrzeżu Ravki Zachodniej na południe od Os Kervo, na brzegu Morza Prawdziwego. Było to ciche miejsce, gdzie fale były niemal pod drzwiami. Bielone wapnem ściany były obwieszane muszelkami, a kopuła unosząca się nad ołtarzem przypominała raczej granatową studnię morza niż nieboskłon.

Nie było szumnych zaręczyn, umowy ani wiana. Dziewczyna i chłopak nie mieli rodzin, które by nad nimi cudowały, obnosiły się z nimi po najbliższym miasteczku albo uhonorowały ich uctami. Panna młoda nie miała kokosznika ani złotej sukni. Świadkowali im jedynie rudy kot, przekradający się między ławkami, oraz dziecko - teraz też już bez matki - które niosło drewniany miecz. Musiał stanąć na krześle, żeby przytrzymać korony z drewna wyrzuconego przez morze podczas błogosławieństw. Imiona podali fałszywe, lecz przysięgi złożyli szczerze.

* * *

Nadal toczyły się wojny i nadal były sieroty, lecz budynek, który wznosił się na ruinach niegdysiejszego Keramzina, w niczym nie przypominał wcześniejszego. Nie był to dwór księcia wypełniony rzeczami, których nie wolno było dotykać. Było to miejsce dla dzieci. Fortepian w pokoju muzycznym był odsłonięty. Drzwi od spiżarni nigdy nie były zamknięte na klucz. W dormitoriach zawsze paliła się latarnia, żeby rozproszyć ciemność.

Personelowi to nie odpowiadało.

Uczniowie byli nazbyt rozbrykani. Za dużo pieniędzy wydawano na cukier do herbaty, na węgiel w zimie, na książki, w których były same baśnie. I niby po co każdemu dziecku nowe łyżwy?

Młodzi. Bogaci. Przypuszczalnie pomyleni. Tak szeptano o parze, która prowadziła sierociniec. Płacili jednak sowicie, a chłopak był tak czarujący, że trudno było się na niego złościć, nawet kiedy nie zgadzał się złościć różgą jakiegoś diabła wcielonego, co naniósł błota koło wejścia.

Mówiono, że jest dalekim krewnym księcia, a chociaż przy stole zachowywał się przyzwoicie, nosił się jak żołnierz. Uczył wychowanków, jak polować i zastawiać pułapki oraz jak stosować nowe metody uprawy, tak ulubione przez króla Ravki. Sam księżę zamieszkał w zimowej rezydencji w Os Alcie. Ostatnie lata wojny ciężko go dotknęły.

Dziewczyna była inna, drobna i dziwna. Miała siwe włosy, które nosiła rozpuszczone jak kobieta niezamężna, najwyraźniej nieświadoma krzywych spojrzeń i pełnych dezaprobaty syknięć nauczycieli oraz personelu. Opowiadała uczniom osobliwe historie o fruujących okrętach i podziemnych zamkach, o potworach, które pożerały ziemię, oraz o ptakach, które wzbijały się w powietrze na ognistych skrzydłach. Często chadzała boso po korytarzach, a woń świeżej farby zdawała się nigdy nie słabnąć, bo zawsze zabierała się za jakiś nowy projekt - malowała mapę na ścianie jednej z sal albo pokrywała sufit w dziewczęcym dormitorium łyżwami.

- Kiepska z niej artystka - kręciła nosem jedna z nauczycielek.

- Ale wyobraźnię to ona ma - odparła inna, patrząc sceptycznie na białego smoka wijącego się wokół poręczy schodów.

Uczniowie studiowali matematykę i geografę, naukę i sztukę. Z pobliskich miasteczek i wiosek ściągano rzemieślników, którzy

proponowali terminowanie. Nowy król miał nadzieję za kilka lat znieść pobór do wojska, a jeżeli to mu się powiedzie, każdemu Raveczaninowi będzie potrzebny jakiś fach w ręku. Kiedy dzieci sprawdzano pod kątem zdolności griszaickich, wolno im było wybrać, czy chcą jechać do Małego Pałacu, zawsze też mogli wrócić do Keramzina. Wieczorami kazano im modlić się za młodego króla - Korol Riezni zadba o to, by Ravka była silna.

* * *

Nawet jeśli chłopak i dziewczyna nie byli całkiem ze szlachty, na pewno mieli wysoko postawionych przyjaciół. Często przychodziły podarki, niekiedy zdobne w królewską pieczęć: zestaw atlasów do biblioteki, solidne wełniane koce, nowe sanie z parą siwków do zaprzęgu. Pewnego razu przybył człowiek z całą flotą zabawkowych okręcików. Dzieci spuściły je na wody strumienia i urządziły miniaturowe regaty. Nauczyciele zauważyli, że nieznajomy był młody i przystojny, miał złote włosy i piwne oczy, ale zdecydowanie był z nieco dziwak. Został do późna na kolacji i ani razu nie zdjął rękawiczek.

Każdej zimy na Świętego Mikołaja zaśnieżoną drogą zajeżdżała trojka. Wysiadało z niej troje Griszów, odzianych w futra i grube, wełniane kefty - czerwoną, purpurową oraz błękitną. Ich sanie uginały się od prezentów: fig i moreli w miodzie, stosów orzechowych cukierków, rękawiczek z futrem z nerek i butów z mięciutkiej skóry. Zabawiali do późna - kiedy dzieci już dawno poszły spać - rozmawiali i śmiali się, snuli opowieści, jedli marynowane śliwki i piekli nad ogniem jagnięce kielbasy.

Pierwszej zimy, kiedy przyjaciele zbierali się do drogi, dziewczyna wyszła na śnieg się pożegnać, a olśniewająca, kruczowłosa Szkwalniczka wręczyła jej kolejny dar.

- Błękitna kefta - nauczycielka matematyki pokręciła głową. - Na co jej to?

- Może знаła jakiegoś poległego Griszę - odparła kucharka, zwróciwszy uwagę na łzy, które stanęły dziewczynie w oczach. Nie widziały kartki z napisem: „Zawsze będziesz jedną z nas”.

Chłopak i dziewczyna zaznali utraty i żal ich nie opuszczał. Niekiedy znajdował ją, jak stała przy oknie i splatała palce w promieniach słońca wpadających przez szybę, albo jak siedziała na frontowych schodach sierocińca, wpatrując się w pień ściętego dębu przy podjeździe. Wtedy szedł do niej, przytulał ją i prowadził na brzeg stawu Trivki, gdzie brzęczały owady, wonna trawa rosła wysoko i można było zapomnieć o starych ranach.

Ona także widziała w chłopcu smutek. Choć lasy nadal były dla niego gościnne, teraz był od nich oddzielony - wrodzona więź zapisana w jego kościach wypaliła się w tej samej chwili, gdy oddał dla niej życie.

Potem jednak godzina mijała, a nauczyciele łapali ich, jak chichoczą w półmroku korytarza albo całują się przy schodach. Poza tym w większość dni za wiele się działo, by mieć czas na żalobę. Trzeba było prowadzić lekcje, przygotować posiłki, pisać listy. Kiedy zapadał wieczór, chłopak przynosił dziewczynie szklankę herbaty, kawałek ciasta cytrynowego, kwiat jabłoni pływający w niebieskim kubku. Całował ją w szyję i szeptał jej do ucha nowe imiona: piękna, ukochana, najdroższa, moje serce.

Wiedli zwyczajne życie, pełne zwyczajnych rzeczy - jeśli miłość w ogóle można tak nazwać.

Podziękowania.

Kilka lat temu wyruszyłam w podróż w ciemność wraz z dziewczyną, która nie miała jeszcze imienia. Miałam szczęście trafić na cudownych ludzi, którzy podtrzymywali mnie na duchu i dopingowali na każdym kroku.

Team Nauka (!)

Co zabawne, sztuczka Aliny polegająca na zakrzywianiu światła stanowi jeden z najsolidniejszych naukowo elementów tych książek. W prawdziwym świecie nazywa się to „technologia peleryny-niewidki” (co mnie uszczęśliwia na wiele sposobów). Zgooglajcie to sobie - i nastawcie się na szok. Zasugerował mi to Peter Bibring, a Tomikiana zawdzięcza nazwę jego córce Iris Tommiko. Harper Seiko: obiecuję, że Twoje imię znajdzie się w kolejnej książce. Muszę też wywołać żonę Petera, Michelle Chihara, która jest moją serdeczną przyjaciółką i wspaniałą pisarką.

Kiedy Harper Holt kupili Trylogię Grisza, tańczyłam w jej kuchni. To nie jest eufemizm. Wielkie dzięki Johnowi Williamsowi za zainspirowanie osłony akustycznej.

Team Słowny

Noa Wheeler i ja targowałyśmy się o tytuły, zaprzyjaźniłyśmy się dzięki książkom i zmawiałyśmy się w sprawie pierogów. Dziękuję za to, że sprawiłaś, iż ciężka praca dostarczała tyle frajdy. Wielkie dzięki należą się Jonowi Yagedowi, Jean Feiweł, Laurze Godwin, Angusowi Killickowi, Elizabeth Fithian, Lucy del Priore, April Ward, Richowi Deasowi, Allison Verost,

niestrudzenie cierplivej Molly Brouillette i cudownym Kseni Winnicki oraz Caitlin Sweeny, które zrobiły bardzo wiele, by promować trylogię w internecie. Chcę także specjalnie podziękować Veronice Roth, Johnowi Picacio, Michaelowi Scottowi, Lauren DeStefano i Rickowi Riordanowi, którzy okazali mi oraz tym książkom mnóstwo życzliwości.

Team New Leaf

Joanno Volpe, dziękuję za to, że jesteś genialną agentką i wspaniałą przyjaciółką, oraz za to, że przez Ciebie wyskoczyłam ze skóry ze strachu w pokoju hotelowym w Belfaście. Dzięki Kathleen Ortiz za przeniesienie Griszów na arenę międzynarodową i za to, że tolerowała moją niedorzeczną postawę wobec kontraktów oraz planów podróży; Pouyi Shabazianowi za to, że śmiał się z moich durnych żartów i pomagał mi orientować się w dzicy Hollywood; oraz Danielle Barthel i Jaidzie Temperly za to, że z wdziękiem i poczuciem humoru stały na barykadach.

Team Boskie Babki

Morgan Fahey to zachwycająca czytelniczka, która dotrzymywała mi towarzystwa na nocnych czatach i w mejlowych żartach. Dziękuję za to, że niejedną raz uspokoiłaś Leighyore. Sarah Mesle pomogła mi przetrwać wiele fabularnych niedoli, a ja do końca życia nie zapomnę naszej sylwestrowej pogawędki - SkyMall! Kayte Ghaffar, znana jako Imperatorka Lansu, znana jako Główna Fabrykatorka, znana jako Mądralińska. Nie wiem, co bym poczęła bez Ciebie w roli współkonspiratorki i powierniczki. Wielkie dzięki Cindy Pon, Marie Rutkoski, Robin Wasserman,

Amie Kaufman, Jennifer Rush, Sarah Rees Brennan, Cassandrze Clare i Marie Lu za słowa zachęty, plotki i inspiracje. Dziękuję także Emmy Laybourne, Jessice Brody oraz Annie Banks - mam wrażenie, jakbyśmy były razem na koloniach, albo może na wojnie, i każda chwila była cudna. Szczególnie dziękuję Holly Black, która mnie zniszczyła i odbudowała w ciągu jednej jazdy taksówką. Ona ma siłę, ludzie. Tak tylko mówię.

Team Los Angeles

Wyrazy miłości i wdzięczności Rayowi Tejadzie, Austinowi Wilkinowi oraz Rachel Tejadzie z Ocular Curiosity (czyli Ligi Niezatykalnej Zabawy!). David i Erin Peterson to moja ulubiona super-para - dziękuję za to, że poświęciliście mi tyle czasu i swojego talentu. Rachel Martin robi świetne kulki daktylowe, a Robyn Bacon to odpowiednia kobieta, jeśli chodzi o SPRAWIEDLIWOŚĆ. Jimmy Freeman rozpieszczał mnie życzliwością, otuchą i gościnnością. Gretchen McNeil to pierwszorzędna współlokatorka na konwent, a jak na taką Marianne ma strasznie dużo dobrych rad. Serdeczne podziękowania Danowi Braunowi, Brandonowi Harveyowi, Liz Hamilton, Joshowi Kamensky'emu, Heather Joy i maleńkiej Phoebe, Aaronowi Wilsonowi oraz Laurze Recchi, Michaelowi Pessah, absurdalnie kozackiej Christinie Strain, Rimi Cortier, Tracey Taylor, Lauren Messiah, Mel Caine, Mike'owi DiMartino oraz Kurtowi Mattili, dzięki któremu na nowo uzależniłam się od komiksów. Bradzie Farwell - nie mieszkasz w Los Angeles, ale nie pasujesz do żadnej innej kategorii. Deklu.

Team Lansowania Książek

Wielkie podziękowania należą się bibliotekarzom, nauczycielom, blogerom i księgarzom, którzy pomogli tym książkom trafić do czytelników. I jak zawsze wyrazy miłości dla Brotherhood without Banners, które przyjęło mnie do grona jednej z najbardziej pomocnych i wspaniałomyślnych wspólnot fanów. Poza tym urządzają najlepsze imprezy.

Team Tumblr

Niektórzy ludzie wcześniej wspierali *Trylogię Grisha* i należy im się wzmianka: Irene Koh, która zmieniła sposób, w jaki postrzegam własne postacie; Kira, znana jako eventhepartofyouthatlovedhim, która blogowała wcześniej i często; cudowne panie z Grisha Army; Emily Pursel, Laura Maldonado, Elena of Novelsounds, Laura i Kyra oraz Madeleine Michaud, która pisze najlepsze pytania. Jest Was wielu więcej - tworzyliście grafiki i składanki piosenek, sztukę i fanfiction, rozmawialiście ze mną, inspirowaliście mnie i dodawaliście mi sił. Dziękuję za to, że dzięki Wam ta podróż stała się o wiele bardziej magiczna.

Team Rodzina

Christine, Sam, Ryan, Emily - kocham Was. Shem, jesteś wyjątkowym artystą i nie można wybrać lepszej osoby do zwiedzania Nowego Jorku. I wreszcie wyrazy miłości i podziękowania dla mojej słodkiej, cudownej mamci, która płakała podczas odpowiednich scen i nauczyła się płynnie mówić po narwalsku.

...nie przypomina żadnej innej książki, jaką czytałam.

Veronica Roth, autorka bestselleru *Niezdolna*

Ruina i rewolta to niecierpliwie wyczekiwane przez fanów zakończenie fantastycznej Trylogii Grisza. Poprzednie tomy tej serii to *Cień i kość* oraz *Szturm i grom*.

Ta niezwykle barwna opowieść umieszczona w wyjątkowo wykreowanym świecie opartym na realiach carskiej Rosji, stała się międzynarodowym bestsellerem i podbiła serca miłośników fantasy na całym świecie.

Stolica upadła. Darkling przejął władzę nad Ravką i zasiada na swym ciernistym tronie.

Los narodu spoczywa teraz w rękach pokonanej Przyzywaczki Słońca, zhańbionego tropiciela i rozgromionych niedobitków wielkiej niegdyś, magicznej armii.

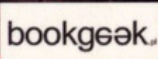
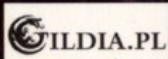
Zaszyta głęboko w pradawnej sieci tuneli oraz jaskiń, osłabiona Alina musi oddać się pod wątpliwą opiekę Apparata i fanatyków, którzy czczą ją jako Świętą. Planuje jednak coś innego – chce zapolować na nieuchwytnego ognistego ptaka, i żywi nadzieję, że książę-banita nie zginął.

Pośpiesznie szukając wraz z Malem ostatniego wzmacniacza Morozova, Alina będzie musiała zawrzeć nowe sojusze i odłożyć na bok dawne niesnaski. Jednak w miarę jak odkrywa tajemnice Darklinga, odsłania przeszłość, która na zawsze zmieni to, jak postrzega łączącą ich więź oraz własną moc. Tylko ognisty ptak uchroni Ravkę przed zniszczeniem – a może się okazać, że ceną za jego zdobycie będzie przyszłość, o którą Alina walczy.

Elektryzujące i epickie zwieńczenie Trylogii Grisza to pełne emocji fantasy, którego nie możesz przegapić.

Uwielbiam! Takie fantasy lubię: barwne, rozkoszne i wspaniałe, podszyte ekscytującą akcją i idealnym wątkiem romansowym.

Cinda Williams Chima, autorka cyklu *Siedem Królestw*



PAPIER  WYKSIEŻYC

ISBN: 978-83-61386-59-9



9 788361 138659

12 06 6E

www.papierowyksiezyc.pl